WIKTOR WOROSZYLSKI

WIERSZE

TADEUSZ BREZA

KRZYCKI

STANISŁAW JERZY LEC

Z »RĘKOPISU JEROZOLIMSKIEGO«

JAN PARANDOWSKI

PETRARKA

JULIAN STRYJKOWSKI

GŁOSY W CIEMNOŚCI

Z POEZJI NARODÓW ZWIĄZKU RADZIECKIEGO

TANK – KULESZOW – GAMZATOW

GUILLAUME APOLLINAIRE

NOWE PRZEKŁADY

JAN ŚPIEWAK

ROZPOCZYNAM DYSKUSJĘ O CZECHOWICZU

JULIUSZ W. GOMULICKI

LENARTOWICZ NA NOWO ODCZYTANY

TWÓRCZOŚĆ 5

TWÓRCZOŚĆ

MAJ 1955

5

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK XI MAJ 1955 Nr 5

SPIS TREŚCI

MAJ 1955 ROKU
Str. 5

Wiktor Woroszylski
* * * SIWIZNA DWA WIECZORY TĘSKNOTY
Str. 7

Tadeusz Breza
KRZYCKI
Str. 10

Stanisław Jerzy Lec
Z „RĘKOPISU JEROZOLIMSKIEGO"
BALLADA PISANA W PIASKU PUSTYNNYM NA GRANICY * * * NOCĄ W DZIELNICY BAKA W DNIU ZABÓJSTWA KRÓLA ABDULLI I NOC WYPEŁNIA ŚLADY KÓŁ
Str. 31

Jan Parandowski
PETRARKA
Str. 35

Mieczysława Buczkówna
O PÓŁNOCY ŚLEPCY U OKULISTY MOJE NIEBO LARYNGOLOGIA
Str. 55

Julian Stryjkowski
GŁOSY W CIEMNOŚCI
Str. 58

Z poezji narodów Związku Radzieckiego
Maksym Tank
„JANKO — I — MARIA" (przeł. *Remigiusz Kwiatkowski*)
Str. 116

Arkady Kuleszow
SZTANDAR BRYGADY (przeł. *Ziemowit Fedecki*)
Str. 117

Rasuł Gamzatow
PAMIĘCI GAMZATA CADASA (przeł. *Gabriel Karski*)
Str. 121

Wojciech Górny
STONKA
Str. 123

Ryszard Wasita
MILCZENIE KSIĄŻEK
Str. 128

Guillaume Apollinaire
MOST MIRABEAU POŻEGNANIE SALOME CYRKOWCY CYGANKA ROZAMUNDA CHORA JESIEŃ HOTELE JEST SOBIE (przeł. *Roman Kołoniecki*)
Str. 135

Wacław Sadkowski
PRÓBA EPIKI
Str. 141

Jan Śpiewak
ROZPOCZYNAM DYSKUSJĘ O POEZJI JÓZEFA CZECHOWICZA
Str. 151

Juliusz W. Gomulicki
LENARTOWICZ NA NOWO ODCZYTANY
Str. 158

Archiwum
ZE SPUŚCIZNY POETYCKIEJ PO JULIANIE KORSAKU
Str. 174

Wśród książek
„CYWILNY KANONIK" JÓZEFA KOWALSKIEGO — *Andrzej Dobosz*
Str. 178
DWA DEBIUTY — *Wanda Leopold*
Str. 179
ZADATKI NA POWIEŚĆ SATYRYCZNĄ — *Andrzej Biernacki*
Str. 182
DWIE KSIĄŻKI O WIETNAMIE — *Andrzej Biernacki*
Str. 183
NOWY SŁOWNIK OBCYCH WYRAZÓW — *Piotr Grzegorczyk*
Str. 185

Na widnokręgu
V KONKURS im. FRYDERYKA CHOPINA W WARSZAWIE — *ji*
Str. 189
AKTUALNE ZAGADNIENIA PROZY RADZIECKIEJ — *Józef Spinc*
Str. 191
JEAN FREVILLE O KLASYKACH MARKSIZMU — *Jadwiga Kukułczanka*
Str. 196
FANTASTYCZNE ŻYCIE JULIUSZA VERNE — *Wojciech Natanson*
Str. 198
ALCHEMIA MIŁOŚCI — *Jerzy Lisowski*
Str. 203

Książki nadesłane
Str. 206

REDAKTOR NACZELNY:
JAROSŁAW IWASZKIEWICZ
Wydaje Instytut Prasy „Czytelnik"

Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 8-95-07, centr. 8-24-11, wewn. 54. Adres administracji: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-24-11.
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
Cena numeru zł 7.—. Prenumerata kwartalna zł 21.—, półroczna zł 42.—

Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju za zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówienia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych PPK „Ruch", Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jerozolimskie 119, tel. 8-05-05.

Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego, Warszawa. Zamówienie 1989/c z dnia 7.4.55 r.
Nakład 5 295. Druk ukończono w kwietniu 1955 r. B-6-5278

MAJ 1955 ROKU

Niniejszy numer naszego pisma dociera do rąk czytelnika w kilkanaście dni po uroczystości pierwszomajowej. Jeśli dziś odwracamy o dwa tygodnie kartki kalendarza, to powoduje nami pragnienie podkreślenia łączności pisarzy polskich ze sprawą, której służy z oddaniem klasa robotnicza, inteligencja i ludzie dobrej woli w naszym kraju. Są bowiem przeżycia — a do nich należy i pierwszomajowe — które nie przemijają w czasie, lecz długo trwają we wspomnieniach i towarzyszą nam w trosce i w radości.

Ile kart historii, ile bohaterstwa, ile wzruszeń wiąże się z pierwszym dniem tego wiosennego miesiąca! Ongiś był on zapowiedzią burzy zwiastującej wielką odmianę społeczną. Był obietnicą, którą spełnić miała ciężka i długotrwała walka. Dzisiaj na ziemiach polskich i rozległych obszarach ziemskiego globu jest świętem radości obchodzonym w poczuciu uzasadnionej dumy. Dzień międzynarodowej solidarności robotniczej świętujemy we własnym domu, który dźwigamy z ruin drugiej wojny światowej. Chcemy, aby ten dom był z roku na rok piękniejszy, aby w nim zagościło na zawsze szczęście, i jesteśmy zdecydowani bronić naszej siedziby przed ogniem zniszczenia. Pokój i sprawiedliwość społeczna są treścią naszego istnienia, one nadają sens wysiłkom ludzi pracy fizycznej i umysłowej, one są sednem humanistycznego piśmiennictwa naszego czasu.

W tym roku pochód pierwszomajowy po raz jedenasty od zakończenia wojny popłynął, niby szeroka rzeka, przez ulice polskich miast i miasteczek. Do marszu ruszyliśmy z rzeszą wolnych narodów, które tworzą połowę ludzkości. Czerwone sztandary zapełniły place Moskwy, Pekinu, Budapesztu, Pragi, zakwitły w dalekiej Korei, Wietnamie. Z nami szli patrioci Francji, Włoch i innych krajów kapitalistycznych, w których spór o wolność nie jest jeszcze rozstrzygnięty. Ta nieprzejrzana armia pokoju daje nam pewność, że nasza nadzieja nie jest złudzeniem, lecz realnym nakazem historii.

Przekonanie o naszej sile wzmaga świadomość przyjaźni ze Związkiem

Socjalistycznych Republik Radzieckich, który ocalił świat od faszystowskiej zagłady i przyniósł narodom Europy upragnione wyzwolenie. Ta przyjaźń, znalazła ona przed dziesięciu laty swój wyraz w układzie zawartym między Polską a ZSRR, jest fundamentem pomyślnego rozwoju naszego kraju. Zapoczątkowana wspólnie przelaną krwią w wojnie z hitleryzmem, utrwalana nieustanną pomocą w ludziach i technicznym sprzęcie, pomogła nam uporać się z wieloma trudnościami odbudowy. Jest busolą wskazującą drogę przez burzliwe stulecie, która prowadzi w przyszłość bez krzywdy i wojen.

Bieżący miesiąc przynosi jeszcze jedno wspomnienie. Dnia 9 maja upłynęło dziesięć lat od zakończenia drugiej wojny światowej. Po długiej nocy rozbłysło wreszcie światło pokoju, którego błogosławieństwo nauczyliśmy się cenić jako najwyższe dobro. Z zawieruchy wojennej wyszliśmy okaleczeni i wykrwawieni, z nienawiścią do wojny i faszyzmu, z miłością do pokoju i wolności. W ciągu ubiegłego dziesięciolecia dowiedliśmy ofiarnym wysiłkiem całego narodu naszej dobrej woli. Społeczeństwo polskie jest zdania, że człowiekowi lepiej służą traktory, szkoły i biblioteki, aniżeli bomby atomowe i pociski bakteriologiczne. Pragniemy bratniego współżycia wszystkich narodów i do ostatecznego zwycięstwa będziemy walczyli o spełnienie wizji rozsnutej w strofie Mickiewiczowskiej:

A słońce Prawdy wchodu nie zna i zachodu,
Równie chętne każdego plemionom narodu,
I dzień lubiące każdej rozszerzać ojczyźnie,
Wszystkie ziemie i ludy poczyta za bliźnie.

Wiktor Woroszylski

*

* *

— Nie pisałem wierszy talentem
(a rozumiem to tak: melodią,
która płynie znikąd do nikąd,
burzą słów, natchnionym obłędem,
błyskawicą olśnienia nagłą,
nieświadomą energią nagą,
co przychodzi sama i znika,
nie powolna groźbom ni modłom,
i na wydmach fantazji mokrych
piękna trwały zostawia okruch...)
— skądże! nie pisałem talentem!

— ...Nie pisałem wierszy talentem,
ale trudem, stokroć przeklętym,
ale myśli zziajanej wolą,
ale uczuć prawdą nieuschłą,
gniew był strofy ułomnej solą,
miłość słowa dawała ustom —
może zbyt jednoznaczne, ciężkie,
aby świata urodzie sprostać;
lecz wierzyłem: szczęście — to szczęście,
ból — to ból, no a rozpacz — rozpacz...

— Tak i dziś, Wielki Wichrze Poezji,
nie chcę prosić ciebie o talent:
jakoś dotąd bez tegom przeżył,
może więc potrafię i dalej.
Ale proszę, spraw, aby trwały
myśli upór i uczuć siła,
w to, w com wierzył — niech starczy wiary
i niech gardzę tym, czym gardziłem,
zadraśnięciom nie pozwól się goić,
niech zostanie mi ból i gorycz,

niech nie stanę się obojętny
na najmniejsze — i zło, i dobro,
niech świętuję, gdy dzień odświętny,
i niech płaczę, gdy smutku ogrom.

Tylko tak — dalej pisać będę —
cóż, że trudem, że nie talentem!

SIWIZNA

To było — jakby biała szrama biegła
po niezranionej przedtem bratniej skroni:
pasmo siwizny.
A więc tak odległa
już chwila owa, gdy — ani za skromni

ani nieśmiali — do literatury
wdzieraliśmy się, nie dbając o kolej —
i potępiały nas zgorszone ciury
za rym nieścisły i walkę pokoleń?

...Kiedyśmy gwizdem, wybrykiem zuchwałym
atakowali zmowę łbów zakutych...
— Czasie, zatrzymaj się — ...mocą uchwały
poobsadzanych przez nas egzekutyw!

Nie chcesz... A popiół bez przerwy osiada
na włosach druhów. I zegar południe
wydzwania w ich dojrzałych poematach,
hucząc, że może nie smutniej, lecz — trudniej.

Cóż, przyjaciele! Zapewne nie darmo
nas z podobnego materiału skroił
wiek.
Z pokoleniem swym przez solidarność
wianek siwizny przymierzam do skroni.

Tam, w głębi — ciągle szczenięce narowy
i młody kwiecień, jak alkohol, hula...
Trochę uwiera wianek nie laurowy,
ale na zewnątrz — do licha, jak ulał!

Więc — zgoda, czasie! Niech twe fale płyną,
we włosach piana niech zostaje srebrna!
...Chyba, że możesz — przyjaciół czuprynom
biel odjąć. Wtedy — i mnie niepotrzebna.

1954

DWA WIECZORY TĘSKNOTY

I

Może to wiek —
kto wie?
Może wyobraźni zanik?
Dawniej mogłem bez ciebie,
dziś — nie,
za nic.

Nie wystarczy czekanie,
nie raduje spotkanie,
ciągle muszą być oczy twe,
ciągle muszą być dłonie twe
obok mnie.

11. X. 1953

II

...Po siedmiu latach —
to romantyczne nawet,
gratka nie lada,
wczesnej młodości nawrót —
umawiać się na spotkania
(nie za często),
„przyjdzie? nie spóźni się?" — wykapane
narzeczeństwo.

A ja jestem tyran, zły mąż
i nie dam rady:
muszę dostać cię od razu, na wciąż,
nie na raty.
Może jeszcze niedawno umiałem lepiej,
dzisiaj — nie chcę, nie będę cierpliwym narzeczonym
nieznajomej, dalekiej
żony.

12. X. 1953

Wiktor Woroszylski

Tadeusz Breza

KRZYCKI

Mury Jerycha zaczynają się cichym, pozbawionym gali, niemal konspiracyjnym pogrzebem Stanisława Augusta w wiosce wołczyńskiej. *Niebo i ziemię,* stanowiące dalszy ciąg *Murów Jerycha,* kończyć miała scena do tej pierwszej w pewnym sensie analogiczna, scena, w której bym wspomniał o owym słynnym w swoim czasie — by się posłużyć językiem sanacyjnym — wysiudaniu zwłok Piłsudskiego z krypty św. Leonarda, krypty królewskiej, i przeniesieniu ich cichcem i bez gali poza obręb katedry, pod dzwonnicę.

Wyobrażałem sobie także, że natrąciwszy o ten incydent, uczynię z niego punkt wyjścia wielkiej i gorzkiej spowiedzi któregoś z podkomendnych Piłsudskiego. Spowiedź taką nakreśliłem. Ostatecznie z niej zrezygnowałem. Osnułem jednak na niej niniejsze opowiadanie. Lecz dawne nazwiska pozostawiłem. Stąd ich zbieżność z nazwiskami osób ze wspomnianych powieści. Czas akcji jest tutaj też ten sam, co tam: lato 1938 roku.

Wreszcie jeszcze jedno: słowa, które kapitan z tego opowiadania powtarza tak maniakalnie, słowa Hibnera, Kniewskiego czy Rutkowskiego, wypowiedziane przez jednego z nich w drodze na miejsce kaźni, są autentyczne. Natomiast Krzycki, którego nazwiskiem rzecz zatytułowałem, to postać fikcyjna.

Prokurator Skirliński, rozejrzawszy się po swoim gabinecie w gmachu Sądu Okręgowego w Warszawie, zaczął od zbadania podstaw:

— Znacie pełną listę zatrzymanych?

— Zdaje się, sama smarkateria? — odparł kapitan.

Skirliński sprostował:

— Ściśle rzecz biorąc ani taka znowu smarkateria: sami działacze studenccy, publicyści z akademickich pisemek, prowodyrzy z różnych młodzieżowych organizacji; ani taka znowu sama: sekundował im Krzycki.

— Mieczysław?

— Znacie go może?

— Specjalnie nie. Chociaż swoją drogą przed wojną się o niego otarłem.

— Ale orientujecie się, kto to jest?

— Ba! Któż by się nie orientował!

— Niewątpliwy komunista.

— Owszem. Owszem.

— Niczego przy nim nie znaleziono, w ogóle nic przy nikim, lokal też się okazał czysty. Tylko ten Krzycki! Ta jego obecność!

Kapitan ziewnął i pożalił się, nie spuszczając niezadowolonych i zarazem ironicznych oczu ze Skirlińskiego:

— Oj ten Krzycki, ten Krzycki! Żyć my jemu nie dajemy. A jakoś nikt z nas nie umie solidnie i uczciwie na czymś go nakryć!

— A wam w to graj! — Tym razem Skirliński zirytował się na kapitana. — Z was w ogóle dziwny człowiek. Od roboty się nie uchylacie, a jak co nie wyjdzie, mnie czy komukolwiek bądź, a nawet wam, wy w śmiech!

Kapitan znowu spróbował się przeciągnąć. Trzasnęło coś w krzesełku. Wstał, podniósł je za oparcie, drugą ręką wziął za nogę. Mocno się ruszała. Po tych oględzinach zdecydował:

— Nie nadaje się. Najwyżej dla tych, co wy ich wzywacie do siebie, bo oni u was tak i tak na pewno ze strachu siedzą pół na pół w powietrzu.

Skirliński sięgnął po drugie spod ściany.

— Służę wam.

Kapitan się zamyślił.

— A rzeczywiście, wy macie rację — na koniec odpowiedział. — Ale bo też i robota nasza, przyznajcie sami, czasami jest śmiechu warta.

Wsadził rękę za koszulę, podrapał się, krzywiąc w niemiłosierny sposób przy tej czynności. W mowie też nareszcie udało mu się odzyskać zwykłą manierę chłopka-roztropka, naiwnie prawiącego sobie i innym przykre rzeczy. Na serio? Nie na serio?

— I dla kogo ona? I przeciw komu? Ja wam to mówię: śmiechu to wszystko warte. Strach pomyśleć! Szkoda, szkoda!

— Kogo? Czego?

— Ja uważam: ludzi! A może nawet nie samych ludzi, że przepadają, a tego, że przychodzi im przepadać na korzyść nie wiadomo czyją. Na korzyść tej całej ferajny, która się u nas pcha i pcha w górę.

Skirliński przygładził włosy, rzucił okiem na kamizelkę, obciągnął ją. Dla jego służbowego ucha w słowach kapitana zadźwięczał ton niewłaściwy. W takich momentach Skirliński odruchowo poprawiał na stole papiery albo też doprowadzał do porządku jakiś szczegół w swoim wyglądzie zewnętrznym.

— Kto się pcha? Od kiedy? — zmarszczył się.

— At! — z odrazą zawrzał kapitan. — Od samego początku!

Ale natychmiast w jego białawych, alkoholicznych oczach pojawił się z powrotem potulny uśmieszek, na twarzy mocno nasilony grymas na znak szczególnej troski, a na czole zmarszczki dla podkreślenia umysłowego wysiłku.

— Ja mówię, mnie szkoda ludzi! — stwierdził kapitan powtórnie. — Ja łapać mogę, kazali, proszę bardzo, z całą gotowością. Nasamprzód dla umocnienia niepodległości, później dla umocnienia państwowej całości, potem dla umocnienia praworządności. Ale tak łapać rok, dwa, trzy, piętnaście, dwadzieścia, łapać, łapać, to kto zostanie? Co zostanie?

Grymas niezadowolenia zaostrzył się jeszcze na twarzy kapitana, usta mu wykrzywił, policzki zadarł do góry, brwi uniżył, oprawiając oczy kapitana w wąskie szparki.

— Same mydłki. Śluz z nosa. Chrząstki. Taka ich krew i kość! — Kapitan nie spuszczał oczu ze Skirlińskiego i na głos martwił się: — My z panem pilnujemy. Kurek odkręciliśmy i pilnujemy, żeby dokumentnie cały nabój gazu uszedł z narodu. Mnie właśnie tego gazu żal, ot! Tej, jak mnie za młodu uczyli, gorącej krwi! A my, niech no komu zaszumi jaka myśl gorąca w głowie, niech no komu serce zabije żywiej — jak temu oto z tej teczki, co przed wami leży, czy jego koleżkom — to my za łeb takiego i do lochu. Do lochu! Dla kogo?

Przed paru minutami Skirliński przyciągnął teczkę ku sobie i bawił się nią, wciąż się zastanawiając, czy ma ją otworzyć, czy nie. Nie śmiał wprost przerwać oficerowi jego wynurzeń, które go drażniły, gorszyły i to bardziej niż zwykle; ale bo też te dzisiejsze nie były zwykłe! Tak daleko kapitan nigdy się jeszcze nie posunął. — Kiedyż on skończy? Otworzę! Zrozumie chyba ten gest? — irytował się. Nie otwierał jednak, zwyciężyła obawa, by kapitan nie poczuł się dotknięty, że mu się daje do zrozumienia, aby przeszedł wreszcie na tematy urzędowe. Nagle strzeliła Skirlińskiemu do głowy całkiem nowa interpretacja starego zjawiska: — A może te rzeczy, które mówi, są urzędowe? Może on je mówi z urzędu?! — Czuł respekt przed wydziałem sztabu, gdzie pracował kapitan. — Może się tam jaka wolta kluje? Kto to wie, jeszcze chwila uwagi! — A kapitan podrwiwał dalej:

— Tu obowiązek, a tam rachunek! — Głos kapitana pomimo jego wysiłków stawał się coraz przykrzejszy. — Tu pilna konieczność, a tam zastanowienie się na później. Bo ja to sobie wciąż obliczam, ile to już pokoleń u nas przetrzebia policja, najpierw obca, potem swojska. Rach, ciach! Rach, ciach! Carska i kajzerowska, austriacka, a teraz nareszcie nasza własna, to znaczy również ja z panem, rok w rok, a można nawet powiedzieć dzień w dzień; na początku z tego powodu, żeby były mocne zręby, a z kolei dlatego, żeby nasze państwo podciągnąć wzwyż. Natomiast po głowie każdego, kto swoją wyżej podniesie, od razu go po łbie, jak łeb zadrze. Tylko ucinać te łby i ucinać. Regularnie i systematycznie. Pan czy ja, czy najróżniejsi nam podobni. Ot, jakby chmara ogrodników, a naród cały jak szparagarnia. Mój ty Boże!

Oficer z rzadka tylko przy niektórych słowach się ożywiał, wymawiając je gwałtowniej, ale już przy następnych odzyskiwał nad sobą panowanie, sprowadzał je do przeciętnego poziomu. Tylko nadal uśmiechał się nieporadnie i rozbrajająco. Zwłaszcza wtedy, kiedy z jego ust poczynały płynąć sformułowania, których Skirlińskiemu wprost nie podobna było słuchać. Kapitan w odwodzie trzymał ów uśmiech, jak człowiek, który opowiada niestworzone historie: nie uwierzą mu, wyłże się z sytuacji, mówiąc, że powtarzał swój sen.

— Dla kogo? Dla kogo? Ot, ciekawa kwestia!

Od momentu, kiedy zmienił krzesło, cały czas nerwowo kręcił stopą, aż rozluźniło mu się sznurowadło. Pochylił się z irytacją, nie bez trudności sięgając rękami trzewika. — Cholera te patynki! — wymamrotał. Zawiązał, wrócił do poprzedniej pozycji, czerwony z wysiłku, z oczami wychodzącymi mu z orbit, zły o to, że wybierając się do gmachu sądu, do Skirlińskiego, zmuszony był wyrzec się uczciwych, wojskowych, długich butów, i zresztą nie tylko o to. Zapanował jednak nad sobą.

— Dla kogo? — rozważał sobie, statecznie, spokojnie, z lekka jedynie sapiąc. — Ot, ciekawa kwestia! Ot, nowa zagadka! Przecież człowiek już ma za sobą młodość, a nawet, żeby nie skłamać, spory kawał lat męskich, czas byłby

się dowiedzieć. Dla kogo? Ja sobie nieraz stawiam to pytanie, zamyślam się. Jak tylko jest po temu sposobność, to znaczy czas na to i odpowiednie okoliczności, drapię ja się i drapię za uchem, żeby znaleźć odpowiedź. Kombinuję sobie to i owo, rozglądam się po świecie. Lubię sobie tak gdzie w kącie siąść, popatrzeć sobie, poobserwować, pokombinować. Gdziekolwiek bądź! Wszędzie, gdzie się zejdzie trochę towarzystwa. Ja przecież mam przyjaciół do diabła i trochę! A jak nie w jakim przyjacielskim domu, to po prostu gdzie w lokalu znajdę sobie gdzie z boku miejsce, na przykład za jakim filarem zamelinuję się. W „Adrii", w „Bristolu", a najczęściej zresztą tam, gdzie i was się od czasu do czasu widuje, to znaczy w „Café Trio". Jest tam jeden starszy kelner, nobliwy, pięknie ułożony, nie zliczę, od ilu lat mój znajomek. Jak tylko mnie zobaczy, łapie za rękaw. — Panie kapitanie — powiada do mnie — ot, proszę spojrzeć na salę: wieczór w wieczór cała Warszawa się zbiera u nas. — Pokaż! — mówię. — A rzeczywiście! — Lustruję ja tę jego salę. — Co racja to racja! — przyznaję. — Ale dla pana kapitana zawsze się znajdzie jakiś stoliczek. — Łaskawco jeden — zaczepiam go wczoraj — tłok w lokalu, ani szpilki wetknąć. Gdzież ten mój przyobiecany stoliczek? — A ot! — Zaraz mi stolik znalazł, uprzątnął. — A ot! — Zasiadam, rozglądam się. A on, widzę, czerwieńszy na twarzy niż zwykle, zgorączkowany, zaciera ręce; gdzie ja się popatrzę, on się popatrzy, komu ja się ukłonię, on się ukłoni, chociaż najpewniej już przedtem się kłaniał, ale kłania się jeszcze raz, bo co to jego kosztuje; nawykł. Trochę z niego natrętna figura albo może nie potrafi nad sobą zapanować, podniecony, dumny, że teraz taka moda przyszła na jego lokal. — Całą Warszawę pan u nas może zobaczyć! — chwali się, naprzykrza. — Calutką Warszawę! Wieczór w wieczór! No, nie? — No to dawajże mi co prędzej jakiego koniaku — powiadam — wypiję ja za tę twoją Warszawę! — Martela? — Najlepiej! — Butelkę? — Obowiązkowo! — Zabiera się ode mnie, a ja sobie powolutku, krok za krokiem przechodzę oczami od stolika do stolika. — Ot, tobie masz! — powiadam do niego w duchu. Ot, tobie masz, ty stary fagasie! Ot, twoja cała Warszawa! Jest komu służyć, jest się komu kłaniać! Pieniądz tu na pieniądzu siedzi, dywidenda na dywidendzie, ciężka pensja na ciężkiej pensji! Kolegów moich tu widzę a kolegów, takich szaraków jak ja to mało, więcej takich, co postąpili na generałów, na wojewodów, na senatorów, na ministrów, a z tych ministrów czy generałów przeszli swoją koleją do banków, na różnych prezydentów, prezesów, dyrektorów od grubej, ciężkiej forsy. Dygnitarzy tu a dygnitarzy, książąt a książąt, hrabiów a hrabiów, różnych ważniaków a rabinów od cukru, od węgla, żelaza, manufaktury, rekinów całą gębą a rekinów. Ho, ho, ho! Jest komu służyć a kłaniać się. Politykom, prowodyrom, przewodnikom. Z najdawniejszych kadr wojennych przeniesionych do sejmu czy w ministrów, albo z późniejszej służby zrekrutowanych, albo też w ogóle nie ze służby wojennej, lecz takich, co nadgonili. Ho, ho! Jest się komu kłaniać! Na przykład? A ot, dajmy na to tego dnia, kiedy wyście ostatnio „Café Trio" odwiedzili, zaraz przy najbliższym stoliku ode mnie, pan minister Jaszcza, a dalej, pan minister Ditrich, pan pułkownik Kostopolski, też w swoim czasie minister. Różni, różni! A po mojej drugiej ręce? Przypominacie sobie? Sam prezes rady nadzorczej koncernu „Goliat", a przy nim serdeczny mój przyjaciel, kiedyś prędzej powiedziałbym o nim: brat mój, niżeli: kolega, dzisiaj generał, ostatnio główny nasz wódz od ciężkiego przemysłu; a za nim

zaraz przy sąsiednim stoliku pan Sztemler Bronisław, też człowiek przemysłowy i pieniężny. Ot, wszędzie tu sobie pieniądz pije, a władza zakąsuje, albo też władza pije, a zakąsuje pieniądz. Jest komu usługiwać i kłaniać się! Podchodzą jedni do drugich, wizytują się. Wchodzą, wychodzą. Wtedy na przykład, ledwieście się z lokalu zabrali, wszedł hrabia Liski. Pieniądz u niego, oczywiście, z tych słabszych, ale za to on sam, jak mu się spodoba, może się człowiekowi wystarać o Krzyż Maltański, wielki cymes i w wielkim poważaniu rarytas u takich, co kolekcjonują ordery. A krok w krok za nim pan podsekretarz stanu, Karnowski, któremu ja, na przykład, kłaniać się — jakby mi to było do czego potrzebne — musiałbym kilka razy, bo on młody i nie z wojska, więc ani bardzo wie, kto ja taki, ani może pamiętać. Cóż robić? Z młodych nie tylko on jeden, dużo ich siedzi na sali. Kręcą się między stołami, przesiadają się, umizgują. Do kobiet, też się zdarzy, ale przede wszystkim i najwięcej to do tej władzy i do tej forsy. Różne tam takie urzędasy, lizusy, delikatne, ugrzecznione, oblatane. Z tego rodzaju, dla których widać u nas grunt podatny, bo się mnożą i mnożą i pchają wszędzie! Lalki ministerialne, cherubiny państwowe, wysztafirowane, wysztyftowane, wyperfumowane, tylko w bukiet takich, w kryształtowy wazon, i — wąchać!

— Jesteście rozgoryczeni! — wtrącił Skirliński. Jednocześnie skonstatował w myśli: bez wątpienia! Jasne, że to to! Przejrzałem go! Żadna sonda, żadna wolta, ani w ogóle żadna ukrywająca się za tym wszystkim tajemnica: najzwyczajniejsza boleść, zawiść, zazdrość, że nie zrobił kariery jak inni; lata mu idą, do tego depcze mu po piętach nowe pokolenie, stąd humory! Skirliński powtórzył pewniejszym głosem: — Po prostu przemawia przez was gorycz!

Kapitan żachnął się:

— At, moglibyście sobie dać spokój z takim przypuszczeniem! Jaka gorycz? Wy tak się do mnie ustosunkowujecie, jak szef mojego oddziału ze sztabu. — Ja do niego: „Pułkowniku, «dobra jest», wy mówicie: no jak dobra, to dobra, ale jaka z tego będzie przyszłość?“ — A on do mnie: — „Znowu, widzę, nasz kapitan nie w swoim sosie! Przyznajcie się szczerze, co, nieprawdaż: chandra?“

Wzruszył jeszcze ramionami, ale po tym zaraz przygasł. Po swojemu tylko zaczął wzdychać nad sobą:

— Jaka chandra? Jaka gorycz? Prokuratorze! Ja, kto wie, czy wam się nie wydaję śmiesznym gościem. Mówicie sobie: ot, fanfaron! Ja to zgaduję. — Prosta sobie głowa, prosty człowiek — powiadacie sobie. — Do tego prosty sobie oficer, fanfaronuje więc, jeżeli się zabiera do tego, żeby myśleć o tych rzeczach, w jakich rozkaz jest wydany i w jakich już została wytyczona wyraźna linia dla wszystkich! — A to taki przeklęty, zasiedziały w mojej duszy błąd u mnie. Ja to wiem! Żołnierz był ze mnie zawsze dobry i oddany swojej służbie, a nade wszystko swojemu wodzowi, to jest panu marszałkowi, mojemu komendantowi, tylko język miałem zawsze parszywy, zawsze chętny, żeby dociąć, dokuczyć, bez namysłu lapnąć, co w myśli i na wątrobie. A dlaczego u mnie w myśli i na wątrobie akurat to, a nie co innego, tego już ja nie wiem! Więc to szczerość przeze mnie przemawia, szczerość w stosunku do was, a nie żadna gorycz czy chandra! Szczerość i, wiecie, taka ambicja, żeby własną smykałką rozwiązać każdą zagadkę, naturalnie jeżeli się nasunie jaka ciekawa! Ot, jak ta, o której wam właśnie wspominałem, że się nad nią ostatnio głowię, po knajpach i nie po knajpach. Nie dokończyłem wam o niej opowia-

dać! Otóż znowu wczoraj podbiega do mnie ten stary kelner, ten mój znajomy od niepamiętnych lat. Zęby szczerzy, taki ukontentowany: — A dziś — kładzie mi do ucha — zjazd u nas i ścisk, jakiego jeszcze nie było: dużo gości przyjechało z prowincji. Książę pan Białołuski panu kapitanowi się kłania! — zwraca mi uwagę. — Z polowania od siebie przyjechał. Z Polesia. — Oddaję ukłon, patrzę, rozglądam się. A rzeczywiście! I księcia Medekszę dostrzegam, pana z panów, z Galicji; i brata jego, polityka, posła, który mojego komendanta, to znaczy marszałka Piłsudskiego, znał jeszcze sprzed wojny, a po Maju przypomógł mu zjechać się z książętami Radziwiłłami w Nieświeżu i w różnych paktach; również widzę pana pułkownika Zwadę-Czerskiego ze swoją panią znajomą. — Z Brześcia dziś wrócił! — informuje mnie kelner. — Mruga do pana kapitana, prosi do swojego stolika! A ot i książę Białołuski ręką do siebie pana kapitana przywołuje, zaprasza! — A oczywiście, a zaprasza, książę jest grzeczny ze mną, my z sobą teraz starzy znajomi, od niego, z jego dóbr, z Polesia i nie z Polesia! Ukrywać nie ma czego, a nawet jest się czym pochwalić. Ho, ho, ile ja ich mam, powiedzieć mogę: po szyję, tych różnych takich znajomych i przyjaciół. A ile ja ich mam na wypadek, jakbym sam nie miał na koniak czy jakby mi się zachciało, żeby mnie kto pięknie ufetował! Ho, ho! Tylko zliczyć stoliki! Bo i do prezesa „Goliata“ mogę się przysiąść, a proszę bardzo, jakżeby on mnie nie ugościł? I do księcia pana ordynata Medekszy z Galicji, ugości! I do pana dyrektora Sztemlera, chociaż u niego każda, chociażby najdrobniejsza, kieszeń gęstym ściegiem na amen zaszyta, ale jeżeli o mnie chodzi, czego dusza moja tylko zapragnie, Sztemler mi postawi! A jacy serdeczni oni wszyscy ze mną! Ręką proszą, wesołym, szczerym uśmiechem, oczy im do mnie jaśnieją. Miło mi, pogłaskali mnie oni po sercu. Koniec końcem jednak do nikogo nie podchodzę, uprzejmie tylko dziękuję, kłaniam się i kłaniam. A mój kelner, ten, o którym już panu wspominałem, też kontent, ma swoje powody. — Jaki to zjazd, jak to u nas pełno, panie kapitanie, dzisiaj to się już chyba u nas cała Polska zebrała. — Nalewa mi kieliszek. — A no, to za tę Polskę twoją! Siup! — Za naszą, panie kapitanie, za naszą! — poprawia mnie zgorszony. — Jest się komu kłaniać, jest kogo obsłużyć! — gorączkuje się. — A jest, a jest — przyznaję ja mu prawdę, ale cicho, zęby zaciskam, żeby nie usłyszał. — A jest, a jest, ciesz się z tego, stary fagasie! — Co proszę? — Coś tam usłyszał, nie dosłyszał. — Nic! — Cóż to mnie ugryzło i jakiż sens, żeby jemu mówić takie przykre rzeczy? — Nic, ja tak: do siebie! — To ja przepraszam — muszę do gości. Zostawię pana kapitana samego. — A zostaw samego, zostaw.

— Oczy wbijam w kieliszek — mówił dalej kapitan — to sobie popiję, to sobie popatrzę, to sobie o tym i o owym pomyślę, jak to człowiek, kiedy jest sam w knajpie. Późno już, któraż to może być godzina, a jeszcze znajdują się tacy, co dopiero teraz zachodzą do „Café Trio“. Patrzcie, na przykład, może będzie trzecia, a może czwarta nad ranem, kto wchodzi do lokalu: panna Czerska. Ot, dopiero panienka! Jak malowanie, jakby święty obrazek, tylko że o niej powiadają, że trochę wydra. Przykro by mi było, gdyby to była prawda, jej ojca i jej ojczyma znam, można by rzec, od prostego żołnierza, też dzisiaj wysokich dygnitarzy, ale nie dlatego mi jest przykro. Przykro mi jest z całkiem innych względów. Czemu? Ot, kłopot! Bo znowu poruszam nową kwestię. Stawiam nowe zagadnienie. Cóż Czerska, jedna taka z tysiąca, może by przy każ-

dym innym obrocie rzeczy też się wykierowała na wydrę, ale czy również przy każdym innym obrocie rzeczy wszystkie takie same jak ona, naliczycie ich u nas nie jeden tysiąc, a dwa, trzy, cztery, pięć, wszystkie by się wykierowały na wydry? Oto, prokuratorze, moja nowa kwestia! Oto, żeby się tak wyrazić, nowa dla was szarada! Co ich się tłucze, tych panien, tych dziewczyn, tych kobiet po knajpach! Rozbisurmanionych, rozeszlanych! Po knajpach i nie po knajpach, zależnie od pory dnia i od tego, jak się złoży okazja. U mojego znajomego parę dni temu byłem, tego generała, obecnie samego głównego rządowego kacyka od ciężkiego przemysłu, u niego w domu; inny lokal, takie samo używanie. Naprosił panien, różnej młodzieży, bo sam sobie skombinował taką ledwie że po maturze bogdankę. Szumią, szumią. Zabawa jak zabawa, mnie o nią nie chodzi. Ja wcale nie jestem specjalnie pruderyjny. Jakbym miał córkę, tak jak jej nie mam, spać bym jej, ma się rozumieć, z każdym nie dawał, ale jakby sobie wybrała, a inaczej by nie szło, niech sobie nawet z nim hotel bierze, kładzie się i śpi! Tylko ja bym jedno od niej chciał wiedzieć: czemu ona sobie właśnie tego, a nie innego wybrała! Wy mi może powiecie, prokuratorze, że tylko głupi się o takie rzeczy baby pyta. Zaswędziało ją akuratnie na konto tego byczka, ot i cała dedukcja! Oj, prokuratorze, nie! nie! A jeżeli nawet w pewnych wypadkach tak, to, moim zdaniem, wyjątek zaszedł, a nie zagrała reguła! Regułą u nich, żeby coś wyższego oznaczał, coś wyższego sobą wyrażał ten mężczyzna, do którego ich cała istota porywa się dążyć. Wyższość, wyższość, ale w czym, proszę? Ot, bieda! Bo oto coś, na czym się one same z siebie nie znają! Mniej u nich rozeznania niż u nas, a u niektórych tyle co nic! Podnoszą oczy ku temu, ku czemu inni podnoszą, skaczą dokoła tego, dokoła czego inni skaczą, to u nich w wysokiej cenie, na co akurat zapanowała cena. I to musowo chcą mieć! Odwrócić to ich chcenie, ot byłoby zadanie!

Przyglądam ja się im nieraz — ciągnął kapitan — a nieraz się przyglądam właśnie nie im. Tylko tak sobie siedzę z okiem wlepionym w ciżbę ludzką. W czambuł. W ogół. Zły taki, zębami zgrzytam, zdarza się, na całą tę rebiatę lizusów, bubków, frantów, mydłków, elegantów, cherubinów państwowych i paniczów od biurka, salonowych więc i nie salonowych, pałacowych i tych pomniejszych paniczów kamienicznych. W tym momencie idę, prokuratorze, tak ni stąd ni zowąd po rozum do głowy i — cóż wy na to powiecie! — cóż mi wtedy z mojego rozumowania jasno wychodzi? Że oni też — nie skłamię, jak powiem! — że oni też oczy podnoszą ku temu, ku czemu podnosi oczy ta stara ferajna, przy której się kręcą. Skaczą dokoła tego, dookoła czego ona skacze. To u nich w wysokiej cenie, na co ona postawiła cenę. I tego chcą! Odwrócić to ich chcenie albo, żeby się inaczej wyrazić, przewrócić było do góry nogami, kopnąć raz a dobrze, zmazać z tablicy wszelką starą cenę, do jakiej od maleńkości się przyuczyła ich chęć, a może by mogli z nich wypaść tacy ludzie, jak się należy! A owszem! A czemużby nie! Czasami oczywiście zdarzy się taki kalkulator, co sam sobie skalkuluje to, co trzeba, sam z siebie uskoczy na bok, odbiegnie bliżej, dalej, na krótko, na dłużej, na stałe. A szczęść mu Boże, moje uszanowanie na drogę, niech się zabiera, dużo on przez to nie zmieni! Reszta zostanie! A jechał ją sęk, co ona zresztą mnie obchodzi! Zwariowałem czy co? Nie mam to własnych zmartwień? Zaprzestaję wzdychać, ale jak mi czasem nie westchnąć? Patrzę ja się — ale weź rzecz po prostu, zwyczajnie, proku-

ratorze, a nie podejrzliwie, że ta moja myśl nic nie jest warta, urojona w knajpie, w nietrzeźwej głowie — patrzę ja się: ot, przypuśćmy przy stoliku obok znajduje się dziewczyna. — Gdzie ty mierzysz — myślę ja sobie o niej — a gdzie ty uderzysz! W twoich oczach pali się miły ogień. Taki masz uśmiech rezolutny. Pofrunęłabyś ty może wysoko, jakby ci kto potrafił upiąć przy ramionach skrzydła. Zapędu ci nie brak! A tymczasem szastać się tylko będziesz, prastać, szarpać, fertać, pętać tam i nazad, rok, dwa, trzy, pięć i — już się możesz sama ze sobą pożegnać! Przepadł w tobie człowiek.

— Zapewne — Skirliński przeciągnął ręką po czole. — Zapewne — szepnął. To słowo samo mu się wyrwało z ust, a z nim razem — westchnienie. Ale je stłumił. Sensowne czy nonsensowne, niesłuszne czy w jakimś jednostkowym wypadku słuszne wnioski wyprowadzał ze swoich założeń kapitan, zaczynał się on Skirlińskiemu coraz to mniej i mniej podobać.

— Zgadzacie się ze mną? — Kapitan się trochę zdziwił.

— Nie!

— Nie? — Tym razem oficer zdziwił się rzeczywiście. — A powiedzieliście: zapewne!

— Machinalnie!

— Jakże to: machinalnie?

— No, odruchowo. Machinalnie do swoich myśli.

— Aha — szeroko otworzył usta kapitan. — Do siebie!

— Przeszło mi przez głowę coś osobistego. Nie ma o czym mówić!

— I nie wesołego coś, jak to widać z waszej miny. Ale bez związku z tym, com ja wam tutaj nabajdurzył?

— Nie ma o czym mówić!

— Bo jeżeli przez to, słowo daję, mnie przykro. Ja was przepraszam.

— Nie przez to! — Skirliński syknął, zaciskając zęby. — Nie możecie zrozumieć!

— Ej, dlaczegóżby nie. Ja rozumiem!

Wtedy Skirliński wysztywnił się jeszcze bardziej. Wysunął z lekka do przodu najpierw prawy, z kolei lewy mankiet koszuli, żeby mu bielały z rękawów. Po czym raz i drugi dotknął teczki, żeby leżała równo.

— A ja was nie rozumiem! — oświadczył na koniec twardym i całkiem już opanowanym głosem. — Wręcz nie rozumiem!

— Mnie?

— Waszego gadania! Czego wy właściwie chcecie?

— Ach, o to wam chodzi! — Kapitan przekrzywił głowę. Zamyślił się głęboko. — A rzeczywiście! Czego ja mogę chcieć? Albo to mi źle? Wszystko mam.

I podsunąwszy Skirlińskiemu pod nos palce, zaczął odliczać:

— Po pierwsze: stanowisko mam! Piękne stanowisko!

— Bez wątpienia.

Oficer od dobrej chwili nie kręcił się, nie wiercił, nie stroił min. Nadal jednak posługiwał się tą samą manierą w mówieniu, półdrwiącą, półnaiwną. Na przekór tej nucie wciąż dźwięczącej w głosie oficera, Skirliński raz jeszcze przytwierdził z całym naciskiem:

— A bez wątpienia. Nie każdy może zaraz być ministrem czy generałem, nawet z waszym stażem w legionach czy sztabie!

— A nie każdy! — Kapitan rozłożył bezradnie ręce. — Ha, mówi się: trudno!

— Więc jednak!
— Co: jednak?
— Gorycz, gorycz przez was przemawia, kapitanie!
— Że wyżej nie postąpiłem?
— Tak!
— At, nie znacie mnie — szepnął kapitan. — Nie w tym jest rzecz!
— W tym, w tym, kapitanie — Skirliński wiedział, co wiedział. — Dlatego się tak rzucacie, żeście w głębi duszy niezadowoleni!
— A z czegóż? A czegóż to mi do szczęścia brak?
I powrócił do odliczania na palcach:
— Pozycję ja mam, piękną pozycję, chociaż ja, idąc za waszym uprzytomnieniem, żaden minister ani generał, a tylko skromny robak w tym całym interesie.
Skirliński wzruszył tylko ramionami.
— Pozycję ja mam — ciągnął dalej oficer. — Piękną pensję, własny kąt, coś niecoś z mebli i obrazów, przyjaciół a przyjaciół i na koniec wyliczę, chociaż to rzecz nie ostatnia: wasz szacunek!
Skirlińskiego tym razem naprawdę aż podniosło.
— Z wami spróbować poważnie — wybuchnął — to wy wtedy sobie w żywe oczy kpicie!
— A ot, taki przeklęty humor wstąpił dzisiaj we mnie.
— Co humor, to humor, a co serio, to serio! Potrafię rozróżnić!
Głos kapitana nagle stał się potulny. Tak jak jego mina.
— At — westchnął nad sobą — wy byście sobie lepiej mną nie zawracali głowy.
— Dobra! — w pierwszej chwili przystał Skirliński. Wzrok jeszcze rozjarzony gniewem przeniósł na akta dotyczące Dykierta. Ale po sekundzie odmienił swoją decyzję. Bo też dał mu się dzisiaj we znaki ten oficerek! Nie mógł jednak przejść do porządku dziennego nad tym jego dzisiejszym wyskokiem i tym krótkim spięciem, które po nim nastąpiło! A właśnie! Na tym polegały sposoby kapitana: rozjątrzy, dokuczy, dopiecze, a potem każe jeszcze westchnąć nad sobą, że on dzisiaj nie w swoim sosie. — No, zgoda, ja nie w złej myśli — wyciąga rękę. — Co się tam będziemy denerwować! — A już wyprowadził człowieka z równowagi na cały dzień! Stale tak i stale! Zajedzie człowiekowi szydłem w bok, wyśmieje całą jego robotę, że papierowa, że nieżyciowa. Innego dnia nadokucza za czepianie się ludzi — jak plecie — głupie. — Do więzień czy na stryczek, za co? — W ten sposób człowiekowi kpi w nos. — Za co? — próbuje zawstydzić każdego, kto mu się nawinie pod rękę. — Ii! Za gwazdranie po notesach? Za druczki? Za nieopatrzne słówka? Za faramuszki? Za to niszczyć i marnować ludzi z krwi i kości?! Czysta komedia! — Sam od żadnych spraw i sprawek się nie uchyla, a uwziął się i uparł zabawę sobie urządzać z tego, żeby z każdego swego kolegi, z wszystkich odcinków jego roboty, właśnie ze względu na tę robotę, robić idiotów! To jednak, na co sobie dzisiaj pozwolił, to już stanowczo za dużo! — Dobra! — Skirliński powtórzył, ale ostrym, zdecydowanym głosem: — Tylko jeszcze, kapitanie, dwa słowa pod waszym adresem!
Podniósł w górę palec:
— Dla kogo, zastanawiacie się, dla kogo się to wszystko robi? Dla Biało-

łuskich i Sztemlerów? Dla bubków z „Café Trio“ i dla grubych ryb z „Goliata“? Czy też może ja, wy i wszyscy od samego Jaszczy począwszy, na najlichszym z konfidentów kończąc, urabiamy sobie ręce po łokcie tylko dla ciepłego kąta czy pensji? Nie! Nie! W niczyim prywatnym, indywidualnym interesie!

— No?

— Ale w interesie wszystkich. W interesie państwa, ojczyzny, narodu. W całości!

— Minus, rozumie się, ta część — wtrącił dla ścisłości oficer — która coś kiepsko wychodzi na tym interesie!

Skirliński na ułamek sekundy się stracił.

— Ot i dziura w całym — zasmucił się za niego kapitan.

Wtedy dopiero Skirliński cisnął na szalę swój decydujący argument:

— A jeżeli już szukacie motywów bezapelacyjnych i bez skazy — rzekł — weźcie rzecz w aspekcie dziejowym. Pomyślcie o naszej historii!

Kapitan odął pogardliwie wargi.

— Ii — ironicznie się skrzywił. — Historia to dobre dla magistratu. Na nazwy dla nowych ulic. A poza tym może się ona wypchać!

W Skirlińskim wszystko się zagotowało. Znał tę śpiewkę. Znał ten popisowy kawałek oficera. Nonszalancką myśl, że nowe rządy kupiły Polskę po państwach zaborczych, zbankrutowanych, z licytacji, po nikim jej nie odziedziczyły, na żadnych prawach jej nie otrzymały, nikim więc i niczym nie potrzebują się krępować. Krzyknął:

— A wy znowu nie na serio!

Sięgnął po chusteczkę, żeby otrzeć wargi ze śliny. Ręce mu drżały.

— Możecie sobie kpić i drwić — rąbał mocno, z energią, akcentując każde słowo — nic to nie zmieni w fakcie, że my po przeszłych pokoleniach przejęliśmy pewną spuściznę, i że na skutek tego mamy sprecyzowane obowiązki wobec przyszłych pokoleń. Wiąże nas przyszłość i przeszłość. Tradycja i historia!

— Żadna!

Spojrzenie oficera stało się wyzywające.

— Skończmy z tym — zawołał Skirliński. — Z wami poważnie nie można!

— Z niczym nic nas nie wiąże — Kapitan raptem zwiesił głowę. Pięściami ścisnął skronie. Przez chwilę tak trwał, a potem jeszcze raz zapewnił Skirlińskiego czy też samego siebie, bo ledwie dosłyszalnym głosem: — Z niczym!

Skirliński przyjrzał mu się z uwagą. Nowy jakiś manewr? Jeszcze jeden skok do tyłu? Oczywiście!

— Wybaczcie mnie mój humor — tym samym głosem bąknął oficer. — Dzisiaj przykrość miałem.

— Przykrość? — spytał Skirliński niedowierzająco.

— Przykrość. Przykrość. — Kapitan przytwierdził nerwowo i podniósł na Skirlińskiego białawe oczy. — O nasz zjazd mnie chodzi!

— O nasz zjazd? — Skirliński w pierwszej chwili nie zrozumiał.

— Ja przecież stary żołnierz marszałka — odpowiedział na to kapitan. — My raz w rok, stara legionowa wiara, stale i stale zjeżdżaliśmy się na dzień szóstego sierpnia, dzień naszego wyruszenia z Krakowa. Starszyzna legionowa i szarzyzna legionowa — spotkać się, pogadać, spojrzeć sobie w oczy!

„Podstęp! Pretekst! Albo zgrywa! — Skirliński przysłuchiwał się wyjaśnieniom kapitana z chłodem. — A dlaczego właśnie dzisiaj miała go spotkać ta przykrość — zadał sobie od razu to pytanie — skoro sprawa tegorocznego zjazdu rozstrzygnięta została i przypieczętowana od wielu tygodni? — Bujda więc! — przenikał kapitana na wylot. — Z kolei próbuje mnie wziąć na sentyment — zgadywał — rozczulić, rozładować i znowu naciągnąć na taką rozmowę, żeby potem z człowieka zrobić błazna!“ Oświadczył zimno:

— Tak czy owak, skończmy z tym. Z tą rozmową. I w ogóle raz na zawsze ze wszystkimi tego rodzaju dyskusjami. Ja już mam powyżej uszu waszych kpin!

Coś w oczach oficera kazało mu wątpić o słuszności swej oceny. Ale nie myślał się cofać.

— A jeżeliście mówili poważnie — ostro pouczył go — to jeszcze gorzej! W takim razie jedynie brawurujecie, epatujecie, anarchizujecie! Albo też po prostu nie jesteście zdolni poradzić sobie z pewnymi pytaniami, które każdy musi sam ze sobą po męsku załatwić, i drepczecie tylko, i drepczecie w miejscu. A dajcież-że mi raz z tym spokój!

Kapitan przysunął się do biurka, oparł całym ciałem o blat, Skirliński poczuł na swoich policzkach oddech oficera.

— Nie drepczę! Oj, nie drepczę, nie drepczę, kolego!

Zaprzeczał, zwolna kręcąc głową i nie odrywając od Skirlińskiego oczu.

— Ot, i dotknęliście mnie, prokuratorze — wystąpił z pretensją. — Ja wiem, co wy sobie o mnie myślicie. Myślicie sobie, że ja tylko gadać umiem. Jedno i to samo mleć w kółko, tam i nazad wałkować; jak sam jestem, to ze sobą; jak jestem z drugimi, to z drugimi, tak jak na przykład teraz z wami. Ale żebym umiał z tego jaką korzyść wyciągnąć, to — waszym zdaniem — ja do tego nie jestem zdolny. A ot, rację macie, ale i nie macie racji, bo rzeczywiście w takich sprawach nie jest ze mnie człowiek prędki, w tym jednym wam przyznaję słuszność. Ale i mnie się czasem trafia, że dojdę na koniec do czegoś i coś zrozumiem. W jednym wypadku zrozumiem coś ot tak sam z siebie, w innym wypadku przy cudzej pomocy. Nie wierzycie mi? Wy pewnie sobie myślicie o mnie: w pracy umie sobie ten mój kapitan we wszystkim poradzić od jednego zamachu, raz dwa, raz dwa, a jak jaką zagadkę wbije sobie w głowę albo jak się zaweźmie do jakiej szarady, tylko drepcze w miejscu i drepcze. Może wy, kochani moi, inaczej potraficie! Ot, dajmy na to, postawicie sobie jakiś problem i — hop, i — buch, i już on przez was załatwiony. Ze mną przeciwnie! Ja się drapię i drapię za uchem i nic! Czasem krócej, czasem dłużej, czasem do znudzenia długo i — nic! Wy nie? Wy jesteście szybcy, w głowie obrotni, czasu dużo nie potrzebujecie. Albo też może jest jeszcze inaczej? Może mojej głowy czepiają się jedne pytania, a waszej nie takie, tylko inne. A może, szczęść wam Boże, żadne waszej głowy nie czepiają się pytania. To znaczy żadne z takich, powiadam, co to jak się zaklinują w łepetynie, to ani w tę stronę nie chcą się ruszyć, ani w żadną inną?

Spojrzenie oficera stawało się coraz nieprzyjemniejsze, uparte, trochę tępe.

— Wy do mnie mówicie: ej, kapitanie, ty skończ z tym! — ciągnął dalej tym samym tonem oficer. — Ty, drogi mój, tylko brawurujesz, skandalizujesz, drażnisz się ze sobą i z innymi, a jak przychodzi do tego, żeby raz nareszcie przejść do jakiejś konkluzji, to ciebie nie ma! Ot, prokuratorze, ty się

mylisz, tu drugi twój błąd! Źle mnie sądzisz, że tam gdzie trzeba raz nareszcie coś zakonkludować, mnie nigdy nie ma. Jestem! Kiedy zdarzy mi się dojść w myśli akuratnie do tego punktu, na którym się cała rzecz opiera, wtedy jestem! Ot, wtedy ja sobie mówię: już wiem! Teraz już nastawiłem swoje myśli jak należy, jedna z drugiej pięknie wypływa, równiutko jedna myśl postępuje za drugą jak gęsi po ścieżce. Fakty u mnie znajdują się na tej samej linii, co konkluzja. Ale w tym jednym punkcie trochę racji masz, prokuratorze, że ja z natury widocznie nie byłem urodzony na to, żebym sobie tak o każdej rzeczy rezonował i rezonował. Bo mnie najczęściej musi jakiś inny człowiek przyjść z pomocą w tym, żeby mi się wszystko w jedną sensowną całość zeszło! Żebym zrozumiał, że zamiar wcale nie poszedł do sasa, a skutek do lasa; żebym zrozumiał, że pierwszy mój krok bynajmniej następnym moim krokom nie wszedł w paradę. Pomoże mi kto, wtedy zrozumiem, zgodzę się, mam spokój! Rzecz w tym, moim zdaniem, że głowa ludzka jest jak zegarek. Nie idzie zegarek, nie idzie, a spróbuj pójść do zegarmistrza, weźmie twój zegarek, otworzy, założy z jakiegoś swojego pudełka małe kółeczko, wstawi na miejsce, w porządku! Ty się go pytasz, gdzie tu co brakowało, a on ci pokazuje, że tu. To! — powiada. — Ot, tego brakowało kółeczka! Albo jakiegoś gwinciku w innym wypadku, albo jakiejś śrubki. — To tu! — Nic takiego. Drobiazg. Ale widać znalazł się on teraz w takim miejscu, gdzie go rzeczywiście nie dostawało, bo zegarek od tego dnia chodzi jak złoto! Z moją głową tak samo. Gadam, gadam, kombinuję. Przykładam jedną myśl do drugiej, wstyd mi, nic nie wychodzi, bieda! Drapię się za uchem, przeklinam, co u licha! Wam powiedziałem, że w knajpie lubię sobie gdzie usiąść z boku i zastanowić się, nie tylko w knajpie, nie tylko u znajomych. Ale i w kolei, jak jadę, albo i nie w kolei, ale konia sobie skąd jakiego skombinuję i przed siebie, przed siebie, na spacer! Jadę tak sobie i wałkuję jaką myśl. Wyście mi przed chwilą zarzucili, że ja tylko potrafię kpić sobie z ludzi i ze wszystkiego. A no trudno! Każdy ma swój sposób. Jeden żeby się dąsać, drugi żeby kąsać. Ja już jestem taki: co na wątrobie, to na języku. Zawsze byłem jednakowy. Jak sam o co spokoju nie miałem, to i innym o to spokoju nie dawałem. Tu sobie bajdurzę i baję, a tu sobie głowę łamię. — Ot, tobie masz — pasja mnie czasami taka bierze, że krzywdę bym komu zrobił, a kto wie, czy nawet nie sobie. — Nie wychodzi i nie wychodzi! Bądź w knajpie, bądź na kolei, bądź na koniu. Nie rozumiem, choć weź i płacz, ani w ząb nic nie rozumiem! A ot, zdarza się wtedy, że właśnie w takim momencie nawinie mi się jaki zegarmistrz. — To tu — powie. — To tutaj. — Ot, słowo jedno, dwa. Wstawił, co było potrzeba, przykręcił, co należało. I z jedną zagadką pomógł mi się załatwić. I to dokumentnie! Tak na punkt i kropkę, na szlus i amen. Mam teraz z nią spokój.

Nie podnosił głosu, w dziwacznościach wysłowienia stawał się coraz bardziej umiarkowany, nie męczył Skirlińskiego głosowymi efektami i pauzami, mimo to Skirliński z każdą upływającą minutą czuł się coraz bardziej zdenerwowany. Kapitan wpatrywał się w niego oczami pozbawionymi wyrazu. Spowiadał się czy też bronił się dalej.

— Rzuci mi czasem kto w twarz jedno takie słowo albo nawet nie do mnie je powie, a przy mnie, to mówię wam, przeleci takie słowo przez człowieka jak piorun. Nie żeby mnie mogło zabić, skądże znowu, taki ja nie jestem, ale swoje zrobi, stopi w człowieku coś, nie to, to tamto. Czasem słowa na to jed-

nego wystarczy, a czasem nie. Więcej musi mi ich ktoś nakłaść do uszu. Nakłaść do uszu albo podsunąć pod oczy. Czarno na białym wyliczonych. Na papierze. — Masz — wtedy ja mówię do siebie — ot i coś ty przeczytał! Ot, dla ciebie kółko do zegarka. — Pięknie dziękuję. Werk ruszył. Wszystko w porządku. Kontent jestem. Dostałem ja się do środka zagadki. Com sam zrozumiał, innym powiadam. Jak potrafię najlepiej, jak umiem, przykładam się. Ot, wyście mi tutaj zarzucili, że ja sobie z was żarty stroję, kiedy wam powiedziałem, że myśmy kraju naszego całego po nikim nie odziedziczyli. Że byli tu kiedyś w Polsce dziedzice tego samego nazwiska, co my, na szczęście nasze odpadli od interesu, my zaś z nimi nic a nic nie mamy wspólnego. Żarty to? A niechże mnie Bóg broni przed żartami w podobnej sprawie! Skądże żart! Żaden żart! Ja serio! Pod słowem honoru, że ja wam zaprezentowałem szczerą prawdę, tak jak ona jest. Ot, tylko proszę was, teraz posłuchajcie mnie uważnie, bo ja przecież nie jestem ani żaden profesor, ani żaden minister, tylko prosty sobie żołnierski łeb, ale za to taki, który na przykład w tym punkcie wszystko sobie pięknie i ładnie w głowie uporządkował. Wyście się do mnie zwrócili z żalem, że ja powagi nie umiem zachować, kiedy wyście mi napomknęli o naszych obowiązkach. W stosunku do kogo, ja się was spytałem. A w stosunku do spadku po naszych starszych pokoleniach. — Jakich pokoleniach? — powstaje pytanie. — A no w ogóle! — wy odpowiadacie. Jakże tak, w ogóle! Ot, zagadnienie! Wam może powtarzał pan Jelski, gdzie myśmy się z nim spotkali. W wagonie. W pociągu na Brześć. On jechał królowi Poniatowskiemu oddać ostatnią posługę, kryto-szyto go pogrzebać. A czemu w taki sposób? A on mi właśnie wyjaśnił! A za dywersję! Za tę dywersję, na którą ten król poszedł za swojego podłego życia! Ot, bo ruch się rozpoczął za jego panowania, ruch do wolności i do sprawiedliwości, ruch piękny, ruch wielkiej masy ludzi, król Poniatowski postawił się na jego czele, a potem rzucił go i zaprzedał wszystko z powrotem różnym dawnym wielkim bogaczom i panom; przepadł przez to ruch, przepadła potem i Polska bez tej podpory! Takiś ty był, mój królu — jak mnie nauczył pan Jelski — żaden za to tobie Wawel! Wobec niego i wobec takich jak on my żadnych obowiązków nie mamy, to jest rzecz prosta! A tylko wobec zupełnie innej historii, a mianowicie wobec tych ludzi, wobec tych różnych pokoleń, wobec tego ruchu, który później jeszcze się rozrósł, a chciał wolności i wyzwolenia mas od wszelkiego łajdactwa i ucisku. Ot, wobec takich rzeczy właśnie my mamy zobowiązania, wy mi powiecie, bo to jest dopiero ta nasza historia, której my się nie mamy co wstydzić! Phi! Pewnie! Wstydzić nie byłoby się czego, tylko że do obowiązków nie mamy się co poczuwać! Bo zapodziała się gdzieś ona, ta historia, śladu po niej nie ma. Ha, trudno! Ale my przez to właśnie mamy wolne ręce. Może nie? Może wy to inaczej widzicie? To w takim razie widzicie fałszywie! Mnie posłuchajcie, bo ja wam dobrze doradzam. Tak sobie tę sprawę w głowie ułóżcie jak ja. Inaczej nic się wam w waszej pracy nie będzie zgadzało.

A powiedzieć wam może, jak mi to przyszło do głowy? Jaki to zegarmistrz podpowiedział mi w tym wypadku: to tutaj? — Monotonnym, bezbarwnym głosem kapitan wystąpił z propozycją i nie czyniąc po niej najmniejszej przerwy, przeszedł do odpowiedzi. — Jak już, to już! Proszę bardzo! Dawno mi to przyszło do głowy! Dawno mi się zdarzyło spotkać takiego zegarmistrza! Ot, tak żeby was nie zanadto okłamać, a mojej głowy nie za bardzo dręczyć

obliczaniem, powiem: lat parenaście temu. Roku sobie dokładnie nie przypominam, ale za to dzień sobie dokładnie przypominam. Akurat w ósmy sierpnia! Na szósty sierpnia na cały dzień pojechałem do Krakowa, siódmego po południu wyjechałem, znajomy generał zaproponował mi miejsce w swoim samochodzie do Warszawy. — Masz gdzie nocować? — i tym się zainteresował, bo ja wtenczas jeszcze nie miałem odkomenderowania do sztabu. — Mam, pięknie dziękuję! — Bo hotelu nie dostaniesz. Każdy legun jest taki sam mądry jak ty, każdy korzysta, żeby po naszym zjeździe doskoczyć sobie do Warszawy. Jak się już urwał stamtąd, gdzie jemu mieszkać przypadło, chce się trochę zabawić w stolicy! — Mam kwaterę, panie generale! — zapewniam go po raz wtóry. — Kolega mnie czeka u siebie! — Podwiózł mnie. — Tu? — przekrzywił głowę. — W tych murach? Ho! Ho! A no to dobrej nocy! — Wychodzę z wozu. Dowiaduję się o kolegę. Jest. Żołnierz z wartowni prowadzi mnie do mieszkania kolegi; sam człowiek za Boga by tu nigdzie nie trafił! Dzwonię do drzwi. — A witaj, bracie! — Witaj! A nocleg dla mnie jest? — Jest! Jakżeżby go mogło nie być? Miał być, to jest! — Ot — pokazuje mi kolega. — Ja — powiada — z żoną w pokoju na tapczanie, a ty — prowadzi mnie do kuchni — w tym miejscu! — Wnęka, zasłona, za zasłoną polówka, czyściutko, kuchnia pusta, bo pani sama gotuje, a do czarnej roboty ma ordynansa. Pogadaliśmy trochę, ja nic nie piłem, mocno przepity z tego Krakowa, jak co roku na naszym zjeździe, na szóstego sierpnia; mój kolega tylko jeden kieliszek wziął do ust, albo może dwa; jego pani i tego nie wzięła; kolacja więc raz dwa przeszła. — Spać się panu chce? — ona się pyta, bo widzi, że mi się oczy kleją. — Nie skłamię, jak powiem, że chce się! — To my już także pójdziemy się położyć, ona mówi. Bo mąż musi jutro wcześnie wstać. — Poszła do kuchenki, posprzątała w jedną chwilę i prosi mnie. — Dobranoc! — Dobranoc! — Rozbieram się, kładę na tej polówce, przeciągam się tędy, przeciągam się owędy, trzask, łomot, i już leżę na ziemi. — Co ty wyrabiasz? — Kolega wpada. — Zapadłem się! — Podnoszę się z ziemi, rozcieram boki. — Dawaj, ustawimy ją lepiej. — Ustawiamy, kładę się, ryms! — Co u licha! — Tak on ustawia tę polówkę, inaczej, a ja nic tylko obsuwam się z niej na ziemię. — A, bo widzisz — nareszcie domyślił się powodu. — Nic z twojego spania na tej polówce nie wyjdzie, tu w niej jeden zawiasek pękł i poprzeczka się obluzowała. — Wyszedł, naradził się z żoną, wraca. — Jużeśmy wszystko z żoną postanowili — zawiadamia mnie. — Żona pójdzie spać na dół, do matki jednego oficera, a ty położysz się ze mną. — Przecież to dla was ambaras — wykręcam się. — Ależ żaden! — on mnie uspokaja. — To nawet dla mojej żony na dobre wyjdzie, bo ona jest taka, że zawsze się zrywa, kiedy ja wstaję, a tak sobie przynajmniej pośpi. Zaś dla nas dwóch taki tapczan to świat! Popatrz się: dwa metry dwadzieścia na metr pięćdziesiąt! — chwali się, bo go sobie niedawno sprawił. — Tylko ty się kładź od ściany — dodaje jeszcze — żebym ja ciebie w nocy nie zbudził. — W nocy? — W nocy. W nocy mam do wykonania jedno zadanie! — mówi. — W kuchni rzeczy zostawię, wyślizgnę się, po cichutku ubiorę, szybko się sprawię, zaraz wrócę, rozbiorę się, położę przy tobie, ani się spostrzeżesz. Tylko się kładź od ściany, żebym cię wstając nie trącił. — Ty zaraz wracasz? — Ja wtedy szeroko otwieram oczy. — A cóż to u was w tej Cytadeli za dziwna służba? Tak szast, prast i już! — Spojrzałem ja na niego z ukosa. — Jest u nas dzisiaj w nocy egzekucja — wtedy do-

piero on mi się przyznaje. — Ale nic takiego — próbuje bagatelizować. — Światła nie zapalę, wymknę się cicho-sza, nie obudzisz się nawet, a jak się nawet obudzisz, to się przewróć na drugi bok i śpij. — Dobra, dobra, zrobi się! — odpowiadam. — Twój pluton? — tylko jeszcze o to go pytam. — Tak jest. — Ty dowodzisz? — Taki mam rozkaz. — Wojskowych jakichś będziesz obrabiał? — Nie, słyszałem, że cywili! — Dużo ich? — Słyszałem: trzech! — Z bandy jakiejś? Za rozbój? — pytam, bo wtenczas się jeszcze kręciło po prowincji, a nawet podchodziło pod Warszawę dużo różnej, uzbrojonej po zęby i zdemoralizowanej łobuzerii. — Nie, to zdaje się nie będą kryminaliści. — Polityczni? — Polityczni. — Wtenczas ja się dopiero skapowałem. — Starzy, młodzi? Co wiesz o nich? — Jeden stary, dwóch młodziaków — Co za stary? Znasz nazwisko? — Nie! Skądże ja bym mógł wiedzieć. Ot, tyle co mi się obiło o uszy, to ci powtarzam. Sąd był doraźny, na kogoś oni się tam zasadzili czy kogoś osłaniali, nakryła ich policja, zaczęli się ostrzeliwać, ich prowodyr, ten stary, dostał w nogę, młodzi się przy nim zastrzymali, wtedy policja ich wszystkich za kołnierz. No, późno już; kładziemy się, bracie!

— Położyłem się — kapitan mówił dalej. — Zjazd dał mi radę, do tego świeżą drogę miałem w kościach. Zasnąłem. Dopiero się akuratnie w tym momencie zbudziłem, jak on już za sobą zamykał drzwi na schody. Wstałem, ubrałem się w mundur, schodzę. Ciemno na początku tak, że nic nie widzisz, potem widzisz, że tu i ówdzie coś szarzeje. Znać terenu nie znałem, ale ja jestem urodzony i wychowany przed wojną światową w Warszawie za czasów, rozumie się, carskich. Z tej racji widać poszedłem jakoś tam właśnie, gdzie trzeba. Same kroki zaprowadziły. Dlaczego tak? Pokręciłem się tylko trochę, pokręciłem, i już stoję, gdzie mi trzeba. Cóż? Wy jesteście prokurator, też jesteście z wojska, nie ma celu wam wszystkiego szczegółowo powtarzać. Wystarczy wam zamknąć oczy, i ot bez czekania macie w głowie obraz znajomy! Każda rzecz już, jak się należy, przygotowana. Na szczycie pagórka policja, na placu przy słupkach żandarmi, ksiądz, prokurator, czworobok wojska, karabiny, mauzery. Na dworze już nie tak szaro, trochę się oczy przyzwyczaiły, a trochę już świt. Idą: krok za krokiem, krok za krokiem, dwu — jak się orientuję — zupełnie młodych, trzeci już taki trochę starszawy, mniej więcej w naszym wieku: czterdzieści już przekroczył, do pięćdziesięciu jeszcze nie doskoczył. Z rozharataną nogą! To ten! — myślę sobie. — To ci! — powiadam do siebie w duchu, to o nich onegdaj słyszałem na naszym zjeździe. O trzech ludziach skazanych na śmierć. Cóż, właściwie można powiedzieć: za samoobronę! Żadną miarą nie chcieli wpaść w ręce policji. Ostrzeliwali się. Poranili jednego czy dwu policjantów. Nie za ciężko. — Ja — mówił na sądzie ten stary, jak nam później powtarzano w Krakowie — jestem starym bojowcem. Wiem, jak należy strzelać, żeby zabić. Ale nie strzelałem nikomu w głowę, pomimo że miałem ku temu niejednokrotną sposobność. Chcieliśmy tylko uniemożliwić pościg za sobą. — Nie uniemożliwili. Sądowi też nie uniemożliwili skazującego wyroku takim sposobem strzelania. Raz dwa zapadł na nich wyrok. Adwokaci napisali za nich prośbę o łaskę, nie licząc zanadto na nią. Następnego dnia zaczynał się nasz zjazd. Nie wiem, komu przyszło do głowy, żeby się na nim pojawił ktoś taki, kogobyśmy znali jeszcze z dawnych lat, i rzucił na naszym zjeździe apel do naszego poczucia solidarności więzienno-rewolucyjnej skierowany. Zjawił się więc w Krakowie ten wasz, z tej teczki,

którą trzymacie przed sobą, Krzycki! Był w owym czasie czynny przy biurze pomocy więziennej. Wtedy i zresztą później. Chodził, zaczepiał ludzi, przemawiał. Zawracanie głowy! Tym trzem skazanym na śmierć na nic się jego podróż nie przydała! Przedefilowali teraz grzecznie-ładnie przede mną. Spokojniutko podeszli sobie do słupków, zawiesili na nich swoje czapki, uściskali się nawzajem. Najpierw jeden, potem drugi, ci obaj młodzi ucałowali tego najstarszego, który był ich przełożonym. Z powagą go uściskali, z namaszczeniem; ja bym powiedział, że w ten sposób żegnali oni swoją partię. Następnie wzajem się pożegnali, w ramiona się wzięli, ot tak, pocałowali się po prostu, zwyczajnie: żegnali tak, ja bym powiedział, swoje życie. Za księdza podziękowali: nie są niewolnikami! Prezydentowi państwa, który ich prośbę o łaskę odrzucił, „nie znajdując w swoim sumieniu powodów do ułaskawienia", nie mieli za co dziękować. Prokuratorowi też nie mieli powodu dziękować za to, że ich o tym powiadomił. Zaczął on im wyrok sądu czytać. Przy tych słupkach wyprostowani, już gotowi, grzecznie, w spokoju słuchali, ale tylko przez niedługą chwilę.

Kapitan zwilżył wagi. Przełknął ślinę. Mówił dalej:

— Zaczęli krzyczeć. Najpierw jeden, dopiero jednak kiedy się dołączył drugi jego towarzysz, a wnet i trzeci, było czego słuchać! Tak krzyczeli, jakby jakiś rozkaz wykrzykiwali. Raz! — a potem chwilę stali cicho. — I dwa! — a potem znowu chwilę stali cicho. Tylko echo przerzucało ich okrzyk z kąta w kąt, od muru do muru. A oni znowu trzeci raz krzyknęli, czwarty, piąty. Trzy gardła, można by tak powiedzieć, a jeden głos. Przeszyją tym głosem noc jak wystrzałem, przeczekają echo, i — jeszcze raz, i — jeszcze raz. Słucham ich i słucham, i powiem wam szczerze, prokuratorze, że nieprzyjemnie mi się robi; bo czego oni tak wołają? Słowa znam, każdy okrzyk, który oni ze swoich piersi wyrzucają, ja znam na pamięć! Ma się rozumieć, że znam! Ho, ho! I to nie od dzisiaj! „Rewolucja!" — krzyczą. — „Polska ludu pracującego! Polska wolna i sprawiedliwa! Niech żyje! Niech żyje! Precz z uciskiem, z wszelkim wyzyskiem precz!" — I tak dalej, i tak dalej. Same znane mi rzeczy. Mówię wam, prokuratorze, aż w gardle człowieka coś łechce wołać z nimi: tak ze starego przyzwyczajenia! Kiedy prokurator skończył czytać wyrok, ten najstarszy z nich, ten z rozharataną nogą, krzyknął jeszcze do żołnierzy: — Towarzysze, a celujcie dobrze! Nauczcie się na nas strzelać, żebyście mogli później dobrze strzelać w tych! — i ręką wskazał na prokuratora i na policję. Potem nie pozwolił się przywiązać do słupka, ani on, ani obaj młodzi nie pozwolili ani się przywiązać do słupków, ani zawiązać sobie oczu. To już tak zwykle jedno za drugim idzie. Zimno mi się zrobiło jakoś tak stać dłużej, chociaż to sierpień, ale co noc to noc, na to nie ma rady, zakręciłem się na pięcie, wracam. Znowu się echo tłucze za mną, z kąta w kąt, od jednego muru do drugiego, już nie od ich głosów! Jak wychodziłem od kolegi, drzwi za sobą zatrzasnąłem, dostać się do mieszkania nie mogę, rozespany, zmęczony, biorę więc i przysiadam sobie gdzieniebądź. Koniec końcem nadchodzi kolega. Nic mu to jakoś nie dziwne, że mnie widzi na schodach. — Tyś mnie pytał — od razu jak mnie zobaczył, w ten sposób zagaduje do mnie — tyś mnie pytał o ich nazwiska? — A pytałem — odpowiadam mu. — Dowiedziałem się dla ciebie! — spieszy mnie poinformować; ot tak, z uczynnego serca, ot tak, czym chata bogata. — Dziękuję ci — odpowiadam. — Najstarszy nazywał się Hibner,

a tamci dwaj, Rutkowski i Kniewski. Najstarszy był gruba ryba, u nich na bardzo wysokiej funkcji. Tamci dwaj, jeden ślusarz, drugi murarz, też obydwaj członkowie partii, komuniści, ale tacy zwyczajni, początkujący. — A który z nich miał na imię Władysław? — ja wówczas pytam. — Który z nich był Władek? — próbuję się od niego dowiedzieć. — Ach! — zmartwił się wtedy mój kolega. — O imionach na śmierć zapomniałem! — Nic takiego się nie stało! — powiadam. — Nic takiego. Nie ważne! — Sami zresztą musicie mi przyznać rację, prokuratorze, że koniec końcem to jest bez znaczenia, który z nich trzech miał na imię Władysław i który do którego powiedział te kilka słów, jakie ja usłyszałem, kiedy oni tak noga za nogą idąc przeszli koło mnie. Czy to stary je powiedział do jednego z tych młodych, czy to właśnie jeden z tych młodych je wypowiedział do niego, czy może ci młodzi podzielili się między sobą taką uwagą: — Popatrz, Władek, to tu! — Kto ich tam teraz dojdzie! Szli, nagle się zatrzymali, na jedną krótką chwilę. Krępują się iść dalej czy jak. Bo raptem opatrzyli się, gdzie są. — Popatrz, Władek, to tutaj! — Oto rebus dla was, prokuratorze! Na północnych stokach Cytadeli się znaleźli, zobaczył to jeden, drugiego za rękaw ciągnie i powiada mu: — Popatrz, Władek, to tu! — No, prokuratorze, i jaka z tego konkluzja?

— To tu! — powtórzył jak echo za kapitanem Skirliński.

— A właśnie! — powiedział oficer i jeszcze raz zwilżył wargi językiem. — Znacie wy ulicę Grzybowską?

W tym momencie Skirliński troszkę się odsunął z krzesłem od biurka, a tym samym od oficera. Wyczuwał coraz nieprzyjemniejsze i coraz mocniejsze parcie niepokoju w okolicach serca. Nabierał coraz większej pewności, że oficer w jakimś sensie stracił panowanie nad sobą.

— Znacie wy ulicę Grzybowską? — zapytał ponownie kapitan.

— Oczywiście — odparł wtedy Skirliński.

— Wybaczcie — przeprosił go oficer. — Ale to tak jest: przypomnisz sobie jedno zdarzenie, ciągnie ono za sobą drugie. Nie obawiajcie się jednak, to już będzie ostatnie. Można wam je powiedzieć?

— Ależ proszę was — bąknął Skirliński.

— Gadam i gadam, a wy pewnie sobie myślicie, co on się tak uwziął głowę mi zawracać. A mnie tylko tak chce się dzisiaj powiedzieć komuś, prokuratorze, to wszystko, co ja wam powiedziałem.

— Proszę was.

Spojrzenie kapitana stawało się coraz bardziej matowe, nadal jednak siedział z oczami wlepionymi w Skirlińskiego.

— Ja wam przed chwilą wspomniałem, że urodziłem się w Warszawie za carskich czasów — rzekł. — Pewnie dlatego przypomniało mi się to zdarzenie. Ono jest stare, jeszcze przedwojenne.

Podniósł dłoń do góry.

— Powiedzieliście, że znacie ulicę Grzybowską. Ona za Ciepłą biegnie przed siebie jak strzelił. — Wyciągnął dłoń na całą długość ramienia, gestem, którym każdy się posługuje na oznaczenie linii prostej. — Źle taką ulicą uciekać! Goni was kto, a niech ma broń przy sobie, marne wasze widoki! A nas wtedy tą Grzybowską uciekało dwóch. Ogłupiło nas, no, trudno! Obydwa szczeniaki, obydwa bez doświadczenia, uwierzyliśmy ślepo w nasze nogi. Z nimi zawsze mniejsze ceregiele niż z głową, o nic się człowieka nie pytają: wpadłeś

w strach, już są gotowe ci służyć. A jakże było nie wpaść w strach? Sypnął nas ktoś, widać znalazł się taki człowiek bez sumienia. My tu, ja — jeden brauning w ręku, on — drugi, elegancko stoimy sobie w bramie pewnego domu na Królewskiej, czekamy, żeby przywitać z wszystkimi honorami, to znaczy zdrową salwą, jedną figurę spod ciemnej gwiazdy, dokumentnego łajdaka, z którym dopiero w jakiś tydzień później, na dworcu, też jeden z naszych sprawę uregulował. Czekamy, czekamy, nasz łajdak w pałacyku na Zielnej mieszkał. Pilnował się, że nie daj Boże! Tego dnia, jak do swojej karety miał wsiadać, z chłopcem jednym od piekarza ułożyliśmy się, że on od razu ruszy w naszą stronę ze swoim wózkiem, nam fakt sygnalizując. Wtedy my hop z bramy, i wprost na naszego gościa; bez żadnego niepotrzebnego kręcenia się po ulicy. Wszystko więc przygotowane, jak się należy, przygotowane, obmyślone naprzód, osłona, nie-osłona, trasa, którą mamy potem wyrywać, nie-trasa. Aż tu on pierwszy, mój towarzysz, stojący za mną w bramie, nagle się orientuje, że coś jest niedobrze. — Popatrz — szturcha mnie w bok.— Widzisz? — Jasne! Ktoś już się postarał o to, żeby nas sypnąć: ulica od Marszałkowskiej obsadzona, pod kamienicami, tuż pod samymi ścianami posuwa się wężyk ludzi, agentów, żandarmów, różnych stupai i ochranników. I — cyk! I — cyk! W każdą bramę wsiąka czy trzech, czy czterech! Do jasnej cholery! Jasne! Znają plan, nie znają akuratnie, w jakiej my bramie. Już nas w tej bramie nie ma: już idziemy sobie po ulicy, grzecznie, zwolna! Ale oni się na naszej grzeczności nie poznali, natomiast od razu się na nas poznali, co my za jedni! Zaś my jak zające! Tylko że trochę straciliśmy głowę. Zamiast w Graniczną, w Żabią, w Ptasią, i dalej, i dalej, w krótkie, kręte uliczki, my już po chwili lecimy przed siebie, prosto, jakby kto ze szprycy wziął i wodą przed siebie prysnął. Ulica od razu pusta, jak wymiótł, jeden strzał, drugi. W uszach brzęczą krzyki żandarmskie, nie tylko żandarmskie, sam nie wiem czyje. — At, bandyciaki jakieś, skarania na takich nie ma! — krzyczy jakiś jegomość i nura daje do pierwszego lepszego sklepu. Znowu strzał, jeszcze jeden! Wpaść w jaką bramę? A cóż by nam z tego przyszło! Przecież zobaczą w którą, otoczą dom, ich za nami cała sfora! Dobiegliśmy w ten sposób do rogu Żelaznej, już obaj bez tchu. A tam, na samym rogu Żelaznej i Grzybowskiej, dom się budował. Dopiero parter zaczynają, wapna wszędzie, desek, cegieł, piachu, wozów nie-wozów, murarzy! Na jedno mgnienie sekundy zatrzymaliśmy się: skręcać w Żelazną czy nie? Skręcać zawsze można, tylko że już sił nie ma dalej biec! Nagle staje nam na drodze jakiś człowiek z tej budowy, jeden, drugi! — Na sumienie, ludzie! — ja krzyczę do nich. — My nie za rozbój! My za lud! Za socjalizm! — Ja to wołam, a tu mnie jednocześnie z moimi słowami za kark jakaś ręka łapie i do ziemi gnie! I do ziemi! — Za te deski! Ale już! — słyszę wtedy taki przytłumiony głos. — Przykucnij-że, człowieku, skul się! — nagli. Kulę się jak potrafię najlepiej, wciskam w szczelinę za tymi deskami; ja swoją drogą, a mój towarzysz swoją, jak dwa króliki. Serce bije! Toż żandarmi wpadną zaraz i nas zza tych desek wybiorą raz, dwa! Niech się kto chce z tych majstrów na budowie, z tych majstrów i ich pomocników zaprzysięga, że nas na terenie budowy nie ma, na wszelki wypadek zostawią tu kogoś, jednego czy dwu, żeby przetrząsnął teren. Pulsy nam łomocą. Ja puls swojego towarzysza słyszę wyraźnie. Tyk, tyk, tyk, tyk! Sekunda, dwie, trzy, dziesięć. Nagle już ani swego pulsu nie słyszę, ani jego pulsu. Tylko grzmot

kroków po ulicy. I — nic! Przylecieli, przelecieli, polecieli. Coraz ciszej słychać ich tupot, znów słyszę swój puls, znów słyszę puls swego towarzysza. Co się stało? Ani się nawet nie zatrzymali, ani się o nic nie spytali! Ja tu za tymi deskami tak blisko, że jak biegli, mało mi który z nich na nos nie nastąpił. W jaki sposób się to stało? — Ty, słuchaj — Dotyka mnie ręka mojego towarzysza. — Bracie, spójrz się! — Spoglądam. Widzę, że wszyscy z budowy, ten majster, który mnie przygiął do ziemi, inni też, wszystka brać murarska z całej budowy stoi na ulicy jak zamieniona w kamień. Ten z ręką przy oczach, inny cały wychylony do przodu, wszyscy z wytężeniem wpatrzeni przed siebie, w Żelazną, w stronę dworca kolejowego, w stronę Pola Mokotowskiego. Wszyscy razem, grupą taką. Ja jeszcze nie rozumiem! — W jaki sposób się to stało? — Szarpię kolegę za rękaw. — Powiedz-że! — A on do mnie: — Od razu rzucili budowę i wyskoczyli na ulicę i — tylko zaczęli patrzeć przed siebie, w stronę kolei, prosto jak strzelił. Żaden z żandarmów nawet gęby do nich nie otworzył. Toż jasne dla nich, że widać myśmy w tę stronę uciekli, gdzie taki tłum ludzi się patrzy. — Oto i koniec całego zdarzenia! Mój Boże! Dawniej też mnie zawsze kusiło chodzić na ten róg, popatrzeć się. Dawniej, znaczy się, za carskich czasów. Nie chodziłem! — Ej, ej, człowieku — mówiłem sam do siebie — ty nie chodź tamtędy, nie wałęsaj się, jeszcze jakie oko niepewne wtedy ciebie tam przyuważyło, wyda cię! I nie chodziłem! I widać weszło mi to w krew tak się bać, czy co, bo dzisiaj też za nic ja tam nie pójdę! Śmieszne. Śmieszne. A kogóż ja tam boję się teraz spotkać? Na mózg mnie się rzuciło czy jak?

Skirliński się nie odzywał. Kapitan napierał się odpowiedzi.

— No, co! Jak wy myślicie?

Wtedy Skirliński rozłożył ręce:

— Cóż ja wam mogę rzec? Przeżywacie okres powrotnej, bezkompromisowej młodości, jak przypuszczam. Nie w smak wam to i owo. Trudno! Nigdy na świecie nie było, nie będzie i widać nie może być inaczej. Władza, to jest władza. Rządzenie, to jest rządzenie!

Kapitan się żachnął:

— A cóż wy ze mnie romantyka jakiegoś robicie?

Znowu podsunął pod nos Skirlińskiemu dwie wielkie, mocne dłonie.

— Myślicie może, że mnie jest nieprzyjemnie dobierać się ludziom do skóry dlatego, że mnie się za młodu dobierali? Nie znacie wy zatem moich myśli, ani tych moich nowych myśli, ani tych dawniejszych! Dobierać się? A proszę bardzo!

Przymknął oczy. Całe jego czoło pokryło się zmarszczkami.

— O inną rzecz mi chodzi! — oznajmił cicho. — Że ona u mnie tak wyszła, jak ona wyszła!

— Co?

Kozic odparł:

— Że ja się z tym sprzymierzył, na co ja się zamierzył, ot, o co mi chodzi!

Przetarł ręką twarz i przez zaciśnięte zęby rzucił:

— Odstępstwo jakieś zaszło? Samowola? Omyłka?

Skirliński znów poczuł na sobie jego oczy. Nieznośne, namolne, w niezdrowy sposób uparte. Kapitan nie podnosząc głosu, zwolna, wypowiadał słowo po słowie.

— Ja mam sumienie czyste. Ja wam to mówię. Ja nie zdradziłem.

Szeptem idącym z głębi gardła oficer w sposób tępy zapewniał Skirlińskiego, który go o nic nie pytał.

— Ja nie zdradziłem. Dotrzymałem, na co zaprzysiągłem. Zaprzysiągłem wierność, wierności dotrzymałem. Zaprzysiągłem ślepo słuchać, z rozkazu nigdy się nie wyłamałem. Zaprzysiągłem wierzyć, święcie wierzyłem. I tak krok po kroku za nim stawiałem. Za nim szedłem! Krok w krok!

Zwiesił ramiona, opuścił głowę. Pozostawał tak kilka sekund w zadumie. Po czym wyprostował się. Leciutko uśmiechnął. Leciutko też przymrużył jedno oko. Drwiące było. Podczas kiedy drugie zdawało się wściekłe.

— A on co?

Kapitan przełknął ślinę. Wzdrygnął się. Zacisnął zęby. Wycedził.

— Ale i — pokręcił głową — wyszedł jemu Wawel!

Przełknął potem ślinę po raz drugi i trzeci. Poznać się dawało, że szuka jeszcze jakichś słów. Skirliński poczuł, że robi mu się zimno. Po plecach przebiegł mrozik. Bał się, że lada moment padnie z ust kapitana epitet czy też koncept, którego nie będzie mógł puścić mimo uszu, chociaż usłyszy go w czterech ścianach swojego gabinetu. Ale był to bądź co bądź prokuratorski gabinet. Pot wystąpił Skirlińskiemu na czoło. A kapitan ponownie przełknął ślinę.

— Ach, nieprzyjemnie mi jest dzisiaj — otrząsnął się. — A wiecie wy...

Lecz Skirliński przerwał. Nasunął mu się odpowiedni pretekst.

— Czemu wy ciągle powtarzacie: dzisiaj i dzisiaj? — spytał. — Wawel to przecie stara kwestia.

— Są późniejsze kwestie.

— Jakie znowu?

— A ot, dajmy na to, inna machlojka! Sierpniowego zjazdu naszego po raz pierwszy od tylu, tylu lat nie będzie!

— Też fakt znany wam z pewnością od szeregu tygodni.

— Fakt jest mi znany od szeregu tygodni! — zgodził się kapitan. — Ale zabolał najboleśniej dzisiaj!

— Dzisiaj?

— Ot, zbiegło się tak wszystko!

Sięgnął przez biurko i wziął do rąk teczkę z aktami, leżącą przed Skirlińskim.

— A może wy byście sobie życzyli wiedzieć, z kim ja uciekałem i kuliłem się za tymi deskami? Kto to był taki, kto razem ze mną krzyczał: za lud! za socjalizm!

Potrząsał przez chwilę teczką, potem rzucił ją z powrotem przed Skirlińskiego.

— Krzycki? — wykrzyknął prokurator Skirliński.

— Krzycki, Krzycki. Macie go teraz w tej swojej teczce.

— Ach, więc wam o tego Krzyckiego chodzi! — klasnął w ręce Skirliński — Nareszcie zrozumiałem.

— Mnie?

— Chcecie mu pomóc. Chcecie u mnie w jego sprawie interweniować.

— Ja?

— A mnie w tym wypadku nie podobna zgodzić się na jakieś względy.

Kapitan ściszył głos do ledwie słyszalnego szeptu.

— Nie, panie kolego! — Mówiąc to kręcił zwolna głową. — Wy się mylicie. My sobie teraz ludzie obcy.

Po tych słowach jego posępne spojrzenie, pełne niechęci, stało się drwiące.

— Tylko przyłapcież go nareszcie na czymś solidnym — rzekł. — Inaczej on wam i tym razem na nosie zagra.

— Nie zagra!

— Zagra! Zagra!

Skirliński poczuł w sercu powrotną falę wściekłości.

— Wy jesteście doprawdy niemożliwi, niepoprawni — wybuchnął. — I uparci jak cap! I na pewno tym właśnie sobie szkodzicie!

Oficer zastanowił się nad czymś głęboko.

— Co racja, to racja! — zauważył cierpko. — Żeby we mnie nie było tego przeklętego uporu, jaki jest, to wy byście mi dzisiaj nie mieli potrzeby wytykać, żem ja wyżej nie zaszedł, jak zaszedłem.

A po chwili dodał jeszcze:

— A żeby znowu we mnie nadal był ten upór, którego we mnie nie ma, to by jeszcze inaczej ze mną wyszło, jak wyszło. Nie siedziałbym z wami w jednym gabinecie, panie kolego, nie siedziałbym!

Spojrzał za siebie. Odszukał oczami nadłamane krzesełko. Sam je odstawił pod ścianę, powiedziawszy, że nie nadaje się dla ludzi takich jak on, którym nic nie przeszkadza rozgościć się u Skirlińskiego wygodnie.

— A jeżeli już — mruknął — to, ot, na takim krzesełku ja bym sobie u was przycupnął.

— Przesadzacie. Przesadzacie.

Kapitan spochmurniał.

— A pewnie — westchnął — tak ja sobie tylko baju-baju.

Tadeusz Breza

Stanisław Jerzy Lec

Z „RĘKOPISU JEROZOLIMSKIEGO“

BALLADA PISANA W PIASKU PUSTYNNYM

Dziś znów widziałem kawał lasu.
Czyżby naprawdę przeszło tyle czasu,
jak mi odarto z owych liści świat?

To tam, gdzie cienie zielonej zadumy
i gdzie pod myślą idą ciemne szumy,
u nogi biegnie sarny szybki ślad.

Tam, gdzie zatrute bajką muchomory
i pod poszyciem w zmierzchu rozhowory,
kiedy ptakowi świat objaśnia ptak.

Tam, kędy lis zapala płomień kitą
i płomień ten zanosi w białe żyto
i tam mi świeci bławat, lis i mak.

Tam księżyc nie wyplącze się z gałęzi
i do dziś oko nasze tam go więzi,
gdy u korzeni dębu zakopano skarb.

Ci, co tam byli, padli i polegli
i z ich spojrzenia ni cegła na cegle.
Dąb zna tę sprawę, buk i cis, i grab.

A ze źródełek bije mokra cisza,
co się u skrzydeł nocnych ptaków wiesza,
i żołądź puka o dębowy liść.

W dziuplach ślepiami błyskają puszczyki,
świecą paproci trzeszczące płomyki,
z lasu dzieciństwa wilk nie może wyjść.

W wietrze żywicę z maliną zmieszało,
na skroniach naszych żyto już dojrzało,
wokół już spojrzeć czas.

Pustynia w oczy rzuca nam garść piasku,
słońce się waży na korkowym kasku
i wokół obcy i bezdrzewny las.

NA GRANICY

Niebo Jerozolimy piękniejsze niż perła,
którą trzeba podnieść do oczu i kręcić jak ziemią.
A w „pasie niczyim“ ta cisza obszerna,
gdzie stada kamieni na pagórkach drzemią.

Lecz to cisza pozorna. Na strzałach rozpięta,
co częściej niż dzwony biją o modlitwy.
Ale teraz są czyste wielkie firmamenta
i są szare jak kamień, żółte i błękitne.

Legionista arabski szkłami mnie przyciąga
(szły z dalekich wysp Anglii w ciemną dłoń żołnierza)
I w szkłach tych mu urastam do wielkości wroga
i wzrok swój jak dwie kule w moją pierś wymierza.

* * *

Morze jest dzisiaj boleśnie błękitne
jak w moich snach dziecięcych o Adrii.
Kiedyż od smutku odwyknę,
od czarnej na sercu zadry.

Jak kaczki siadły na wodzie mewy.
Piasek się sypie ze skały.
Jakie złe wróżki nocami śpiewy
nad moją kołyską śpiewały?

Opodal stoją polskie okręty,
wnoszą, wynoszą skrzynie.
A moja głowa jak liść pomięty
ku nim po wodzie płynie.

NOCĄ W DZIELNICY BAKA

Nie z tych, co chodzą nogami do góry,
nad żadną gwiazdą bym się nie rozpłakał,
która się rzuca na kamienne mury
w Jerozolimie, na przedmieściu Baka.

Co chwilę z gwiazdy odrywa się iskra,
aż psy przystają na kończyny zadnie
i ochłap gwiazdy rwałyby do pyska,
gdyby nie zgasła, nim na ziemię spadnie.

A kto przesądny w tej sekundzie nocy,
ze sercem nagim staje sam przed sobą.
Trzeźwy jak deszcz — ja patrzę w ludzkie oczy
i gwiazda moja w ludzkich rękach obu.

Tutaj cyprysy idą tylko ze mną,
kiedy z Arabii patrzy w oczy dzień
i wsiąka w ziemię żółtą i kamienną
— o przyjaciele — mój samotny cień.

W DNIU ZABÓJSTWA KRÓLA ABDULLI

W Jerozolimie, na Starym Mieście
kule.
Ktoś śmierć wypuścił z zaciśniętej pięści.
Śmierć zatrzymała Abdullę.

Królowie są, królów nie ma.
Chłop skrobie swoje poletko,
cukier się w fidze rozgrzewa,
którą stąd zjedzą daleko.

Król gdzieś już mówi z prorokiem.
Brązowo, brudno i boso
Arabięta nad granic fosą
w łapankę się bawią z mym wzrokiem.

W żywe usta ulicy
strzelają mundury „khaki".
Nad krzyże, nad półksiężyce
wzlatują skrwawione ptaki.

Ludzie nie mogą wzlecieć,
Ludzi nie widzę.
Czekają ceny na świecie
na słodycz, co wzbiera w fidze.

Gdy z luf już wywieje ogień,
poznasz u nieboskłonu,
za siódmą mową, za siódmym Bogiem,
czyją je kulą spłoszono?

I NOC WYPEŁNIA ŚLADY KÓŁ

Za słońcem kręcą łeb jaszczurki,
cytryna w sadach spada z drzew.
Pytanie małej mojej córki:
Co właśnie śpiewa w polu śpiew?

Ja oddech nuty już rozumiem,
głos mój powtarza twardy rym.
Z plantacji kwiatów woni strumień,
z pomarańcz tłoczni kwaśny dym.

Tłumaczę długo, nieprzejrzyście,
jest w moich słowach inna pieśń,
ptak lepi gniazdo z innych liści
pod innym ptakiem inna wieś.

Gwiazdami tryska nawodnienie,
arbuzów wóz odwozi muł
i szakal skomle już jak szczenię
i noc wypełnia ślady kół.

Idziemy — dokąd? — brzegiem wydmy,
już w wielu zamkach zgrzyta klucz.
I patrzą małe oczy piwne
w powieki mych zamkniętych ócz.

1950—1952 *Stanisław Jerzy Lec*

Jan Parandowski

PETRARKA

(DALSZY CIĄG)

X

TRYBUN WOLNOŚCI

Cola di Rienzo już dawno wyjechał z Awinionu mianowany przez papieża notariuszem miasta Rzymu, ale znów zaczęto o nim wiele mówić. Petrarka uważnie słuchał tych wieści.

Mikołaj, syn Wawrzyńca, coraz otwarciej występował jako obrońca ludu, na którego wyobraźnię działał słowem i symbolami. Na ścianie kościoła S. Angelo in Peschiera, jednego z najstarszych i najsławniejszych w swojej dzielnicy, kazał wymalować jakby pożar świata. Oto wysokie płomienie ogarniają królów i pospólstwo, a wśród nich sam Rzym, w postaci starej kobiety, coraz głębiej zapada w ogień. W prawej stronie obrazu stoi kościół, z którego wychodzi anioł w szkarłatnym płaszczu na białej tunice, z mieczem w dłoni, i śpieszy na ratunek Rzymu ginącego w płomieniach. Petrarka dobrze znał tę alegorię. Był w niej jego własny sen o końcu i odrodzeniu świata, jakiś bardzo dawny, może stoicki, a może dawniejszy — sybiliński, z pierwszych dni Rzymu.

Lecz wielmoże rzymscy nie brali poważnie ani notariusza, ani jego symbolów. Zapraszali go często, aby posłuchać — dla zabawy — jego ognistych mów. Na uczcie u Gianniego Colonny szczególnie ich rozweselił. „O, tak — krzyknął — będę kiedyś wielkim panem, może cesarzem. A wtedy — wskazał na otaczających go baronów — wszystkich was postawię przed sąd i każę powiesić albo ściąć.“ Baronowie pokładali się ze śmiechu. Nie od dziś śmieszył ich opowieścią, że nie jest synem oberżysty, ponieważ w jego matce kochał się cesarz Henryk VII.

Tak się bawiono aż do Zielonych Świątek 1347.

W sobotę przedświąteczną Cola wraz z innymi spiskowcami, w otoczeniu setki zbrojnych, których, jak się okazało, z dawna miał w pogotowiu, opanował Kapitol, rozpędził straż senatorską i urzędników. Nikt nie stawił oporu. Zagrały trąby i Cola wezwał lud, by nazajutrz zebrał się na tym świętym wzgórzu, pamiętającym narodziny Miasta. Noc spędził na modlitwie w swym ulubionym kościele S. Angelo in Peschiera.

Nazajutrz rankiem ruszył na Kapitol. Był w pancerzu, towarzyszyło mu

dwudziestu pięciu spiskowców. Niesiono przed nim cztery chorągwie. Chorągiew wolności miała na czerwonym tle Rzym w postaci majestatycznej bogini, jakby z medali rzymskich, siedzącej na tronie z kulą ziemską w jednej, z palmą w drugiej dłoni — pod nią złoty napis: *Roma caput mundi.* Chorągiew sprawiedliwości miała na białym tle św. Pawła z mieczem i wieńcem, a na chorągwi pokoju był św. Piotr z kluczami. Na koniec niesiono prastarą chorągiew św. Jerzego.

Na Kapitolu Cola przemówił do tłumów, które okrzyknęły go rektorem miasta. Miał dzielić tę godność z legatem papieskim. Zanim tłumy się rozeszły, podniosły się z różnych stron okrzyki: cud! cud! Oto nagle nadleciał skądś gołąb i krążył nad głową Cola di Rienzo. Lecz on nie był zadowolony. Nie smakował mu tytuł rektora miasta i podział władzy. W parę dni później przyjął miano, które doń przywarło na zawsze: trybuna.

W jego uprawnieniach była kara śmierci i łaska. Mógł ustanawiać urzędy, wydawać rozporządzenia z mocą ustawy. Był dyktatorem. Swoje orędzia zaczynał od słów: „Mikołaj surowy i łaskawy, trybun wolności, sprawiedliwości i pokoju, oswobodziciel świętej rzymskiej republiki". W krótkim czasie zreorganizował miejskie siły zbrojne, usprawnił wymiar sprawiedliwości, który dotąd nie różnił się od rozboju. Arystokracja, oszołomiona jego powodzeniem, zamknęła się w swoich zamkach. Cola rozesłał do baronów wezwanie, by się stawili na Kapitolu dla złożenia hołdu. Dawne żarty zaczęły się sprawdzać. Tylko niewielu odważyło się na nieposłuszeństwo.

Gdy się zebrali, Cola wyszedł do nich w szkarłatnym płaszczu, narzuconym na pancerz i kazał wszystkim przysiąc na Biblię i Hostię, że wyrzekają się jakiejkolwiek przeciw niemu napaści, że, posłuszni nowej konstytucji, dbać będą o bezpieczeństwo dróg i dowozu żywności, że zbójom i zbrodniarzom nie dadzą u siebie schronienia, że sierotom i wdowom okażą pomoc, że nie uczynią nic na szkodę miasta i jego skarbu, a na każde wezwanie stawią się zbrojnie lub bez oręża, jak trybun przykaże. Pierwszy przysiągł Stefanuccio Colonna, za nim szli Orsini, Savelli. Lud w milczeniu patrzył, jak ich groźne ręce dotykają ołtarza. Było to jak sen.

Petrarka wraz z całym Awinionem chwytał łakomie te wieści, które zresztą znajdowały potwierdzenie w listach samego trybuna. Petrarka czuł na sobie żar niezwykłych zdarzeń. „Wiem — pisał do trybuna — że stoisz teraz na najwyższej strażnicy wydany na sąd i języki nie tylko Włochów, ale i wszystkich ludzi, nie tylko współczesnych, ale i tych, co w przyszłych wiekach się narodzą: wziąłeś na siebie ciężar olbrzymi, lecz wspaniały i przepiękny, sprawę osobliwą i chwalebną. Nigdy nie przemilczy ciebie ani nasz wiek, ani potomność... Nie wiem, czy ci wiadomo i czy myślisz o tym, że twoje listy, które do nas dochodzą, nie zostają u adresatów, ale w lot są przez wszystkich tak gorliwie przepisywane, z takim zapałem obnoszone po całym mieście i po kurii, jakby nie pochodziły od człowieka naszego pokroju, ale od wyższych istot lub z antypodów, a to sprawia, że te listy szerzą zamęt w umysłach. Nigdy z wyroczni Apollina Delfickiego nie wyciągano tylu sprzeczności, co z twoich słów."

Nie myślał o sobie: dla niego wszystko było jasne, od nagłówka do daty listu. Co za rozkosz czytać: *Liberatae Reipublicae anno primo* — w pierwszym roku wolnej republiki! „To słowo pociesza, zachwyca, czaruje". Przede wszystkim jednak był oczarowany tą nagłą i świetną sławą, którą od jednego czynu

zdobył Cola di Rienzo. W dwa tygodnie po objęciu władzy trybun zniósł system feudalny, zabronił obywatelom Rzymu składać przysiąg wasalskich szlachcie, nazywać szlachcica panem, nosić jego herb. Domy szlachty ogołocono z palisad, częstokołów, bram obronnych, mostów zwodzonych. Spadły kary na wysoko urodzonych rabusiów: hrabia Bertoldo di Anguillara zapłacił grzywnę, były senator Agapito Colonna stał na Kapitolu w kajdanach, tak samo Martino Stefaneschi, również były senator i krewny dwóch kardynałów.

Awinion nie posiadał się z oburzenia. Podsycali je Colonnowie, dotknięci do żywego. Cóż teraz pocznie ich zaufany domownik, umiłowany gość i przyjaciel, Petrarka? Ze wszystkiego, co można było przypuszczać, najmniej prawdopodobne było to, co zrobił. Wysłał gorące orędzie do trybuna i ludu rzymskiego, wołając: „Wolność jest pośród was — nie masz nad nią nic bardziej słodkiego, nic bardziej pożądanego, a nigdy się jej nie poznaje lepiej niż wtedy, gdy się ją straci... Któż by się wahał: czy umrzeć w wolności, czy żyć w niewoli?... Osaczają was zgłodniałe stada wilków... Niech z piersi waszych sczeźnie niegodna miłość do dawnych tyranów, jaką zapewne z długiego nawyku macie wszczepioną. I niewolnik do czasu czci dumnego pana, i ptak więziony przymila się do swego właściciela, lecz i ów, jeśli może, zrzuca kajdany, i ten odleci, skoro tylko otworzy się klatka. Byliście niewolnikami, prześwietni mężowie, wy, którym wszystkie narody zwykły służyć, wy, którzy u swoich stóp widzieliście królów, ugięliście się pod garstką tyranów... Nie wiem, czemu się bardziej dziwić: czy tak długiej cierpliwości Rzymian, czy tamtych dumie nieumiarkowanej...

I nieustannie wracają mu pod pióro słowa: czczy tytuł szlachecki — zbóje — miecz zemsty — odpędzić wilki drapieżne od owczarni. „Już trzech z kolei Brutusów sławimy: pierwszy wygnał króla Pysznego, drugi zabił Juliusza Cezara, trzeci w naszych czasach tyranów ściga banicją i śmiercią“... I do trybuna: „Jeśli nie odrzucisz wiernej rady, ani krew, ani miłość ciebie nie powstrzyma... Wobec tych ludzi albo raczej bestyj wszelka surowość zbożna, wszelka litość nieludzka. Ty, mężu wyborny, otwarłeś sobie drogę do nieśmiertelności. Musisz wytrwać... Romulus małe miasto otoczył kruchym wałem, ty ze wszystkich największą stolicę otaczasz potężnymi murami...“ I kończy jakby urywkiem starorzymskiej modlitwy: „Witaj, nasz Kamillu, nasz Brutusie, nasz Romulusie, czy jakimkolwiek imieniem wolisz być nazywany, witaj, twórco rzymskiej wolności, rzymskiego pokoju, rzymskiej spokojności.“

Cóż mógł mu ofiarować od siebie? Swoje pióro i odtąd o niczym nie myśli, tylko o służeniu słowem dobrej sławie i dobremu imieniu trybuna. A Rzym nagradzał go nowinami, jakby z początków złotego wieku. Wzrósł dobrobyt, śpichlerze były pełne zboża, kasy miejskie zasobne, rozbudowano i odświeżono szpitale, z ulic znikli wygłodzeni nędzarze. W liście do Klemensa VI mógł się pochwalić trybun, że w kilka miesięcy uśmierzył całą prowincję rzymską, a Rzymowi zapewnił władzę tak szeroką, jakiej nie miał od wieków.

Był to człowiek wyobraźni i płomiennego słowa. Przenosił nim swoich współczesnych w nową erę. *Regeneratio, renovatio* — Odrodzenie, to z jego ust po raz pierwszy padło to hasło. Powtarzał je nieustannie, jakby nawoływał ociągające się bóstwo. Lecz brakło mu roztropności, by poskromić swoją dumę podsycaną fantastycznymi rojeniami.

Po całej Italii rozesłał gońców z zaproszeniem na uroczystość rycerskich

ślubów. Nieśli oni w ręku laski okute srebrem i na ich widok ludzie po drogach klękali, witając ten symbol zjednoczenia. I do Awinionu zawitał jeden z takich posłów, niosąc listy trybuna. Został napadnięty, laskę, która miała mu zapewnić nietykalność, złamano na jego głowie, ściągnięto torbę zawierającą pisma, które w jego oczach podarto. Było to niesłychane pogwałcenie prawa narodów i Cola di Rienzo wniósł o to skargę przed papieża. Petrarka w namiętnym liście oskarżał Awinion o barbarzyńskie obyczaje.

Lecz Awinion przestał już patrzeć łaskawie na zuchwałego trybuna. Oto bowiem Cola wszystkie gminy włoskie ogłosił jako wolne, wszystkim Włochom nadał obywatelstwo rzymskie: nowym pojęciem odświeżał stare wyrazy — *populus romanus*. Na nowym sztandarze trybuna pojawiła się wilczyca z królewskimi bliźniętami, a z jego ust padały ostre słowa przeciw obcym władcom, czyli przeciw cesarstwu niemieckiemu. Może i papiestwo zamierzał ograniczyć do władzy duchowej — *dominium spirituale*.

Wszystkie te idee były bliskie sercu Petrarki, sam nieraz je poruszał — oględniej w swych listach otwartych, szczerzej i gwałtowniej w tych, które pod nazwą *sine nomine* jako anonimowe ukrywał. Lecz tak był niecierpliwy, tak podniecony, że trybuna zasypywał swoimi listami.

„Niełatwo powiedzieć, mężu najlepszy, jak dalece troszczę się i niepokoję o wynik twoich zamiarów. Bóg mi świadkiem, że uważam siebie w pewnym stopniu za uczestnika twoich niebezpieczeństw, trudów i chwały. Nie chcę, zaiste, ani mogę się powstrzymać, by nie stanąć w twojej obronie, ilekroć się zdarzy, że ktoś w mojej obecności zuchwale się o tobie odzywa. To powszechnie wiadomo, każdy to poświadczy, z jaką zawsze przychylnością, z jakim zapałem występuję przeciw każdemu, co ujada na sprawiedliwość twojego trybunatu, na twoją dobrą wolę i szczerość, i ani za siebie, ani przed siebie się nie oglądam, nie bacząc, kogo mym słowem ukłuję, kogo zranię. Nie dziw, że w ten sposób odstręczyłem od siebie wielu bliskich przyjaciół. Mówię to, żebyś wiedział, że nie jestem ci nieobecny, że nie z daleka patrzę końca, ale pośrodku szeregów stoję i albo zwyciężę, albo padnę w tej niezmiernej bitwie. Dzień schodzi mi na troskach, spoczynek sny zakłócają, tak więc i śpiąc, i czuwając jednako się męczę, w żadnej porze nie zaznaję spokoju. W tym stanie jedyną pociechą jest pióro...

„Opowiem, co widziałem ostatniej nocy, czy też, co myślałem, bo sam nie wiem — na jawie to było czy w półśnie. Zdało mi się, że widzę ciebie na jakiejś wyniosłości pośrodku świata, na stromej górze, na szczycie tak wysokim, że prawie nieba sięgałeś. W porównaniu z nią wszystkie góry, jakie widziałem, wszystkie, o jakich czytałem lub słyszałem, mogłyby się wydać płaszczyzną, sam nawet Olimp, opiewany przez wieszczów obu języków, był skromnym pagórkiem. Chmury miałeś pod stopami, słońce nisko nad głową, otaczał cię orszak dzielnych mężów, ty w środku i nad wszystkich wynioślejszy siedziałeś na promienistym stolcu, tak dostojny i jasny, że mógłbyś w samym Febie obudzić zazdrość.

„Krążyłem dokoła, a taki był tłum, że ani go zliczyć, omdlewałem po prostu ze zdumienia. Ani dwudziesta część, jak mniemam, z tej wielkiej rzeszy nie zaludniała nigdy ziemi. Ktoś z nich, zapytany, odpowiedział, że tu zbiegły się ludy nie tylko naszego wieku, ale i wszystkich następnych. «A cóż tu robią?» «Oczekują — rzekł — jaki będzie koniec tego męża (i ku tobie wzniósł oczy),

o którego, jak widzisz, nie tylko ziemia walczy, ale i niebo, i gwiazdy. Czy słyszysz ten szum w eterze?» Wytężyłem słuch i w istocie posłyszałem, jak przy zbliżającej się burzy, stłumiony grom z dalekiej chmury. «Mars — rzekł nieznajomy — piorunem grozi, lecz Jowisz jest spokojny.» Zapytałem: «Cóż więc myślisz? Czym skończy się to oczekiwanie?» Odpowiedział: «Jeden Bóg to wie.»"

Cola di Rienzo śmiało szedł ku szczytowi. Był pewny, że z biegiem czasu zamieni srebrny diadem trybuna na żelazną koronę króla, a kto wie, czy nie na złotą cesarza. Jadąc w dzień świętego Jana do Lateranu miał pod sobą białego konia, co było dotąd przywilejem papieża i cesarza.

Lateran obrał sobie trybun jako miejsce swych ślubów rycerskich, które wyznaczył na dzień 1 sierpnia, odwieczne święto — *Feriae Augusti* — ustanowione przez Oktawiana na zakończenie wojny domowej przed czterdziestu wiekami, i jako Ferragosta zawsze żywe w tradycji ludu rzymskiego. W przeddzień, czyli 31 lipca, o trzeciej po południu, szedł przez miasto olbrzymi pochód: dwa tysiące gości z różnych stron Italii, poselstwa ze sztandarami, baronowie z miasta i okolicy, dwustu jeźdźców i pięćset kobiet, pieszo towarzyszących matce i żonie trybuna, na koniec on sam w długiej szacie z białego jedwabiu, obszytej złotogłowiem, z berłem w dłoni. Obok niego jechał namiestnik papieski, przed nim niesiono miecz, za nim chorągiew.

Był już wieczór, gdy pochód wkroczył na plac przed bazyliką laterańską. Odezwały się dzwony. Po uroczystym nabożeństwie w bazylice trybun wszedł do czcigodnego baptysterium San Giovanni in Fonte. W porfirowej wannie, w której papież Sylwester miał chrzcić ongi Konstantyna Wielkiego, Cola di Rienzo brał kąpiel rycerską. Nazajutrz przepasał się mieczem jako rycerz św. Ducha. Nawet Marek Aureli brał udział w tych uroczystościach: jego koń z brązu, zaopatrzony w rury ołowiane, od rana do nocy wylewał nozdrzami wino, którym raczył się ludek śpiewający i tańczący w blasku sierpniowego słońca.

W dwa tygodnie później odbyła się koronacja trybuna w Santa Maria Maggiore. Cola di Rienzo wziął do niej pewne ornamenty z uwieńczenia Petrarki, którego wspomnienie było wciąż żywe. Podano mu więc najpierw wieniec z liści dębowych, albowiem obywateli ocalił od śmierci, następnie wieniec z bluszczu, albowiem „umiłował religię", jako trzeci — wieniec mirtowy, albowiem „wiernie spełnia swe obowiązki", czwarty był wieniec wawrzynu na znak, że „wiedzę ukochał, a chciwością wzgardził", na ostatku proboszcz Santa Maria Maggiore wręczył mu wieniec oliwny mówiąc: „Mężu pokory, przyjmij ten wieniec oliwny, albowiem pokorą zwyciężyłeś pychę." Wszystkie wieńce były uwite z samosiewnych roślin i drzewin, które rozkrzewiły się na łuku tryumfalnym Konstantyna. Wreszcie włożono mu na głowę srebrny diadem, dano berło i jabłko srebrne.

Jakby urzeczywistniało się widzenie Petrarki oglądającego trybuna na zawrotnym szczycie, a sam trybun, jakby szedł za jego przestrogami, coraz ostrzej obchodził się z arystokracją rzymską. We wrześniu zaprosił najwybitniejszych jej przedstawicieli na ucztę, którą wydał na Kapitolu. W pewnej chwili Stefan Colonna coś bąknął o zbytku w strojach i w życiu prywatnym trybuna. Cola zmienił się na twarzy, zaczął krzyczeć, że wszyscy są jego wrogami, oskarżył ich o spisek, kazał odprowadzić do więzienia. Nazajutrz rano, wśród złowro-

giego bicia dzwonów, wprowadzono uwięzionych do sali, obitej białym i czerwonym suknem. Spodziewano się srogich wyroków, tymczasem nastąpiło uniewinnienie. „Czemuż wypuścił z sieci tych wilków?“ — zżymał się Petrarka, gdy mu o tym opowiadano. Z daleka teraz omijał dom Colonnów, w którym się niemal wychował. Zarzucano mu tam zdradę i czarną niewdzięczność. Jeszcze po latach tak o tym mówił: „Nie ma dla mnie na całym świecie droższej od Colonnów rodziny książęcej i wiązała mnie z nią miłość i nieprzerwana zażyłość, lecz droższa mi jest republika, droższy Rzym, droższa Italia, droższe ludzi poczciwych bezpieczeństwo i cześć.“

Nie mógł usiedzieć w swej pustelni, nie wystarczały mu listy, które odbierał i wysyłał, chciał być z trybunem w odradzającym się Rzymie, u świtu nowej ery. Dnia 20 listopada 1347 ruszył do Rzymu. Lecz zatrzymały go w Genui nowe wiadomości. „Dostałem — pisał do trybuna — od przyjaciół listy, w których wyglądasz bardzo zmieniony i w których dzisiejsza twoja sława nie przypomina dawnej. Nie kochasz jak dotąd ludu, ale jego część najgorszą, jej służysz, jej schlebiasz, nią się zachwycasz... Czyż świat ma patrzeć, jak z przywódcy dobrych stajesz się satelitą niegodziwych? Czyż tak nagle skłóciły się nam gwiazdy, czyż bóstwo stało się nam nieprzychylne?... Po cóż się dręczę? Rzeczy pójdą tym porządkiem, który światło wiekuiste ustanowiło, nie mogę tego zmienić, uciec tylko mogę. Z całej duszy śpieszyłem do ciebie, teraz zawracam z drogi...“

Jakże nielitościwe są daty! Ten list, datowany z Genui pod koniec listopada, był już jakby nagrobkiem wielkości i chwały trybuna. Wypaliła się ona w paru miesiącach. Jeszcze niedawno prowadził zwycięskie wyprawy przeciw twierdzom baronów i złamał ich potęgę na zawsze, gdy oto pośród tryumfów spadł nań sąd papieski w osobie kardynała Bertranda. Cola di Rienzo od razu się załamał. Opuściła go duma, odeszła go wola, stał się pokorny i słaby. Złożył wszystkie swoje tytuły, odwołał dekrety i po sześciu miesiącach nieograniczonej władzy chyłkiem uciekł z Rzymu i schronił się w górach.

XI

ZARAZA

Rok 1348 był rokiem klęsk, jakich nikt nie pamiętał, tylko mnisi wertujący stare kroniki klasztorne mogli wskazać podobne z dawnych wieków. Niby groźna zapowiedź poprzedziło je trzęsienie ziemi we Włoszech i w Niemczech. Nieszczęście przyszło ze Wschodu razem z okrętami zawijającymi do portów Italii, Francji, Anglii, Flandrii, tą samą drogą, którą w drugim wieku przeciągnęła wielka zaraza od Pacyfiku do Atlantyku.

W Europie choroba objawiała się inaczej niż na Wschodzie, gdzie zwykłym znamieniem śmierci był krwotok z nosa. Tu zaczynało się od guzów na kształt jabłka lub jajka, które lud nazywał szyszkami. Pojawiały się one zrazu w słabiznach i pod pachami, potem na innych częściach ciała, wreszcie na rękach i biodrach występowały czarne albo sine plamy, wielkie i rozproszone, kiedy indziej skupione i drobne. Mówiono, że tak samo chorowali i marli ludzie w Rzymie pod koniec szóstego wieku, kiedy to na stolicę apostolską wstąpił Grzegorz Wielki.

Władze nakazywały oczyszczanie miast, izolowanie chorych, niektóre gminy zamknęły bramy, nikogo nie wpuszczano, a gdy mimo to zaraza wcisnęła się przez mury, karano śmiercią strażników pod zarzutem, że się dali przekupić. Odbywały się procesje błagalne, modlono się na ulicach, nigdy bogacze nie byli hojniejsi w jałmużnach. Ze starych pergaminów przepisywano pieśni i modlitwy wypróbowane w podobnych przypadkach. Astrologowie coraz inne ciało niebieskie obarczali odpowiedzialnością. Medycy byli bezradni, chociaż nigdy nie widziano ich tak wielu. Nikomu nie znani mężczyźni i kobiety wymyślali najdziwniejsze środki nie mając pojęcia o sztuce lekarskiej. Farmacje klasztorne sięgały do swoich zapisków i wydobywały z nich recepty, które kiedyś okazały się skuteczne.

Chorzy umierali na trzeci dzień po wystąpieniu pierwszych objawów. Od nich zarażali się krewni i mieszkańcy domu, lecz i sąsiedzi lub nawet nieznajomi, ponieważ wystarczało dotknąć odzieży chorego lub jakiegokolwiek przedmiotu, który chory miał w ręku. Unikano chorych, ludzie zamykali się w swoich domach, żyli odcięci od świata, a gdy i do nich wkradła się zaraza, uciekali pozostawiając chorego bez opieki. Zdrowi własnym rozsądkiem lub upodobaniem stanowili o trybie życia: jedni szukali pomocy we wstrzemięźliwości, jedli lekkie potrawy, pili najlepsze wina, lecz umiarkowanie, inni głosili, że jedynym lekarstwem przeciw zarazie jest żyć wesoło, folgowali sobie we wszystkim i śmiali się w nos beznosej śmierci.

Strach było na nich patrzeć. Włóczyli się dzień i noc po karczmach i oberżach, pili na umór, wpadali do opuszczonych domów i plądrowali je od piwnic do strychów. Rozprzęgły się wszelkie prawa. Ich stróże i wykonawcy bądź pomarli, bądź leżeli bliscy śmierci, bądź stracili podwładnych i nie mieli komu rozkazywać. Jeszcze najrozsądniejsi wydawali się tacy, co ani nie zamykali się w domach, ani nie oddawali swawolom, ale chodzili po ulicach jak zwykle i tylko nosili w rękach kwiaty, zioła pachnące, korzenie, przekonani, że te zapachy dodadzą im sił i zdrowia. Mieli przynajmniej ten pożytek, że mogli się obronić od smrodu gnijących trupów i od wyziewów chorych.

Lecz kto mógł, uciekał. Dokąd? Nie zastanawiano się nad tym, byle się znaleźć gdzie indziej. Zdarzyło się, że gromada opuszczająca miasto spotykała się u bram z taką samą, która właśnie tu szukała bezpieczeństwa porzuciwszy swoje własne. Zostawiano domy, majętności, rodziny. Brat opuszczał brata, często mąż żonę, nawet rodzice uciekali od dzieci dostrzegłszy w nich zarazę. Zgłaszali się natomiast płatni słudzy do pielęgnowania chorych: bardziej niż na zapłatę liczyli na grabież domu. Często ginęli na progu pośród zrabowanych tobołów.

W miarę jak zaraza dziesiątkowała ludność, coraz mniej troski okazywano zmarłym. Grzebano ich jak najprędzej i byle jak, już nie widywało się prawdziwych pogrzebów. Na koniec zaczęto wyrzucać trupy na ulicę, skąd zabierali je grabarze. Na tych samych marach niesiono po parę zwłok, niebawem zabrakło trumien. „Nie więcej — powiada Boccaccio — troszczono się o nieboszczyków niż o zdechłe kozy.“ Wkrótce umarły stracił prawo nie tylko do własnej trumny, ale i do własnego grobu. Kopano głębokie doły, w które rzucano zwłoki setkami.

Na wsi i tego nie było. Ludzie marli na polach, drogach, w lasach i tylko kruki o tym wiedziały, tak samo jak o chałupach, w których nikt nie został przy życiu. Pozbawieni wszelkiej pomocy, jakby wyklęci ze społeczeństwa

ludzkiego, chłopi każdego dnia spodziewali się śmierci i przestali zajmować się gospodarstwem. Nikt nie uprawiał pól, nie zaglądał do winnic i ogrodów, zwierzęta domowe szły pod nóż na ostatnią nieraz wieczerzę w życiu. Te, które nóż oszczędził, bo wcześniej skostniała ręka gospodarza, rozpraszały się i wałęsały po okolicy bezdomne. A niejeden zamek, który dotąd patrzył z wysoka ponad swoimi wieżami i murami i odzywał się zgrzytem zwodzonych mostów, trąbami straży, dzwonami kaplicy, stał milczący i nikt nie wiedział, czy ludzie uciekli, czy pomarli.

Petrarka był w nieustannych rozjazdach. Z Werony przenosił się do Parmy, z Parmy do Ferrary, odwiedzał raz Capri, raz Padwę. Nie zajrzał tylko do Awinionu, który zaraza wyludniła. Liczono ponad sto tysięcy umarłych. Świat ówczesny nie zaprzątał się statystyką i dopiero z liczby umarłych dowiedział się, ilu żywych nosiła rok temu życiodajna ziemia. Kto z nich doczeka nowego roku?

Wśród grobów i mar Petrarka widział zbliżającą się śmierć. Uciekał przed nią pod opiekę możnych albo po prostu w otwartą drogę. Zawsze trawił go lęk, że ma za mało przestrzeni, za mało swobody. Uciekał z ciasnych ulic, z przeludnionych miast, z domów. Tylko w drodze czuł się panem siebie, wędrowanie było mu niezbędne jak powietrze, jak niebo otwarte nad głową. Był to urodzony włóczęga i nawet jego język jest językiem wędrowca, co chwila cisną mu się pod pióro wyrazy: droga, ścieżka, pole, wędrówka, okręt, szlak, koń, bagaże — w sensie dosłownym, w obrazach, w porównaniach, w przenośniach. Teraz śmierć chwyciła za uzdę i pędziła go z miasta do miasta przez lasy, pola, bezdroża. Uciekał od świata, który był bliski końca. „Już dzień naszej epoki chyli się ku zachodowi."

Na jednym z postojów napisał wiersz *Ad se ipsum — Do siebie,* w którym opowiedział ówczesne dni trwogi. Ucieka, lecz dokąd uciec? „Ani morze, ani ziemia, ani góry nie dają schronienia." Na próżno wyrzuca sobie tchórzostwo, na próżno stawia przed spłoszoną myślą znikomość ziemskich zabiegów — chce żyć! Wystawiony na walkę lęku i nadziei, która dzień i noc toczy się w jego sercu, nic już nie wie, na jego niebie gwiazdy pogasły, bez przewodnika został nieszczęsny gość śmiertelnego ciała...

Inaczej brat Gerard. Przeor jego klasztoru, dotychczas tak dzielny, od razu stracił głowę i radził wszystkim zakonnikom uciekać. Dokąd? Gdzież jest to miejsce wybrane, ów Ararat? O niczym nie chciał słyszeć. Brat Gerard odmówił mu posłuszeństwa. „Zginiesz tu w opuszczeniu i nawet grobu mieć nie będziesz!" — krzyczał przeor. Brat Gerard odparł, że nigdy nie troszczy się o swój grób. Przeor odjechał, z nim część zakonników. Zaraza ich nie oszczędziła, przeor padł pierwszy w miejscu, które mu się wydawało bezpieczne.

Około trzydziestu zostało z Gerardem. Lecz i do nich przyszła zaraza, zabierała jednego po drugim. Brat Gerard był przy chorych i konających i sam grzebał zmarłych. On jeden ocalał. Na klasztor napadali zbóje, zawsze potrafił się obronić. I zawsze dzwon klasztorny odzywał się w swoich porach dając znać sąsiednim wsiom, że czuwa w nim mężne serce Gerarda. Z odejściem zarazy pomyślał o zaludnieniu klasztoru. Nowych zakonników wraz z nowym przeorem brat Gerard wprowadził do murów, które ostały się dzięki niemu. Ze zdumieniem patrzyli na człowieka, co z tych heroicznych walk wyszedł zdrowy, czerstwy, wesoły. Ze łzami słuchał tych wieści Petrarka i Gerard wydał

mu się tym samym młodzieńcem, który lekko przeskakiwał skały i urwiska Wietrznej Góry.

Wielkie pustki uczyniła zaraza w życiu Petrarki. Wielu bliskich, najbliższych umarło. W Paryżu umarł Roberto de Bardi, we Florencji Senuccio del Bene, w Awinionie kardynał Jan Colonna. Żadnego z nich nie pożegnał ostatnim słowem, z kardynałem, który był mu drugim ojciem, nie zdołał się pojednać. Została między nimi nieprzyjaźń z czasów trybuna rzymskiego — na wieki. Tak samo nie pożegnana umarła Laura. Wiadomość o jej śmierci odebrał w Weronie i zapisał ją w swoim kodeksie wergiliańskim. Doniósł mu o tym, jak pisze, L u d w i k. Czyż był to ten sam Ludwik z Kempen, którego zawsze nazywał Sokratesem? Dziwne, że w tym miejscu nazywa go po imieniu. A może był to inny Ludwik, ktoś z bliskich Laury?

Zaraza przeszła zostawiając za sobą wyludnione miasta, opustoszałe wsie, porzucone pola, sady i winnice, zniszczoną gospodarkę prywatną i publiczną, żałobę w duszach i nieobeszłe cmentarze. Lecz, zanim ludzie odetchnęli, zatrzęsła się ziemia, jakby istotnie zbliżał się koniec świata. Z największą zgrozą słuchano wieści z Rzymu. Bazylika laterańska na wpół zwalona, kościół świętego Pawła w gruzach, wieże, mury, domy w ruinie. Choć w nędzy i poniżeniu, wieczne miasto było wciąż jeszcze symbolem losów całej ludzkości. Z dnia na dzień oczekiwano dalszych klęsk — ostatecznych.

XII

BOCCACCIO

Na rok 1350 papież ogłosił *anno santo*. Od Bożego Narodzenia 1349, ledwo minęła zaraza, ze wszystkich krajów europejskich ruszyły pielgrzymki. Jakże je przyjmie Rzym dotknięty podwójną klęską — zarazy i trzęsienia ziemi? Kto w nim znajdzie gospodę? W istocie, oberże, zajazdy, osterie, których było mało, bo Rzym odwykł od gości, zostały od razu zajęte, szukano przytułku w domach prywatnych. Całe miasto stało się jedną gospodą, każdy właściciel domu zmieniał się w oberżystę. Lecz dla wielu nie starczyło miejsca, obozowano pod gołym niebem, przy ogniskach. Musieli się tym zadowolić i tacy, dla których gościna u Rzymian wypadała za drogo. Ceny wzrosły niezmiernie, utyskiwano na brak siana, słomy, drew na opał, ryb i jarzyn, tylko mięso można było zawsze dostać, nawet niedrogo. Sarkano na chciwość Rzymian, którzy przetrzymywali zboże i wino, póki nie podrożało. Podupadłe miasto chciało się w jeden rok wzbogacić.

Pielgrzymi nie znajdowali tu prawie nic oprócz pamiątek i legend. Wszystko, co było niegdyś świetne, leżało w gruzach lub opuszczeniu. Tym żarliwiej modlono się na grobach apostołów, a gdy w niedzielę lub święto pokazywano u świętego Piotra *Santo Sudario*, ścisk był tak wielki, że obawiano się, czy stare mury bazyliki wytrzymają i czy nie rozsypią się pod naporem tłumów. Starzy ludzie, pamiętający ostatni rok jubileuszowy sprzed półwiecza, patrzyli ze smutkiem na te okrutne zmiany. Teraz nie było w Rzymie papieża, wtedy zaś na stolicy Piotrowej siedział wspaniały Bonifacy VIII, ostatni z potężnych papieży, którym ulegali cesarze i królowie.

Młodzi natomiast ze smutkiem spoglądali na Kapitol, gdzie nie powiewała

chorągiew trybuna. Nikt nie wiedział, co się z nim stało. Jedni mówili, że w Abruzzach prowadzi życie pustelnicze, inni — że udał się do Ziemi Świętej, jeszcze inni gotowi byli przysiąc, że rozpoznali go w tłumie pielgrzymów. Ta pogłoska wygasła, gdy za każdym razem okazywało się, że było to czcze przywidzenie.

Petrarka dopiero pod koniec lata wybrał się w drogę. Po raz piąty w życiu jechał do Rzymu. Nie z ziemi francuskiej jak dawniej, ale z włoskicj, nie szukał więc drogi morskiej, nie śpieszył się, nie mógł nawet się śpieszyć, bo nie były to już lata lekkich tobołków i jazdy samowtór lub samotrzeć. Jeśli nie była to podróż wielkiego pana lub dostojnika, była ona godna uwielbianego poety, którego każde miasto chciało witać i gościć, z każdego miasta ktoś przyłączał się do jego świty. Tak wjechał Petrarka do Florencji.

Nie miała dla niego uroków ojczyzny, a nie było w niej nic, co mogłoby olśnić człowieka, który znał Paryż i Neapol, pałace awiniońskie i zamki wszystkich niemal książąt włoskich. To nie był Dante, którego serce biło na wspomnienie *„mio bel San Giovanni“*, i Florencja nie była Rzymem, gdzie nawet pospolity bruk był drogą marzeń i wzniosłej zadumy. Florencja wprawdzie przeżyła więcej niż inne miasta, licząc od zamierzchłych Etrusków, ale któż się troszczył o Etrusków, których grobowce, malowidła i rzeźby spały jeszcze w ziemi? Jej historia nigdy nie zaznała spoczynku i darmo w niej było szukać wczorajszego dnia.

Petrarka oglądał miasto średniowieczne, gdzie już Palazzo Vecchio rzucał swój cień zębaty na plac Signorii, ale nad S-ta Maria del Fiore jeszcze nie rozpinała się kopuła Brunelleschiego. Nad żółtym Arno Ponte Vecchio było jak dziś obrośnięte kramami złotników uczepionymi jego przęseł na kształt gniazd ptasich, o ścianach różowych lub niebieskich, z bajką w środku, bajką cudownych złotych wyrobów, które przesiewały, przymierzały smukłe ręce wysokich, szczupłych dziewczyn o pełnych ustach, jasnych oczach i włosach popielatych lub barwy kasztanu. Jeszcze ich nie przeniósł w brąz lub marmur Donatello, jeszcze nie zachwycił się nimi Botticelli, jeszcze Ghirlandaio nie zaludnił nimi prezbiterium w S-ta Maria Novella. Z tamtych ścian patrzyły jeszcze surowe freski Orcagnii, był to jeszcze świat Giotta, którego barwna dzwonnica już mieniła się w słońcu i w owym *aero cristallino*, przezroczystym powietrzu florenckim, oczekującym brzasków Odrodzenia. On jeden w tym mieście zwiastował renesans.

Syn wygnańca czuł się tu obco, a nawet niespokojnie i nieufnie, gdy mijał dom Portinarich, z którego wychodziła niegdyś Beatrycze i nieopodal inny dom, z którego chyłkiem wybiegł jego ojciec, aby już nigdy nie wrócić, i ten wąski u skraju placyku wielkości chustki, skąd ta sama zawieja wyrzuciła Dantego. Czuł się nieswojo w tych ciasnych, krzykliwych uliczkach, w tym kotle wrzącym tysiącem namiętności „w obrębie muru jednego i fosy“. Hołdy, jakimi go otaczano, przyjmował z rezerwą, którą można było wziąć za skromność. Odzyskiwał naturalną swobodę dopiero wśród wiernych przyjaciół. Najwięcej go pociągał Giovanni Boccaccio.

Syn kupca florenckiego i nieznanej Paryżanki, młodszy o kilka lat od Petrarki, żywy, dowcipny, wesoły, sławny ze swoich przygód miłosnych, wierszy i nowel, czerwienił się i jąkał jak żak pod spojrzeniem poety uwieńczonego na Kapitolu. Od dawna go uwielbiał. Znał na pamięć jego sonety i własnymi je

naśladował, gonił za każdym strzępem jego prozy łacińskiej, pisał *Bucolicum Carmen* tym samym stylem i wśród tych samych zawiłych alegorii, po sto razy zabierał się do listu, w którym chciał poecie *Afryki* wyrazić swój podziw, a teraz nie znajdował słów, by przytomnie odpowiadać na pytania. W obecności tej szlachetnej sławy czuł się wyzutym z własnej, co gorsza, wydawała mu się ona nieprzystojnym rozgłosem.

Patrzyli na siebie, byli jednego wzrostu. Boccaccio żarliwie badał tę twarz smagłą o rysach szlachetnych i ujmujących, o subtelnych ustach, zatrzymywał wzrok na rękach godnych pięknego rysunku, a nie byłby synem kupca florenckiego, gdyby nie zauważył i nie ocenił wytwornego stroju Petrarki i doskonałości sukna, z jakiego był sporządzony. Petrarka z ciekawością śledził niespokojne ruchy tego wysokiego, silnego mężczyzny, który nie wyglądał na swój wiek: był bliski czterdziestki, a łatwo można by mu odjąć dziesięć lat. Przypominały mu się plotki neapolitańskie o miłości Boccaccia i Marii, naturalnej córki króla Roberta. Spotkała się ta dziwna para w kościele San Lorenzo Maggiore. Laura? Beatrycze? Nic podobnego. Boccaccio nie był marzycielem ani trubadurem. Kochał i był nawzajem kochany, żył z ukochaną, pisał nie tylko dla niej, ale i przy niej. A gdy się z nią rozstał, spod jego pióra wyszła elegia pani Fiametty, poświęcona wszystkim paniom zakochanym, pierwszy pamiętnik opuszczonej kobiety, pierwszy krzyk zranionej miłości, nie konwencjonalny, ale prawdziwy i rozdzierający jak głos żywego człowieka.

Petrarka wiedział o tym ze słyszenia, żadnej z tych książek nie czytał. Zbył milczeniem wiadomość, że Boccaccio układa teraz wielki zbiór nowel. Zainteresował go tylko tytuł: *Dekameron.* Zapytał, czy umie po grecku. Niestety, zaledwie parę słów. „To tak, jak i ja“ — odparł Petrarka i opowiedział mu o swoich studiach greckich.

Kilka lat temu zjawił się w Awinionie bazylianin Barlaam rodem z Kalabrii, Grek i greckiej wiary, którą porzucił i stał się członkiem Kościoła Katolickiego. Petrarka zawarł z nim znajomość, która zmieniła się w przyjaźń, spotykali się co dzień i Barlaam uczył go po grecku na rękopisie Platona. Barlaam skorzystał więcej od swojego ucznia: nabrał większej wprawy w łacinie, którą znał słabo, i dzięki protekcji Petrarki otrzymał biskupstwo w rodzinnej Kalabrii. Po paru miesiącach opuścił Awinion i tak została przerwana ta skąpa nauka. Innych nauczycieli nie było. Boccaccio musiał przyrzec, że nie spocznie, póki nie znajdzie Greka zdolnego do nauczania. „To konieczne — mówił Petrarka — niech przynajmniej jeden z nas dobrze pozna ten język. Bez greki jesteśmy chromi na jedną nogę.“

Przez kilka dni spędzali ze sobą każdą wolną godzinę. Boccaccio zwierzał się ze swoich zamiarów. Chciał napisać dzieło *De claris mulieribus — O sławnych niewiastach,* jakby uzupełnienie Petrarkowskiego *De viris illustribus,* ale nade wszystko leży mu na sercu *Genealogia deorum — Rodowód bogów,* gdzie każdy będzie mógł znaleźć wiadomości o bogach starożytnych. Petrarka chwalił i gorąco zachęcał — to były prace godne poważnego umysłu.

Przeglądał książki, które były dumą i największym skarbem Boccaccia. Znalazł wśród nich odpisy własnych utworów, sonety, listy, różne drobiazgi. Lecz Petrarka był ciekaw starożytnych pisarzy, nic wprawdzie nowego wśród nich nie widział, ale niektóre kodeksy były staranniejsze niż te, jakie sam posiadał.

Boccaccio opowiadał o swoich wycieczkach do bibliotek klasztornych, na Monte Cassino, w Grotta Ferrata. „Nie uwierzysz, co za ruina, jakie zniszczenia!“

Petrarka znał to z własnych przygód. Lecz nie wolno się zrażać ani wątpić: dnia i godziny nie znamy, kiedy wpadnie nam w ręce jakieś zapomniane od wieków pismo starożytnych. W tej chwili wszedł Lapo di Castiglionchio, który — choć prawnik — znał się na literaturze wybornie. Zapalony zbieracz autorów starożytnych znalazł parę rzeczy Cycerona, które niedawno przesłał Petrarce. Pisywali do siebie, a Lapo kopiował również listy Petrarki do innych osób. Teraz na pożegnanie wsunął mu do skrzyni jakąś spleśniałą księgę.

— Co to jest?

— Zobaczysz.

Na dłuższą rozmowę nie było czasu, konie czekały przed domem.

Była to niedobra podróż. Niedaleko Bolseny koń uderzył Petrarkę i zranił go w nogę. Zanim dojechali do Rzymu, rana zaczęła cuchnąć, Petrarka obawiał się, że straci nogę. Zbiegli się doń najlepsi chirurdzy, jedyny rodzaj lekarzy, którym ufał. Dzięki ich zręczności w kilka tygodni później mógł się poruszać z pewną swobodą. Zawsze trochę utykał, ale miał to już od dzieciństwa. Zanim wstał, opisał swoją przygodę w liście do Boccaccia. I tak kończył: „Piszę do ciebie, przyjacielu — co poznać z samego kształtu liter — leżąc jeszcze w łóżku, a piszę nie żebyś ubolewał nad tym, co się stało, ale żebyś się cieszył, że i to zniosłem z równowagą ducha i że tak samo zniosę gorsze rzeczy, jeśli się przydarzą. Żyj szczęśliwie i bądź zdrów, a o mnie pamiętaj.“

Ten list, pisany „wśród ciszy nocnej“ był pierwszym orędziem wieloletniej przyjaźni. Już odtąd nie przestaną pisywać do siebie, myśleć o sobie, tęsknić za nowym spotkaniem, obdarzać się nawzajem książkami, coraz ściślej, coraz wierniej związani. Dopiero w cztery wieki później Goethe i Schiller powtórzą ten wzór przyjaźni dwóch wielkich pisarzy, którzy w tym samym stuleciu dzielą między siebie sławę i dumę swojego narodu. Dziś mówi się: Petrarka i Boccaccio, jednemu dając pierwszeństwo w kunszcie poetyckim, drugiemu w prozie włoskiej. W istocie, trudno się nie zdumieć, że w połowie XIV wieku, w sto lat po pierwszych niezgrabnych próbach wyrażenia faktów i myśli w tym języku, osiągnął on pod piórem Boccaccia takie bogactwo i doskonałość.

Nikt jak on nie potrafił stopić razem wyszukanych zwrotów, zaczerpniętych z poezji *stil nuovo,* z potoczną mową miejską, w której słychać gwar ciasnych ulic, tryskających krzykiem przekupniów i łoskotem warsztatów rzemieślniczych, nikt przed nim nie pomyślał, by na miejskim bruku sadzić kwiaty i siać trawę, między domy wpędzać wesoły wiatr z pól, nikt nie umiał z szorstkich słów wyprowadzić melodii łaskawej jak szum drzew w noc letnią, ani po szczeblach krótkich zdań wspiąć się ku wielkim rozłożystym okresom. Były one zbudowane na wzór antyczny, ale tak, jak niebawem będą budować architekci Renesansu, mistrze fasad o szerokich oknach i potężnych gzymsach, rzucających cień na całe górne piętro.

Świadomy swej sztuki, nie był Boccaccio świadomy jej znaczenia. Myślał o niej na pewno serdeczniej i czulej niż Petrarka, który zresztą całkowicie ją lekceważył. Wszystkie te nowele i opowiadania były „literaturą rozrywkową“,

wyższą od płodów jarmarcznych, ludowych gawęd i bajd, ale w gatunku z nimi spokrewnione, w języku i stylu wyższe, ale tak samo należące do ubogiej literatury „wulgarnej", dobrej na krótką chwilę bieżącą, nie na przyszłe wieki. Nieporównanie ważniejsza od wszystkich *Dekameronów,* jakie by jeszcze przyszła ochota napisać jego przyjacielowi, była dla Petrarki owa spleśniała księga, którą mu do skrzyni wsunął Lapo di Castiglionchio. Tylko kłopoty z nogą, stan zdrowia i zgiełk Rzymu pod koniec roku jubileuszowego mogły wyjaśnić ten nieprawdopodobny fakt, że nie sięgnął wcześniej do tej drogocennej rzeczy, aż dopiero w drodze powrotnej, w Arezzo.

Miasteczko witało go z wielkimi honorami. Pokazano mu dom, w którym się urodził, zachowany z najtroskliwszym pietyzmem. Żaden poeta przed nim nie przekraczał progów swojego dzieciństwa z uczuciem, że wchodzi do muzeum. Po wszystkich owacjach i przyjęciach znalazł wreszcie chwilę samotności i zajrzał do rękopisu, który mu dał Lapo. Odtąd wszystko przestało dlań istnieć. Na próżno kołatano do jego drzwi — nie pozwalał nikogo wpuszczać. Wymawiał się tym, że ma u siebie wielce dostojnego gościa.

Był to w istocie gość niezwykły. Pożądany, wyglądany, oczekiwany zawsze na próżno, zjawił się nagle, jak Ulisses na Itace — król w łachmanach. Kwintylian!

Mało jest dziś ludzi na świecie, których to imię rozgrzewa, a chyba w nikim nie budzi tak nieopisanego zachwytu, jaki w ów dzień grudniowy obudziło w Petrarce. To imię cieszy się niezmiennym i statecznym szacunkiem u filologów i historyków literatury, idących śladem jego wędrówki *„im Wandel der Jahrhunderte"*. Nosił to imię ze słuszną dumą retor z I wieku, Hiszpan rodem, który miał szkołę wymowy w Rzymie za Flawiuszów, sam stawał jako adwokat w sławnych procesach, żył na stopie przyjacielskiej z rodziną cesarską, zostawił wiele pism, w tej liczbie najsławniejsze: *De institutione oratoria,* czyli o kształceniu mówcy. Znakomity teoretyk wymowy, subtelny badacz stylu, był czytany pilnie przez ostatnie wieki starożytności, dobrze znany we wczesnym średniowieczu, a zgubił się, jak tylu innych, gdzieś między XII a XIII stuleciem.

Petrarka czytał tylko „deklamacje" obiegające pod jego imieniem i poznał się na fałszerstwie. Teraz miał w ręku *Kształcenie mówcy,* tak długo poszukiwane. Było ono w strzępach. Brakowało kilku ksiąg, a w tych, które ocalały, było wiele luk, zresztą rękopis był niedbały i pełny błędów. Między radością z tego, co posiadał, a tęsknotą za tym, co może gdzieś się ukrywa, swoim zwyczajem napisał list do ducha Kwintyliana, dzieląc się z nim swoimi uczuciami. Datował go z Arezzo: „W górnym świecie, między prawym stokiem Apeninów a prawym brzegiem Arna, w moim ojczystym mieście, gdzie po raz pierwszy dałeś mi się poznać, 7 grudnia roku od narodzenia Boga, którego twój pan* wolał prześladować niż uznać, 1350". W zbiorze listów Petrarki, przechowanym we Florencji, zacny Lapo di Castiglionchio dopisał przy tych słowach: „Prawdę mówisz, ponieważ ja ci go dałem podczas twej rzymskiej podróży, a przedtem nigdy go nie oglądałeś".

Jakby tu sam Kwintylian mógł coś poradzić, wołał doń Petrarka: „Jednego jeszcze pragnę: oglądać twe dzieło w całości i gdziekolwiek jesteś, błagam cię — nie ukrywaj się dłużej". Takie było humanistyczne autorów obcowanie,

* Domicjan.

żywych i umarłych, jakby świecka wersja tryumfującego i wojującego Kościoła. Rzeczywiście, pełny tekst Kwintyliana istniał, ale dobrze się skrył: w klasztorze w St. Gallen, skąd dopiero w sześćdziesiąt pięć lat później, zimą 1415 na 1416, wydobył go Poggio Bracciolini.

Rękopis, który był własnością Petrarki, jest dzisiaj w Paryżu i każdą stronicą świadczy o jego wzruszeniach, radościach, zachwytach. Co chwila sięgał po pióro, by to lub owo zdanie podkreślić i wyróżnić wykrzyknikiem. „Słuchajcie, zbyt pobłażliwi rodzice!“ — „Słuchaj, lekkomyślny naśladowco!“ — „Zapamiętaj to sobie, kaznodziejo!“ — „Uwaga, chciwi i drapieżni adwokaci!“ — „Pamiętajcie o tym, osły, których żadnym imieniem nie zaszczycę!“ — „Słuchajcie, nadęci nicością scholastycy!“ Wszystkich ściągał na marginesy tej księgi, jak przed trybunał, wszystkich, których nieuctwo, głupota, zarozumiałość nieraz mu dopiekła, wszystkich stawiał przed tym głosem rozumu i wiedzy, głosem tak bliskim, jakby jego własnym. I co chwila zdumiewał się, radował, i znów pióro krzyczało: Pięknie! Wspaniale! Szczera prawda! Stań i patrz!

Lecz najbardziej nas wzrusza, gdy sam ze sobą rozmawia. „Sylwanie, słuchaj: o tobie mowa!“ — „Czytaj uważnie, Sylwanie!“ — „A to znów przeciw tobie, Sylwanie. Odpowiesz w traktacie o życiu samotnym“. I w parę lat później dopisał: „Odpowiedziałem w miarę swych możliwości“. Sylwanus — Leśny — to on sam, Petrarka, jako postać w jednej ze swoich eklog. Tak imię to do niego przywarło, że i przyjaciele często go tak nazywali. Tu zaś, na marginesach Kwintyliana, brzmi jak pieszczota.

Z uniesieniem i z czułością czytał te karty, jakby z tamtego świata przysłany pamiętnik jego własnych studiów, rozważań, myśli. Urzeczony tą zbieżnością poglądów ilustrował ją na marginesach faktami ze swojego życia, wspomnieniami. Była to pochwała jego doktryny literackiej, którą zdobył własnym trudem, w zupełnej samotności, wbrew wszystkiemu nieomal, czym żył jego wiek i głos znakomitego nauczyciela tylu pokoleń, współobywatela dostojnej starożytności, utwierdzał go i jakby uświęcał w jego pracy. Teraz już nie miał wątpliwości, że wybrał właściwą drogę. Wyruszył w życie postanawiając przedłużyć, ożywić nowymi siłami tradycję literatury łacińskiej i oto zdobywał nowy dowód, że był do tego naprawdę powołany. Przez dwa następne wieki najświatlejsze umysły Europy myślały i czuły tak, jak czuł i myślał Petrarka w owym grudniu 1350 roku, pochylony nad postrzępionym kodeksem Kwintyliana, ojciec humanizmu.

Po drodze z Arezzo nie ominął Florencji, musiał jeszcze raz i to goręcej niż wprzódy podziękować panu di Castiglionchio, a zarazem odświeżyć przyjaźń z Boccaccio, która, jak każde nowe uczucie, domagała się nowych spotkań. Znów byli sobą oczarowani. Boccaccio miał w oczach łzy, gdy się żegnali.

— Nie możemy być tak daleko od siebie — powtarzał.

Po wyjeździe Petrarki zaczął działać. Z pomocą wszystkich przyjaciół i wielbicieli, jakich Petrarka miał we Florencji, bez trudu przekonał władze miasta, że trzeba coś uczynić dla wielkiego poety. Rzym dał mu wieniec, Paryż o to samo się ubiegał, Awinion obsypuje go beneficjami, Florencja może mu zwrócić ojczyznę. To właśnie zostało wyrażone w piśmie, jednym z najbardziej wzruszających, jakie kiedykolwiek pisarz otrzymał od rodzinnego miasta.

Do Czcigodnego Franciszka Petrarki
kanonika padewskiego

Poety uwieńczonego
a naszego najdroższego współobywatela
Prior Kunsztów i Gonfalonier Sprawiedliwości
ludu i miasta Florencji

„Od dawna już do uszu naszych i serc doszła sława twego imienia, najukochańszy nasz współobywatelu, szczęsna latorośli naszej ojczyzny..."

Cóż mu ofiarują? Oto „praojcowskie niwy", niegdyś zabrane jego ojcu a dziś wykupione od osób prywatnych. „Mały to dar, lecz potrafisz ocenić znając prawa naszego miasta, że dla nikogo nie zrobiono takiej rzeczy. Możesz więc swobodnie zamieszkać w mieście, w którym się urodziłeś. Czyż miałbyś nadal tułać się po świecie w poszukiwaniu cudzej pomocy i spokojnego domu w obcych stronach? Czyż nie nęci ciebie powrót do rodzinnego miasta, nad które z pewnością nie ma cudniejszego w całej Italii?"

List jest długi, przetkany cytatami z Wergilego, Salustiusza, Enniusza, Lukana, a w zakresie superlatywów nie pominięto ani jednego, jakim mogłaby się zadowolić najbardziej wymagająca próżność: „okrywasz chwałą nasz wiek", „sobie i naszej ojczyźnie winszujemy, że wydała tak wielkiego syna", „jesteś jedyny i nieporównany, podobnego nie oglądały minione stulecia ani przyszłe nie zobaczą", „światło i blask naszej ojczyzny"... W ostatnim zdaniu mówi się, że pismo zawiezie Giovanni Boccaccio, jako poseł nadzwyczajny.

Boccaccio znalazł Petrarkę w Padwie i otrzymał odpowiedź równie wymowną. Petrarka rozpływał się w wyrazach wdzięczności, zapewniał o swej radości i dumie, jaką go napawa tak niezwykły zaszczyt. „Co zaś do mojego powrotu, Bóg widzi, jak bardzo pragnę być posłuszny waszym rozkazom, lecz nie wszystko da się wyrazić pismem, powierzam to żywemu słowu waszego posła. Znakomity mąż, Giovanni Boccaccio, z którego rąk otrzymałem wasze pismo, powtórzy wam wiernie moje uczucia, tak jakbym je sam przed wami wypowiedział."

Nie wiadomo, jakie to były zlecenia, można się domyślać, że albo dyplomatyczne wykręty, albo targi o stosowne wyposażenie. Florencja była skąpa. Boccaccio, wysyłany w różnych misjach, był tak samo nędznie opłacany, jak w sto lat później Macchiavelli, który nieraz musiał się wstydzić swego ubóstwa na wspaniałych dworach, gdzie bywał posłem. Petrarka, przyjmując zaproszenie Florencji, musiałby się wyrzec niejednej kanonii zapewniającej przyzwoite utrzymanie, i albo należało się postarać o podobne beneficja w granicach Florencji, albo w inny sposób pokryć straty. Lecz wszystko za tym przemawia, że Petrarka nie kwapił się skorzystać z zaszczytnego zaproszenia i że był nim raczej zakłopotany.

Nie ufał swojemu miastu. Niepokój, który go zawsze nawiedzał wśród ciasnych ulic i murów, zamkniętych bramami i bastionami, ów niepokój, co wypędzał go na otwarte drogi i pola, wdarł się i teraz w jego myśli o Florencji. Ten „piąty żywioł", jak Bonifacy VIII nazwał niegdyś burzliwe miasto, nie zgadzał się z jego usposobieniem, zawsze skłonnym do samotności i spokoju, a z latami coraz bardziej spragnionym bezpieczeństwa i ciszy. Nie spodziewał się tego znaleźć we Florencji.

Florencja była rozgoryczona. Czegóż chciał ten człowiek, zmienny jak jesienna pogoda? Przecież nie kto inny, ale on sam w liście poetyckim, adresowanym do Zenobiego da Strada, upominał się o zaproszenie do miasta, które wygnało jego ojca. Przecież to on wyliczał w heksametrach wszystkie miasta, które go wzywały i obdarzały zaszczytną gościną, wszystkich książąt, którzy mu się narzucali z przyjaźnią, a czynił to po to, by na koniec słowem goryczy i rozdrażnienia wyrzucać Florencji jej milczenie. Teraz, gdy przemówiła nareszcie i zrzucając pychę z serca przemawiała niemal z pokorą, odpowiedział wyniośle i zachował się tak, jakby jej pismo miał zamiar zamknąć w szufladzie między pamiątkowymi szpargałami. Boccaccio nasłuchał się od swych ziomków gorzkich wymówek, w końcu Florencja cofnęła darowiznę i nie wspominało się już więcej o powrocie Petrarki.

On zaś myślał o innym powrocie. Oto nagle, z nieodpartą siłą wezbrała tęsknota za pustelnią w Vaucluse, której nie widział od czterech lat, za słodyczą jej pól, winnic, gajów oliwnych, za książkami, które tam zostawił, za domem pełnym wspomnień i snów, za pracami porzuconymi w połowie. Przesycony towarzystwem ludzi i własną sławą, chciał się ukryć w samotności, która pamiętała jego dni bezimienne. Wrócił w pełni lata, kiedy winogrona złociły się na gałęziach splecionych sposobem włoskim w girlandy od drzewa do drzewa, kiedy sad był rumiany od jabłek, a Sorgia skandowała po kamieniach swą nieśmiertelną eklogę.

XIII

S. P. Q. R.

Oczywiście nie mógł pozostać w ukryciu. Od dawna drogi z Awinionu do Vaucluse nie widziały tylu pojazdów, tylu konnych i pieszych wędrowców. Piękna pora roku sprzyjała tym wycieczkom i niejako usprawiedliwiała je przed zachmurzonym poetą, który musiał witać wciąż nowych gości. Okoliczni chłopi, zadziwieni liczbą kardynałów, biskupów, opatów, którzy zjeżdżali do źródeł Sorgii, wyobrażali sobie, że chyba sam papież spędza lato w ich stronach. Bardziej świadomi rzeczy sąsiedzi Petrarki nie wyprowadzali ich z błędu, bojąc się ośmieszyć nowiną, że skromny domek poety w Vaucluse jest celem tych pielgrzymek.

Awinion nie chciał się z tym pogodzić, że Petrarka znów zagrzebie się na wsi wśród książek i papierów. W kurii, gdzie był z krótką wizytą zaraz po przyjeździe, przyjęto go z wielką atencją i odtąd nie dawano mu spokoju ofiarowując stanowisko sekretarza apostolskiego. Lecz on stanowczo odmówił. Nawet w młodości umiał się ustrzec stanowisk urzędowych, byłoby głupstwem, gdyby teraz zdobyte znaczenie i sławę zamknął w jakimś utrapionym biurze. Przyjął natomiast zaproszenie komisji kardynałów, wybranej do ułożenia nowej konstytucji Rzymu, i przesłał im swoją opinię w dwóch memoriałach.

Nie wchodząc w szczegóły dotyczące ustroju władz i urzędów, milicji miejskiej czy podatków, pisał o wielkości Rzymu i godności wiecznego miasta, co chwila nasuwały mu się wyrazy: *Respublica Romana*, przykłady czerpał z okresu rzeczypospolitej, jakby przeskakiwał cesarstwo rzymskie, wyraźnie po to, aby pominąć również milczeniem jego średniowieczną imitację — cesarstwo rzymskie niemieckiego narodu.

W tym jednym był jasny i nowoczesny, że domagał się dla Rzymu rządu opartego na samych Rzymianach, na ludzie rzymskim, który te prawa zdobył jeszcze w pradawnych walkach z patrycjuszami. Wykluczając od rządu obcych przybyszów używał tych samych namiętnych słów, jakimi niegdyś podsycał gniew trybuna rzymskiego przeciw baronom. Uważał ich za ludzi obcych, za rody pochodzenia germańskiego, najeźdźcze, a w gruncie rzeczy uderzał w sam system feudalny, obcy łacińskiemu duchowi, który stworzył własną demokrację w czasach, kiedy Germanowie, jak dzikie zwierzęta, żyli w lasach. Cóż tu się głowić nad ustrojem Rzymu, skoro po wieczne czasy został on utwierdzony w tych świętych literach *S. P. Q. R.* — *Senatus Populusque Romanus!* Wystarczy tchnąć w nie nowe życie, wystarczy wrócić im dawną moc i chwałę.

Z karty, na której pisał, wyłaniała się niby znak wodny twarz trybuna. Petrarka odkładał pióro i wpatrywał się w pustą ścianę, na której widział cień swej głowy otulonej kapturem, i drżał, ilekroć poruszyły się płomyki świec w lichtarzu. Gdzie jesteś, Mikołaju?

Był w Pradze, w więzieniu. Cesarz Karol IV, pod którego opiekę uciekł Cola di Rienzo, długo nie wiedział, co począć z banitą. Cola zdumiał go i oszołomił. Zasypywał go listami, w których raz usprawiedliwiał swoje czyny, to znów snuł niezwykłe plany. Mówił o tiarze papieskiej, złotej koronie cesarskiej i srebrnej trybuna, który będzie księciem Rzymu. Kościół trzeba zreformować, wrócić mu dawną godność w ewangelicznym ubóstwie. Cesarz hamował go, jak mógł: *hortamur ut dimittas fantastica* — upominamy cię, byś zaniechał tych fantazji. W końcu zaczął go się obawiać słysząc, że w Awinionie zarzucają mu herezję, i odddał go arcybiskupowi praskiemu. Arcybiskup trzymał go jakiś czas w areszcie, oczekując wyraźnych wskazówek z Awinionu. Nareszcie papież upomniał się o więźnia.

„Przyszedł niedawno do kurii — donosił Petrarka swojemu przyjacielowi florenckiemu, Nelli — a raczej nie przyszedł, ale został sprowadzony jako jeniec, Mikołaj, syn Wawrzyńca, niegdyś groźny trybun Rzymu, dziś najnędzniejszy z ludzi, i doprawdy nie wiem, czy w swej nędzy godny jest litości ktoś, kto mogąc z taką chwałą zginąć na Kapitolu, wolał znieść więzienie najpierw w Czechach, później w Limoges i wystawić na pośmiewisko imię Rzymu i Republiki. Więcej niżbym pragnął jest wiadomo, ile to moje pióro zajmowało się jego imieniem i sławą. Kochałem w nim cnotę, sławiłem zamiary, podziwiałem ducha; winszowałem Italii, dostojnemu miastu, że zdobył nową władzę, całemu światu przepowiadałem pokój; nie zdołałem ukryć radości tryskającej z tylu źródeł, zdawało mi się, że sam jestem uczestnikiem tej chwały, byłem dlań bodźcem, o czym świadczą jego własne orędzia i listy. Zagrzewałem jego umysł wszystkim, co mogłem wymyślić dla rozżarzenia tej płomiennej duszy. Wiedziałem dobrze, że nic tak nie rozgrzewa szlachetnej piersi, jak sława i pochwała, nie szczędziłem ich więc, niejednemu wydawało się to przesadą, ale mnie szczerą prawdą — wspominałem dawne czyny, zachęcałem do nowych. Istnieją niektóre moje listy do niego pisane, bynajmniej się ich nie wstydzę, nie jestem przecież prorokiem a i on sam niczego nie przewidywał. Wtedy, kiedy je pisałem, był godny nie tylko mojej pochwały, ale i podziwu całej ludzkości — we wszystkim, co czynił i co zamierzał uczynić. Może tylko z jednego powodu te listy zasługiwałyby na zniszczenie, mianowicie: że wolał on żyć w pohańbieniu niż umrzeć w sławie. Lecz na niepodobieństwo nie ma

rady: gdybym nawet chciał je zniszczyć, nie potrafię — stały się rzeczą publiczną, nie mam nad nimi władzy. Wróćmy do sprawy.

„Wszedł więc do kurii pokorny i wzgardzony — on, który rzucał postrach na wszystkich złych ludzi w świecie, a dobrych napełniał radosną nadzieją i otuchą, on, któremu towarzyszył niegdyś cały lud rzymski razem ze starszyzną miast włoskich, szedł teraz między dwoma strażnikami nieszczęsny, a gawiedź miejska cisnęła się, by oglądać człowieka tak sławnego niegdyś imienia. Król rzymski odsyłał go biskupowi rzymskiemu..."

Cola di Rienzo został umieszczony w wieży najwyższej i najbardziej obronnej, zwanej Tour de Trouillas. Zbudował ją Benedykt XII rękami Saracenów. Sąsiadowała z kuchniami, przeto na dole zrobiono skład drzewa i węgla, który właśnie wchodził w użycie. Górne kondygnacje stały zazwyczaj puste, w ostatniej pomieszczono straż i arsenał, zwany „artylerią", ponieważ były tam kusze, balisty, strzały, nie licząc innego rynsztunku.

Cola di Rienzo dostał olbrzymią komnatę o trzech oknach na trzy strony świata, z potężnym kominkiem, w którym nie żałowano drew. Z pułapu zwieszał się długi łańcuch, który przytrzymywał więźnia za prawe kolano, zostawiając mu pewną swobodę ruchów, ale i przypominając każdym pobrzękiem o hańbie. Kupiono mu łóżko, okrycia, ubrania, karmiono resztkami ze stołu papieskiego. Z biblioteki papieskiej przysłano parę ksiąg — Biblię, Liwiusza. Miał przybory do pisania i korzystał z nich układając jakiś poemat religijny, o którym wnet mówiło całe miasto. Było to więc, jak czytamy w jednym z pism urzędowych, „więzienie zacne i dworskie" — *carcer honestus et curialis.*

Cola di Rienzo, zaledwie stanął w Avinione, rozpytywał się o Petrarkę: czy jest w mieście, czy o nim pamięta, czy przyjdzie mu z pomocą. Petrarka milczał. Cola di Rienzo był przyczyną tylu zmartwień i kłopotów, że nie chciał ponownie wtrącać się w tę sprawę, zdawało się, ostatecznie przegraną. O interwencji u papieża nie warto było myśleć: Klemens VI był jak najgorzej usposobiony dla trybuna. Był zresztą chory, co dało Petrarce sposobność narazić się wielu wpływowym ludziom.

Napisał do papieża list wzywający, by się wystrzegał lekarzy, którzy nic innego nie mogą zrobić, jak tylko wyprawić go na tamten świat. Cała jego zadawniona niechęć, pogarda, nienawiść do nadętych lekarzy, uznających siebie i uznawanych przez ludzi naiwnych za bezcenne naczynia wiedzy, a w gruncie rzeczy zasługujących na miano pustych pęcherzy, podyktowała mu słowa gwałtowne, szyderstwa niemal okrutne, jakimi ścigał wszelkie głupstwo ludzkie i oszustwo. To wywołało burzę w kołach lekarskich, a były one dość potężne, by zachwiać nawet takim stanowiskiem, jak Petrarki. Miał on z nimi do czynienia jeszcze przez długie lata, poświęcił im niejedno miażdżące pismo, równie zjadliwe i równie uzasadnione jak napaści Moliera, który godził w takich samych nadętych lekarzy z ich zacofaną medycyną średniowieczną.

Lecz Cola di Rienzo zbyt wiele zaważył w jego życiu, żeby Petrarka miał go w niedoli opuścić. Uczynił to, co uważał za najlepsze: napisał list do ludu rzymskiego, by się upomniał o swojego trybuna. List był właściwie broszurą czy ulotką bezimienną i miał na celu to, co nazwalibyśmy dziś „poruszeniem opinii publicznej". Najgorsze bowiem dla więźnia było milczenie. „Nikt się nie ośmiela — pisał Petrarka — słowem odezwać, chyba po kątach, w ciemności, lękliwie. Ja sam, który do was piszę, choć nie wahałbym się umrzeć, gdy-

by moja śmierć przydała się na coś Republice, teraz milczę i nawet w tym do was piśmie nie podaję swojego imienia — sądzę, że sam styl za podpis wystarczy, a dodam jeszcze, że przemawiam do was jako rzymski obywatel."

Był nim od czasu uwieńczenia na Kapitolu i w jego poetyckiej wyobraźni był to najszlachetniejszy z jego tytułów. Niechby mu ktoś odmówił prawa do niego, miałby Petrarka wówczas sposobność walczyć o to prawo z zapałem i uniesieniem, a nawet słowami Cycerona w obronie poety Archiasza! Lecz nikt mu tego nie przeczył: *civis Romanus* tak spadł w cenie, że to raczej Petrarka czynił mu zaszczyt podpisując się tym obywatelstwem. Jakże trudno dogadać się z poetami! Oto w pierwszym zdaniu swojego listu zwracał się Petrarka do ludu rzymskiego ze słowami: „niezwyciężony ludu mój, pogromco świata", a poczciwe mieszczuchy nad Tybrem nie wiedziały, czy przyjąć to śmiechem, czy płaczem. Jeden tylko Cola di Rienzo brał takie słowa na serio i za to pobrzękiwał dziś łańcuchem w Tour de Trouillas.

Nie wiemy, jaki skutek odniosło to orędzie. Czy poruszyło sumienie ludu rzymskiego? Czy lud rzymski upominał się o swego trybuna? Czy Petrarka nie szukał innych środków, by przyjść z pomocą człowiekowi, którego niegdyś tak podziwiał? To raczej nie ulega wątpliwości. Lecz odmianę losów trybuna spowodowała ostatecznie śmierć Klemensa VI. Nastąpił po nim Innocenty VI, co dla wielu wyglądało tak, jakby po dniu pogodnym nastała noc chmurna. Klemens VI kochał się w zbytku, w ucztach wystawnych, w łowach, turniejach, był hojny, nawet rozrzutny. Nigdy Awinion nie miał świetniejszych czasów.

Innocenty VI, surowych obyczajów, asceta, uchodził za skąpca. Tak patrzono w tym swawolnym mieście na każdego, co nie lubił chodzić z rozprutą kieszenią. Energiczny i samowładczy, zaczął od gruntownej reformy kurii, rozpędził na cztery wiatry tłum pasożytów, który ją oblegał, ścisnął niepotrzebne wydatki, wrzucił do pieca plany nowych pałaców, wież, ogrodów, malarzom kazał powiedzieć, że dość już ma fresków. Pomyślał natomiast o swoim więźniu. Odwołał zaczęty proces, uwolnił go od winy i kary i oddał pod opiekę kardynała Albornoz, który ruszył do Włoch dla uporządkowania stosunków w państwie kościelnym.

Cola di Rienzo długo się wlókł w świcie kardynała, póki nie dano mu na tyle swobody, by się mógł postarać o pieniądze i zebrać trochę wojska na wyprawę do Rzymu. Nie potrzebował go zdobywać. Na jego spotkanie rycerswo rzymskie z gałązkami oliwnymi wyszło aż do Monte Mario. Wjeżdżał do miasta przez most świętego Anioła, ulice były ozdobione łukami tryumfalnymi, z okien i balkonów zwieszały się kobierce. Poprzedzające go duchowieństwo śpiewało *Benedictus qui venit.* Okrzykom tłumów nie było końca. Witano go tak, jakby sam Scypion Afrykański wracał do Rzymu. Nazajutrz zjawiły się poselstwa z okolicznych gmin dla złożenia hołdu. „Tym razem już nas nie opuścisz" — mówiono. Tym razem okres jego rządów trwał dziewięć tygodni.

Cola di Rienzo zaczął tam, gdzie przerwał w roku 1347 — ruszył pod Palestrinę, gniazdo Colonnów. Oblężenie było przewlekłe, żołnierze zaciężni upominali się o zaległy żołd. Cola pożyczył pieniędzy u braci słynnego kondotiera Fra Monreale, lecz oto on sam, postrach całej Italii, zjawił się w Rzymie. Cola w lot pochwycił sposobność, by pozbyć się tej groźnej postaci i obłowić się jej majątkiem. Fra Monreale został uwięziony i ścięty na Kapitolu, u stóp schodów Santa Maria in Aracoeli. Wszystkie jego skarby Cola zajął i spłacił nimi

najbardziej dokuczliwe długi. Monreale był zbójem bez czci i wiary, lecz wzięto za złe trybunowi, że skazał go nie w imię sprawiedliwości, ale dla zysku.

Cola di Rienzo wciąż nie miał pieniędzy i szukał ich w coraz nowych podatkach. Obłożył nimi wino, podniósł cenę soli, wywołał oburzenie. Zaczęły się intrygi, spiski, trybun stał się podejrzliwy, nieufny, razem z winnymi aresztował niewinnych, kilka wyroków śmierci dopełniło miary. Mówiono głośno, że zabija ludzi, żeby zagrabić ich mienie.

Tak się złożyło, że otrzymał od papieża nominację na senatora późnym wieczorem i wobec tego odłożył publiczne odczytanie bulli na dzień następny. Nigdy nie została odczytana, bo nazajutrz wczesnym rankiem wyszły dwa szeregi zbrojnych — jeden z dzielnicy San Angelo i Ripa, drugi z dzielnicy Colonna i Trevi. Z okrzykiem: „niech żyje lud!" ruszyły na Kapitol. Tu, przed pałacem senatorskim zmieniły się okrzyki, wołano: „śmierć zdrajcy! precz z podatkami!" W okna pałacu posypały się kamienie, zaczęto podkładać ogień.

Od razu wszyscy opuścili trybuna. Biegnąc przez puste sale nie spotykał ani żywej duszy. W końcu porwał sztandar Rzymu i wyszedł na balkon. Obrzucono go kamieniami. Przegrał ostatnią stawkę. Gdyby mu dano przemówić, znalazłby słowa, które go nigdy nie zawodziły, i stłumiłby ten pożar. Uczynił tylko jedno: rozwinął sztandar i wskazał haftowane złotem litery *S. P. Q. R.* Był to ostatni gest, godny legendy.

Umknąwszy przed pociskami, przebrał się, twarz wysmarował czarną farbą, owinął się w płaszcz pastucha, głowę osłonił poduszką, by się uchronić od spadających belek: pałac już stał w ogniu. Cola spuścił się z okna i krzyczał tak, jakby należał do napastników. W pewnej chwili płaszcz zsunął mu się z ramion i odsłonił złote naramienniki, które zapomniał zerwać. Zdarto z niego płaszcz i tak, jak był, w ubraniu z zielonego aksamitu i purpurowych pończochach, wystawiony na pośmiewisko, wpadł w ręce tłumu. Nie wiedziano z początku, jak się zachować, prowadzono go pod kościół Aracoeli, lecz gdy ktoś z tyłu uderzył go w głowę, od razu błysnęły noże i podziurawiono go jak rzeszoto. Wleczono go za nogi aż na plac świętego Marcelego — tłum Tersytesów ciągnął po Rzymie zwłoki Hektora. Została z nich niekształtna masa, którą powieszono pośrodku placu. Zawleczony czyjąś stopą strzęp sztandaru zabłąkał się pod sam pręgierz, w błocie można było odczytać złotem haftowane litery *S. P. Q. R.*

Na trzeci dzień kazano Żydom ułożyć stos z zeschłych ostów i spalić na nim to, co było niegdyś ciałem trybuna. Działo się to u stóp mauzoleum Augusta. Popiół rozsypano na cztery wiatry.

Silniejszy od nich wiatr dziejów poniósł w dalekie wieki sławę tego imienia i echo fanfar, którymi Cola di Rienzo w dniu 1 sierpnia 1347 obwieścił niepodległość Italii. Odzywają się one przez cały wiek XIV i XV u Petrarki, u Boccaccia, u Leonardo Bruni, u Fazio degli Uberti, u Matteo Villani, u Poggio Bracciolini, u wszystkich pisarzy, którzy myślą, marzeniem, słowem przyśpieszali zjednoczenie włoskiej ojczyzny. Renesans przyjął trybuna do swojej chwały, ponieważ on, tak samo jak Petrarka, brał ze starożytności natchnienie wyższej kultury, wyższego stylu życia, wolności i pogardy dla przeżytych form.

(Dokończenie nastąpi)

Jan Parandowski

Mieczysława Buczkówna

O PÓŁNOCY

Jak nóż utkwiła w ziemi wojna,
Rękojeść rzuca cień
Po znieruchomiałych lądach,
To słoneczny zegar naszych czasów.

Eksplodują godziny,
W odmętach morza gasną,
Zbuntowane głębiny
Wypluwają zatrute światło
Na łuskach rybich.

Północ bije sercem stali.

Żelaza, turbin wrzask zagłusza głos człowieka,
Jego oddech zatruty odorem spalin,
Ramiona dźwigów silniejsze od jego ramion,
Mózg elektryczny sprawniejszy od jego mózgu,
Motory pomp sprawniejsze od jego serca.
Mnoży swoją wysokość piętrami wieżowców z kamienia.

Noc się przelewa nad ziemią.
Zmrużone radarowe oko
Czeka, —
Czy się zbudzi człowiek morderca.

ŚLEPCY

Słowik ma gardło ze srebra,
Kwiat diamentowej rosy pełne serce,
Szczerozłote rogi ma jeleń,

Drzewo szmaragdowych liści pełne ręce,
A człowiek jak żebrak
Białą laską stuka w czarną ziemię.

U OKULISTY

Szczególna to wzroku wada —
Gdy liść rozwija się z pąka
Widzieć już, jak opada,
W powrotnych skrzydłach skowronka
Zobaczyć skrzydła śniegu,
W olśniewającej urodzie
Ślad kosmetycznych zabiegów,
W sukien najnowszej modzie
Cienką nitkę nicości
I cmentarz zobaczyć za stołem
Nakrytym dla licznych gości.
Gdy mocną herbatę się parzy,
Przez listek skręcony w ukropie
Zobaczyć bunt marynarzy,
Tragarzy opuchłe ręce.
Ach, to przeszkadza okropnie —
Widzieć w obrączce zaręczyn
Zwiniętą żmiję zdrady
I kiedy mały chłopczyk
Podnosi drewniany karabin,
Widzieć — ogień, okopy
I wzrok tego, kto zabił.

MOJE NIEBO

Konstelacje, gwiazd przemyślne układy,
Cała ta misterna mechanika nieba,
Zawieszona w górze mędrcom dla zabawy,
Tropicielom śladów
Boskiej stopy,
Wyznawcom komet, pożeraczom mistycznego chleba,
Nie, nie — to wszystko nie moje.
Okno otwieram wieczorem,

Zdziwiona stoję
Przed nowym gwiazdozbiorem
Świateł Warszawy.

LARYNGOLOGIA

Laryngolog — słońcem na czole
W gardło mego synka zagląda.
— Adenoid jak orzech!
Zabieg by się przydał. —
— Więc co, panie doktorze...?
— Wyciąć! —
Zęby błysnęły w przyrządach.
— Ależ ja nie pozwolę!
Może ten chory migdał
Potrzebny, nie dla zabawy
Stworzony przez naturę,
Może to akumulator fantazji
Ze stacją tajemniczą
Połączony, może wyobraźni
Utajony to zalążek, a tej za nic
Nie trzeba pozbawiać,
Licząc...
— Nie ma obawy,
I tak się zregeneruje.—

Mieczysława Buczkówna

Julian Stryjkowski

GŁOSY W CIEMNOŚCI

(DALSZY CIĄG)

„TAJKU"

Kiedy, wychodząc od rabina, znaleźli się w ciemnej kuchni, Scharie powiedział ojcu:

— Poczekajcie, reb Tojwie, ja wam za to wszystko zapłacę.

Ojciec nie wyszedł razem ze wszystkimi. Na korytarzu, zamiast ku schodom, skręcił na lewo, do pokoju Pesi, córki rabina, matki Mojme i Lulka. Pesi, chuda i zgarbiona, wyglądała raczej na babkę niż na matkę swoich dzieci. Młode były tylko jej duże, niebieskie oczy, podobne do oczu jej ojca — rabina.

W niezbyt jasnym pokoju o wysokim suficie z gipsowymi stiukami panował nieporządek. Chodnik z czerwonego sukna, idący od drzwi do czarnych, prostych łóżek, wysoko zawalonych piernatami, strzępił się po bokach, miejscami odwijał się targnięty nieuważną nogą i ukazywał czysty pas podłogi. Na szafach stały krzaczaste, srebrne lichtarze, a na półkach walały się, rzucone byle jak, księgi oprawione w brunatną skórę, niektóre otwarte na niedoczytanej stronicy, Przez ledwo uchylone okno, pod którym w adamaszkowym fotelu siedziała młodsza córka rabina — Surałe, wpadało z podwórza niedojrzałe wiosenne słońce i dudnienie wozów z beczkami piwa.

Pesi zdjęła okulary, włożyła je do księgi, którą zamknęła i odsunęła na bok. Wstała na przywitanie ojca.

— A, dzień dobry, dzień dobry. Mój dostawca tabaki przyszedł. Sam Bóg was sprowadza. Siadajcie, siadajcie.

Pesi starała się szybko sprzątnąć ze stołu, nie wiedząc, od czego zacząć. Brała w rękę porcelanowe garnuszki z niedopitą kawą, dotykała chleba, szklanej maślniczki, pęczków młodej cebulki. Przestawiała z miejsca na miejsce.

— Porządek tu u mnie, szkoda słów, reb Tojwie. Naprawdę jak u „rabinowej w łóżku". Ha, ha — śmiała się, patrząc bezradnie na stół.

— Słyszycie, reb Tojwie — odezwała się Surałe, kładąc na kolana owalne lustro w srebrnej oprawie. — Czym ona się ucieszyła? Tabaką. Nie wami, tylko tabaką. — Surałe odwróciła się plecami do słońca. Pulchną ręką poprawiała na szerokich piersiach kremowe koronki różowej matinki.

— Ta Żydówka ma słuszność: reb Tojwie, „orzeźwijcie serce moje..." szczyptą tabaki. Co goj wie o łazankach? Skąd ona może znać smak tabaki, he, he, he. Co wy mówicie, reb Tojwie? Mam słuszność?

Pesi mrużyła oczy i patrzyła z ukosa, jak jej ojciec. Śmiech jej był bezgłośny: wstrząsała lekko przygarbionymi ramionami. Otwierała usta, tak że widać było drobne, rzadkie zęby. Na wysokim, gładkim czole, ujętym w jedwabną tasiemkę wełnianej peruczki, pojawiały się podłużne, cienkie zmarszczki, a bruzda między rzadkimi brwiami znikała.

— Sam cesarz nie jest cesarzem, jeśli nie zna smaku tabaki. He, he — śmiała się.

— Żeby objechać cały świat, to się nie znajdzie drugiej takiej kobiety z zakopconym nosem. Może gdzieś wśród Cyganów są takie kobiety, nie przymierzając, leniwe — mówiła Surałe. — Jak można ze siebie robić pośmiewisko!

— „Nie patrzcie na to, żem czarna jest jak namioty tatarskie, ale piękna jestem". He, he, he — śmiała się Pesi. — Piękna jestem. Co wy na to, reb Tojwie? Nu, głupstwa. Co to was, reb Tojwie, tak dawno nie było widać? Jak wasze zarobki? Wczoraj chodziłam do córki waszej sąsiadki — do Szlomci. Dałam jej coś uszyć. Spotkałam tam waszą żonę. Dzielna kobieta. Jak to jest napisane: „Dzielna kobieta, kto ją znajdzie..." Tak. Prócz tabaki mam do was jeszcze inny interes. Wyście pewno przyszli po księgę „Mojre Newichin"? Jest tam parę miejsc niejasnych dla mnie.

— Oj, zaczyna się. „Mojre Newichin". — Surałe zatrzepotała szerokimi rękawami matinki. — Rambam na pewno nie ma spokoju tam w grobie, odkąd ty się wzięłaś do „Mojre Newichin". Ty moja uczona głowo! Rabinacki mózg! Nie lubię ja kobiet, które pchają się, gdzie nie potrzeba!

— Widzisz, gołąbeczku! — zamykając oczy i przechylając głowę rzekła Pesi. — Bóg jest sprawiedliwy. Jednemu daje okrągłą twarzyczkę, a drugiemu... he, he, he... szczyptę tabaki.

— Szczyptę tabaki... Wiem, wiem. Mądrość. Zobaczymy, jak ty na swojej mądrości wyjdziesz. — Głos Surałe był zmęczony, ciągliwy.

— Na mądrości — odezwał się ojciec — myślę, jeszcze nikt źle nie wyszedł.

— Jak powiada nasz ojciec, Surałe? „Mądry Żyd nie musi mieć pejsów." Śmiało powiedziane, prawda, reb Tojwie?

— Mądrość... ho, ho — ojciec pokręcił głową — to wielka wygrana, to nauka, to wiedza, to czystość myśli. A czystość myśli, to czystość uczynków. Wszystko inne to obwarzanek za centa. Wszystko inne jest czcze. „Próżność próżności — wszystko próżne." — Tylko nauka nie. Kto zasmakował w nauce, ten zaznał prawdziwego szczęścia. Ten przylgnął ustami do źródła prawdziwego życia.

— Oj, reb Tojwie, „z prochu powstałeś, w proch się obrócisz" — powiedziała śpiewnym głosem Pesi. — To cała mądrość.

— „Świat ten jest tylko przedsionkiem" — odpowiedział ojciec tak samo śpiewnie. — W przedsionku pałacu oczyszczasz się przed wejściem do króla. Wiedza jest lustrem, w którym możemy się przejrzeć, zanim staniemy przed tronem Przedwiecznego — na tamtym świecie.

— Wiedza tu, wiedza tam — Surałe rozkładała ręce. — Ja wiem jedno: „Jak nie ma mąki — nie ma nauki". To moja wiedza na „jednej nodze". To moja mądrość.

— Niech ci będzie z nią dobrze — do stu dwudziestu lat, he, he, he — bezgłośnie śmiała się Pesi, wstrząsając ramionami i zamykając oczy.

— Kobieta Żydówka — po co jej wiedza? Mój Chaskiel nie potrzebuje uczo-

nej żony. Nasze zajęcie, to podobać się mężowi — a Bogu to i tak się spodoba.

— Trudno odmówić tej Żydówce słuszności — powiedziała Pesi, zwracając się do ojca. — Dla żydowskiej córki mąż jest wszystkim. A poza tym powinna co dzień dziękować Bogu, że ją stworzył według swej woli.

— Nie każdy mąż, o nie, moja droga. — Surałe zatrzepotała szerokimi rękawami. — Uczoność... Od męża, który pachnie uczonością, trzeba uciekać na dziesięć mil. Tobie to mówię co dzień, Pesi. Twój Meierł... — Surałe machnęła ręką. — A wasza żona, reb Tojwie, nieraz mi to mówiła.

— Mnie też czasem mówiła — uśmiechnął się ojciec. — Ja wcale jej nie zaprzeczałem.

— Nie zaprzeczałem! — Surałe powtórzyła tym samym głosem.

— A co mam robić? — spytał ojciec.

— Ja mam wam dawać rady? Skąd ja mogę wiedzieć? Ale jakiś sposób można by zawsze znaleźć.

— Jaki? — spytał ojciec.

— Pomagać żonie w handlu.

— Mądra rada, mądra. Ale nie dla mnie.

— Dlaczego nie?

— Już próbowałem — powiedział ojciec. — Żona mnie raz zostawiła w budce. Nakazywała mi, żebym nic nie sprzedawał, tylko uważał. A sama poszła do domu na chwilkę. Mój Modche był chory. Jego jeszcze nie było wtedy na świecie — ojciec pokazał na Aronka — córka była w szkole i Modche leżał sam. Był chory na „koszulę". Po dziś dzień zostały mu białe plamy na ciele i jedna siwa rzęsa. Trzeba mu było robić ochładzające okłady. A kiedy moja Elke wróciła, brakowało całej sztuczki płótna. Dotychczas nie wiem, jak to się mogło stać.

— He, he, he — roześmiała się Pesi. — Z nas byłaby dobra para. U mnie ukradliby od razu dwie sztuczki.

— Jest się czym chwalić — oburzyła się Surałe. — Zresztą, nie obrażając reb Tojwie, nie potrzebujesz szukać do siebie pary. Meierł też wystarczy.

— No, to co mam z nim zrobić? He, he. Wyrzucić go? Taki jest, a nie inny — powiedziała Pesi.

— Ale jak długo można siedzieć na karku starym rodzicom? Nasz ojciec już nie jest młody, żeby żył do stu dwudziestu lat, i już nie ma zdrowia. Czy twój Meierł myśli być wiecznie „na wikcie" u teścia rabina? Myśmy z Chasklem...

— Oj, Surałe, Surałe — przerwała jej Pesi — mówisz tak, jak mój Lulek, he, he, kiedy bawi się z dziećmi. „Myśmy nie chcieli dać rozwodu twojemu tate - mame. Myśmy..." Ty sobie żyj z Chasklem spokojnie do stu dwudziestu lat. Broń Boże, od was nic nie bierzemy No więc? Ty się o nas nie martw. Meierł jest niedołęga. Ale nie większy niż każdy inny Żyd, który musi żyć ze swojej uczoności. Wyjedziemy stąd do Szczerzec. Może tam otrzyma fotel rabinacki.

— Kiedy wyjedziecie? Nic o tym nie słyszałem — rzekł ojciec.

— Na razie nic nie wiem. Na razie pojedzie sam Meierł. Ja z dziećmi jeszcze zostanę przez lato. Myślę na ten czas, kiedy ojca nie będzie, oddać Mojme i Lulka do was na naukę. Ale chciałabym, żeby uczyli się, jeśli to możliwe, u mnie w domu. Żebyście przychodzili na parę godzin do nas. Może być wieczorem, kie-

dy skończycie u siebie w domu naukę ze swoimi uczniami. Czy będziecie mieli wieczorem czas dla moich dzieci, reb Tojwie?

Ojciec zaczerwienił się.

— Czas mam. Będę mógł przychodzić o każdej porze. Ja już nie mam ani jednego ucznia. Oprócz swoich własnych synów, za których mi nikt nie płaci. — Ojciec usiłował uśmiechnąć się.

— Ani jednego? Co się stało? Macie zamiar zmienić zajęcie i stać się bogaczem, he, he, he? — Pesi spojrzała na ojca ukośnym spojrzeniem. — No, to życzę wam szczęścia. Nie, bez żartów. Co się stało? Czy wy sami...

— Ostatniego ucznia — przerwał jej ojciec — straciłem wczoraj. Reb Scharie odebrał mi go i nie uprzedził mnie nawet o tym. Co zrobić?

— Scharie? — spytała Surałe. — To ten, co dziś był u ojca - rabina na sądzie. Ładny Żyd, o, to jest mądry Żyd.

— Mądry? Ale jego mądrość nawet z pejsami to... — ojciec szukał jakiegoś słowa — jak mówi rabin — ojciec zwrócił się do Pesi — mądry Żyd nie musi mieć pejsów... a w każdym pejsie Schariego tkwi oszustwo. — Ojciec sięgnął do kieszeni bekieszy, wyjął tabakierkę i spytał:

— Pesi, chcecie trochę tabaki?

— Jak się to stało? Jak to się stało? Ani jednego ucznia! — Pesi wzruszała raz po raz przygarbionymi ramionami.

— Pesi, wyście chcieli się spytać o jakieś niejasne miejsce w „Mojre Newichin".

— To po prostu wygląda jakby naumyślnie...

— Na pewno wam idzie o miejsce, gdzie Rambam...

— To po prostu, jakby wszyscy zmówili się przeciw jednemu...

— Wyście się pytali, czy przyszedłem po książkę...

— Dlaczego się zmówili? Dlaczego? Powiedzcie mi, reb Tojwie, dlaczego?....

— Pesi...

Pesi gwałtownie potrząsnęła głową:

— Nie, nie! Odpowiedzcie mi na to pytanie! Dlaczego?

Ojciec uśmiechnął się.

— Na to pytanie nie ma odpowiedzi. To jest „tajku".

Surałe odłożyła owalne lustro w srebrnej oprawie na parapet okna. Leniwie dźwignęła się ze swojego fotela, obitego wypłowiałym atłasem. Teraz dopiero Aronek dostrzegł, jaka ona była mała i gruba. Jakby kto nałożył stos poduszek.

— Dlaczego nie rozumiesz? — powiedziała — Ja rozumiem. — Surałe ziewnęła. — Już późno. Mój Chaskiel pewno zaraz wróci. Może już nawet przyszedł. — Surałe tłustymi rączkami otrzepywała sute koronki różowej matinki. — Pójdę zobaczyć, czy Jenta zgotowała tam obiad. Nieszczęście, nie kucharka. Świece dałabym do bóżnicy, aby się jej pozbyć. — Surałe stęknęła. — Dlaczego? Dlaczego? — udawała głos Pesi. — Nie wie dlaczego — kiwnęła z politowaniem głową. Miała dużą głowę i rudawą perukę. Chwiejnym krokiem poszła ku drzwiom.

*

— Ach, Bóg z nią — powiedziała Pesi. — A może... Bóg wie, może ona ma słuszność. W każdym razie jej lepiej niż mnie, niż wam, reb Tojwie. Może ona rozumie wolę bożą lepiej niż ja.

— Wola Boga. — Ojciec podniósł jasne brwi. — Ijow chciał poznać wolę Boga. I król Salomon chciał poznać wolę Boga i powiedział: „Próżność próżności — wszystko próżne". Bo nic od człowieka nie zależy. W każdym człowieku są dwie dusze: dobra i zła. Każdy ma w sobie anioła dobra i anioła zła. I który z nich silniejszy — ten bierze górę i kieruje naszą ręką.

— To znaczy, że każdy grzech lub dobry uczynek idzie na rachunek anioła dobra lub zła. Gdzie się więc podziewa człowiek? — Pesi wyjęła z księgi okulary, nasadziła na nos i zaczęła przewracać kartki w księdze. — I jak to pogodzić z wiedzą, tym największym dobrem? Bo po co byłaby potrzebna?

— Gdzie się podziewa człowiek? Dla nas nie może istnieć takie pytanie. Na takie pytanie talmud odpowiada „tajku". Pytanie zostanie nierozwiązane. A takich pytań jest bardzo a bardzo dużo.

— I trzeba z nimi czekać aż na przyjście Mesjasza?

— Albo do własnej śmierci...

— Czy dla żyjącego nie ma to większego znaczenia niż dla umarłego? Życie... — Pesi zawahała się i umilkła. Położyła na usta białą dłoń o długich, cienkich palcach, jakby chciała cofnąć wypowiedziane już słowa.

— Życie... co życie? Nasza krew, żywa krew wytwarza sztuczny blask dla oczu i człowiek bierze rzeczy tylko tymczasowe za stałe, za najważniejsze.

— Ale jak może żyć bez tego?! — Pesi znów się zawahała i głośno zawołała — Tak, tak. Sprawy tego świata są najważniejsze. Tamten świat to jest obiecanie. Te rzeczy, które nas otaczają, nas bolą lub radują... I to jest bardzo ważne.

— One są jak ból zęba — spokojnie mówił ojciec. — Wydaje się nam, że to najdotkliwsze i że się to nigdy nie skończy.

— Trzeba się więc pomęczyć? I to wszystko? Ale co poza tym? — pytała i duże, niebieskie oczy zaczęły drgać jakby pociągane niewidoczną nitką.

Ojciec westchnął:

— „Tajku".

— Rabin Johanan ben Zakaj, który przeżył oblężenie Jeruzalem, jadł dziennie jeden daktyl. Od postów wychudło ciało. To już nie było ciało, tylko duch. Pokonał w sobie żywą, jak wy mówicie, krew. Czy on też kładł sobie rękę na usta i mówił „tajku"? A Baal-Szem kazał Żydom tańczyć w polu i nasycać duszę radością, czy on nie znalazł cząstki odpowiedzi na „tajku"? Czy w zachwycie i radości, pijanej radości chasydzi nie zbliżali się bardziej do Boga niż postem i umartwieniami? Czy oni nie byli w przedsionku poznania?

— Był jeszcze jeden — zaczął ojciec drżącym głosem — wcześniej niż Baal-Szem. Jego imienia nie wolno wypowiadać. Pamięć jego obłożona jest klątwą — Acher — „Inny". „Inny" — to jest teraz jego imię. Bóg pozwolił mu zajrzeć za życia za zasłonę. I został rażony ślepotą. To, co ujrzał, było silniejsze niż ludzki rozum... Nie mógł ludzkim umysłem ogarnąć tego i pomyślał, że to wszystko jest kłamstwo. Nie wytrzymał blasku i siły najwyższej. Stracił wiarę i imię. Stał się „inny" — wyklęty.

— Boże — wyrwało się z ust Pesi — chroń mnie od złych myśli. Ale oprócz Achera byli tam jeszcze inni. Był rabi Akiba, a on wytrzymał i wyszedł cało. Ujrzał blask za zasłoną i nie oślepł. Przecież on też miał ludzkie oczy i ludzki rozum.

— To była łaska boża...

— Tak, łaska boża. Dlaczego nie spływa ona na cały świat? Na wszystkich? Co by Bogu szkodziło, żeby na przykład każdy człowiek znał Tajemnicę? Wtedy ludziom byłoby dobrze. Co by Bogu szkodziło, żeby taki na przykład Żyd jak wy, pobożny, nie męczył się? Żeby nie musiał patrzeć w ręce i oczy nie dorastających mu do pięt? Ijow pyta, dlaczego sprawiedliwego Bóg doświadcza, a niesprawiedliwego zostawia w spokoju? Dlaczego wy, pobożny Żyd, macie życie gorsze od Schariego, który nie wart jest waszej podeszwy?

— Co by Bogu szkodziło?... — uśmiechnął się ojciec. — Tak samo mówiła w sądzie prosta kobieta — Ester. Co by Bogu szkodziło, gdyby jej mąż, Bendyt, miał kłopoty z sądem, a nie ona...

Pesi machnęła ręką.

— He, he. To już taki zwyczaj u Żydów. Wciągać Boga do małych interesów. Ja przynajmniej chcę wprowadzić go do wielkich interesów. Jak Żyd otwiera rano sklep, to chciałby, żeby Bóg stanął na progu sklepu i wciągał mu za rękaw kupujących, a jak Żydówka kupuje kurę — żąda od Boga — przecież to na sobotę — żąda od Boga, żeby odebrał gojowi resztki marnego rozumu. Żeby goj oddał jej kurę pół darmo.

— To prawda. Żydzi biorą Boga za wspólnika. Po pierwsze jemu nic nie trzeba oddawać z zarobku, jeśli interes jest czysty, a jak jest jakaś machinacja, to można Go podkupić, dać świecę do bóżnicy, jałmużnę, żeby przymknął jedno oko i żeby pomógł. Przecież tu chodzi o zarobek. A zarobek, to zdrowie żony i dzieci. A naród żydowski — to Tyś przecież wybrał sobie. No to pomagaj. Reb Scharie mówił, że był gotów przysiąc. A krzywoprzysięstwo jest droższe i trzeba by nie tylko dać świecę i jałmużnę, ale może wydać jakąś żydowską sierotę za mąż. Reb Scharie jest pewny, że Bóg trzyma jego stronę. Zresztą wcale nie za darmo. Kupił torę, urządził sobie bóżniczkę.

— O co się prawował z tymi Żydówkami? — spytała Pesi.

— Reb Scharie zabrał spadek po swojej teściowej, a im chce rzucić obgryzioną kość.

— A jak ojciec zawyrokował!?

— Właśnie w tej sprawie przyszedłem do was. Tym razem chcę, abyście wy mnie pomogli. Rabin, wasz ojciec, nie chce sam wyrokować i przyciąga do sądu rabina z Mościsk. A ja rabina z Mościsk dobrze znam.

— Zdaje się, Scharie u niego kupił torę? — spytała Pesi.

— Tak. Czy nie byłoby wskazane, żebyście pomówili z rabinem, waszym ojcem? Wasz ojciec ceni waszą mądrość, Pesi.

Pesi zastanowiła się:

— Niedobrze zacząć z takim Żydem jak Scharie. Jeśli on gotów jest krzywoprzysięgać — to jest wrogiem nie do pokonania, bo gotów na wszystko. I my możemy okazać się bezsilni. To cierpki Żydek. Taki człowiek może zgubić człowieka bez westchnienia.

— Ja Schariego znam. Wiem, co on potrafi. Wiem o nim więcej niż niejeden w mieście. Wasz ojciec jeszcze nie był rabinem w naszym mieście. To było ja-

kieś dwanaście lat temu. Był tylko jeden rabin, rabin z Mościsk. W sobotę czytałem po porannej modlitwie torę. Już się tak ułożyło, że Scharie miał zawsze pierwszeństwo. Wywoływano go do tory pierwszego. Raz, czy była to pomyłka, czy było to za wiedzą rabina z Mościsk, zamiast Schariego wezwano pierwszego reb Sendera, bogatego Żyda, właściciela sklepu z żelazem. Scharie nawet nie doczekał do końca modlitwy, zdjął tałes, włożył go do woreczka i poszedł do domu. I rozpoczęła się wojna reb Schariego z reb Senderem. Reb Sender musiał opuścić miasto. Doprowadził go do bankructwa. Rozbił partię syna Sendera z jakimś bogatym kupcem z Drohobycza. Chodził do starosty. Pisywał jakieś listy, zdaje się aż do samego cesarza. Zadenuncjował go w sprawie podatków, że fałszuje weksle i Bóg wie co jeszcze. Krótko mówiąc, Sender zbankrutował, zamknął sklep. Próbował się ratować sprzedażą domu. Też nic nie pomogło. Połowę domu Scharie kupił przez jakiegoś podstawionego człowieka, zdaje się czarnego Szułyma, a druga połowa przypadła lichwiarzowi Symche, któremu Sender był już od dawna winien dwa tysiące reńskich. I koniec końców reb Sender musiał wyjechać z miasta do swego teścia, właściciela garbarni w Bolechowie. A Scharie spokojnie modlił się u rabina z Mościsk i jego pierwszego wzywano do tory.

— I mimo to, reb Tojwie, chcecie z nim zacząć wojnę? On jest silniejszy od was. Dajcie temu spokój. Powiedzcie sobie „tajku" i niech wszystko popłynie z wodą. Ostatecznie przyjdzie na niego koniec też. I bez was.

— Nie. To dla mnie nie jest „tajku". To nie powinno być „tajku". I dla rabina, ojca waszego, to też nie jest „tajku". Choć boję się, że rabin, ojciec wasz, chce ratować wszystkich Żydów — a nie tylko sprawiedliwych. Powiedzieliście przedtem, że wy chcecie Boga wciągać do dużych interesów. Co to znaczy? Że macie z Nim inny rachunek niż ci, co zapominają lub nie wiedzą, że „próżność próżności — wszystko jest próżne" — prócz wiedzy, mojej wiedzy, tej, co ja mam, której nikt poza mną nie ma...

— A ojciec mój, rabin? Ho, ho....

— On ją ma, ale stara się rachunek z Bogiem zmniejszyć. Rabin powiedział mi dziś, że nie wolno sądzić według tego, co czuje serce. To znaczy jego wiedza mu nie starczy. On musi mieć czarne na białym... On się boi pomyłki. Jakby dwaj świadkowie, tylko dlatego, że im Bóg dał oczy i uszy, mogli uchronić od pomyłki.

Pesi roześmiała się swym bezgłośnym śmiechem.

— Wasza żona nazywa was „policjantem Boga". Ona ma rację.

Ojciec skrzywił się:

— Tak, prosta kobieta — westchnął.

— I dzielna. Bardzo dzielna — żywo zaprzeczyła Pesi.

Ojciec nagle wstał:

— Pesi! A więc pomówicie z rabinem, ojcem waszym?

Pesi zawahała się.

— A co mam mu powiedzieć?

— Że rabin z Mościsk nie może być pomocny przy wydawaniu sprawiedliwego wyroku — rzekł ojciec. — Że nie tam szukać trzeba sprawiedliwości. To nie jest źródło, z którego pić można wiedzę.

— A czy naprawdę rabin z Mościsk może zaszkodzić sprawiedliwości?

— Jestem tego pewny.

— W każdym razie zwrócę ojcu swemu uwagę na to, że Scharie kupił torę u rabina z Mościsk.

— Nie to jest ważne, o tym on wie — zniecierpliwił się ojciec, opowiedzcie rabinowi, ojcu swemu, historię z Senderem.

W drzwiach ukazała się nieśmiało głowa dziewczyny. Była to Szlomcia.

— A, przyszliście już z ubrankiem — uradowała się Pesi. — Wejdźcie, wejdźcie, złotko. Siadajcie sobie. Zaraz wam zapłacę. Szkoda tylko, że nie ma Lulka, od razu by przymierzył.

Szlomcia weszła do pokoju. Na ręku mjała przewieszone aksamitne ubranko Lulka z koronkowym kołnierzem. Podobne ubranko miał Aronek, zrobiono mu je na uroczystość rozpoczęcia nauki w chederze. Jak to było strasznie dawno. Latem ubiegłego roku. Kołnierzyk już spruto. Ubranko zniszczone. Już nie cieszy go, kiedy wdziewa je w sobotę. Na nowe czekać trzeba chyba aż do przyszłych świąt wielkanocnych. I Aronek po raz pierwszy poczuł litość dla ojca. Podejrzliwie spojrzał na chude, drżące ręce Pesi, które przyjmowały od Szlomci nowe ubranko.

Szlomcia, odchodząc, zwróciła się do ojca:

— Dobrze, że was widzę. Wasza żona od dwóch godzin szuka was wszędzie. Nie może wejść do domu, żeby sobie wziąć do budki obiad. Klucz od kłódki zabraliście ze sobą.

KSIĘŻY SAD

Wiosna, która zaczęła się od rzeki, od łęgów omglonych żółtą mgiełką łozin i rzadkiej olszyny, przeszła przez jałowe pole z trzema starymi jesionami, minęła okrytą szarozieloną szczeciną traw, usianą kamieniami drogę, prowadzącą od rzeki do miasta, przekroczyła zamulony potok, ledwo dotknęła nigdy nie wysychającej ulicy Garbarskiej i jednym zielonym ramieniem otoczyła cerkiew z wieńcami starych kasztanów, a drugim objęła ogród szpitala żydowskiego i „czarny" sad ruskiego księdza. To już znaczyło, że wiosna dotarła wreszcie na plac Bóżniczy — do połamanych klonów.

Połamane klony, „odnawiane" przez cierpliwy magistrat, który rokrocznie sadził młode drzewka, znów broczyły pod scyzorykami i gwoździami chłopców zielonym sokiem, znów puszczały, mimo wszystko, nowe pędy. Klony stały jak przy modlitwie, twarzą zwrócone na wschód, w jednym szeregu wzdłuż wschodniego muru wielkiej bóżnicy.

Tylko szames wielkiej bóżnicy, trzęsący się od starości Jideł-Łajb, ujmował się za ich krzywdą. Napadał na chłopców, wymachiwał jesionową pałką i piskliwym głosem przeklinał:

— W piekle będą ci tak palce, jeden po drugim, obcinać, bękarcie jeden! Co ci szkodzi, że sobie rośnie? Szkodzi ci to? Prawda, że nie. Więc niech sobie rośnie. Może mur jest jeszcze mało odrapany? Prawda, że odrapany. Więc niech sobie rośnie. Niechby tylko troszkę zasłoniło przed deszczem — to już też dobrze.

Kiwe-Łoszak wystawił długi, drżący język i nie przestawał dłubać scyzorykiem w korze. Powstawała powoli tarcza Dawida.

Kiwe-Łoszak, syn chudej Chaje i czarnego Szułyma, był o dwa lata starszy od Aronka. Targał dziewczynki za włosy i podnosił im sukienki. Rozpędzał je, kiedy się bawiły.

Diewczynki rozbiegały się i piszczały:

Kiwe-Łoszak — zdechły łoszak.
Czarny Szułym — zdechły koń.

a pojedyncze głosy dodawały:

— Idź do twego taty handlować zdechłymi końmi!

Aronek poszedł do ojca do besmedrysz. Lejzor Steif, gospodarz, wpadł do pokoju i złościł się:

— Co? Nikogo nie ma? Ja tu zaraz zrobię u was „czarną sobotę". Idź, zawołaj mamę albo tatę. Jak długo ja mam czekać na komorne?

Ale ojca Aronek nie znalazł. Wracając z besmedrysz usłyszał pisk szamesa Jideł-Łajba i przystanął, żeby zobaczyć, co robi Kiwe-Łoszak.

— Czego się gapisz, mełamedczyk? — Kiwe seplenił. Miał zepsute zęby, jak jego matka, chuda Chaje.

Aronek nic nie odpowiedział. Stał i przyglądał się.

— Wiesz, co to jest? — spytał Kiwe. — Byłeś w łęgach? Nie? To jeszcze nie wszystko. Do środka trzeba wpisać imię chłopca i dziewczyny. Nie byłeś w łęgach? Tam na każdym drzewie są takie imiona. To są narzeczeni. Ja tu wpiszę... — Kiwe zaczął dłubać scyzorykiem w zepsutym zębie. — Wpiszę, chi, chi, ciebie i Fajgełe. Nie, jeszczebyś się ucieszył. Ty jesteś jeszcze za mały. Wpiszę Froimka i Bajłe.

Kiwe wbił nożyk w korę. Po chwili powiedział:

— W szpitalnym ogrodzie jest też takie drzewo, koło budki. Chodź, pójdziesz ze mną, to ci pokażę.

*

W dzień powszedni było tu pusto. Na końcu nie ostrzyżonego żywopłotu, pod białym murem budynku siedział stary, chory Żyd w szpitalnym chałacie i wygrzewał się na słońcu. Od chłodnej, kamiennej posadzki wąskiego korytarza wionęło ostrym zapachem.

Pod oknami wychodzącymi na ogród, na wąskich, nierównych grządkach gubiła się wśród chwastów młoda cebulka i „miesięczne" rzodkiewki. Ogrodzenie z suchych prętów i gałązek ze zwiędłymi liśćmi oddzielało je od właściwego ogrodu szpitalnego. Na ścieżki popstrzone kępkami trawy i jałowymi łodyżkami mniszka osypywały się białe i różowe płatki kwiatu jabłoni i gruszy. Tu i ówdzie stały próchniejące drzewa z dziuplami. Rzadkie konary wiły się w skrętach. Rosły na nich biało-zielone, pokryte meszkiem młode listki. Trawę przy ścieżce wydeptywali sobotni goście, ale głębiej ciągnęło się nietknięte nogą pole, żółte od „ślepunder". Żydowskie dzieci ich nie zrywały. Wydzielały mlecz, przynoszący ślepotę. Tylko gojowskie dzieci bez obawy plotły z gładkich, obłych łodyg mniszka lepkie łańcuchy. Na polu leżały belki, deski, rozbite cegły, kamienie, żelastwo, blaszane garnki dziurawe lub bez dna. Wszystko rzucone, dawno zapomniane.

— To jest to drzewo — Kiwe pokazał wycięte w korze serce ze strzałą. Pod drzewem rozpadała się stara altanka.

— Wiesz, co to znaczy? To znaczy, że oni się kochają. Chcą się żenić — objaśniał Kiwe. — Naprzód trzeba być narzeczonym, a potem podrasta się i można się już żenić.

Przy ilu latach można się już ożenić? — spytał Aronek.

— Bajłe Zełde-szmaciarki mówi, że jej wolno już mieć męża. Jej ojciec ją za to bije. Jak nikogo nie ma w domu, zbiera chłopców z podwórza i pokazuje, jak jej rosną piersi. Potem wszystkich wyrzuca i zostaje z Froimkiem.

— Kiedy Modche będzie mógł się ożenić? On już dawno kładzie tefilin, wiesz, Kiwe?

— Jak mu wyrośnie broda.

— Jemu już zaczęła róść.

— Kłamiesz! Naprawdę?

— Tu — Aronek pokazał palcem koniuszek podbródka — ma już parę włosów. A na wąsach ma już dużo włosów. On będzie miał od razu siwą brodę. Ma jedną siwą rzęsę. Jak był mały, to był chory i ojcu ukradli płótno, a teraz Modche ma siwą rzęsę.

— Ech, to jeszcze nic nie jest. To jeszcze nie jest prawdziwa broda. A broda sama, to też nic nie znaczy. Ty wiesz, skąd się biorą dzieci? Ty jesteś na to za mały. Ja wiem.

— Powiedz mnie też — prosił Aronek.

— Wiesz, co Bajłe powiedziała Froimkowi? Ty masz guzik, a ja mam pętelkę. I objęła go. Od tego się robi wielki brzuch, a potem się rodzą dzieci.

Aronek skrzywił usta. Nie podobało mu się to.

— To nieprawda. Kłamiesz. Jak Bóg chce, to się ma dziecko, a jak Bóg nie chce, to się nie ma dziecka.

— Nie wierzysz? Możesz nie wierzyć. Ja też nie wierzyłem. Ale sam widziałem. Tutaj w budce. — Kiwe pokazał na rozpadającą się altankę pod jesionem. — Naprzód on wyciął na drzewie tarczę Dawida. Potem wszedł do budki. Tam siedziała Fańcia. I zaczęli się całować. Ja jego też znam. To jest goj. Syn ruskiego księdza. Przychodzi do nas, do Seliga. Co też ma trzy złote paski na kołnierzu. Razem chodzą do jednej szkoły. Selig pisze dla mnie zadania do szkoły. Zawsze, kiedy on przychodzi do Seliga, przychodzi Fańcia. Mama krzyczy, że wyrzuci Seliga z mieszkania.

Aronkowi przypomniał się gospodarz, długi Lejzor. Groził, że więcej nie będzie czekał. Robił co dzień awantury. Niech sobie matka odbierze kolczyki. Po co to ma u niego leżeć? On się nie bawi w fanty. Jemu potrzebne są pieniądze.

— To gdzie Selig będzie spał? — zmartwił się Aronek — Na dworze?

— A niechby nawet na dworze. Albo nich sobie jedzie do Monasterc do domu. Po co sprowadza syna księdza? Ale tymczasem mama go nie wyrzuci. Płaci co czwartek pięćdziesiąt centów.

— To może długi Lejzor nas też nie wyrzuci?

— Nie. Cały dom jest jego. Do niego przychodzi Scharie. Do nas Scharie też przychodzi i mówi, że chce kupić u Lejzora dom. I was wyrzuci. Wy jesteście biedni. Twój ojciec nie ma uczniów.

Aronek posmutniał. Czy ojciec wrócił do domu? Trzeba szybko pójść do do-

mu. Klucz od kłódki jest u wdowy Giteł. I Lejzor pewno wziął klucz, otworzył sam i wszedł. Może teraz właśnie Lejzor, Scharie i stróż Prejmycz wyrzucają przez okno łóżka, stół i krzesła. A ten pan w kapeluszu, z papierami pod pachą, cieszy się i krzyczy:

— Prędzej, prędzej!

Wrócić do domu jak najszybciej.

Ale został.

*

Naprzeciw ogrodu szpitalnego — tylko przejść gościniec — był sad. „Czarny" sad ruskiego księdza. „Czarny", gdyż otaczał go parkan. Na wiosnę smarowano go smołą. W słońcu smoła wydawała ostry zapach. Wystarczyło zbliżyć się do parkanu — wysokiego, szerokiego płotu — żeby pies, nie widząc nawet nikogo, zaczął dziko szczekać.

— To węch — tłumaczył Kiwe. — Pies nie potrzebuje ani oczu, ani uszu. Pies widzi i słyszy nosem. Tak nam powiedziała Kassarabowa, w szkole. A pies księdza może zadusić człowieka. Syn księdza mówił, że Reks rzuca się tylko na żydowskie dzieci.

Straszny sad ze strasznym psem. Reks to olbrzymi, czarny jak smoła pies z dużymi kudłami wokół pyska. A pysk!?

— A może Reks nie ma pyska i je też nosem? — spytał Aronek.

Kiwe syknął, trącił Aronka i roześmiał się, pokazując wszystkie zepsute zęby. A po chwili rzekł niepewnym głosem:

— Może...

— Nie pójdę tam — rzekł Aronek. — Ja się boję. Potem mama mnie będzie bić.

— Głupiś. Mama nie będzie wiedzieć. — Kiwe chwycił go gwałtownie za rękę i pociągnął za sobą.

— A jak mnie ksiądz złapie? Co mu powiem?

Kiwe nie odpowiedział, tylko ciągnął go za sobą.

— Nie pójdę. Idź sam, a ja będę się patrzył z daleka — rzekł Aronek.

— Chodź, chodź, nie pożałujesz, zobaczysz. Nikt sadu nie widział. Ani Mojsze-Łajb, ani Lulek, ani Mojme. A my będziemy widzieć i potem im będziemy opowiadać.

Przeszli przez wyboisty gościniec z dołami, kałużami. Aronek stanął na kamiennej płytce, wyrwanej z chodnika i rzuconej na bezmiar ulicznego błota. To było błoto aż z Garbarskiej. Żeby przejść, musiano skakać po kamieniach ułożonych w poprzek gościńca.

Aronek znów się zawahał.

— Nie bój się — powiedział Kiwe obejmując go ramieniem. — Chwilkę popatrzymy i prędko uciekniemy.

Wzdłuż gościńca płot nie miał najmniejszej szparki. Jedyną nadzieją była część ogrodzenia przylegająca do potoku. Potok oddzielał zarówno ogród szpitalny, jak i księży sad od placu Bóżniczego. Można było przejść jedynie drewnianym mostkiem. Nad brzegiem rosły bujnie pokrzywy.

— To koląca trawa? To boli? — spytał Aronek.

— To pokrzywa. Nie bój się. Będziemy uważać. Pokrzywą ksiądz bije żydowskie dzieci.

— I nas zbije?

— To nie teraz. Jak dojrzeją jabłka. Wtedy ksiądz łapie żydowskie dzieci. Zdejmuje spodenki, wsadza do ciemnej komory i bije pokrzywą. Potem od pęcherzy nie można siedzieć tak długo, jak długo na drzewach są jabłka.

Aronek westchnął.

— Jak ktoś przełazi przez płot — Kiwe wybałuszył oczy — to Reks chwyta zębami i trzyma, aż nie przyjdzie ksiądz. A potem... potem ksiądz zamyka jedno oko i Reks wyrywa jedną rękę, a jak ksiądz zamyka drugie oko, Reks wyrywa drugą rękę.

W bóżnicy podczas błogosławienia kapłanów jest na odwrót — pomyślał Aronek. — Tam oko ślepnie, gdy się otwiera. Naprzód jedno, potem drugie.

— Jak długo żyje ksiądz? — spytał Aronek.

— Oj długo, tyle, ile dwaj goje razem. Ażeby miał potem dużo grzechów. Oj to będą jego prażyć w piekle! Za każde żydowskie dziecko będzie sto lat leżał na kolącym łóżku. Ach, to jego będą kłuć! — Kiwe pogłaskał się po brzuchu.

— To łóżko jest z pokrzywy?

— Tak, z pokrzywy. — Kiwe pchnął Aronka w pierś. — Nawet nie wiesz, jakie łóżko jest w piekle. Szpilki, a nie pokrzywa. Cały siennik wypchany jest szpilkami. Nie bój się, to już lepiej kłuje niż pokrzywa.

Aronek pomyślał o kanapie z wystającą zardzewiałą sprężyną.

Naprzód spali tam kuzynowie z Monasterc — Szmił i Azyk, a kiedy było zimno, spali w kuchni na bambetli. Aronek przenosił się wtedy na kanapę; przysuwał się do ściany, żeby nie leżeć na sprężynie. A kiedy przyjeżdżali goście, rodzice kładli go do łóżka razem z Modche. Przyjemnie było, kiedy w domu był gość. Gotowano wtedy pierożki z jagodami. Od tego miało się przez parę dni czarne zęby. A w nocy przed snem Modche opowiadał o Lewijosonie, potężnej rybie, trzymającej na sobie cały świat, o białym koniu Mesjasza, o chlebie świętojańskim, o rodzynkach i migdałach, o rzekach z winem i miodem — wszystko to będzie miał każdy Żyd, kiedy przyjdzie Mesjasz. O księdzu i żydowskich dzieciach brat widocznie sam nic nie wiedział. Najchętniej opowiadał o królu Dawidzie, Absalonie, królu Salomonie. Oni byli wszyscy tacy piękni. Mieli złote buciki i jedli ze złotych talerzy. To było wtedy, kiedy Aronek nie bał się jeszcze ani ciemnego pokoju, ani snów, ani zapadającego wieczoru. W ciemnym pokoju można usłyszeć te same wciąż słowa: „Arałe, sza, nie krzycz, sza!“ Wyraźnie słyszał je w tę straszną noc, we śnie. Nie, to nie był sen. Miał otwarte oczy, więc to nie był sen. Widział kosmatego, wielkiego człowieka, jak włazi przez okno. Zbliża się na palcach do łóżka ojca. Aronek słyszał skrzyp podłogi. Ojciec śpi. Mała lampka świeci na czarnej komodzie. Srebrny zegarek ojca leży na krześle, przyczepiony grubym, niklowym łańcuszkiem do kamizelki. Aronek chce zamknąć oczy, żeby nie widzieć, ale nie może. I wielki kosmaty człowiek kładzie palec na usta i potem tym samym palcem grozi mu i mówi: „Arałe, nie krzycz, sza!“ I znów grozi mu palcem i śmieje się szeroko, całą gębą. Było to niedawno. Po tym, jak był u rabina na sądzie. Nie, to nie był Scharie. Jego by się tak nie przestraszył. Od tej nocy, kiedy kładzie się spać, całuje cyces i mezyzę zamiast trzech razy — sześć razy. I prosi Boga, żeby mu się nic nie śniło.

— Kiwe, ty się nic nie boisz? — spytał Aronek.

— We dwóch nie trzeba się nigdy bać. — Kiwe znów chwycił go za rękę i już nie wypuszczał. — A jak wrócimy do domu, to coś ci pokażę.

— Co?

— Pióro ze szkiełkiem. Przez szkiełko widać całe miasto. A na dole jest napisane „Karlsbad".

— A szkiełko jest duże?

— Nie. Bardzo małe. Jak pestka świętojańskiego chleba. Nie, jeszcze mniejsze.

— Jakże można widzieć całe miasto?

— No widzisz! Całe miasto jest jakby ze srebra.

— I cała bóżnica jest też ze srebra? I nasz dom?

— Głupiś, tam są domy dziesięć, dwadzieścia razy większe niż u nas.

— A ludzie też są?

— Tak, ale ludzie są mali jak muchy.

— Dlaczego?

— Bo wszyscy by się tam nie pomieścili.

— I oni chodzą i jedzą?

— Tam się tylko jedzie. Zamiast nóg oni mają koła. I nic się nie je, tylko lodowaty cukier, a jak jest gorąco, to się je słodki śnieg.

— Czy to daleko? Dalej niż Ameryka?

— Dalej. Tam za morzem. — Kiwe odwrócił się i pokazał palcem mającące w dali błękitne góry.

Aronek zamyślił się.

— Czy tam dzieci chodzą do chederu?

— Tam nie ma chederu ani bóżnicy. Tam są tylko kościoły, księża.

— A Żydów tam nie ma?

— Nie.

— Kogo tam księża biją?

— Nikogo.

— Nikogo? — zdziwił się Aronek. — A jak ktoś ukradnie jabłka?

— Tam jest tyle, ile chcesz. Nie można nawet tyle zjeść. I wszystko za darmo.

— Za darmo? Bez pieniędzy?

— Bez pieniędzy?... Nie. Bez pieniędzy — nie. Ale każdy ma dużo pieniędzy.

— To może tam już przyszedł Mesjasz?

— Nie. Mesjasz przyjdzie tylko do Żydów.

— A czy ludzie tam umierają?

— Rzadko. Dopiero jak się ma sto dwadzieścia cztery lata.

— Jak Mojsze — rzekł Aronek.

— Fe, wypluń to słowo. Trzeba powiedzieć „nie przymierzając". Przecie to goje.

Aronek splunął i powiedział:

— Nie przymierzając.

*

Szli w milczeniu. Gdzieniegdzie przejście między płotem a potokiem tak się zwężało, że szli gęsiego. Aronek wciąż myślał o szkiełku. Nagle spytał:

— Kiedy mi pokażesz szkiełko? Dziś jeszcze. Dobrze? Dziś.
— Dobrze. Ale mama chowa pióro do kufra i zamyka na klucz.
— Eee... tyś skłamał. Ty zawsze kłamiesz — rzekł Aronek i łzy stanęły mu w oczach.
— Teraz nie skłamałem. Mogę przysiąc na mamę, tatę albo na torę.
— Przysięgać nie wolno. — Aronek potrząsnął zdecydowanie głową.
— Jeśli prawda, to można.
— Jak jest prawda, to po co przysięgać?
— Głupiś!
— Ja wiem, że nie wolno. Byłem u rabina na sądzie. Rabin rozgniewał się za to na Schariego.
— Scharie powiedział u nas w domu, że rabin z Głogowa nie będzie miał nawet dziesięciu Żydów, nie będzie miał bóżnicy, jak on zechce. A twój tato nie będzie miał uczniów. Twój tato wychowuje bezbożników. Siostra twoja się wychrzci i ty się wychrzcisz.
— Mame! — krzyknął Aronek i uderzył Kiwe pięścią w piersi. — Ty sam będziesz wychrzta. Nie chcę dalej z tobą iść. Ja chcę iść do domu.
— To ci nie pokażę pióra.
— No to nie pokazuj. Tak czy tak skłamałeś.
— Zobaczysz. Mojsze-Łajb widział i Froimek widział, i Lulek widział, i Mojme też widział. Wszyscy widzieli, tylko ty nie widziałeś.
— A kiedy pokażesz?
— Dziś, jak wrócimy.
— A do tej dziury jeszcze daleko?
— Nie. Widzisz, gdzie to drzewo?
— Czy ta dziura większa niż pestka świętojańskiego chleba?
— Tak jak głowa cukru. I szeroka, i długa.
— A szkiełko tam też jest?
— Tak, jest. Tam jest duża szyba, gruba jak u nas w szkole. Kończyła się ścieżka. Dalej rósł wielki jesion. Olbrzymie kłębowisko korzeni sterczało nad osuwającą się, podmytą przez potok ziemią. I tu była szczelina. Czarna deska płotu nie przylegała do okrągłego pnia drzewa.
— Jaka duża dziura — ucieszył się Aronek.
Aronek przykucnął a Kiwe stanął nad nim i przylgnął twarzą do wąskiej szczeliny.
Ani szkiełka, ani szyby nie było. Ale Aronkowi zdawało się, że patrzy przez cudowną szybę. Zapomniał o pokrzywie, o dzieciach żydowskich, o strasznym psie. Tu było pięknie.
Było cicho i świątecznie. Wśród drzew stanęła sobota i nie chciała odejść. Jakby rozwieszono ze wszystkich stron lustra. Odbijało się w nich srebrzyste światło i przeświecało poprzez konary, spływało w dół pobielałymi pniami na cienką, połyskującą trawę. Rozpylało się ponad białymi i różowymi konarami jabłoni i grusz. Drgało słoneczną jasnością. Drzewa cicho szemrały pod kołysaniem wiatru. Odmawiały niemą modlitwę. „Osiemnastu błogosławieństw". Uchodziły równymi rzędami daleko, daleko w głąb i nie było widać końca. Tu było pięknie! Na grzędach okrągłych i wypukłych rosły ostre, długie liście, jak zielone noże. Trawa była równa, cienka i połyskująca. Proste drogi, zawiłe. Wąskie ścieżki były czerwone jak chodnik w pokoju Pesi. Na środku rozlała się duża,

okrągła, czerwona plama. Naokoło zieleniły się wąskie pasy trawy, oddzielone od plamy opłotkiem z obłupanych z kory prętów wikliny, napiętych w pałąk, dwoma końcami zatkniętych w miękką darninę. Na czerwonym placyku biały, nieruchomy chłopczyk trzymał dużą gęś o długiej szyi i z wąskiego dzioba tryskała bezustannie w górę srebrna woda. Woda rozpylała się w słońcu i nagle w spokojny, jasny dzień w cichym sadzie ukazywała się tęcza. Zawisała i gasła. Zawisała i gasła. Wiatr porywał krople, ścinał słup wody i rozwiewał jak perlisty dym. A potem słup znów wracał na dawne miejsce i znów ukazywała się tęcza. Skąd się brało tyle wody? I jak woda leci w górę? Jakie to cudowne!

Wśród drzew mignęła biała sukienka, małe nóżki w białych skarpetkach. Nóżki tak samo jak woda leciały w górę. Zataczały krąg i spadały na dół. Potem półkolem znów wzlatywały w powietrze. Obok stał chłopczyk z dużymi jasnymi włosami, też w białym ubranku, w białych skarpetkach. Oburącz odpychał od siebie dwa grube druty. Między drutami siedziała na desce dziewczynka i bujała w powietrzu. Tak siedzieć na desce i latać! I nie spadać na ziemię!

Naokoło biegał czarny duży pies. Tarzał się po trawie, zrywał się, pędził do białych dzieci i szczekał. Kiedy dziewczynka unosiła się w górę, podskakiwał i chciał ją pyskiem schwycić za sukienkę. To był Reks.

Powiał silniejszy wiatr. W sadzie zawirowało. Naprzód powoli, a potem coraz gwałtowniej. Drzewa potrząsnęły białymi i różowymi koronami. Zakręciła się śnieżno-różowa zamieć. To były kolorowe płatki, motyle, anioły. Dygotały w słońcu, falowały. Dziewczynka, woda, biało-różowa zamieć leciały ku niebu. Sad leciał ku niebu, a na lśniącą trawę, na czerwone dróżki, na placyk spadały różowe i białe płatki.

Aronek poczuł rzeźwy zapach. Otworzył szeroko usta. Chwytał chciwie powietrze. Był spragniony. Jeszcze, jeszcze. Bał się, że to sen. Bał się, że za chwilę zniknie jasność, spadnie deszcz i zbrudzi biel ulatującego sadu. Bał się, że świeże tchnienie przestanie drażnić nozdrza, usta, twarz. Chciał biegać boso po trawie i bujać na cudownej ławeczce. Chciał tarzać się razem z psem. Chciał podstawić ręce i twarz pod żywy słup wody, poczuć chłodne krople, opadające z migocącej tęczy. Chwytał oddech, jakby się zmęczył bieganiem. Serce biło i czuł słodycz, jak słodycz pierwszego omdlenia, kiedy scyzoryk Mojsze-Łajba utkwił mu w plecach. Żeby teraz stali obok niego wszyscy, żeby trzymała go za rękę siostra Maria i mała Fajgełe. A u boku siostry żeby był stryj Karol. I tak wszyscy idą razem z sadu nad rzekę. Sad ulatuje nad nimi. Wznoszą się razem z aniołami do srebrnego miasta, widzianego przez szkiełko, gdzie nie ma ani bóżnic, ani chederu, ani Schariego, ani długiego Lejzora Steifa, ani ojca. Gdzie nie umiera się, gdzie się jada słodki śnieg, rodzynki i migdały. Gdzie się buja na małych ławeczkach. Gdzie jest wieczna sobota. To był strach i radość, i smutek.

Kiwe już się napatrzył do syta. Pchnął Aronka. Ale Aronek nic nie czuł. Kiwe pchnął go drugi raz, trzeci raz pchnął go tak silnie, że chłopiec upadł. Kiwe przykucnął, przecisnął rękę przez szczelinę, aby wyciągnąć garść białych i różowych płatków, leżących pod płotem. Zwrócił się do Aronka:

— Widzisz te białe i te czerwone? — spytał.

Aronek siedział oparty plecami o płot. Miał przymknięte oczy. Był blady, a usta drżały, jakby przed płaczem.

— Arałe, widzisz? Spójrz na te białe. Wiesz dlaczego te są białe, a te czerwone?

Aronek otworzył oczy i patrzył na Kiwe rozszerzonymi źrenicami. Kiwe mówił, a Aronkowi napływała krew do twarzy, do oczu.

— Słyszysz?

— Słyszę — odpowiedział Aronek.

— A dlaczego są czerwone? Też nie wiesz?

Aronek milczał.

— To od krwi. Tamte są białe od kości. Te są czerwone od krwi. Potem jabłka są też czerwone. W środku są czerwone, kiedy się je. Jadłeś już kiedyś takie czerwone jabłko? To od dzieci żydowskich.

Aronek opuścił wzrok na zmięte w garści Kiwe płatki. Opanowała go wściekłość. Porwał się z miejsca i rzucił z pięściami.

— Kłamiesz! Kłamiesz! Kłamiesz!

Aronek bił Kiwe pięściami po twarzy, piersiach, ramionach. Chciał go rozszarpać, podrapać mu twarz, ręce, miąć go, jak on miął płatki. Z oczu trysnęły gorące łzy.

— Nie chcę, nie chcę, nie chcę!

Krzyczał tak, jak wtedy, kiedy ojciec zmuszał go do odczytywania nudnego ustępu Chumesz. Nienawidził, ach, jak on nienawidził Kiwe, tak jak nienawidził ojca.

*

Tej nocy Aronek miał sen.

Mała, biała dziewczynka, trzepocąc jak ptaszek rączkami, leciała na drabiniastym wozie, zaprzężonym w Reksa. Siostra głaskała dziewczynkę i mówiła jej: „Śpiewaj, śpiewaj, zabiorę cię do srebrnego miasta!“ Potem na fotelu rabina z Głogowa siedziała królowa Saba i włożyła na głowę kokosznik z perłami. Zdjęła rudą perukę. Siedziała z ogoloną głową i oddała matce zastawione kolczyki. Reks patrzył na Aronka jednym okiem. Szedł za nim powoli, powoli, Aronek starał się przyspieszyć kroku. Reks puchł i mówił: „Arałe, nie krzycz, sza“. Aronek krzyczy: „Nie chcę, nie chcę!“. Reks chwyta Aronka obciętym nosem. Łapie go za jedną rękę. Aronek chce uciekać i krzyczeć. Ale nie może. Nogi ugrzęzły w błocie. Nie może ich wyciągnąć. Prędzej, prędzej, uciekać! Reks dopada go i znów chwyta za rękę.

Nogi są ciężkie, sztywne. Aronek krzyczy: „Nie chcę, nie chcę, nie chcę“.

Aronek otwiera oczy i czuje na czole chłodną rękę.

— Co ci jest, synku? — pyta matka.

Matka ustami dotyka jego skroni.

Aronek siada na łóżku. Rozgląda się wokół przerażonymi oczyma. Na czarnej komodzie stoi nocna lampka. Na krześle obok łóżka ojca leżą długie spodnie, bekiesza i kamizelka. Mosiężny świecznik, zwisający z sufitu, rzuca długi, zagmatwany cień.

Matka stoi w koszuli, przyciska Aronka do piersi.

— Arałe, skarbie mój. Co ci jest? Śniło ci się coś? Powiedz!

Aronek obejmuje matkę i wybucha głośnym płaczem.

Do Zielonych Świąt matka łudziła się, że Azyk i Szmił przecież przyjadą na naukę do miasta. Że brat jej, Szyje, koniec końców znów w czwartek, w dzień targu, będzie przywoził z Monasterc kartofle, ser, masło, a może nawet kury.

Nastały długie, słoneczne dni.

Wieczorem matka wynosiła krzesło przed próg domu. Siadała, by „złapać" trochę świeżego powietrza. Latem wracała z budki, kiedy zapadał zmierzch. Chłopi wciąż jeszcze mało przyjeżdżali do miasta, mimo że prace w polu już się zakończyły. Nie mieli jeszcze pieniędzy i czekali z wydatkami do jesieni. Nie było po co zapalać w budce lampy. Po prostu szkoda nafty.

Przed progiem siadywały kobiety, dzieci. Powoli popijano słodką, białą kawę. Zajadano ciepły jeszcze chleb. Topniało na nim „majowe" masło. Mówiono spokojnie. Nikt się nie kłócił. Ludzie darzyli się nawzajem cichą, nieuświadomioną przyjaźnią.

Po pierwszych upalnych dniach wieczór przynosił chłód z pobliskich mokradeł, otaczających wojskowe koszary. Z księżego sadu dolatywały zapachy bzu. W gęstym, przekwitającym już kasztanie, zielonym od światła narożnej lampy gazowej, brzęczały ostatnie chrabąszcze, kobiety podnosiły leniwie oczy ku gwiaździstemu niebu i mówiły, że jutro znowu będzie pogoda. Od potoku i mokradeł dochodziło rześkie granie żab. Aronek, senny i zmęczony całodziennym upałem, oparł głowę o ramię matki. Siedział z przymkniętymi oczyma.

— To, że żaby tak rechoczą, to też na ładne dni — powiedziała wdowa Giteł swoim miękkim, dobrym głosem.

Przez otwarte okno dolatywał z pokoju stukot maszyny. To Szlomcia szyła. Fańci w domu nie było.

— To pomaga na bóle głowy. Jak mnie głowa boli, siadam i słucham, jak żaby rechoczą. — Charojza, matka Mojsze-Łajba, ziewnęła przeciągle, kłapiąc sztuczną szczęką.

— Mnie głowa nigdy nie boli. Ludzi zawsze coś boli — to serce, to głowa. A mnie nigdy nic nie boli. — W wiecznie zachrypniętym głosie Zełde wyczuwało się żal. — A jednak ja też lubię, jak żaby rechoczą.

— Tatę zawsze coś boli — odezwała się najmłodsza córka Zełde i urwała. — Szajndl dopiero co wróciła z pracy od ciotki Racy. Dziewczynka siedziała na chodniku, objąwszy oburącz kolana.

— Jak się pracuje, to się zapomina o głowie, o sercu — rzekła Zełde. — Pokażcie mi na wsi, żeby kogoś coś bolało.

— Teraz na wsi jest dobrze mieszkać — odezwała się matka. — Żyto się już kłosi. A wieczorem z lasu idzie takie ostre powietrze, że jak się siądzie na ganku przed domem, to się zaraz zasypia. Kiedy byłam jeszcze młodą dziewczyną, bardzo lubiłam ten czas. Po dziś dzień czuję ten smak, do śmierci człowiek żyje tą siłą. To był najlepszy czas. Na gumnie było już pełno kurcząt, kaczek. Jeszcze były żółte, ledwo dreptały. Brałam gotowane jajka i dawałam im jeść. A krowom wymiona aż puchły od mleka. Ojciec, dusza jego w raju, przywoził z miasta biały chleb, bułki na sobotę. Czego człowiekowi brakowało? Przed Zielonymi Świętami nie ma już tyle pracy, już się nie orze ani nie sieje.

Dlatego też łudziła się, że Azyk i Szmił przecież przyjadą.

Ale Rojza — żona Szyje, postanowiła, że i tak z nich nie wyrosną ani rabini, ani doktorzy i że mogą siedzieć w domu.

*

W pewne upalne popołudnie przed dom zajechał gospodarski wóz, zaprzęgnięty w dwa tęgie gniadosze.

Bajłe, córka Zełde-szmaciarki, stała na progu. Na widok dziewczyny siedzącej na furze i powożącej końmi, szybko dotknęła dwoma palcami popielatych, puszystych włosów i tak stała, póki dziewczyna nie okręciła lejców dookoła żelaznej poręczy kozła. Kiwe-Łoszak szczerzył zepsute zęby i cofając się tyłem, drażnił Bajłe:

— Za późno, za późno. Będziesz łysa, będziesz łysa. Aj, to ty będziesz ładna. Froimek ciebie nie weźmie, nie weźmie.

Bajłe znów dotknęła palcem włosów. Ale dziewczyna na wozie była Żydówką. Bajłe uspokoiła się. Tupnęła chudą nogą, szeroko rozdęła nozdrza i prychnęła:

— Pędrak.

Naprzód zeskoczył z wozu niski, krępy, czarny od słońca i kurzu wujek Szyje w wysokich butach i lustrynowej bluzie. Potem zeszła córka Hinda z czarnymi, grubymi warkoczami, związanymi na końcu czerwonymi, wełnianymi nićmi. Z tyłu nad warkoczami lśnił drobnymi szkiełkami wysadzany duży, okrągły grzebień. Przy schodzeniu z wozu zaczepiła falbanką perkalikowej sukienki o orczyk. Krzyknęła i wypuściła z rąk kobiałkę. Wuj zdążył ją pochwycić. Hinda roześmiała się i zeskoczyła, rozglądając się wokół wesołymi oczyma.

Wuj i Hinda spotkali matkę już na progu. Wybierała się właśnie do budki.

— Już prędzej można się doczekać ludzi z Ameryki niż z tych przeklętych Monasterc. Siedzą tam wszyscy, jakby ich kto do krzesła przykleił. Jak robak wlezie w chrzan, to myśli, że na świecie już nic lepszego nie ma.

Hinda podeszła do matki i pocałowała ją w rękę.

Wujek poprosił o szczotkę. Oczyścił czarny kapelusz i wysokie buty. Hinda usiłowała wygładzić zmiętą sukienkę. Podciągnęła bufiaste rękawy i rozprostowywała na piersiach i ramionach szeroką plisę. Czerwony aksamitny pas z dużą miedzianą klamrą oczyściła szczotką i wodą. Chciała się jeszcze uczesać przed lustrem, ale znalazła po nim na ścianie jedynie jasną, prostokątną plamę. Hinda roześmiała się.

— W czym można się u cioci przejrzeć? Gdzie lustro? — spytała.

Matka westchnęła.

— Myślisz, że to tak, jak u was na wsi? — Matka mówiła raczej do wuja niż do Hindy. — Żyjecie sobie tam jak „Bóg we Francji".

I opowiadała o Lejzorze Steifie, o panu w kapeluszu i o kolczykach.

— Szczęście, że mi zostawił przynajmniej pierzyny.

— Nie miałaś na zapłacenie komornego? Handlujesz, handlujesz i masz z tego kościany guzik. Babskie interesy. Moja Rojza też myśli, że ona złapała Pana Boga za nogi. — Wujek podał Aronkowi szczotkę i rozglądał się za krzesłem.

— Żebyś wiedział, żebyś wiedział. — Matka wytarła fartuchem krzesło. — Gdyby nie ona, nie byłbyś „Szyje bogacz". Skąpa, taka, siaka, ale taki rok na mnie, jak ona nie ma słuszności.

— Żaden goj tak nie pracuje jak ona — zgodził się wujek. — Krowę wydoić — jedną, to jedną, pięć, to pięć, bez uroku, dziesięć, to dziesięć. Gnój, z przeproszeniem, wyrzucić? Czemu nie? Na Pesach wylepiła całą chałupę. Wybieliła. Raz przychodzę i patrzę: moja Rojza wylazła na strzechę, siedzi sobie i łata słomą dach. — Zaraz złaź mi — krzyczę — pośliziniesz się i będę miał ładną strzechę ze złamaną nogą. — I niech jej, broń Boże, zginie jedno jajko, to całą wieś przewróci do góry nogami.

Hinda wyjęła z kobiałki i podała matce lniany, wilgotny worek. To był ser.

— To mama posłała wam na świąteczne pierożki. — Hinda zarumieniła się i spojrzała na ojca, czy nie powiedziała czego złego.

W kobiałce były jeszcze jajka i owinięte w liście babki masło. Ale to już widocznie przeznaczono dla kogoś innego i matka, milcząc, położyła ser na płytki, mleczny talerz.

— A gdzie Tojwie? — spytał wuj, siadając wreszcie przy stole. Wyjął brunatny cybuch i nabił go tytoniem.

— Ty myślisz, że ja wiem? On mnie coś opowiada — myślisz? Odkąd stracił uczniów, łazi gdzieś całymi dniami. Przesiaduje w besmedrysz. Albo u córki rabina. Uczy jej dzieci. To jego całe zajęcie, cały majątek.

Wuj chciał pomówić z nim. Azyk i Szmił nie przyjadą. Rojza, wiadomo, uparta jak „chłop przy skonaniu". Trzyma synów jak parobczaków. Wyrosną z nich Fedki. We wsi jest kilka rodzin żydowskich i kopa dzieci. Rośnie to jak na drożdżach. Tojwie by mógł je uczyć, żeby przynajmniej potrafiły odróżnić „alef" od „bejs".

Wuj podsunął kapelusz. Ogorzałą, sękatą ręką odgarnął gęste kłęby dymu.

Matka ściągnęła usta i podniosła brwi.

— Ja wiem? Powiedz mu. Choć, prawdę mówiąc, lepsze to niż nic. Choć nie bardzo to wygląda przed ludźmi, żeby Tojwie, mełamed gemury, jechał na wieś uczyć „alef" — „bejs".

Hinda nie mogła znaleźć sobie miejsca. Podchodziła do kanapy, na której leżała kobiałka. Brała ją do ręki i kładła z powrotem. Wreszcie cała w pąsach powiedziała:

— Tate, ja pójdę z ciocią na rynek do budki. Wybiorę materiał na sukienkę. Po drodze wstąpię do szewca i oddam mu masło i jajka.

Wujek wypuścił potężny kłąb dymu. Przesunął cybuch z jednego kąta ust w drugi.

— Poczekaj, nie pali się — powiedział. — Czy do was nikt dzisiaj nie przychodził? — zwrócił się do matki.

— A kto miał przyjść? — zdziwiła się matka.

Wuj poskrobał się w głowę.

— Aj, interesy, Rojza z interesami. Uparła się, że już czas, że ona w wieku Hindy rodziła już dzieci. — Wuj wyjął cybuch z ust i roześmiał się. — Nu, pytam się jej, wielkie widziałaś w tym szczęście? Po co się śpieszyć?

— Więc kto miał być? — zniecierpliwiła się matka.

— Hinda, jak się nazywa ta Żydówka?

Hinda opuściła głowę.

— Nie wiem — odburknęła.

— Słowem — swatka — wuj kiwnął głową z rezygnacją.

— A kogo ci swatają, Szyje? — spytała matka.

Wuj znowu poskrobał się w głowę.
— Ty go znasz, Hinda? Powiedz, jak się nazywa.
— Nie wiem.
— Ty osa — wuj uderzył cybuchem w stół. — Odpowiadaj jak człowiek. Elke, znasz Schariego — kiedyś był dzierżawcą łaźni gminnej?
— Nu i co? — matka drgnęła.
— Nu, jego syn...
— Froim!
— Tak, widocznie Froim.
— Grom we mnie uderzył — krzyknęła matka i klasnęła w dłonie.
— Mówią, że Scharie — to bogaty Żyd — usprawiedliwiał się wujek.
— Nu, nu — matka kiwała głową zrezygnowana. — Tak. Pieniądze, to on ma. Ale narzeczony? Wypierdek, z przeproszeniem, a nie narzeczony. Jemu do chederu iść, a nie żenić się. Twoja Rojza już całkiem zwariowała!
W tej chwili weszła chuda Chaje. — Fu, jaki dym! — skrzywiła się. — Wałkowałam właśnie makaron na obiad — mówiła, wycierając ręce o fartuch. — Przychodzi mój Kiwe i powiada, że do Elke ze wsi goście przyjechali. Pomyślałam sobie, że moja narzeczona przyjechała. Wszystko zostawiłam, przyleciałam ją zobaczyć.
Chuda Chaje założyła ręce na podołku i kręciła głową.
— Bez uroku, bez uroku, żeby ci tylko moje oko nie zaszkodziło. — Bezbarwne usta rozciągnęły się w uśmiechu i zrobiły się jeszcze cieńsze.
— Tate — odezwała się Hinda drżącym głosem — konie... konie tam stoją same... Pójdę zobaczyć.
Wujek prychnął dymem i powiedział, nie podnosząc na nią wzroku, że konie może zobaczyć przez okno. A Chaje poprosił, by usiadła.
Siadać Chaje nie chciała. Szkoda czasu. Zaraz pójdzie do Schariego i wróci z narzeczonym. Nie, nie, ona sama pójdzie. Takiego dobrego uczynku nie odstąpi nikomu. Jak powiada jej mąż, cudzymi rękoma można tylko ogień zgarniać. Tak mówi jej mąż. Reb Szyje na pewno go zna. Kto go po wsiach nie zna. Może słyszał — „czarny“ Szułym? Tak go przezwali. Języków ludzkich obciąć nie można. Niech będzie „czarny“, byleby szczęście było jasne. Jak to powiadają — u ludzi są pieniądze, a u Boga szczęście. Ona zawsze mówi jedno: dobre dziecko, to więcej niż pieniądze, to szczęście. Gdyby biedny Żyd miał dobre dzieci, nie byłby biedny. O córce wujka, o Hindzie, żeby była zdrowa, opowiadał jej lokator Selig, student Selig. Biedny chłopiec. Ale po co się ma żydowskie serce? Wzięła go do siebie. Więc niech sobie u niej mieszka. Jego ojciec, mleczarz z Monasterc, przywozi mu czasem mleko. Selig opowiadał, jakie to dobre dziecko, ta Hinda.
— Hindeniu, ty świecisz jak słońce. — Chuda Chaje mlasnęła językiem. Chciała wziąć dziewczynę za podbródek, ale Hinda odepchnęła ją, odwróciła się tyłem i podeszła do okna.
— Chaje — odezwała się matka — nie wiedziałam, że zajmujecie się swataniem.
— Swataniem? Jak powiedzieliście, Elke, serce, swataniem? Hm. Niech będzie, że to swatanie. Jak się chce zrobić uczynek miły Bogu i ludziom, to niech będzie, że to jest swatanie. Żeby wszyscy swatowie byli takimi swatami jak ja, to by baldachim szybko spleśniał.

Chaje usiadła, ale nie na krześle, tylko na kanapie.

— Jeśli idzie o to, reb Szyje — Chaje wytarła dwoma palcami kąciki ust — to wszystko zaczęło się od waszej żony, Rojzy, żeby żyła długo.

Zaczęło się więc od Rojzy, a jeszcze właściwiej nie od Rojzy, ale od słonecznika. Jak komu jest coś pisane, to nawet słonecznik może być swatem. Bóg chciał, żeby jej, Chaje, zasmakowały w zwykły czwartek pestki od słonecznika. Co to jest słonecznik? Po prostu świństwo. Nigdy tego nie kupuje, nigdy tego nie je. Ale właśnie wtedy Bóg kazał jej pójść na rynek po słonecznik. Można kupić słonecznik i wrócić do domu. Nie. Przeznaczenie chciało, żeby obok gojki z pestkami ujrzała Żydówkę. Naprzód myślała, że to też gojka. W szerokiej spódnicy, w chustce na głowie. A obok Żydówki kręci się mały gojowski bachor. Nie będzie długo opowiadać: koniec końców mały bachor wlazł ręką do kieszeni Żydówki. Gdyby wiedziała, że to Żydówka, mrugnęłaby do niej. Ale bachor goj i ta kobieta gojka — to co to ją obchodzi.

Jak to powiadają, jeśli złodziej kradnie u złodzieja, to nie ma grzechu. Ale potem kobieta złapała kieszonkowca za rękę, uderzyła go raz i drugi po mordzie. Zrobiło się zbiegowisko. Kobieta krzyczała. A potem zwróciła się do niej, do Chaje, po żydowsku, i wtedy dopiero poznała, że to nie gojka. I od słowa do słowa pokazało się, że jest z Monasterc, że córka jej, Hinda, tysiąc razy nakazywała jej kupić nasiona słonecznika, które chce posadzić przed domem. Że córka ma już siedemnaście lat i jeśliby się znalazł odpowiedni narzeczony, to można by ją już wydać za mąż.

— Za kogo ją wydać? Myśl ta nie dawała mi spokoju. Reb Scharie ma syna. Reb Scharie — „najładniejszy" Żyd na placu Bóżniczym. Jak powiadają, wszystko razem: tora, pieniądze i błyszczące cholewki. I jak to powiadają: o wilku mowa a wilk tu. Wchodzi reb Scharie. Wałkowałam właśnie makaron, tak jak dziś na obiad. Mówię mu to i owo. A on mnie mówi: „Dobrze, dobrze, ale nie tak łapu-capu. Trzeba o tym pomyśleć. Jakby nie było, z żoną poradzić się trzeba. Nu, a potem..."

— A syn ten — dawno chciał się żenić — przerwał wujek. — Przecież ma dopiero czternaście lat?

Chaje klasnęła w dłonie.

— Ile? Czternaście? Kto wam powiedział, że akurat czternaście. Może czternaście i jedna środa, a może piętnaście! To, że narzeczony nie ma jeszcze, dzięku Bogu, siwej brody, to brak? Jak to powiadają: brak, że narzeczona jest za ładna. Wszystkim Żydom życzę takich braków. Biedactwo, małe dziecko. Dopiero co od piersi odstawione. Żebyście widzieli, reb Szyje, to niemowlę. — Chuda Chaje mrugnęła jednym okiem i nagle umilkła.

— Arałe — Chaje odwróciła głowę — chodź no tutaj, serce złote. Poleć no do koni i zobacz, co tam za hałas.

Chuda Chaje sięgnęła do kieszeni fartucha, odłamała kawałek karmelka i dała Aronkowi. Aronek schował karmelek, ale nie wyszedł.

— Nu, Elke, reb Tojwiego nie ma — powiedziała po chwili. — Gdzie on teraz jest? Pewno zaraz wróci. Do obiadu jeszcze godzina czasu została. Co?

— Obiad? — zmieszała się matka. — Tak. Tojwie już jadł obiad.

— Tak? Więc ja polecę po narzeczonego. Niech się narzeczeni zobaczą. A o resztę niech się Bóg troszczy. Jak On zechce, tak będzie. A ja czuję, że to jest przeznaczenie. Co wy mówicie, Elke?

— Ja się nie mieszam. Dzięki Bogu Hinda ma ojca i matkę, do stu dwudziestu lat.

— Interesy, Rojza z interesami — mruknął wujek.

— Nie, to nie. Mogę nie pójść. Namawiać do dobrego nie trzeba. Co można dołożyć do tego, że się nawzajem narzeczeni oglądną? Spodobają się — dobrze. Nie — to nikogo jeszcze na sznurze pod baldachim nie zaciągnięto.

Wuj odwrócił się do okna.

— Hinda, co ty na to wszystko?

— Nie chcę — powiedziała dziewczyna.

— Aj, mężczyźni, mężczyźni. Jaka dziewczyna wam powie, że chce. Aj, dzieciątko głupie. Jesteś za młoda, żeby wiedzieć, czego chcesz. Mnie spytaj! Więc ja pójdę. Zobaczysz, chłopak jak migdał. Będziesz miała męża, taki rok na moich przyjaciół.

Hinda odwróciła się. W oczach błysnęły łzy.

— Ty płaczesz? — Chaje klasnęła w dłonie. — Płacz, to dobry znak. Jeśli narzeczona płacze, to będzie potem całe życie się śmiać. Więc polecę, to dwa kroki stąd. W czepku się urodziłaś.

Chaje pogroziła Hindzie palcem i wyszła.

Po chwili w sieni dały się słyszeć znajome kroki. To wracał do domu ojciec.

*

Hinda pocałowała ojca Aronka w rękę i znów cofnęła się pod okno. Aronek pociągnął ją za rękaw.

— Czego chcesz? — burknęła.

— Hinda... Hinda — szepnął Aronek. — Czy byłaś w sadzie księdza? — Aronek był pewny, że tak. — Hinda — mówił nie czekając odpowiedzi — weź, weź! — Aronek próbował wsunąć jej kawałek karmelka, który otrzymał od Chaje.

— Zabieraj się z tym — Hinda odepchnęła go łokciem.

Aronek odszedł. — U nich, tam w Monastercach, nie ma na pewno księżego sadu — pomyślał. — Jaka szkoda, że nie ma stryja Karola.

Wuj z ojcem mówili o wyjeździe do Monasterc. — Matka stanęła po stronie wujka.

— Czego ci tu szkoda zostawić? Tych wielkich skarbów, które tu zostawiasz, już ja sama będę pilnowała. Nie jest ci do honoru wieś? Oj, głupi, głupi. A jakie honory masz tutaj?

— Ja nie pojadę — powiedział ojciec.

— Dlaczego? Dobrze, nie pojedziesz, ale powiedz mi dlaczego? Czy ja, żona, która haruje za dwóch, za czterech, ma prawo wiedzieć dlaczego? Czy nie ma prawa? Przecież nie wiesz na razie, na jakich warunkach masz jechać. Może chcą ci tam nasypać wór złota?

Ojciec milczał.

— Gadaj do ściany — matka rozłożyła ręce.

— Nu, zostaw — powiedział wujek. — Jeśli nie chce, to nikt go nie będzie

ciągnął na sznurze, jak powiedziała swatka. Wujek wyciągnął szyję, zamknął oczy i wydął usta.

— Ale ty będziesz jeszcze żałować — matka związała mocniej końce chustki. Znaczyło to, że już na tym koniec, że już dość gadaniny. Ale po chwili znów zaczęła:

— Jaka różnica, gdzie się pracuje, co się robi, byle zarobić.

— Ja jeszcze będę miał uczniów tu w mieście — powiedział ojciec.

Za szybą okna mignęła parę razy puszysta głowa Bajłe. Zajrzała do pokoju, osłaniając ręką oczy. Przyjrzała się Hindzie. Rozdęła szeroko nozdrza i zagryzła wargę. Potem uciekła i stanęła obok wozu. Oba gniadosze zanurzyły łby w worku z owsem. Czasem rzucały głowami i opędzały się od much. Obok koni kręcili się chłopcy. Mojsze-Łajb i Kiwe starali się wyrywać z ogona włosy na struny do „skrzypiec" i do obwiązywania brodawek. Bajłe gryzła paznokcie, tak samo jak Froimek, kiedy siedział nad księgą.

*

Froimek stał we drzwiach z opuszczoną głową. Nie chciał usiąść przy stole. Matka jego, Raca, płonąc ze wstydu szeptała mu coś do ucha. Odchodziła i znów wracała. Ciemne, podkrążone oczy latały z syna na obcych ludzi, na męża. Froimek ruszył się z miejsca dopiero wtedy, kiedy Scharie silnie ścisnął mu ramię i tak zaprowadził do stołu. Chłopak skrzywił się z bólu. Szarpnął rękę, ale Scharie trzymał go mocno i spokojnie.

— Synku mój — mówił — nie wstydź się. — Okrągłe, rumiane policzki podniosły się w uśmiechu ku lepkim oczom. Oczy były czerwone z ukrywanej wściekłości i wysiłku. A do zebranych powiedział:

— Wstydzi się. Ja w jego wieku też tak stałem przy drzwiach. Cóż dziwnego? Pierwsze oględziny.

Ojciec nie ukrywał swego zdziwienia. Kiedy Scharie wszedł z żoną i synem, zbladł. Nie odpowiedział na powitanie, ale usiadł po lewej ręce Froimka.

Wuj schował cybuch. Chrząknął i wytarł chustką wąsy i brodę. Spojrzał na Schariego, na Racę i przyjrzał się uważniej Froimkowi. Na grubych, rozdziawionych ustach Froimka błąkał się tępy uśmiech. Scharie trącił go niepostrzeżenie w bok. Froim ocknął się i podniósł zwieszoną na piersi głowę. Rzucił przerażone spojrzenie w stronę matki. Raca tylko na to czekała. Pokazała mu palcem piersi. Ale Froimek nie domyślił się i guzik od koszuli był przez cały czas nie zapięty.

Raca przypomniała Aronkowi wiejski razowiec. Zagryzła ciemne wargi, wierciła się na krześle i oczyma dawała mężowi niespokojne znaki. Ale Scharie jej nie dostrzegał.

Chuda Chaje głaskała Hindę po ramieniu. Chaje jedna przy stole uśmiechała się. Mlaskaniem i końcem języka usiłowała zdjąć kawałek karmelka miodowego koloru, który przylepił się do wyszczerbionego zęba.

Matka udawała, że nic się tu nie dzieje, jakby siedziała w budce, kiedy nie ma kupujących. Była w tej chwili podobna do ojca. Aronek wyczuwał, że między rodzicami istnieje tym razem zgodność myśli. Oboje byli źli na Schariego i oboje tego nie ukrywali.

Rozmowa się nie kleiła. Mówiono o tym, że w tym roku jest rok przestępny

i dlatego Zielone Święta wypadają o miesiąc później. Scharie cieszył się, bo rok przestępny jest dla Żydów szczęśliwy. Musi to być rok większych zarobków i urodzajów. Bo Żydzi muszą mieć na cztery soboty dodatkowo żywność i pieniądze. A Bóg przecież trzyma z Żydami.

— Tak, urodzaj taki sobie — rzekł wujek. — Ale póki nie załaduje się worków ze zbożem i nie zawiezie do młyna, nie można mówić o urodzaju. Jeden grad i po całorocznej pracy.

— Taaak — powiedział Scharie. — Ale przestępny rok, to jeszcze jeden miesiąc życia. To szczęśliwy rok. Ja zawsze lubię najważniejsze interesy załatwiać, kiedy jest przestępny rok.

— Taaak — powiedział wujek.

— W przestępny rok dwanaście lat temu kupiłem pół domu. — Scharie rozparł się w krześle. — W przestępnym roku ożeniłem się dwadzieścia lat temu. W przestępny, cztery lata potem, urodził mi się Froim, jedyny mój syn.

Raca westchnęła.

— Taaak, jedyny, wypłakany u Boga. Przed nim, Froimowi na długie lata, pogrzebaliśmy dwoje dzieci. Syn miałby już dzisiaj osiemnaście lat, a córka szesnaście.

Scharie spojrzał na nią strasznym wzrokiem.

— Mylisz się, moja droga żono. — rzekł. — Syn miałby dziewiętnaście, a córka osiemnaście lat.

— Tak, tak — podchwyciła chuda Chaje.

— Tak, ale nie to chciałem powiedzieć. Gdzie skończyłem... Oj, Raca, moja droga żono, proszę cię, nie przerywaj mi, dobrze?

Raca powiedziała:

— Już, już.

— Taaak — chrząknął wujek.

Hinda podniosła oczy. Przyjrzała się Froimkowi. Pod długim nosem już czernił się wąs. Na spotniałym, tępym podbródku kręciło się parę kędzierzawych włosów. Siedział z opuszczoną głową.

— A teraz w tym roku zamierzam kupić kamienicę reb Lejzora. Wyście o tym nie słyszeli? — zwrócił się do ojca. — Wkrótce ja będę waszym gospodarzem. Sądzę, że ze mną nie będzie wam gorzej niż z reb Lejzorem. Kamienicę oddam memu synowi. Ja chcę, żeby mój syn żył spokojnie. Chcę, żeby całkowicie oddał się nauce. Chcę, żeby z boską pomocą stał się albo dajen, albo, jeśli Bóg da, rabinem. Po co, myślicie, kupiłem torę i po co urządziłem u siebie własną bóżniczkę, jeśli nie właśnie dla niego. A jeśli otrzyma pozwolenie na wykonywanie praktyki rabinackiej — to już będzie miał wszystko gotowe. I ani on, ani jego żona nie będą musieli pracować. Będą sobie spokojnie żyli. Dom ten ma dziesięć mieszkań: na piętrze Lejzor Steif — trzy pokoje z kuchnią, na ganku Ester — dwa pokoje z kuchnią, krawiec Zysie — pokój z kuchnią. Na poddaszu mieszka stróż Prejmycz — to się nie liczy, na dole blacharz Sane — pokój z kuchnią, Szułym i Chaje — pokój z kuchnią, Zełde — jeden pokój, sklepikarz Jojne — pokój i sklep, wdowa Giteł — pokój z kuchnią, no i wy, reb Tojwie — pokój z kuchnią. Mieszkanie, przeciętnie liczmy, sto pięćdziesiąt reńskich rocznie. Liczmy podatki, wydatki, to, owo, więc tylko sto dwadzieścia reńskich. To znaczy ponad tysiąc czterysta reńskich. Liczmy tylko tysiąc dwieście.

To znaczy sto reńskich miesięcznie. Nu, dwadzieścia pięć reńskich od soboty do soboty wystarczy potąd — Scharie palcem powiódł po szyi. — A potem...

— A ile się ceni ta kamienica? — przerwał wujek.

— Ona jest obciążona długami. Dlatego Steif musi ją sprzedać. A wszystko razem, hipoteka, zaległe podatki — dwadzieścia tysięcy.

— Hm, hm. — Wuj oparł się na rękach i nachylił nad stołem. — To znaczy... dwieście morgów. Taaak, dwieście morgów. — Wyjął z kieszeni cybuch i zaczął go nabijać tytoniem.

— I wszystko macie zamiar dać synowi? — spytał po chwili milczenia.

— Nu, a komu? Jedyny syn, jedyne dziecko. — Scharie rozłożył ręce i podniósł oczy do sufitu.

— A moja córka nie jest u mnie jedynym dzieckiem. Mam jeszcze dwóch synów. I cały mój majątek nie jest wart połowy tej kamienicy. Reb Scharie, słuchajcie, co wam powiem. Ja jestem prosty, wiejski Żyd i nie lubię lewą ręką drapać się w prawy pejs. Nie rozumiem, dlaczego właśnie moja córka wam się spodobała. Jak się ma tyle pieniędzy, można sobie wyszukać dziewczynę z większym jeszcze posagiem i z lepszego domu niż moja Hinda.

— Reb Szyje, odpowiem tak, jak napisane jest w „Hagadzie" — „dla mnie wystarczy". Dla mnie dosyć tego, co mam. Nie potrzebuję bogactw, tak jak inni. Dla mnie wystarczy to, co mam. Człowiek nie żyje wiecznie. I bogactw nie bierze ze sobą na tamten świat. A jak po stu dwudziestu latach Żyd staje przed Najwyższym, to On się nie pyta, ile masz tysięcy reńskich, ale ile zrobiłeś dobrego w życiu. Jaką drogą poszły twoje dzieci. Jak pokierowałeś życiem swego syna. Syn — to źrenica oka. A jak syn zaczyna dorastać, to i „cieszył się Jetro", na co powiada komentarz Raszi, że to nie była tylko radość. Jetro z jednej strony cieszył się, że jego zięć Mojsze wyrósł na wielkiego człowieka, a z drugiej strony „kłuło go jak igiełkami". Bo czy egipski ksiądz mógł cieszyć się, że Żyd wyrósł na wielkiego człowieka? Nawet jeśli oddał mu własną córkę na żonę. Tak jest, nie przymierzając, i u mnie. Jaki ojciec się nie cieszy, kiedy widzi, że płód jego dochodzi do lat, kiedy potrzebna jest już nie matka, ale żona. Ale jaki ojciec nie martwi się, że nadszedł czas, kiedy dziecko trzeba wypuścić jak ptaka z domu, że źrenica twego oka nie potrzebuje już twojej ochrony. Tak. Ale nie to chciałem powiedzieć: największa troska ojca, to żeby oddać syna w odpowiednie ręce, żeby nie dać się, broń Boże, omamić złotem, żeby nie wpadł w sieci złego ducha. Żeby znalazł żonę — prostą, żydowską córkę, skromną, pracowitą, czystą, ze zdrowej rodziny, w której nie było chorych umysłowo, wychrztów, złodziei, bankrutów, nie obciążonej chorobami dziedzicznymi, jak suchoty, cukrzyca, żylaki, trachoma i tfu, tfu, tfu, na wszystkich wrogów Izraela, wszelakie inne paskudztwa.

Scharie odsapnął. Czekał, co na to powie wujek. Ale wuj chrząknął parę razy i milczał. Wtedy Scharie zwrócił się do ojca:

— Co wy powiecie, reb Tojwie, mam słuszność?

— Słowom waszym — odparł ojciec — nic zarzucić nie można...

— Nie chcę wam pochlebić, reb Szyje — rzekł Scharie — ale powiem wam, jakem Żyd, i wy, i wasza córka przypadliście mi do serca. Są tacy ludzie, którzy od razu przypadają ci do serca. Ja też nie chcę samego siebie chwalić...

— Nu — Chaje machnęła ręką — złoto chwali się samo. Za was mówi wasze bogactwo.

— Bogactwo — uśmiechnął się Scharie — nie jestem, nie daj Boże, biedakiem, ale do bogaczy też mi daleko. Moim bogactwem jest mój syn, niech mi będzie zdrów. Reb Szyje, nie wypada chwalić własnego dziecka, ale spytajcie się reb Tojwie. Co tu dużo mówić. Trzy lata uczył się u reb Tojwie. A kto reb Tojwie jest, nie potrzebuję wam chyba mówić. Kto może się uczyć u reb Tojwie? Nie byle kto. Froimek, powiedz nam, synku, czego się uczyłeś u reb Tojwie? Froimł?

Froimek się wzdrygnął i podniósł głowę. Spojrzał na matkę i bąknął coś pod nosem.

— Nie wstydź się — uśmiechnął się Scharie. — Jakiej księgi Talmudu uczyłeś się u reb Tojwiego? — Scharie kiwnął doń przyjaźnie głową.

— Ja już się nie uczę — rzekł Froim i znów opuścił głowę.

Scharie poczerwieniał. Raca klasnęła w dłonie i westchnęła ciężko. Ojciec ukrył uśmiech pod wąsem, a matka poruszyła się na krześle z radości.

— Nu, ale czego przedtem uczyłeś się? — spytał Scharie.

— Bubu Kame — rzekł Froim.

— Bubu Kame — powtórzył Scharie i spojrzał na wujka.

— A czego uczyli się moi synowie, Azyk i Szmił? — wujek odwrócił głowę w stronę ojca.

— Też Bubu Kame. Oni uczyli się razem z Froimkiem. — powiedział ojciec.

— Taaak — zdziwił się wujek — a ja nie wiedziałem. Bubu Kame, Bubu Kame — powtarzał. Nagle wujek rozzłościł się. — Rojza ze swoimi interesami. Moi synowie uczą się Bubu Kame, a ona ich trzyma przy stajni. Froim, żebyś mi zdrów był, powiedz mi, co to jest Bubu Kame? I czego ty się jeszcze uczyłeś?

— Wy pewno, reb Szyje, macie na myśli polski, niemiecki — pospieszył się Scharie.

— Wszystko mi jedno: polski — nie polski...

— Tyle, ile trzeba, to on umie. Uczył go w domu wasz krajan, Selig. Do polskiej szkoły nie chciałem go posyłać.

— Dlaczego? — spytał wujek.

— Jak ktoś ma być rabinem, to nie może siedzieć w szkole, gdzie wisi krzyż.

— Rabinem — wujek zamyślił się. — Elke, u nas w rodzinie nie było żadnych rabinów, prawda? — wujek roześmiał się.

— I jakoś wyżyliśmy — powiedziała matka.

— Może nie rabinem, ale dajenem — zawahał się Scharie.

— Będzie tym, czym Bóg zechce — wtrąciła się nagle zniecierpliwiona Raca. — Tylko, żeby mu było dobrze.

— Pytanie, czy im będzie dobrze — odezwała się Chaje. — A komu ma być dobrze, jak nie jedynakowi reb Schariego? A tobie, Hindeniu, będzie przy nim, jak sobie sama tego życzysz. Nu, reb Szyje, czemu nic nie mówicie? Siedzicie, jakbyście byli obcy człowiek, a nie ojciec. Jak na obcym weselu. Żyd siedzi i cały czas milczy. Taki Żyd, jak wy, reb Szyje, bierze i wyciąga rękę, i ubija interes. Dziś dacie sobie słowo, a po Zielonych Świętach będziemy bić talerze na spisywaniu zaręczyn.

Scharie podniósł rękę.

— Chaje, powoli. Spisać zaręczyny, to nie obwarzanek za centa. Naprzód trzeba wiedzieć, czy narzeczeni podobają się wzajemnie. Nu i... warunki.

— Warunki? — Chaje skrzywiła wąskie usta — Reb Scharie, warunki umówcie już sami między sobą. My, obcy ludzie, nie musimy być przy tym. A Hinda i Froim... Oj, widziałam, jak ty, gołąbeczka, patrzyłaś na swego narzeczonego. Widziałam, że ci się podoba.

— Czy się Hindzie podoba, czy nie, to mniejsza z tym — powiedział wujek. — Nu, a Froim, powiedz ty, Froim? — wuj zmrużył jedno oko, a drugim starał się spojrzeć Froimkowi prosto w twarz.

— Za niego ja odpowiem — rzekł Scharie. — Gdyby narzeczona mi się nie podobała, nie zaczynałbym z wami, reb Szyje, rozmowy. A jak mnie się podoba, to mojemu synowi też. Prawda, Froimł?

Froim bąknął:

— Ha?

— Powiedz, Froim, tak? — pytał Scharie.

Froim szukał odpowiedzi w oczach matki. Raca kiwała głową.

— Tak — powiedział Froim.

— Nu, niech będzie w szczęśliwą godzinę — wykrzyknęła chuda Chaje. — Nu, reb Szyje, nu, reb Scharie, podajcie sobie ręce!

Teraz ojciec uderzył tabakierką w stół.

— Chaje — zaczął ojciec — nu, niech będzie w szczęśliwą godzinę. Mam tylko jedno pytanie. Co wam powiedziała Bajłe, córka Zełde, kiedy wychodziliście stąd i szliście do reb Schariego? Godzinę temu. Widziałem, jak podbiegła do was, trzymała was za rękę i nie chciała puścić. Pytała się was o coś. Dlaczego o tym mówię? Bo coś sobie przypomniałem. Wyście raz opowiadali o niej, o Bajłe, mojej żonie. Pamiętacie? Byłem nawet zły, że głośnym opowiadaniem przeszkadzacie mojemu synowi Modche w nauce. To było jeszcze przed świętami Pesach.

Chaje i Scharie zbledli. Matka chwyciła ojca za ramię:

— Tojwie, daj spokój! Daj spokój!

— Ja? — zdziwiła się Chaje — Ja coś opowiadałam?

— Nu, jeśli nie pamiętacie, mogę wam przypomnieć — ojciec odepchnął rękę matki. — Mogę wam przypomnieć, jak widzieliście w ciemnym pokoju Bajłe...

— Fe, reb Tojwie — krzyknęła Chaje — jak wam nie wstyd zajmować się babskimi plotkami! Mało to kobiecy język potrafi napleść?

— Nie, Chaje, tym razem to nie są plotki. Przychodziła do mnie Zełde, matka Bajłe. Płakała, żeby jej pomóc. — Jeśli Geceł się dowie — mówiła — zabije oboje: i Bajłe, i Froima. — Wy, Chaje, o tym lepiej wiecie niż ja i nie róbcie takich wielkich oczu, a wy, reb Scharie, wiecie też i teraz chcecie szybko się ratować. Tak, reb Scharie, stało się wielkie nieszczęście.

— Jakie nieszczęście? Jakie nieszczęście? O czym ja wiem od was lepiej, reb Tojwie? Nic nie wiem. Co się tu dzieje! — Scharie krzyczał coraz głośniej.

Raca ukryła twarz w dłoniach.

— Boże, Boże, dlaczego mnie tak ukarałeś? — płakała.

— Wy chcecie ratować swego Froima szybkim weselem — mówił gwałtownie ojciec. — A czy to coś pomoże? Co się stało, to się już nie odstanie. Co wy potem zrobicie z biedną Bajłe?

— Jakem Żyd... nic nie rozumiem — złościł się wujek. — Interesy. Rojza z interesami. Co się tutaj dzieje? — powtórzył Szyje za Schariem. — A ty, Tojwie, myślisz, że ja już jestem gotów, łapu-capu — jak powiedziała...

— Potrzebne ci to było jak dziura w głowie — krzyczała matka. — Co ciebie obchodzi Bajłe? Policjant Pana Boga.

Ale ojciec nie uspokoił się. Stukał palcem o tabakierkę. Odwrócił się do wszystkich bokiem i nie odzywał się już ani słowem.

— Kto to jest ta Bajłe? — krzyczał wujek. — Zawołajcie ją tutaj! Kto to jest?

Ale nikt nie odezwał się. Wuj spojrzał na Schariego, na ojca i wstał, schował cybuch do wewnętrznej kieszeni.

— Nu, dobrze — rzekł. — Potem zwrócił się do Hindy. — Tyś chciała zobaczyć, co konie robią. Idź, zobacz. — Wujek zawahał się. — Nie, ja sam pójdę zobaczyć.

Hinda zerwała się z jasnymi od szczęścia oczyma, a wuj powoli skierował się ku drzwiom.

— Reb Szyje — wołał nań Scharie — wy odchodzicie? A ja chciałem parę słów... Ale już nie tu... proszę was do siebie... to parę kroków stąd i wam wszystko wyjaśnię.

— Ech — wujek machnął ręką — to już w takim razie nie ze mną. Na drugi raz — wujek odwrócił się do Hindy — na drugi raz niech twoja mama sama jedzie oglądać narzeczonych. Ona jest widać mądrzejsza ode mnie i tym, że chce szybko wydać córkę, i tym, że nie puszcza synów do miasta.

ŚWIĘTA

Wuj Szyje był cały wzburzony.

— Oględziny! Masz tobie: oględziny. Rojza z interesami! — złościł się.

Do Hindy nie mówił, tylko krzyczał. Dziewczyna biegała do koni, dosypywała im owsa, chodziła do szewca. Pytała co chwila, czy wujkowi czegoś nie potrzeba. Zaglądała mu w oczy. Starała się we wszystkim mu dogodzić.

— Czego latasz za mną jak cielę za krową? — gniewał się wujek. — Siedź na miejscu albo idź do ciotki Elke na rynek i nabierz sobie wreszcie na tę sukienkę. Tylko nie szastaj pieniędzmi, słyszysz?

Gniew wujka uciszył się dopiero, kiedy wsiadł na furę, smagnął biczem gniadosze i pojechał. Odwrócił się jeszcze i krzyknął:

— Hinda, pamiętaj, jutro wracaj do domu!

Ale Hinda została przez święta. Materiał kupiła w budce u matki. Była to biała markizeta w drobne niebieskie kółeczka.

— Komu nie jest dobrze w białym? — namawiała ją Szlomcia. — Zwłaszcza jak się ma ciemne oczy i jasną cerę. W ciągu dwóch, trzech dni uszyję sukienkę i nie opłaci się wracać na wieś, a potem na przymiarkę znów przyjeżdżać.

Matka była za tym, żeby Hinda wzięła ciemno-zielony aksamit.

Białe trzeba prać co drugi dzień. A markizetę można nosić tylko, kiedy gorąco. Parę dni w lecie i już. A potem czekaj nowego lata. Zawsze jest jakiś nowy wzorek. Aksamit jest — piękna rzecz, mocna, na parę lat, a potem można przerobić.

Ale Hinda wolała markizetę.

Suknia była już gotowa na święta, lecz Hinda nie wróciła na wieś. Nie wyjechała i wciąż się martwiła. Wzdychała. Co powie matce? A ojciec ją uprzedził, żeby nie bawiła długo w mieście.

Szlomcia machnęła ręką.

— Po prostu powiedz, że nie było fury.

Hinda po raz ostatni przymierzała sukienkę. Przeglądała się u Szlomci w lustrze. Przeszła się parę razy po pokoju. Wszystkich prosiła, aby jej powiedzieli prawdę. Czy w plecach nie za ciasna? Pod pachami trochę pije. Czy falbanki są dość sute, a może dolną spruć? Nie będzie widać nowych bucików. Czy rękaw nie jest za długi? Mankiet będzie się szybko brudził. I czy nie lepiej przyszyć błękitną szarfę z olbrzymią kokardą z tyłu, do sukienki, żeby nie osuwała się na biodrach?

Ale na tym też koniec. Niebo zachmurzyło się, zaczął dąć przejmujący wiatr i całe święta mżył mroźny deszczyk. Piękna suknia wisiała u Szlomci w szafie.

*

Zielone Święta to były jakby dwie soboty razem. W te dwa dni świąt Żydzi pozwalali sobie po obiedzie pójść do ogrodu szpitalnego z kocem, położyć się pod drzewem. Brało się na wszelki wypadek słodycze lub jabłka.

Cóż, kiedy niebo było dla Żydów tak niełaskawe! O ogrodzie szpitalnym nie mogło być mowy. Gdyby nie wstyd, napalono by w piecach. To nie były Zielone Święta. Zsiadłe mleko nie było zsiadłym mlekiem. Pierożki z serem nie smakowały jak się należy. Cały mleczny obiad, jakby zabłąkał się nie w swoją porę. Na taką pogodę nadawał się gorący „złoty" rosół, wypieczone w tłuszczu kartofle, tłusty kawałek wołowiny. Nie — to były straszne święta! I na próżno usiłowano osłodzić je sobie miodowymi plackami z makiem. Właściwego smaku świąt nie można było odnaleźć. Żydzi byli źli.

Wieczorem od rozpalonego pod kuchnią ognia, świec w lichtarzach i świątecznej kolacji robiło się cieplej.

*

Hinda nie dokończyła jeść gotowanych śliwek. Zabrała ze sobą Aronka i poszła do Szlomci.

— Jakby na złość — mówiła wdowa Giteł — cały czas, jak nie trzeba było, było ciepło, a teraz na święta, kiedy człowiek już sobie coś uszył i mógłby pójść przejść się na powietrzu, przewrócił się kalendarz do góry nogami. Masz, Żydzie, święta. Czekałeś na nie, teraz masz! Idź, zapytaj Boga, gdzie sens. Dlaczego się Jemu tak spodobało?

Giteł zabrała talerze ze stołu i wyszła umyć je w kuchni. Przez różową zasłonę widać było złoty krążek światła i pochyloną nad nim postać Giteł.

— Mama już zaczyna kłócić się z Bogiem — szepnęła Szlomcia Ariemu do ucha.

Arie uśmiechnął się. Spojrzał w stronę kuchni i objął Szlomcię ramieniem.

Fańcia siadła na kanapie obok Ariego. Ale zaraz wstała, podeszła do okna.

Potem siadła z powrotem. Nagle podniosła się, odłamała kawałek piernika i znów zrobiła parę kroków w stronę okna. W pół drogi cofnęła się, otworzyła szafę i wyjęła czerwoną, kraciastą chustę. Zarzuciła ją na ramiona. Przez uchylone drzwi szafy widać było nową, markizetową suknię Hindy. Fańcia nie podniosła ciasta do ust. Rzuciła je z powrotem na talerzyk. Siadła znów na krześle.

— Jak tu zimno. Czy wam też tak zimno?

— Filuje, lampa filuje. Szlomcia, wkręć trochę knot — wołała wdowa Giteł z kuchni.

Na białym obrusie w srebrnych lichtarzach dopalały się świece. Duże lustro połyskiwało srebrem na Hindę, siedzącą z opuszczonymi na kolana warkoczami. Hinda przeglądała się w lustrze i poprawiała duży grzebień, wysadzany szkiełkami.

— Bardzo lubię tę piosenkę — odezwała się Szlomcia. — Tak jakby stworzona dla ciebie, Hindziu. Tylko że masz jasne oczy.

Hinda odżegnała się niezgrabnie ręką.

— Zostaw — powiedziała i zarumieniła się.

Szlomcia zanuciła z początku cicho, a potem coraz głośniej:

Włosy czarne —
splot warkoczy.
Jak węgiel czarne
błyszczą oczy.
Usta drobne
jak czereśnie —
gdy całują,
to jak we śnie.
Drobna nóżka,
piękna główka,
któż to taki!?
To Żydówka!

— Ha, ha — śmiała się Hinda. — Jakaś ty śmieszna. — Hinda podbiegła do Szlomci i głośno ją pocałowała w policzek.

— Pokaż, pokaż, Hinda — prosiła Szlomcia — jak siedział Froim.

Hinda rozdziawiła usta, a dolną wargę odwinęła, przytrzymując ją palcem.

— Nie tak, opuść głowę... Tak — klaskała w dłonie Szlomcia.

— Czego chcecie? Piękny narzeczony — odezwał się poważnie Arie, ale ostrożnie odchylił się od Szlomci, jakby się bał z tej strony uderzenia.

— Nie wracaj na wieś już w ogóle. Ja cię będę uczyć szycia. A potem... — Szlomcia zniżyła głos. — Arie, jak myślisz: Hinda w roli Esterki. — Szlomcia zwróciła twarz swą do Ariego i jednym palcem dotknęła jego ogolonego podbródka. Potem nagle się zerwała i powiedziała:

— Zaraz wam pokażę.

Szlomcia wzięła ze stołu nóż i przyłożyła go do czoła.

— „Gdy się przykłada nóż do rozpalonego czoła, czuje się nagły chłód" — mówiła nieswoim, głuchym głosem.

Aronka przeszły ciarki.

— A potem, Hindziu, musiałabyś tym nożem zabić swego męża, wstrętnego, bogatego kupca. Tak wstrętnego jak Froim. — Szlomcia położyła nóż na stole.

— To straszne, to na pewno straszne — mówiła Hinda.

— Straszne? Co straszne? — odezwała się Fańcia. Dłońmi dotknęła czoła.

— To jeszcze nic — Szlomcia wydęła wargi — dopiero zobaczycie. Hinda, jeżeli zostaniesz, zobaczysz, jakie to piękne. Esterka zabija męża nożem rytualnym. Tylko że nie mamy gdzie grać. Ani sceny.

Szlomcia chwilę wahała się, kiwnęła palcem na Aronka.

— Arałe, nie opowiadaj o tym w domu. Słyszysz? Bo Modche znowu dostanie od ojca. Tak... Modche zapomina na scenie rytualny nóż. Rodzice zmuszają go, żeby został szojchetem. Modche przychodzi do mnie, kiedy już jestem żoną bogatego kupca. Ma już zostać wkrótce szojchetem, ma zarzynać krowy. Świetnie gra. Pamiętasz, Arie, jak grał od razu na pierwszej próbie? Cały się palił. A potem — Szlomcia nie mogła opanować śmiechu — Boże, jak jego ojciec bił. Pamiętasz, Arie? Ledwo udało się zatamować krew. Ileśmy się wtedy najedli strachu, w sieni, pamiętasz, Arie? — Szlomcia znów się roześmiała. — I jeszcze ten Scharie tam siedział i siedział. Myślałam już, że będzie u nich nocować. No więc... Modche zapomina na stole rytualny nóż. A ja tymczasem zabijam nożem męża. Szkoda że publiczność tego nie będzie widzieć. Mąż śpi za zasłoną i kiedy umiera, słychać tylko, jak charczy. W jednym miejscu Modche mówi: „Kiedy biorę do ręki nóż i zbliżam się do krowy albo wołu, zwierzę patrzy na mnie takimi dużymi, smutnymi oczyma, jakby się prosiło: «nie zabijaj mnie, nie zabijaj mnie». Esterko, Esterko, ja nie mogę być szojchetem!". Jak on to pięknie mówi, tak cicho.

— Pięknie — szepnęła Hinda. — Kiedy będzie to przedstawienie?

— Jeszcze nie wiadomo — odpowiedziała Szlomcia. — To nie przedstawienie, to teatr.

— Teatr? — powtórzyła Hinda. — Czy ty widziałaś teatr? To na pewno jest piękne.

— Nie, nie widziałam — Szlomcia zasmuciła się.

— Teatr? O teatrze mówicie? — odezwała się Fańcia. — Ja widziałam.

— Jak tam wygląda? Powiedz, powiedz — prosiła Hinda — Pięknie?

— To był ruski teatr ze Lwowa. Grał Rubczak. — Fańcia zamyśliła się. Była blada i oczy jej stały się jeszcze ciemniejsze, a duże usta jeszcze czerwieńsze. Wstała i podeszła do okna. Owinęła się chustą i wróciła na kanapę.

— Jak tu zimno. Wam też tak zimno? — spytała.

— Tyś chora? — zaniepokoiła się Szlomcia.

Fańcia milczała. Nagle roześmiała się.

— Żydowski teatr! Cha, cha — śmiała się. — Jak Żydzi mogą grać w teatrze, kiedy są tak brzydcy?!

— Żydzi są brzydcy? — pomyślał Aronek. Przypomniał sobie stryja Karola.

— A stryj Karol? — spytał Aronek — Też jest brzydki? Tyś chciała, żeby się z tobą ożenił.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Czarne oczy Fańci zapaliły się.

— Ty szkrabie! — krzyknęła — Wynoś mi się stąd natychmiast!

Arie wciąż śmiał się. Podszedł do Aronka i uszczypnął go w policzek.

— A to ci dopiero — śmiał się.

A Fańcia tupnęła nogą:

— Wynoś mi się, wynoś mi się!

— Fańcia, czego tak krzyczysz, czego chcesz od dziecka? — oburzyła się Szlomcia. — Nie, nie, Arałe, zostań.

Hinda objęła chłopca i przycisnęła do siebie.

— Taki szkrab niech się nie miesza do rozmowy. — Fańcia znów tupnęła nogą.

— Co się tam stało? — wołała wdowa Giteł z kuchni.

Arie zakrył usta ręką. Szlomcia kiwnęła na Aronka palcem i zagryzła dolną wargę.

— Swoją drogą — rzekł Arie — mnie się ten Karol też podobał. On pewno używa życia. Robi, co mu się podoba. To rozumiem, natura jak burza.

— Już się uspokoił — machnęła ręką Szlomcia — już, już uspokoił się. Żona sklepikarza Jojnego biegała po sąsiadach z jakimś listem. To był list z Perehińska od brata Jojnego. A brat Jojnego, to znów teść tego Karola. Pisze, że zięć wróci do żony i dziecka. Coś tam jest też o Chamariem. — Szlomcia nagle urwała. — Ktoś otworzył drzwi z kuchni. Do pokoju, odsuwając zasłonę z różowego perkaliku, wszedł Selig.

Fańcia siedziała spokojna, ale zła. Z zaciśniętymi wargami. Aronek wciąż bał się, że Fańcia za chwilę zerwie się, chwyci go za rękę i wyrzuci za drzwi. Ale kiedy Selig przyszedł, zrozumiał, że Fańcia już teraz nic mu nie zrobi.

*

— Selig — Arie złożył dłonie i ścisnął je kolanami. — Selig, czy ty potrafisz mówić o Żydach obiektywnie, ale tak, żeby — jeśli trzeba — przejęło wstrętem? Czy ty potrafisz mówić o Żydach, że są wstrętni? Dlaczego jest możliwe, żeby Żyd tak się wyrażał o własnym narodzie? Czy tobie nie przychodzi do głowy, że Żydzi to nie naród, że to nędzna trzoda? Czy ty ani razu nie pomyślałeś, po co to wszystko? Po co tyle ludzi cierpi? Komu to jest potrzebne?

Selig pochylił się nad filiżanką. Wziął w rękę srebrną łyżeczkę i szybko zaczął mieszać kawę. Różowy znak, wyciśnięty na czole czapką studencką, zaczerwienił się od napływu krwi. Obok, na pustym krześle, leżała studencka czapka ze złotą blaszką.

— Więc co ty proponujesz? — spytał.

— Nie wiem. Ale czuję, że tak nie można żyć. Czytałem książki. Myślałem, może tam znajdę odpowiedź. Żydowskie książki uczą tylko płakać i wzdychać. Pokazują nam nas samych, że aż się ściska serce. Perec, Mendele, Szulem-Alejchem. Co oni mogą poradzić lub pomóc? Po polsku i niemiecku czytam słabo. I to, co tam jest, jest niezrozumiałe dla mnie. Bardzo ładne, piękne, ale obce. I też nie daje odpowiedzi, po co człowiek żyje. Ja chcę wiedzieć, po co żyję. Jestem zegarmistrzem. Mój ojciec był zegarmistrzem i mój dziadek był zegarmistrzem. I mój syn też będzie zegarmistrzem. No i cóż? Naszym celem aż do dziesiątego pokolenia i do Mesjasza mają być kółka, kółeczka, sprężyny? A nie to jest najgorsze. Najgorsze, że żyję wśród ludzi, których nienawidzę. A nienawidzę dlatego, że nie wiedzą nawet, jak straszne jest ich życie, nasze życie. Czego ja właściwie chcę? Ja sam nie wiem. — Arie zastanowił się.

Końcem języka zwilżył grube wargi (górna warga była tak samo gruba jak dolna), odrzucił z czoła rozsypujące się czarne włosy. — Jakie są dążenia tych ludzi? Prześliznąć się przez życie. O czym marzy mój ojciec, cichy, spokojny, rzetelny rzemieślnik? O cichej, spokojnej pracy aż do śmierci. Do niedawa miał jedno pragnienie: marzył o woreczku ze świętą ziemią palestyńską. A kiedy dziadek przed swoją śmiercią posłał mu ten woreczek z ziemią palestyńską, to właściwie nic mu już nie zostało, tylko czekać, póki tego woreczka nie położą mu pod głowę... w grobie... Nienawidzę tego życia, nienawidzę siebie...

Arie mówił coraz szybciej i krzywił się, jakby mówienie było dlań przykrością.

— A ja wiem, po co żyję — odezwała się Szlomcia, patrząc na wszystkich wyzywająco. — I chcę żyć. To wszystko naokoło mnie jest dla mnie tylko chwilowe. To przeminie. Wierzę, że zniknie, jak mówi Bejrysz Scheiner, czarna bekiesza i pejs żydowski, wieczny strach i ta gonitwa za centem. Nienawidzić? Dlaczego mam nienawidzić? Czy oni są winni? I czym ja jestem lepsza od nich?

— Oni nam wiążą ręce. Sami sobie związali ręce — mówił Arie. — Myśmy młodzi i chcemy żyć. Inaczej niż oni.

— I żyjemy inaczej — powiedziała Szlomcia.

— Czym? Że nie noszę, chwała Bogu, pejsów — krzyknął Arie — czy to już wszystko? Dlaczego stoi nade mną zawsze jakiś strach? Dlaczego boję się ludzi, muszę się przed nimi ukrywać i robić tylko to, co oni uważają za dopuszczalne.

— A co byś ty chciał robić? Jakie są twoje dążenia? Jak ty byś chciał żyć? — spytał Selig.

— Nie wiem. Nie wiem... — Arie wstał i zdmuchnął dogorywającą świecę. Z lichtarza popłynęła w górę cienka, biaława smuga cuchnącego dymu. Arie dmuchnął też na wijącą się smugę. — *Cienie* — powiedział — czytałem jedno opowiadanie. Mówi się tam o cieniach padających na ścianę besmedrysz. Żydzi kiwają się nad księgami, a ogniki świec rzucają ich cienie na ścianę. To jest ich życie. Ja siedzę i kiwam się nad zegarkiem, to jest moje życie. — Arie zamilkł. Nastała cisza. Słychać było tylko tykanie zegara z dużym mosiężnym wahadłem i ciężarkami.

— Jak tu u was smutno w mieście — szepnęła Hinda.

— To nie miasto — powiedział Arie — to miasteczko.

— Wszystkiemu winne miasteczko. Ale to przeminie — odezwała się z przekonaniem Szlomcia. — Zmieni się, już się zmieniło. Weź na przykład Seliga. Któż by pomyślał, że Żyd z prostej rodziny może chodzić do gimnazjum. Weź Chamariem. Córka takiego Żyda jak Tojwie jest polską nauczycielką. Albo weź całą rodzinę Scheinerów z Bolechowskiej. Prości stolarze, a poznać, że przyjechali z wielkiego miasta. Rodzice Bejrysza Scheinera nie są nawet pobożni. Ojciec chodzi tylko w sobotę i święta do bóżnicy, a matka pali w piątek wieczór świece tylko dlatego, żeby ludzie nie mieli o czym gadać...

— Nie. Szlomcia, nie rozumiesz, o co idzie — zawołał Arie i spojrzał na Seliga z ukosa. — Jestem za mało wykształcony, żebym ci potrafił to wytłumaczyć. Ja po prostu nie chcę być Żydem. Mnie z tym ciężko.

— To się wychrzcij — powiedział Selig.

— Selig, ja z tobą mówię poważnie. A ty więcej rozumiesz niż ja — rzekł

Arie, podnosząc się z kanapy i siadając przy stole naprzeciw Seliga. — Powiedz mi, co ty myślisz? — spytał.

— Powiedziałem ci, wychrzcij się.

— No, przestań — rozzłościł się Arie. — Chcę, żebyś wytłumaczył mi jedno: skąd się bierze, że człowiek czuje się nieszczęśliwy. Ciągle mu się zdaje, że coś przed nim lata, że wystarczy wyciągnąć rękę, żeby to coś schwytać. Ale nie dają ci tego zrobić. Ktoś zawsze trzyma cię za rękę i mówi: nie wolno.

Cienkie, bezkrwiste usta Seliga rozciągnęły się w uśmiechu:

— To brzmi jak u Schopenhauera. A może nawet gorzej. Czy ty czytałeś Schopenhauera? — spytał nagle, podnosząc głowę. Wyblakłe jego oczy wpatrywały się uporczywie w twarz Ariego.

— Nie — odpowiedział Arie.

— To dobrze — odetchnął Selig.

Nagle ożywił się:

— Słuchaj, co ci powiem, Arie. Należy uciekać od teraźniejszości, uciekać w przyszłość. Jak robi Szlomcia, choć ja wolę uciekać w przeszłość. Czytaj Graetza, a wtedy zapomnisz o pogardzie dla „nędznej trzody", jak ty nazywasz własny naród. Gdybym ja mógł uwierzyć, że przyszłość będzie lepsza, byłbym szczęśliwy. Gdybym ja miał wiarę prostego Żyda w przyjście Mesjasza! Człowiek powinien zapomnieć o sobie, za dużo człowiek myśli o sobie... Każdy Żyd ma na duszy garb. Lecz nie są to piękne skrzydła wolności, jak w bajce. To łachmany niewoli. Dwutysiącletniej niewoli. I jak długo będzie trwać niewola, tak długo będziemy godni pogardy.

— W niewoli? — krzyknął Arie — u kogo? Kto nas trzyma w niewoli? Żydzi sami trzymają się w niewoli. Sami sobie zbudowali mury, kraty, płoty. Siedzą za tymi kratami, murami, płotami i rzucają klątwę na każdego, kto śmie ich dotknąć.

— Już kraty te są mocno poszczerbione, niestety — rzekł Selig.

— Tak. Trzeba je jeszcze bardziej poszczerbić — zawołała Szlomcia.

— Po co? — wzruszył ramionami Selig.

— Nie „po co", ale „jak" — oto jest pytanie — rzucił Arie.

— Niech sobie każdy szuka własnego szczęścia — odezwała się Fańcia, odrywając dłoń od twarzy. Siedziała opierając się łokciami o kolana.

Hinda wstała z krzesła i przesiadła się na kanapę. Przytuliła się do Fańci i ręką głaskała jej czarne, kędzierzawe włosy.

— Jak? — Szlomcia powtórzyła pytanie Ariego. — Jeszcze dwa lata temu zakładałeś pejsy za uszy, na pewno nie wyobrażałeś sobie, że można nie pójść z ojcem do bóżnicy. A od czego się zaczęło? Od prostej książki, którą ci dał Bejrysz Scheiner. Od jednego opowiadania Pereca. Przyleciałeś z książką i mówiłeś, że nie spałeś całą noc.

— Może lepiej by było, gdybym jej nie czytał — rzekł ze smutkiem Arie.

— Ja nie żałuję. — Byłam szczęśliwa, że mi nagle pokazano nasze życie. Przecież nawet nie wiedzieliśmy, jak wygląda to życie. A teraz, jeśli tylko potrafię, pokażę je każdemu. Ja bym chciała wszystkich do nas przyciągnąć. Selig, czy ty znasz Bejrysza?

— Mówią o nim w mieście. Słyszałem o nim. Żydzi mówią, że to dom bez-

bożny, że zbiera u siebie hałastrę, w którą się wmawia, że ludzie pochodzą od małpy. — Selig uśmiechnął się. — Ja go nie znam.

— Jakbym chciała, żebyś się z nim zaprzyjaźnił, on tyle umie, on by z tobą inaczej dyskutował niż ja. Wiesz, co on mówi? Żydzi, to naród nieszczęśliwy. Należy zmienić ich sposób życia. Należy im dać pracę w ręce i grunt pod nogami, żeby nie żyli w powietrzu i z powietrza.

— To prawda. Ale skąd wziąć ten grunt? Oto jest pytanie. — Selig uśmiechnął się do Ariego. — Żydzi muszą mieć własną ojczyznę. Jedyna droga dla nich, to nowe wyjście z Egiptu.

— Do Palestyny? — skrzywił się Arie.

— A jeżeli tak, to co? — spytał Selig.

— A dlaczego ja mam stąd wyjechać do jakiegoś obcego kraju? Jeżelibym miał wyjechać, to już lepiej do Ameryki — powiedział Arie.

— Co mnie może obchodzić jakiś pusty, obcy kraj — wzruszyła ramionami Szlomcia.

— To nie jest obcy kraj — powiedział Selig. — Żydzi nie przestali o nim myśleć przez dwa tysiące lat tułaczki.

— Jacy Żydzi? — Starzy, którzy wybierają się, żeby tam umrzeć, a przed śmiercią pomodlić się pod „Ścianą Płaczu“ w Jerozolimie. Jak mój dziadek. — Arie potarł ręką czoło. — Ja chcę, żeby mnie tu było dobrze.

— Tutaj tobie nigdy nie będzie dobrze. Zawsze będą cię nienawidzić za to, żeś Żyd.

— O, tego ja się nie boję. Zawsze bałem się najbardziej samych Żydów. Niech oni staną się inni, to nie będą ich nienawidzić.

— Żydzi nigdy nie przestaną być Żydami. Mogą przebrać się, ogolić. Ale wewnętrznie Żyd nie może się zmienić — odparł Selig.

— Dlaczego? — spytała Hinda. — U nas goje mówią o mojej matce: „Wy ne Żydiwka“, a matka odpowiada: „Czomu ne Żydiwka? Ja Żydiwka, tylky z wyłamy“.

Selig wyciągnął rękę i palcem wskazał na Hindę.

— Słyszycie? „Tako rzecze“ ziemia, powrót do ziemi — to jedyny ratunek. Tylko ziemia może zmienić naród. Nasz naród był ongiś narodem rolników. Z ziemi rodzi się prostota, zdrowie, bohaterstwo. Z ziemi wykwita geniusz. Naród jak drzewo musi zapuścić głęboko korzenie w glebę, inaczej lada wiatr może go zdmuchnąć. Wyobraźcie sobie: żydowski chłop przywozi do miasta swoje plony, widzisz jego ogorzałą twarz, pewność siebie, a inni niech handlują, niech inni wypatrują kupującego jak zbawienia, jak sobotniego kołacza, niech inni chwytają przechodniów za rękaw, a zarobek w powietrzu. Chłop obiema nogami wrośnięty jest w swoją ziemię i pęcznieje jej sokami. Ale tylko własna ziemia, Ojczyzna. A Żydzi, niestety, nie mają własnej ziemi.

— Oj — roześmiała się Hinda. — Ty spytaj moją mamę. Powiedz jej, że to nie jest jej własna ziemia. Ona by cię zabiła. Jak się pracuje na ziemi, to ta ziemia jest własna.

— Słusznie — ucieszyła się Szlomcia.

— Ale twój ojciec, Hindeniu, życzę mu długich lat życia, marzy o worku z palestyńską ziemią pod głową... w mogile.

Zegar zaczął wybijać dziesiątą.

— Boże! — krzyknęła Fańcia. — Śmierć i śmierć. Wciąż mówią o śmierci — Fańcia zatkała dłońmi uszy i potrząsnęła głową. Chusta osunęła się jej z ramion.

— Jakaś ty dziś rozdrażniona — Hinda przytuliła się do jej ramienia. A Szlomcia spytała:

— Co ci jest? Jesteś chora?

Fańcia nie odpowiedziała. Nagle drgnęła. Zerwała się i rzuciła ku oknu. Nasłuchiwała.

Rozległ się cichy gwizd, potem drugi, głośniejszy.

Oczy Fańci stały się duże, świecące, jasne. Chwilę stała w miejscu, przytrzymując ręką na piersiach koniec opadającej na ziemię kraciastej chusty.

Nagle odwróciła się i rzuciła do lustra. Szybko zmierzwiła jednym palcem włosy nad czołem. Poprawiła chustę, przecisnęła się bokiem między kanapą i stołem. W biegu trąciła puste krzesło i bez słowa wyleciała z pokoju. Głośno trzasnęła drzwiami w kuchni. Jeszcze słychać było odgłos szybkich kroków w sieni.

Selig schylił się, podniósł krzesło i studencką czapkę, która potoczyła się pod stół.

— Nieszczęście z tą dziewczyną — westchnęła Szlomcia. — Znalazła sobie tego księżego szajgeca. Nieszczęście! Co z tego będzie? Boję się wprost myśleć o tym! — Szlomcia umilkła i spojrzała w stronę kuchni.

Ale wdowa Giteł leżała już na składanym łóżku i głośno chrapała.

*

Po modlitwie porannej, podczas przerwy przed błogosławieniem kapłańskim, z bóżnicy wychodzili kapłani na korytarz, nadstawiali ręce nad szaflikiem, a lewici lali na nie wodę z mosiężnej kwarty. Awrum, który po pogromie uciekł z Kiszyniowa, podrzucał ramiona do góry, ale rękawy opadały znów i moczyły się w beczce. Hejnoch, właściciel składu torebek papierowych, nachylając się z mosiężną kwartą nad wiadrem, mruczał pod nosem i rozglądał się dookoła, czy śmieją się z tego, co mówi.

— Dużo macie takich służących, reb Fawel? Dobry ze mnie woziwoda, he? I płaci mi się cztery tygodnie za miesiąc. Nu, trzymajcie razem te swoje ręce, to wleję wam do rękawa.

Kapłan Fawel, przezwany „cesarzem", strząsnął parę kropel, skurczył nos, jakby wchodził do zimnej rzeki. Wziął od czarnego Szułyma ręcznik i wytarł wąsy, bujne kępy „cesarskiej" brody, rosnącej po bokach czerwonego i obskubanego podbródka.

Drugi kapłan — głuchy staruszek Pinches — mrugnął bezrzęsymi, opuchniętymi powiekami. Człapał w wydeptanych pantoflach.

— Pym-pym-phym — podśpiewywał sobie. — Ha? Że już jestem czerep? Tak, tak. Tutaj łamie, tutaj kłuje. Starość, to pesachowa maca: bez soli, bez smalcu, bez jaj. Chi, chi — przy śmiechu podnosiły się krótkie, wyliniałe wąsy. Dźgnął kciukiem stojącego na przejściu głupca Duwidł. Kiwe-Łoszak w porę odchylił twarz, a palce Pinchesa, wyciągnięte do uszczypnięcia, zawisły w powietrzu.

Duwidł jęczał, zmarszczoną twarz krzywiąc od płaczu i wycierając nos wierzchem ręki.

— Nie bij mnie. Ty mnie nie dajesz jeść, żeby mnie bić. Nie bij mnie.

— Oddaj mu, oddaj mu, Duwidł. — Kiwe-Łoszak dusił się od śmiechu. — Czego on ciebie bije? — Kiwe ciągnął go za postrzępiony rękaw bekieszy.

Z bóżnicy wybiegł mały Rachmił-koralnik, handlujący szklanymi paciorkami i prawdziwymi koralami. Wyciągnął ptasią głowę. Szybko nią obracał na cienkiej szyjce. Rachmił szukał szamesa.

— Gdzie Herszełe? Gdzie Herszełe? — pytał trącając w biegu głupca Duwidł.

— Nie bij mnie! — jęczał głupiec. — Rachmił mnie bije — skarżył się.

— Po co wam Herszełe, reb Rachmił? — spytał Meierł, mąż Pesi.

Meierł chodził po korytarzu tam i z powrotem. Głośno rozmawiał z idącym obok wysokim Szymonem, o wąskich młodzieńczych barkach, uczniem jeszywy w Preszburgu. Szymon przyjechał na święta do domu. Meierł odrzucił na ramiona osuwający się tałes, brał Szymona za młodą kędzierzawą bródkę i przekonywał go, że ten ustęp z „Nzikin" nie tak należy komentować. Mojme słuchał uważnie i niezdecydowanie przytakiwał słowom ojca.

— Po co wam Herszełe, reb Rachmił? — Meierł spytał po raz drugi — po co wam Herszełe — wmieszał się Heinoch, nie przestając lać wody. Nad szaflikiem teraz wyciągnął ręce ojciec Aronka.

— Ajajaj. Trzeba posłać po doktora. Po co daliście mu dzisiaj wstać. Niechby dziś jeszcze poleżał. Rebe znów zasłabł. Po co dziś wstawał? — złościł się Rachmił-koralnik.

Na korytarz wyszli Scharie i Baruch, zięć Goldmana, właściciela pasażu.

— Wy zastąpicie dziś naszego rabina — mówił Baruch, nadymając czerwoną jak burak twarz. Na pięknych, niebieskich oczach połyskiwał gruby cwikier ze złotym łańcuszkiem, założonym na ucho — wy jesteście dziś naszym gościem.

— Nie, to zbyt wielki dla mnie zaszczyt. — Scharie odżegnywał się rękami. — Powiem wam szczerze, reb Baruch, wy mówicie, że jestem waszym gościem. Biłem się z myślami, czy przyjść do was się modlić. Niestety, wciąż jeszcze w mojej bóżnicy nie ma kapłana. Gdyby szło tylko o mnie jednego. Ale tu szło o wszystkich Żydów należących do mojej bóżnicy. Jak to powiadają, dokąd głowa pomyśli, idą nogi. Trzeba było wszystko zabrać tu ze sobą.

— Tak — czarny Szułym mrugnął do Barucha — to nie było takie proste.

— Nu, ale zawsze myślałem sobie — mówił Scharie, ważąc każde słowo — lepiej jest nic nie mieć, aniżeli mieć coś złego. Byle kogo za kapłana wziąć nie można. To, że się ktoś urodził jako kapłan, to jeszcze za mało.

— Ech — Baruch wydął piękne, mięsiste usta — macie własną bóżniczkę i niech wam będzie na zdrowie. W sobotę możecie się modlić u siebie, a w święto na błogosławienie możecie przychodzić do nas. Będziecie zawsze mile widzianym gościem. Prawda, reb Tojwie?

— Pewno — powiedział ojciec, schylony nad szaflikiem.

— I dlatego mówię mu też, żeby stanął przy pulpicie. Rabin nagle zasłabł i nie może, niestety, przewodzić błogosławieniu. Tak mówi mój teść Goldman i reb Chaskiel, zięć rabina. Myślę, że nikt się nie sprzeciwi?

Ojciec wziął od czarnego Szułyma ręcznik i powoli wycierał ręce.

Z bocznych drzwi, prowadzących do pokojów, w których modliły się kobiety, wyleciał szames Herszełe bez tałesu, w zadartym do góry sztrajmlu.

— Lecę po doktora. Już lecę. Lecę. Waj. Waj. Ledwo oderwaliśmy go od pulpitu i zaprowadziliśmy do łóżka. Nie chciał iść. — Herszełe biegł drobnym krokiem, zatrzymał się na chwilę, chciał jeszcze zawrócić, ale machnął ręką i skierował się ku schodom.

— Idź do Kiczałesa — rzucił za nim ojciec — Kiczałes mieszka niedaleko.

Kiedy już prawie wszyscy wrócili z korytarza do bóżnicy, podszedł do szaflika ostatni, jako najmłodszy kapłan, Modche.

— Spiesz się — powiedział czarny Szułym, podając mu ręcznik. — Prędzej, żebyś tylko zamiast błogosławienia nie mruknął przekleństwa. Kto was tam wie — żartował.

Modche szybko wszedł do bóżnicy. Wziął z półki leżący tam tałes i narzucił go na ramiona. Szukał oczami ojca.

*

Podczas porannej modlitwy rzucał trwożliwe spojrzenia w stronę ojca. Modche był blady, oczekiwała go dziś rozmowa z ojcem, w domu.

Modche wyszedł raniutko z domu, do besmedrysz. Wziął ze sobą księgę w białej oprawie. W besmedrysz przed moditwą odbywały się dysputy. Potem miał wrócić do domu i razem z ojcem pójść do rabina z Głogowa.

Ojciec już się zaczął niepokoić. Już był czas wyjść z domu. Przez okno widać było idących na modlitwę. Ale Modche nie wracał. „Poczekamy jeszcze parę minut", rzekł ojciec. Wreszcie ściągnął rzadkie brwi i powiedział: „No, dobrze". Kazał Aronkowi wziąć jedwabny woreczek z tałesem i razem wyszli. Po drodze spotkali sklepikarza Jojnego. Ze wszystkich Żydów mieszkających w kamienicy Lejzora Steifa on jeden nie przeniósł się do bóżniczki Schariego. Pozostał wierny rabinowi z Głogowa.

Na ulicy wciąż mżył deszczyk.

— Takich zimnych świąt nie pamiętam — odezwał się ojciec.

— Yhym — odparł Jojne-sklepikarz.

Jojne był chudziutki i sięgał ojcu do ramienia. Ale głowę miał dużą, końską. Był bardzo brzydki. I gdyby nie to, że on właśnie sprzedawał rodzynki i migdały, trudno byłoby nań patrzeć.

— Co pisze wam wasz brat, reb Icchok z Perehińska? Dostaliście przed świętami list?

— Yhym — Jojne kiwnął końską głową.

— Zdaje się, że znów jesteśmy krewnymi? Mój brat z Worochty znów jest zięciem waszego brata z Perehińska?

— Yhym.

— To znaczy, prawda, że Mindeł z dzieckiem wróciła do męża do Worochty.

— Yhym.

— Dzięki Bogu. Żeby tylko na długo.

Jojne milczał.

— Czy wasz brat wypłacił memu bratu zaległy posag?

— Yhym.

— Tak — powiedział ojciec.

Mimo chłodu i deszczu ojciec zwolnił kroku.

— A więc to prawda, co mówią ludzie. Hm. Ja o bracie mam się dowiadywać od obcych. — Ojciec patrzał na Jojnego z ukosa.

Jojne milczał. — Drgnęła mu końska warga.

— Zdaje się, że mój brat był w pierwsze dni świąt Wielkanocnych w Rożniatowie?

— Yhym.

— A co wam jeszcze pisze wasz brat?

Jojne wciągnął głowę w ramiona i skurczył się jeszcze bardziej. Przyspieszył nagle kroku.

Ojciec zbladł. Już o nic więcej nie pytał.

Przeszli jeszcze parę kroków razem i Jojne skręcił na prawo, na pusty placyk z niedobudowanym domem i wielkim dołem do gaszenia wapna. Tędy było bliżej. Ale ojciec poszedł prosto przed siebie. Minął cheder i stojącą naprzeciw wielką bóżnicę. Ojciec był kapłanem. Jemu nie było wolno przechodzić przez pusty placyk. Przed laty był tam cmentarz. Przy wykopywaniu fundamentów wyrzucono wraz z ziemią spróchniałe kości ludzkie. Było to wtedy, kiedy Aronek po raz pierwszy miał straszny sen z kosmatym człowiekiem.

Cheder był pusty. A z wielkiej bóżnicy wychodzili ostatni Żydzi: rzemieślnicy i drobni kupcy. Wyszedł też Selig, kiwnął ojcu głową i pocałował kamienne odrzwia. Jak dobrze im, że już się pomodlili. Żydzi zapinali płaszcze i szybko szli do domu.

Stojące szeregiem klony zwiesiły pod deszczem znieruchomiałe od zimna liście.

Ojciec z Aronkiem skręcili za węgieł wielkiej bóżnicy i ujrzeli w bramie domu Modche, odwróconego do nich plecami. Pod pachą sterczała mu duża księga w białej, płóciennej oprawie. Kiedy podeszli bliżej, ujrzeli w głębi bramy Bejrysza Scheinera z Bolechowskiej. Aronek dokładnie widział, jak Bejrysz zagryzł wargi i znikł. Modche wyszedł z bramy i zetknął się z ojcem twarzą w twarz.

— Z kim tam rozmawiałeś? — spytał ojciec.

— Z kim? — Modche usiłował uśmiechnąć się. — Przecież widziałeś.

— Jak ty odpowiadasz? Pytam się, z kim stałeś w bramie?

— Z Bejryszem — odpowiedział brat.

— A ty co masz z nim wspólnego? — Ojciec starał się być spokojny.

— Nic — odparł równie spokojnie brat.

— Weź tałes od Aronka i chodź. Pomówimy o tym w domu.

Ojciec wsunął ręce w wyloty rękawów, jakby teraz dopiero odczuł zimno.

I tak nie mówili ze sobą po drodze ani podczas modlitwy porannej, ani podczas przerwy przed błogosławieniem.

Dopiero kiedy Modche stał już w tałesie i skarpetkach, gotów wejść na podwyższenie, ojciec nieoczekiwanie podszedł do brata, nachylił się i szepnął mu:

— Modche... synu... cokolwiek się stanie, nie schodź z podwyższenia.

*

Żydzi wstawali powoli z ławek. Powychodzili zza długich stołów, przykrytych białymi obrusami, ustawionych wzdłuż ścian. Zrobiło się ciasno. Żydzi

przepasywali się jedwabnymi, plecionymi sznurami. Nad głowami przytrzymywali tałesy. Wyglądało to jak namiot w czarne pasy. W mdłym świetle szarego dnia i kopcących świec migotały srebrne obramowania wezgłowia „korony“ tałesów. Żydzi spoglądali wokół. Skupiali się po paru w grupki, wzdłuż „wschodniej ściany“, pod arką z zieloną kotarą, między kaflowym piecem a szklanymi drzwiami, prowadzącymi do kuchni, a stamtąd na pokoje rabina. Na środku sali stał szeroki stół i fotel rabinacki. Zrobiło się gorąco. Od poprawiania tałesów rozwiewał się płomień w lichtarzach. Scharie kiwał się z nakrytą twarzą i oburącz trzymał się pulpitu. Grube ręce nabiegały krwią. Potem Scharie znieruchomiał, odrzucił głowę w tył i czekał.

Na podwyższenie wchodzili kapłani w białych i czarnych pończochach, bez bucików.

Zięciowie rabina, Meierł i Chaskiel, przepuścili przed siebie bliżej ku podwyższeniu Goldmana, właściciela pasażu, i Barucha, jego zięcia. Baruch oparł się ramieniem o drewniany słupek. Tałes Meierła wzdymał się i opadał, uwydatniały się przy tym kształty trzech głów: Meierła, Mojme i Lulka.

Pod tałesem rozpiętym tuż przy kotarze wypuczały się również trzy głowy: czarny Szułym okrył swojego syna, Kiwe-Łoszaka, i Froimka. — Kiwe nie będzie widział rozczapierzonych rąk — cieszył się Aronek. A Froimek jest na to za głupi. Czarny, mały Rachmił-koralnik, ten sam, który na przerwie szukał szamesa Herszełe, przecisnął się spod okna aż pod samą arkę. Rachmił odwrócił się. Złościł się na Awruma z Kiszyniowa, na „czarnego“ Szułyma, na szojcheta Pinie, syczącego nań: „tss, tss, sza“. Rachmił był zdziwiony, że nie zostawiono mu miejsca pod zieloną kotarą. Miotał się i trząsł nawet wtedy, kiedy uczeń jeszywy w Preszburgu, Szymon, cofnął się w kąt między kaflowy piec i oszklone drzwi, ustępując mu miejsca.

Szames Herszełe uderzył trzy razy w stół. Rękoma pokazywał naprzód głupcowi Duwidł, żeby nie patrzył na kapłanów, a potem Gecłowi, ojcu Bajłe, żeby nasunął głupcowi czapkę na oczy. Geceł trącił Duwidł laską w łokieć, w końcu powłócząc sztywną nogą podszedł doń i okrył go wspólnym tałesem. Aronek nasunął czapkę na oczy i głęboko schylił się nad modlitewnikiem. Blacharz Sane z jednym pustym oczodołem kiwał na niego parę razy, dając mu znak, żeby stanął obok jego dorosłego już syna, Szlojme. Aronek odwrócił się twarzą ku szerokiemu stołowi. Stamtąd nikt go nie mógł widzieć. Krawiec Zysie i Mojsze-Łajb, jubiler Szame Waldman ze swymi dwoma długimi, chudymi synami, Lejzor Steif z synem Milkem i zegarmistrz Zajnweł skupili się ciasno i okryli się wspólnym tałesem jak baldachimem. Milek stał w środku i trzymał jedyny dla wszystkich modlitewnik.

Tylko sklepikarz Jojne trzymał się na uboczu obok fotela rabinackiego. Ale Aronek jego się nie bał.

Herszełe jeszcze raz uderzył w stół i krzyczał: „sza, sza, sza“.

Żydzi opuścili ręce i daszki tałesów opadły głęboko na twarze. Słychać było tylko szelest tałesów i pryskanie palących się świec.

Kapłani czekali na wezwanie Schariego, kiwającego się już z całej mocy przy pulpicie. Świece na pulpicie miękły, wygięły się, kapały matowymi kroplami na czerwony aksamit obrusika. Płomień świec uciekał przed Schariem, chwiał się i dymił. Za podwyższeniem, w głębi, widać było uchylone drzwi. Tam modliły się kobiety.

Scharie zaczął śpiewać.

— A aaa, a-a-a — wyciągnął i urwał.

Znów zaczął:

— A, aaa, a-a-a.

— A, aaa, a-a-a.

Trzykrotnie zaczynał i urywał.

Żydzi wyginali plecy, przechylali w przód napięte grzbiety, gdy wyciągała się nuta Schariego, i z rozczarowaniem opadali z powrotem, gdy się urywała.

A głos Schariego zdawało się, że już, już przełamie martwy punkt i przewali na drugą stronę tej samej, początkowej wciąż nuty.

Jeszcze chwila, jeszcze sekunda i z ust jego padnie wyzwalające słowo-wezwanie: „Kapłani". I kapłani wyciągną spod tałesów gotowe do obrzędu dłonie, rozczapierzą je nad Żydami i zacznie się błogosławienie.

— A, aaa, a-a-a — znów zaczynał Scharie. Ciągnął i urywał.

Żydzi zastygli. A potem nagle zakołysali się, ale już nie w takt ciągnącej się nuty:

— A, aaa, a-a-a.

Czarny, krótki Rachmił-koralnik chrząknął.

— A, aaa — śpiewał Scharie.

Zięć Goldmana, Baruch, zaszurgotał nogą. Od stołu odpowiedziała noga Lejzora Steifa.

— A, aaa.

Zakaszlał Chaskiel grubym głosem, kaszlnął, jakby kto pisnął, szojchet Pinie. Zakaszlał jubiler Waldman, zakaszlał szames Herszełe. Kaszel rozległ się zewsząd i szerzył jak zaraza.

— A...

Pod tałesami rodziła się burza. Płótna chwiały się, fałdowały, łamały na wysokości kręcących się niewidocznych szyj i głów. Fałdy szybko załamywały się od ruchu ramion i pleców. Kaszel uciszył się i ustąpił miejsca przeciągłemu, groźnemu „uuuuuuu...!"

Rachmił-koralnik nie wytrzymał. Tupnął nogą. Zrzucił z twarzy tałes, pokazał czerwoną, spoconą twarz i krzyknął:

— Nu, reb Scharie!

Scharie zamilkł.

Teraz Żydzi zrzucali tałesy jeden za drugim. Twarze były złe, napięte. Odkrywali twarze kapłani. Fajweł-cesarz podrzucał rękami jak kogut. Kręcił głową w prawo i w lewo. Rozszerzył oczy i uderzył się w usta.

— Nn, nu — huczał.

To była męka. Mówić nie było wolno. Głuchy kapłan Pinches szturchał Modche kciukiem w bok. Poruszał wyliniałymi wąsami i chichotał:

— Pym — pyly — plym — chi, chi, cha.

Ojciec stał blady.

— Nu, reb Scharie? — Rachmił wyciągnął do niego krótkie ręce, jakby czekał, żeby mu spadła na nie święta tora lub dziecko do obrzezania.

— Nu. Me, me, me? — pokazywał na usta i dwoma palcami przyciskał wargi — Mb, mb — szamotał się.

— Ech! Ych! — piszczał szojchet Pinie, szczypiąc z wściekłością trójkątną bródkę.

Baruch nachylił się nad uchem teścia. Chwycił w locie spadający z nosa cwikier, który zawisł na złotym łańcuszku. Goldman podniósł rękę, odwrócił się i pokazał swoją piękną, mleczną brodę. Poruszał lekko ustami i łagodnie kiwał głową.

Baruch uderzył pięścią w słupek podwyższenia.

— Kapłani — krzyknął — nu! — Piękne mięsiste usta Barucha zaokrągliły się. — Nu — i podniósł czerwoną twarz do sufitu. Wygrażał komuś z zaciśniętymi pięściami. — Uf, ach, he! — sapał.

Chaskiel, Meierł i Goldman głaskali go po ramieniu. Uspokajali go.

— Ne, ne, ny, te — i też uderzali się bezsilnie, pokazywali podwyższenie i arkę.

Cała sala chwiała się od wyrzucania rąk, trzepotu tałesów; od okna do szklanych drzwi szedł szmer, monotonny, nieartykułowany bełkot. Długi Lejzor Steif złapał dwoma palcami brodę krawca Zysie, a dwoma palcami drugiej ręki tłumaczył mu coś na migi. Zysie przechylił się w tył, dłonie wystawił przed siebie, jakby się bronił przed uderzeniem, i potrząsał długim nosem na znak zgody i zrozumienia. Zegarmistrz Zajnweł zdjął czarne okulary i zmrużył oczy. Blacharz Sane mrugał zdrowym okiem na Gecła, który niepewnie uśmiechał się i wykrzykiwał w gniewie. Szames Herszełe przeciskał się od jednej grupy do drugiej, wpychał w środek między ludzi głowę a potem wyciągał ją z rozwichrzoną brodą i rozwianymi pejsami.

Rozległ się stuk. Mojsze-Łajb niechcący przewrócił krzesło. Zysie złapał go za rękę. Huk padającego krzesła wstrząsnął Żydami.

— Ysz, hysz — syczeli Żydzi na przerażonego Mojsze-Łajba, podnosząc brodate, płomienne twarze.

A Scharie skłonił się nad pulpitem. Oparł głowę o arkę i trwał bez ruchu.

Czarny, mały Rachmił-koralnik nie wytrzymał. Kręcił się jak chanukowy bąk w środku między Hejnochem, czarnym Szułymem, Piniem, szojchetem Awrumem z Kiszyniowa i Szymonem, uczniem jeszywy. Chwytał ich za brody, ręce, klapy bekiesz, dotykał czoła palcami obu rąk, wybałuszał krwią nabiegłe oczy, ramionami jak skrzydłami zataczał szerokie łuki i wykrzykiwał:

— Ha?! ha?! Ach!

Wreszcie wyrwał się z kółka otaczających go Żydów, rzucił się ku arce i jednym ruchem odsłonił zieloną kotarę. Ukazały się złocone drzwi arki z koroną i rozczapierzoną ręką na każdym skrzydle. Przez salę znów przeszedł krótki syk. Ale Rachmił był niewzruszony. Chwycił Schariego za tałes i ściągnął mu go z głowy.

— Reb Scharie! Reb Scharie! Reb Scharie! — krzyczał, pokazując krótkim palcem na arkę, na drzwiczki arki, na rozczapierzone dłonie kapłańskie.

Scharie wyprostował się, zsunął z powrotem kotarę, ale odwrócił się twarzą do Żydów. Podniósł jedną rękę. Przymknął lepkie powieki. Blade, drżące usta coś szeptały. Potem otworzył je szeroko, jakby chwytał powietrze. Krzyknął ogłuszającym głosem:

— Przerywam...

— Aaah — odetchnęli Żydzi.

— Żydzi!

Żydzi zakołysali się. Zamarli bez ruchu. Zawiśli rozgorączkowanymi oczyma na ustach Schariego. Ich napięte twarze uniosły się lekko na przekrzywionych szyjach. Żydzi stanęli na palcach, jedni szeroko otworzyli usta, jak Scharie, inni mrugali spoconymi powiekami, gwałtownie chwytając rozszerzonymi nozdrzami ciężkie powietrze, przesycone zapachem świec.

— Żydzi! — mówił Scharie głośno wzdychając. — Dziewięć razy zaczynałem i dziewięć razy urywałem. Na wielki grzech naraziłem się przerywając modlitwę i męcząc siebie i wasze dusze niewinne. Bracia moi, Żydzi! Ale zgrzeszyłem, żeby uchronić siebie i was od jeszcze większego grzechu, od wielkiego nieszczęścia, od groźby śmierci.

Scharie zamilkł. W bóżnicy trwała śmiertelna cisza.

— Kapłani! Ka-pła-ni! — Scharie odwrócił twarz ku podwyższeniu, trzymając oburącz srebrne wezgłowie tałesu. — Ka-pła-ni! Nie! Nie! Przez gardło nie mogło mi przejść to święte słowo. Parzyło usta jak żarzące węgle. Kapłani święci, nie mogłem wezwać was przed oblicze Boga na błogosławienie naszych biednych Żydów. Słuchaj, Izraelu! Skłońcie ucho swe, niebiosa. Nachyl się, ziemio! Słuchajcie, co powiedzą me drżące z lęku wargi. — Scharie ukrył twarz w dłoniach. Po chwili oderwał ręce i krzyknął:

— Albowiem błogosławienie to przekleństwem by spadło na nędzne głowy nasze.

W bóżnicy rozległo się rozpaczliwe klaskanie rąk, zatrzepotały poły tałesów.

— Co, co on mówi?

— Jaki grzech? — Powiedz! — wołano.

— Boże, miej nas w swej opiece — wzdychano.

Ochrypły głos Schariego przeszedł w przeciągłe modlitewne łkanie.

— Żydzi! Bracia! Jeśli wśród czystych znajdzie się jeden okryty trądem, to trąd porazi czystych. Jeśli wśród kapłanów znajduje się jeden niegodny, to z rąk jego spada przekleństwo na nasze głowy.

— Kto to? Kto to? Kto to? — Żydzi nie mogli już ustać na miejscu i ruszyli ku podwyższeniu, roztrącając się łokciami.

Scharie podniósł rękę.

— Sza — powiedział — słuchajcie uważnie. Ja nic nie powiem. Słuchajcie uważnie.

Scharie przymknął oczy.

— Reb Jojne — zawołał głosem wzywającego do tory — reb Jojne, gdzie wy jesteście?

Jojne stał wciąż obok rabinackiego fotela. Zadrgała mu końska warga.

— Jojne! — Scharie podniósł powieki przewracając białka oczu. — Reb Jojne. Ja będę się pytać, a wy będziecie mówić, czy to prawda.

Jojne trzymał się ręką poręczy fotela.

Zapanowała cisza jak na cmentarzu. Wszyscy utkwili oczy w trzęsącym się sklepikarzu.

— Reb Jojne! Czy wyście dostali przed świętami list od brata, reb Icchoka, z Perehińska? — pytał śpiewnym głosem Scharie.

— Yhym.

— Czy brat wam pisze o zięciu swym, reb Chaimie, bracie kapłana, reb Tojwiego?

— Yhym.

— Czy pisze wam o tym, że zięć jego, reb Chaim, był w pierwszych dniach Pesach w miasteczku Rożniatowie?

— Yhym.

— Czy pisze o tym, że widział tam Chamariem, córkę reb Tojwiego, uczącą w Rożniatowie gojowskie dzieci?

— Yhym.

— Czy pisze o tym, że Chamariem, córka reb Tojwiego, prowadzi życie niegodne córki żydowskiej a tym bardziej kapłańskiej?

— Yhym.

— Czy pisze o tym, że Chamariem, córka reb Tojwiego, jest nałożnicą gojowską i oddaliła się od wiary ojców?...

— Kłamstwo! Kłamstwo! Kłamstwo! — krzyknął ojciec, chwytając się oburącz za głowę. — Słyszycie, kłamstwo! Reb Fajweł, to kłamstwo! Reb Hilel, to kamstwo! Nie schodźcie z podwyższenia, to kłamstwo, zostańcie na podwyższeniu, proszę was, prosi was Żyd i kapłan. On kłamie! — Ojciec chwytał za poły to Fajwła, to Hilela. — To jest podły wymysł. Moja córka tego zrobić nie mogła! To nieprawda! — Ojciec zarzucił sobie tałes na twarz. Wstrząsnął nim bezgłośny szloch. Odkrył twarz. Na podwyższeniu został tylko on i Modche. Twarz ojca była mokra. Wzdłuż bruzd nad brwiami i wokół ust spływały olbrzymie krople potu. Pod oczyma wystąpiły fioletowe plamy. Siwe oczy latały jak szalone. Ojciec wziął Modche za ramię i trzymał je kurczowo.

— Ojciec gojowskiej nałożnicy! — krzyczał Baruch, zięć Goldmana — Precz z podwyższenia!

— Ojciec wychrzczonej córki! — podchwycił czarny Szułym, ukrywając twarz w fałdach zielonej kotary.

— Żydzi, wysłuchajcie mnie, proszę — wołał ojciec.

— Precz z podwyższenia! — Rachmił-koralnik groził ojcu pięścią.

— Wróg Izraela!

— Źródło naszych nieszczęść!

— Ściągnąć go!

— Ojciec ladacznicy!

— Mełamed gemury — ojciec ladacznicy!

— Kapłan — ojciec wychrzczonej!

— Słuchajcie, Żydzi, ja z podwyższenia nie zejdę. I syn mój nie zejdzie! — Ojciec starał się przekrzyczeć hałas bóżnicy.

— Ściągnąć go, ściągnąć — pisnął szojchet Pinie, szczypiąc się w bródkę.

— Chciał nas przekląć — zawył czarny Szułym, chowając głowę w fałdach kotary.

— Żydzi, błagam was, wysłuchajcie mnie.

Zajnweł włożył czarne okulary.

— Co wam to szkodzi, Żydzi? Może on naprawdę coś powie.

— Niech mówi! — krzyknął krzywy Geceł, stukając laską o podłogę.

— Przysięgam, na czym ziemia stoi, że tamto nie jest prawdą — Córka moja... Scharie zaślepiony jest. On mnie nienawidzi. On kłamie!

Żydzi zagłuszyli ojca tupotem nóg.

Scharie podniósł rękę do góry.

— Sza, Żydzi — powiedział — On nie chce zejść. Dobrze. Niech sobie stoi.

My stąd pójdziemy. Pójdziemy do rabina z Mościsk. Zdążymy jeszcze na koniec modlitwy.

W tej chwili na podwyższenie upadł zwinięty w kłębek ręcznik. Potem ktoś rzucił ściągnięty ze stołu obrus. W powietrzu zaczęły latać żółte, zielone, czerwone jedwabne woreczki do tałesów.

Krzywy Geceł podszedł do Zajwła i stuknął laską o podłogę. Rozłożył ręce i wskazał na gospodarza, Lejzora Steifa. Lejzor Steif podsunął melonik i krzyknął: „Znalazł się obrońca! A mnie co to obchodzi!" Geceł pokuśtykał na swoje miejsce. Po drodze złapał czarnego Szułyma, który zerwał czapkę z głowy głupca Duwidła i chciał cisnąć nią w ojca. Głupiec jąkał się: „Nie bij mnie, czego ty mnie bijesz" i wyciągnął rękę po czapkę.

— Chodźmy stąd — rzekł jubiler Waldman do synów, zdejmując tałes i jedwabny sznur. — Pójdziemy do rabina z Mościsk.

— Żydzi, opamiętajcie się! — krzyczał Chaskiel, zięć rabina, i uderzał ręką w stół.

Lulek, młodszy wnuk rabina, włożył całą rękę do ust i patrzył załzawionymi oczyma na swego wujka Chaskla.

W powietrzu błysnął mosiężny świecznik. Ugodzony nim Modche jęknął i zachwiał się. Ojciec podtrzymał go ramieniem.

Ojciec przycisnął Modche do piersi i nachylił się nad nim.

Żydzi zamarli.

Zadźwięczały szklane drzwi. Ukazał się w nich rabin, żółty i chudy, w watowanym chałacie i pantoflach, podtrzymywany z jednej strony przez szamesa Herszełe a z drugiej strony przez zięcia Meierła.

*

Rabin ciężko siadł na fotelu.

Zwiędłe powieki opadły bezsilnie. W kącikach półotwartych ust osadziła się zaschnięta, biała piana. Rabin położył chudą rękę na zmiętym obrusie. Ściągnął rzadkie brwi i oparł głowę o wezgłowie fotela.

— Reb Tojwie — szepnął — zejdźcie z podwyższenia!

Ojciec puścił ramię brata. Schylił się i podniósł lichtarz.

— Rebe — rzekł ojciec — ten lichtarz miał trafić we mnie. — Ale trafił w mego syna. Słowa reb Schariego, rzucone w moją córkę, nie trafiły we mnie. Ześliznęły się jak strzała po naoliwionym pancerzu. Czyż miały, wybaczcie mi, rebe, trafić w was?

— Słowa są jak kamienie rzucone w wodę. Trafiają we wszystkich naokoło. Zejdźcie, reb Tojwie — rzekł rabin słabym głosem.

— Tamto jest nieprawdą, rebe, nie wierzcie słowom złych ludzi!

— I ja też nie wierzę, reb Tojwie, dziękuję ci. Ja nie chcę, żeby tamto było prawdą. Ale jakim znakiem przekonać teraz wszystkich o tym, reb Tojwie? Nie można sądzić tylko według tego, co czuje serce. Czyście o tym pomyśleli, upierając się? — Rabin osunął głowę na piersi. Głowa chwiała się jak we śnie. Nagle ocknął się i powiedział głośno: — Dziękuję ci, reb Tojwie, ja też nie wierzę. — Rabin otworzył szeroko oczy, wzrokiem poszukał Schariego i wyciągnął doń długi, cienki palec. Potrząsnął głową. Trudno mu było przemówić.

— Słucham was, rebe. — Scharie skłonił głowę i przycisnął do piersi czerwoną, mięsistą pięść. — Reb Jojne — zawołał nie podnosząc oczu.

Jojne cofnął rękę z fotela, trząsł się i bełkotał:

— Rebe, rebeniu.

— Oto tego Żyda spytajcie, rebe — mówił Scharie — z jego ust usłyszycie prawdę, której zaprzecza reb Tojwie, ojciec...

Rabin uderzył w stół.

— Nie jego pytam — krzyknął.

— Rebe, rebeniu, spokojnie — prosił szames Herszełe.

Scharie sięgnął do wewnętrznej kieszeni bekieszy i rzucił na stół list.

— Jeśli nie chcecie usłyszeć prawdy z ust ludzkich, to niech papier was przekona, rebe. Te słowa nie ja pisałem. List dała mi żona reb Jojnego.

Rabin zakrył dwoma palcami oczy i odsunął zmięty papier.

— „Mają usta — a są niemi". — Urwał i zamilkł, ale po chwili mówił cichym, równym głosem:

— Ani usta ludzkie, ani niemy papier nie zakrzyczą cichego głosu serca. Och, Żydzi, żebyście wy mogli to zrozumieć. Żyd poza zwykłą duszą ma dodatek, to dusza duszy. Jej szept może zagłuszyć grzech. A wy, reb Scharie, chcecie, żeby tamto było prawdą. A chcieć, żeby tamto było prawdą, jest gorsze niż tamto.

— Rebe — krzyknął Scharie — wy chcecie rozgrzeszyć najstraszniejsze.

— Ha! — rabin westchnął. — Przeceniacie moje siły, reb Scharie. Gdybym to mógł zrobić! — Rabin nakrył dłonią rękę Herszełe, leżącą na poręczy fotela i kurczowo ją ścisnął.

— Nie rozumiem waszych słów, rebe — Scharie rozłożył ręce a potem zapchał kciuk za czarny, jedwabny sznur, przepasujący bekieszę. — Czy znajdzie się choćby jeden Żyd, który by postąpił inaczej niż ja? Czy widząc zagrażające nieszczęście, miałem podstawić głowę? Czy wolno wtedy milczeć? Czy wy, rebe, nie osłonilibyście Żydów przed przekleństwem?

— Wy, reb Scharie, chcecie zburzyć trzecią świątynię, zbudowaną w sercach żydowskich. Przekleństwo?... Bóg nie wysłuchuje ludzkich przekleństw. Jest jedno mgnienie oka na dobę, kiedy bieleje grzebień koguta. To sekunda przekleństw, ale i tę sekundę Bóg skrył przed ludźmi. — Rabin skrzywił suche, białe usta. — Dosyć! Już błogosławienia nie będzie. Reb Tojwie, proszę was, zejdźcie z podwyższenia. Jutro jest sąd. Przypominam wam, reb Scharie, jutro jest wasz sąd o spadek po waszej teściowej, jej dusza w raju. — Rabin przycisnął rękę do serca, zacisnął wargi i milczał przez chwilę. Idźcie już, idźcie! Na jutro muszę mieć dużo sił.

— Rebe — zawołał Scharie, zwracając się nie do rabina, lecz do słuchaczy — wybaczcie mi, źle jest w święto mówić o sądzie, o pieniądzach! Cały ten spadek nie jest wart tego grzechu!

Ojciec zszedł z podwyższenia. Stanął naprzeciw fotela.

— Rebe, pozwólcie mi rzec jedno słowo. — Siwe oczy ojca zapłonęły. — Jeśli nie wolno mówić w święta o zrabowanych pieniądzach, to czy wolno mówić o zrabowanym dobrym imieniu, reb Scharie? Wasz syn, reb Scharie, zepsuł żydowską dziewicę. Dziewczyna ta jest brzemienna. I wy o tym wiedzieliście. Chcieliście syna ukryć pod baldachimem i zaprowadzić do ślubnego

łoża z inną. I wybór wasz padł na córkę brata mojej żony. Zastąpiłem wam drogę.

Na sali rozległ się głuchy, męski szloch.

— To prawda, rebeniu, to prawda. — Geceł, ojciec Bajłe, wyciągając przed siebie laskę, wskazywał na Schariego.

KOLCZYKI

Od Zielonych Świąt minęły dwa tygodnie. Nic w ciężkiej żałobie domu się nie zmieniło. Zaraz po świętach Hinda wyjechała z zapuchniętymi od płaczu oczami. Na pożegnanie objęła głowę matki, owiniętą w czarną chustkę, i przycisnęła do piersi:

— To nieprawda — powtarzała słowa ojca — to straszne oszczerstwo. — Hinda zasłoniła chusteczką drżące usta.

Matka w czarnych pończochach odbywała pokutę na niskim stołku, który w piątki służył ojcu i Modchemu do czyszczenia butów.

Ojciec uderzał pięścią w otwartą księgę gemury i krzyczał, żeby matka wstała i wdziała na nogi obuwie.

— Czegoś ty, głupia kobieto, już córkę pogrzebała. Ona jeszcze nie umarła — złościł się ojciec i wstał od stołu.

— Gorzej niż umarła — odpowiadała cicho matka, nie podnosząc głowy, opartej na dłoniach. Skurczyła się. — Łokcie mocno wcisnęła w chude, podciągnięte kolana, wystające spod krótkiego, czarnego, żałobnego fartuszka. — Gorzej niż umarła, Tojweniu — szeptała wciąż tym samym modlitewnym głosem, przechodzącym w zawodzenie.

— Jutro jadę do Rożniatowa i przywiozę Chamariem do domu — wołał ojciec — a wtedy ja sam zawezwę Schariego przed sąd rabinacki. Zapłaci, och, drogo zapłaci mi za swoje oszczerstwa.

— Po coś ty z nim zaczął! Z nim nikt nie wygra, Tojweniu! — zawodziła matka, kołysząc głową. Załamała ręce i uderzyła się o chude kolana. — Czemu akurat ty chcesz być policjantem Boga? Po co? Toj-we-niu.

Matka podniosła twarz, zagryzła zsiniałe, popękane wargi.

Gdy przyszedł trzęsący się od starości Jideł-Łajb, szames wielkiej bóżnicy, żeby na znak żałoby zrobić ojcu i Modche cięcie na klapie, ojciec rzucił się na niego:

— Kto was tu posłał? U mnie nikt nie umarł! Wynoście się! Wynoście, mówię wam! — krzyczał coraz głośniej, podnosząc do góry ręce.

Przerażony Jideł-Łajb chciał coś powiedzieć. Rzadka, siwa bródka parę razy bezsilnie drgnęła, ale widząc idącego nań ojca, Jideł-Łajb rozłożył ręce: „To jakiś wariat" — rzekł i szybko się wycofał.

— Jutro pojadę do Rożniatowa — krzyczał ojciec — Ja wam wszystkim jeszcze pokażę! Pijawki.

I tak minęły dwa tygodnie, a ojciec wciąż nie wyjeżdżał. Czekał na sąd między Schariem a Ester i Zełde, zapowiedziany na dzień po Zielonych Świętach. Stan zdrowia rabina z Głogowa był ciężki i rozprawę odkładano z dnia na dzień.

Mimo choroby jednak rabin zawezwał do siebie Schariego i Gecła.

— Rabin chciał, żeby Scharie i mój Geceł podali sobie rękę na znak, że Froim poślubi moją Bajłe jeszcze przed rozwiązaniem — mówiła Zełde, cała w płomieniach, mrużąc oczy, jakby się bała zaprzeczenia ze strony słuchających. — Ale Scharie nie chciał podać ręki — westchnęła — za bliskie pokrewieństwo i dlatego nie chce, «to może się odbić na zdrowiu dzieci», wykręcił się.

*

Przed oknem kręcił się Mojsze-Łajb. Zaglądał do środka i kiwał palcem — Aronek wreszcie wyszedł do niego.

Ciemne oczy Mojsze-Łajba robiły się w słońcu złotawo-zielone. Gdy odwracał je do światła, źrenice nagle rozszerzały się jak u kota.

— Mam coś, za co twój ojciec nie wiem co by dał — rzekł Mojsze-Łajb. — Ale tu ci nie pokażę. Chodź ze mną. Ojciec pracuje, a matka poszła do jatki po mięso. Chciałem ci już dawniej pokazać.

— Pokaż — powiedział Aronek.

— Nie tutaj, nie tutaj — Mojsze-Łajb miał przerażone oczy i Aronek szybko podążył za nim na piętro. W domu u Mojsze-Łajba poza jego ojcem nie było nikogo. W pokoju turkotała maszyna do szycia. Drzwi od kuchni były otwarte i krawiec Zysie rzucał od czasu do czasu spojrzenie, czy nikt nie wchodzi. Zysie nachylał się nad czarnym suknem i widać było okrągły garb na plecach, jakby schowaną drugą głowę. Krawiec popychał jednym palcem czarny materiał pod stalową, tańczącą nóżkę. Na podłodze walały się skrawki miękkiego sukna, żółtego płótna, kolorowego zefiru.

Chłopcy weszli do kuchni cicho, na palcach.

Mojsze-Łajb siadł na wyszorowanej, aż żółtej, desce bambetli, stojącej w kącie, obok białej, jesionowej szafki na naczynia. Przez szybki widać było błyszczące blaszane miski, fajansowe talerze w niebieskie kwiatki, szklanki i filiżanki do kawy.

Aronek usiadł obok Mojsze-Łajba. Mojsze-Łajb sięgnął za pazuchę, zamknął oczy. Długo szukał. Wreszcie wyciągnął zmiętą, niebieską kopertę.

Aronek krzyknął:

— List Jojnego!

Mojsze-Łajb syknął, pokazując oczyma na uchylone drzwi, skąd dolatywał stukot maszyny.

— Tsss. Jeszcze się ktoś dowie!

— Tyś ukradł? — spytał Aronek.

— Nie ukradłem, wziąłem ze stołu u rabina. Nikt z Żydów nie widział. Nikt nie chciał wziąć, to ja wziąłem.

— Rzuć to — skrzywił się Aronek.

— Nie, ja z nim śpię. Żeby go nie zgubić.

— A co z nim będziesz robił?

— Nie wiem. Schowam, aż wyrosnę, i wtedy przeczytam.

— Pokaż — prosił Aronek, wyciągając rękę po papier. Mojsze-Łajb wyjął list z koperty, położył na desce bambetli, rozgładził rękoma.

— Gdzie tu stoi „wychrzczona"? — Mojsze-Łajb wodził palcem po słowach,

pisanych po żydowsku „błyskawicznym“ pismem. Litery nie były oddzielone. Łączyły się zawijasami i „pętelkami“. Chłopiec zatrzymywał palec na wyrazach najdłuższych, z największą ilością zakrętasów, haczyków, sterczących pałeczek. Ani on, ani Aronek nie znali pisanego alfabetu.

— To na pewno, prawda, Arałe? — Mojsze-Łajb pokazał słowo przekreślone tępym piórem, spod którego prysnęła jedna gruba plama i parę mniejszych kropelek fioletowego atramentu.

— Na pewno to. To jest najtrudniejsze i najbrzydsze słowo.

— A może nie to? — Aronek ściągnął usta i pokręcił głową. — A może wcale nie to. Dajmy to memu ojcu przeczytać. Dobrze? On ci odda. Jak tylko wróci z Rożniatowa. Daj mu, niech zabierze list i pokaże siostrze w Rożniatowie.

Mojsze-Łajb potrząsnął głową. Zamyślił się.

— Twój ojciec nie wierzy listowi. Ja wierzę. — Mojsze-Łajb objął Aronka. — Ja wierzę, a ty? — spytał.

— Ty chcesz, żebym wierzył? — Aronek odsunął się. Serce zabiło mu mocno. — Ty chcesz, Mojsze-Łajb? Powiedz!

— Tak — szepnął Mojsze-Łajb. — A ty? Powiedz, wierzysz? Nie bój się, nikomu nie powiem.

— A ty się nie boisz? — szepnął również Aronek.

— W nocy — tak, ale teraz nie.

— Kiwe mówi, że we dwóch nie trzeba się bać.

Chłopcy patrzyli na siebie rozszerzonymi oczyma.

— Wiesz — rzekł Mojsze-Łajb po chwili milczenia — ja bym chciał mieć siostrę wychrzczoną. Pojechałbym do niej zaraz.

— A tyś wszedł do cerkwi — przypomniał sobie Aronek. — To też jesteś wychrzczony?

— Najprzód trzeba, żeby wsadzili do beczki ze smołą. A potem przychodzi ksiądz, rozdziera pierzynę i z beczki wsadza do pierzyny. I tak z pierzem trzeba biegać siedem razy naokoło rynku. A wszyscy Żydzi lecą i wołają: „Hep, hep!“

— To moja siostra biegała w pierzynie? Nie, to nieprawda! — krzyknął Aronek.

— To na pewno nieprawda. To mówią rodzice, żeby nastraszyć.

— Prawda, ty chcesz być księdzem. — Aronek zmrużył oczy i potrząsnął głową. — Widziałeś sad księdza?

— A ty? — spytał Mojsze-Łajb.

— Tak.

— I ja też. Z balkonu, z pokoju gospodarza.

— A co ładniejsze: sad czy miasto w szkiełku? Widziałeś szkiełko Kiwe-Łoszaka?

— Nie, a ty?

— Też nie.

— A jakie to szkiełko?

— Szkiełko na całe miasto.

— Jakie miasto?

— Gojowskie.

Mojsze-Łajb szybko schował list za pazuchę.

— Dobrze. Chodźmy do Kiwe. Ja mu pokażę list, a on nam pokaże szkiełko.

Chłopcy zeskoczyli z bambetli. Wyszli tak, jak weszli, cicho, na palcach, żeby ich nie zauważył garbaty krawiec Zysie, ojciec Mojsze-Łajba.

*

Chłopcy stanęli na ganku. Zatrzymali się, żeby posłuchać rozmowy kobiet. Kiwe-Łoszak mieszkał na parterze, ale matka jego, chuda Chaje, stała na ganku i wachlowała się arkuszem papieru, który z jednej strony był biały, a z drugiej różowy. O żelazną balustradę ganku oparła się gruba Ester, odwróciła się tyłem do chudej Chaje. Pejrł, żona zegarmistrza Zajnwła, maleńka i przygarbiona, uśmiechnęła się dobrotliwie. Koślawy palec położyła na bruździe, biegnącej od ust do podbródka.

— Same „dostatecznie" — mówiła chuda Chaje, przestając się wachlować i pokazując biało-czerwony arkusz papieru. — Same „dostatecznie". Ester, wy przecież umiecie czytać. Przeczytajcie. Dobrą główkę ma mój Kiwe, żeby mi tylko był zdrów. Selig mu coś tam „pokazuje", ale gdyby Kiwe nie miał dobrej głowy, nie miałby z góry na dół „dostatecznie". I ani jednej dwójki.

— To do której klasy Kiwe przeszedł? — spytała Pejrł wciąż uśmiechnięta.

— Jak to do której? Do trzeciej. Mój Kiwe nie repetował ani jednej klasy.

— Jak się umie czytać, to człowiek nie chodzi po świecie jak ślepy — zasmuciła się Pejrł. — Mój Arie też dobrze się uczył w szkole. „Zrobił" cztery klasy. A jak skończył cztery klasy, mój Zajnweł zaniósł nauczycielowi zegarek w podarunku. Wy, Chaje, też powinniście nauczycielowi dać jakiś prezent.

— Co mam mu zanieść? Skórę zdechłego konia? Obejdzie się bez prezentów. — Chaje machnęła kościstą ręką.

— To przynajmniej kupcie coś Seligowi, biedny chłopiec. — Pejrł odjęła od twarzy koślawy palec i zrobiła ruch, jakby podawała podarunek niewidocznemu Seligowi.

— Seligowi? Za co? Nie dosyć, że u mnie mieszka?! Jeszcze mu coś kupować będę? To jego zasługa, że mój Kiwe dobrze się uczy? Niech Selig dziękuje Bogu, że natrafił na taką rodzinę jak nasza. Żydowską, porządną rodzinę. Niechby próbował spojrzeć w stronę, gdzie nie wolno, to chociaż jest student, niech sobie będzie studentem do jutra, to bym mu zaraz pokazała drzwi. U mnie w domu on musi się modlić codziennie, to też coś warte. A jak zaczął zaglądać do niego syn księdza, niby to przychodzi razem z Seligiem uczyć się, chodzą razem do jednej szkoły, a tymczasem jednym okiem patrzał na drzwi, czy Fańcia nie idzie — zrobiłam krzyk raz jeden i drugi... — W moim domu — krzyczałam — ja do tego nie dopuszczę. — No i szajgec więcej się nie pokazał. A Fańcia widuje się z nim gdzieś pod płotem, w ciemnych bramach, za miastem, w łęgach. Oj, moja droga Pejrł — Chaje, zasłaniając sobie usta ręką, splunęła raz w lewo, raz w prawo, a potem znowu w lewo. — Jedną wychrzczoną w naszej kamienicy już mamy. Boję się, że wkrótce będziemy mieli jeszcze jedną.

— Pokażcie-no to świadectwo! — gruba Ester odwróciła się nagle i wyciągnęła rękę po biało-różowy papier.

Chaje podała jej świadectwo. Zamilkła i czekała, co powie Ester. Tymczasem sięgnęła do kieszeni fartucha, odłamała kawałek karmelka i wsunęła szybko do ust.

— Tak, same „dostatecznie“ — powiedziała Ester. — Ale jedno „miernie“.

— „Miernie“? Co to? Jeszcze lepsze niż „dostatecznie“? — spytała Chaje.

— Nie — Ester ściągnęła pulchne usta. Na grubych policzkach zrobiły się dołki. — To wcale nie jest lepsze. To jest gorsze niż „dostatecznie“.

— Ech, „miernie“-szmiernie — Chaje wyrwała świadectwo z rąk Ester — ale do trzeciej klasy przeszedł? To najważniejsze! Pójdę do Gołde Steif. Pokażę jej też. Jej Milek nie przeszedł do czwartej. Będą chodzić teraz z moim Kiwe do jednej klasy. Chciałam powiedzieć: „do gospodyni“ Gołde. A tymczasem, ona już nie jest gospodynią. Wiecie, ona nie jest już gospodynią. Kamienica jest już sprzedana. Kontrakt już podpisany. Coś tam tylko z pieniędzmi nie można było się pogodzić i dlatego ciągnęło się tak długo. Scharie chciał połowę zapłacić gotówką, a połowę w kosztownościach.

— Pewno, że jemu lepiej w kosztownościach — wybuchnęła gruba Ester. — Niedoczekanie jego! Ja mu te kosztowności z bebechami wyciągnę z powrotem!

— Nie wiem, na czym stanęło — chuda Chaje mówiła dalej, zwracając się do Pejrł — ale mogę wam powiedzieć, złota Pejrł, Bogu dzięki, że Scharie kupił naszą ruderę. On z niej zrobi „ludzi“. Lejzor był gospodarz, taki rok na wszystkich moich wrogów. Tak, jak Gołde gospodyni. Brud u niej, że aż kapie. Dzieci bose, obdarte jak, nie daj Boże, u najgorszych nędzarzy. A zawsze głodne. Chi, chi — przypomniała sobie Chaje — ten drągal Milek, co to repetować będzie, lata ze świecącym się tyłkiem za ojcem, kiedy wychodzi z domu: „Tate, żebyś kupił gruszki, tate, żebyś kupił gruszki“. U szmaciarki Zełde jest czyściej niż u Gołde. Patrzcie na ten ganek. — Chaje nosem bucika tupnęła w przegniłą deskę. — Jeszcze może się stać nieszczęście. A kanał, z przeproszeniem, ciągle podpływa. Jeszcze parę lat z takim gospodarzem, a cała kamienica by przegniła. A może już jest grzyb.

— Co mnie to obchodzi, co będzie za parę lat — odezwała się Ester. — Mnie tak czy tak już tutaj nie będzie. A w Ameryce, w Ameryce, to już mój Bendyt się będzie o wszystko troszczył.

— Tak — odparła Chaje — jak ktoś może jechać do Ameryki, ale nie każdy może jechać do Ameryki. Tak. Co chciałam powiedzieć... Zaczyna się już lipiec, a wyście dostali kartę okrętową jeszcze przed Świętami Wielkanocnymi — takeście mi powiedzieli sami, Esterciu — a wciąż jakoś nie możecie się wybrać.

— Ja wam może przeszkadzam, że nie wyjeżdżam? A może waszemu gospodarzowi, Schariemu? — Ester podniosła prawą brew i skrzywiła usta.

— Mnie? Jeśli idzie o mnie, to możecie sobie mieszkać tutaj do stu dwudziestu lat i nigdy nie jechać do Ameryki — Chaje głośno chrząknęła.

— Nu, Amerykę zostawcie w spokoju! Już o to niech was głowa nie boli. A Schariemu waszemu możecie powiedzieć, żeby na mój wyjazd nie liczył, póki od niego nie wydostanę tego, co mi się należy. Razem z bebechami wyciągnę. Słyszycie?! Jego szczęście, że rabin z Głogowa wciąż choruje i odkłada rozprawę. Ale jak trzeba będzie, zaciągnę go przed gojowski sąd. Tam on będzie inaczej śpiewał.

— Do gojowskiego sądu? — Chaje ujęła się pod boki i pokiwała głową. — Phi! Do gojowskiego sądu! Co wy mówicie? Gojowski sąd tyle mu zrobi — Chaje pokazała dwie figi. — Świadków macie? — spytała mrużąc małe, szczurze oczy.

Mojsze-Łajb cicho się zaśmiał i trącił w bok Aronka.
— Ale to zła suka — powiedział.
Na schodach ukazał się Scharie. Na chwilę stanął i odsapnął. Potem skierował się do drzwi Lejzora Steifa. Chuda Chaje poczekała chwilkę, póki Scharie nie zamknął za sobą drzwi, i składając świadectwo powiedziała:
— Pójdę do Gołde Steif i pokażę jej świadectwo mojego Kiwe.
— Poleciała za Schariem, ta rajfurka — rzuciła za nią w ślad gruba Ester.

*

Na schodach chłopcy spotkali Charojzę, matkę Mojsze-Łajba, wracającą z jatki.
— Mojsze-Łajb, dokąd idziesz? — spytała.
— Tak trochę.
— „Tak trochę" możesz siedzieć w domu. — Charojza chciała go wziąć za rękę. Mojsze-Łajb nachmurzył się i ramieniem odtrącił rękę matki. Charojza mrugnęła w stronę Aronka i wycedziła przez zęby:
— Co ci mówiłam, Mojsze-Łajb?
Aronek opuścił głowę i powoli zaczął schodzić na dół.
— A ja będę do niego przychodził! — krzyknął Mojsze-Łajb i pobiegł za Aronkiem.
— Chodź do domu — wołała za nim Charojza, grożąc mu palcem. Mojsze-Łajb odwrócił się i pokazał jej język.
— Idę do Aronka i tam się będę bawił. Tobie na złość!
— Nie waż mi się, słyszysz? — Charojza nachyliła się nad balustradą schodów. — Mojszeniu, mama cię przecież prosi. Kupiłam ci śmietany i rzodkiewek. Zaraz będzie obiad. Słyszysz?! Młode kartofelki z serem. Słyszysz? — Charojza, leżąc prawie całym ciałem na balustradzie, widziała, jak chłopcy zbiegli ze schodów i zniknęli w dużej, jasnej sieni.

*

W domu nie było Kiwe. Selig składał książki do drewnianej skrzynki. Na ziemi leżała kupa brudnej bielizny. Szklane drzwi mieszkania grubej Chaje, oddzielone od chodnika trzema kamiennymi schodami, wychodziły wprost na ulicę, w stronę potoku i czarnego płotu księżego sadu. W mieszkaniu tym, zanim wprowadziła się Chaje, był sklep Jojnego. Została po nim nad drzwiami zgięta sztabka żelazna. Kiedyś był do niej przytwierdzony dzwonek, który Jojne zdjął, gdy przenosił się stąd do narożnego lokalu. W nowym sklepie dzwonek targnięty drzwiami dawał znać, że ktoś wszedł.
— Czy nie widziałeś fury na placu? — spytał Selig chłopców, zaglądających przez szyby drzwi do środka. Selig chciał dziś wyjechać do domu, do Monasterc. Rok szkolny się skończył. Na granatowym kołnierzyku błyszczały nowe złote paski. Było ich już nie trzy, ale cztery.
Dokąd poszedł Kiwe, Selig nie wiedział.
Nie było go ani pod klonami wielkiej bóżnicy, ani w ogrodzie szpitalnym.
— Chodźmy, na pewno poszedł do łęgów — rzekł Mojsze-Łajb.

Aronek sam nigdy nie wyprawiał się za miasto.

— To bardzo daleko? — spytał.

— Nie. Przejdźmy przez Garbarską, a potem na mostek przy cerkwi. Stamtąd już widać łęgi, a tam dalej jest rzeka. Kiwe na pewno poszedł się kąpać.

— Na pewno — powtórzył Aronek i odczuł słodki lęk.

Potok pod mostkiem za cerkwią wysechł. Dno pokryte było tłustym błotem. Rosły tam na różowych łodygach zielone liście z rdzawymi pręgami. W głębszych miejscach stały ciemnozielone kałuże.

Tu kończyło się miasto. Na brzegu wyschniętego potoku było jeszcze parę domków z ogródkami. Rosły w nich kwiaty. W gorącym powietrzu wisiał nad nimi mocny zapach. Tylko w jednym dużym ogrodzie, oddzielonym od wąskiego kamiennego chodnika nową, błyszczącą siatką, zamiast kwiatów rosło zboże. Zielone jeszcze wąsy kłosów przeciskały się przez oka siatki i chłopcy, przechodząc tamtędy, rwali je całymi garśćmi. Mojsze-Łajb i Aronek wetknęli ręce w oka siatki po łokcie. Na ganek obrośnięty połyskującymi liśćmi bluszczu wyszła wysoka i tęga kobieta w niebieskiej sukni i w szerokim słomkowym kapeluszu, ochraniającym przed słońcem, i powiedziała niskim głosem:

— Ne rwy kołossia!

— To nauczycielka Kassarabowa — powiedział Mojsze-Łajb — ona jest bardzo zła. Dlatego każdy jej na złość rwie tę trawę. Ona była kiedyś Żydówką. Jej syn, Włodek, szyje sobie u nas ubranie.

Chłopcy wyszli na drogę usianą kamieniami, zarosłą kępami usychającej trawy. Jałowe pola zaczęły już żółknąć od pierwszych upałów. Słońce stało nad trzema samotnymi jesionami. Pod nimi leżał skurczony cień. Niebo nie ruszało się i było blade. Pod rzadką olszynką pasł się czarny koń, skacząc z miejsca na miejsce. Wysoko podnosił obie przednie spętane nogi. Za nim biegł jasnokasztanowy źrebak. Źrebak pchał pysk pod brzuch klaczy i szukał sutek.

W olszynie było chłodniej. Pod drzewem, na skraju lasku siedziała dziewczyna w czerwonej chusteczce na głowie i z czarnymi jak ziemia nogami. Trzymała w ręku długi wiklinowy pręt, oskubany z liści. Pokrzykiwała na krowy, których całe stado pasło się na polance. Krowy stały skupione w jednym miejscu, zwrócone łbami w różne strony, z opuszczonymi głowami.

Mojsze-Łajb ich się nie bał. Uderzał je głośno gołą ręką po łaciatych zadach.

W wysokiej wiklinie chłopcy poczuli zapach rzeki.

Aronek przypomniał sobie nożyk, którym rok temu Mojsze-Łajb przebił go z zazdrości.

— Natnij prętów, Mojsze-Łajb — powiedział, patrząc nań z ukosa.

Ale Mojsze-Łajb nie chciał. Natnie potem, kiedy znajdą Kiwe-Łoszaka.

Wśród gęstej wikliny wiły się żółte, piaszczyste ścieżki. Ktoś niedawno tędy przechodził i zostawił ślady bosych nóg. Może była to dziewczynka w czerwonej chustce z prętem w ręku i czarnymi nogami. Albo... albo ten biały chłopczyk z księżego sadu. Może tam nad rzeką można widzieć wzlatujący w górę słup wody. A za rzeką, jeżeli pójść daleko, można znaleźć dziesięć zaginionych pokoleń żydowskich.

— Czy ty wiesz, co to jest Sambation? — spytał Aronek.

— Sambation?!

— Tak, to wielka rzeka. Wyrzuca w górę wielkie kamienie, a za rzeką żyją Żydzi, dziesięć zaginionych pokoleń. Tylko w sobotę rzeka odpoczywa. I kamienie leżą spokojnie.

— A gdzie może być Sambation? — pytał Mojsze-Łajb, podnosząc oczy w górę ku gibkim prętom wikliny, wysoko ponad głowami.

Zarośla zaczęły już rzednąć. Chłopcy wyszli na brzeg rzeki, zarzucony olbrzymimi kamieniami. Kamienie ciągnęły się od niskiego mostku kolejowego daleko, aż pod drugi most, którego łuki wisiały w powietrzu między błękitną wodą i błękitnym niebem. — Takie duże kamienie wyrzuca w górę Sambation — pomyślał Aronek.

Rzekę pamiętał Aronek z ubiegłego lata. W piątek przed wieczorem zabrała go matka. Matka kąpała się w niebieskiej koszuli. Zanurzała się raz po raz, obiema rękami zagarniając wodę ku sobie. Koszula wzdymała się w duży pęcherz. Aronek stał przy brzegu i drżał z zimna. Dopiero kiedy go matka namydliła i obmyła, zrobiło mu się troszkę cieplej. Położył się na brzuchu i trzymając się dużego kamienia, udawał, że pływa, uderzając nogami, ale ilekroć puszczał kamień, padał na dno, zachłystywał się wodą i zdawało mu się, że tonie. Ledwo żywy ze strachu odkasływał wodę, która zalewała mu usta i nos.

Wtedy rzeka była pstra od kąpiących się kobiet, w czerwonych, niebieskich, żółtych, zielonych i białych koszulach. Teraz kąpali się tu chłopcy.

Po dwóch, trzech razem wskakiwali z krzykiem do wody. Najpierw gonili się nawzajem, na środku rzeki rzucali się na wznak lub na brzuch i płynęli ku drugiemu płaskiemu brzegowi. A potem ledwo ich można było widzieć, maleńkich, biegnących po moście z łukami. A gdy wracali, śmiejący się, połyskiwali drobnymi kropelkami na plecach i ramionach. W słońcu migały ich długie i chude nogi. Mokre włosy zlepiały się na czole. Szeroko otwartymi ustami chwytali powietrze.

Aronek i Mojsze-Łajb podeszli bliżej do brzegu. Do wody wchodzili po kamieniach jak po schodach.

Mojsze-Łajb szybko zrzucił z siebie ubranie. Aronek bał się, ale gdy Mojsze-Łajb wchodząc do rzeki krzyknął radośnie: „jaka ciepła woda", zdjął ubranko, zzuł buciki i zszedł ostrożnie w dół. Stanął na płaskim kamieniu. Zanurzył palce nóg i cofnął je. Potem zanurzył jedną nogę po kolano i znów cofnął ją. Siadł na rozgrzanym kamieniu i zaczął nogami pluskać w wodzie. Wzbijał się słup srebrzystych kropel, pryskających na nagie ciało. Chłopiec uderzał nogami coraz silniej i szybciej, aż wreszcie niespodziewanie skoczył do wody.

Opanowała go radość. Biegł, podnosząc wysoko nogi. Kiedy stawał, czuł, jak zimny prąd uderza o łydki. Wtedy odwracał się i fala podnosiła się wysoko, po pas. Chłopak rzucił się na dno, podniósł płaski kamień i cisnął nim w powietrze. Biegł za Mojsze-Łajbem, który pływał „pod wodą". Kurcząc nogi wystawiał tyłek i Aronek śmiał się z tego. Mojsze-Łajb starał się wysunąć głowę na powierzchnię, gwałtownie jak żaba wyrzucał nogami i rękami, ale natychmiast padał na dno.

— Widzisz — krzyczał — ja już umiem pływać! — Trzeba tak pływać pod wodą i nagle podnosić głowę. Spróbuj.

Aronek zatkał sobie nos palcami i drżąc ze strachu, dał nurka. Woda uniosła

go. Płynął pod wodą. Był szczęśliwy, nie wierzył swemu szczęściu. Zachłysnął się. Oszołomiony zerwał się na nogi. Słaniał się, wpółprzytomny. Szeroko otworzył usta i starał się złapać oddech. Blady i dygocący wrócił na brzeg, na ciepłe kamienie.

Mojsze-Łajb też wyszedł z wody. Położyli się na słońcu. Oddychali mocno, leżąc z zamkniętymi oczyma. Głosy hałasujących chłopców oddalały się. Fale, uderzając o kamienie, pluskały i zacichały. Z drugiego brzegu, jak z innego świata, dolatywały głosy ludzi popędzających konie. Słychać było szmer łopat, rzucających kamienie na fury, i skrzypienie kół, grzęznących w żwirze.

Rzeka odpływała coraz dalej. Drugi brzeg zanikał i głosy ludzkie zamierały.

Zbudził ich krzyk.

Nad nimi stała Charojza, matka Mojsze-Łajba. Nareszcie go znalazła. Szczypała się w policzki i sztuczną szczęką gryzła dolną wargę. Serce zaraz jej powiedziało, gdzie trzeba go szukać. On przecież nie ma litości nad rodzicami. Biegała jak wariatka po ulicach i pytała każdego, czy nie widziano małego chłopca w słomianej czapce. Ile razy mówiła, prosiła, krzyczała, żeby nie chodził nad rzekę.

Ta rzeka, żeby się spaliła, to jej nieszczęście. Ile razy mówiła, żeby poczekał z kąpaniem się, aż nie będzie, tfu, tfu, pierwszego topielca. Co rok rzeka musi mieć jednego topielca. Czy może on chce być tym topielcem? Nie może czekać, aż się rzeka uspokoi?

— Słyszysz, ty nieszczęście moje — mówiła drżącym głosem, pomagając mu wciągnąć spodenki. Obiad wystygł. Ona to odchoruje. Serce jej bije jak u złodzieja. Leciała przez puste pole. Takie puste, nie daj Boże, pole. Krowa nagle zaczęła biegać. A jego nigdzie nie ma. Przecież mogła go, nie daj Boże, wziąć na rogi. Serce jej zamierało ze strachu. Dokąd pójść? Gdzie go szukać? Co jego obchodzi, że matka lata jak wariatka. A on sobie tu leży spokojnie. Czy on ma serce, litość? Przecież on nie ma litości. Dobrze, że go dzisiaj znalazła, ale jutro? Co będzie jutro? Przecież jutro może go, Boże jedyny, nie znaleźć!

Charojza przycisnęła pięści do ust i złymi oczyma spojrzała na Aronka.

— Idź sobie sam do domu! — Chwyciła swego synka za rękę i pociągnęła w stronę miasta.

Aronek został sam. Szybko wciągnął buciki. Na koszulę narzucił łapserdaczek ze zwisającymi z czterech stron wełnianymi pęczkami cyces. Cyces schował do spodni, żeby nie były widoczne. Nie znosił ich. Swędziło od nich ciało.

Kiedy schylił się po wypłowiały spencerek, ujrzał pod kamieniem niebieską kopertę. Mojsze-Łajb zgubił list. Nie pokazał go Kiwe-Łoszakowi. O Kiwe, o szkiełku całkiem zapomnieli. Aronek chwycił papier. Rozejrzał się wokoło. Nie było nikogo. Z daleka dochodził wesoły śmiech chłopców. Znów obejrzał się wokoło. Wypuścił z ręki list. Ale natychmiast podniósł go z powrotem. Chciał go wsunąć za pazuchę. Opanował go strach. Zanieść go do domu i pokazać ojcu? To jest o siostrze, czarnej od smoły, w pierzach. To nie jest prawda. „Nie, nie, nie chcę!" — krzyknął Aronek i zeskoczył po kamieniach w dół ku wodzie. Patrzał na czystą wodę, na migocące w słońcu kamienie na dnie.

Rzucił list do rzeki jak mógł najdalej.

*

Tego samego wieczoru, kiedy matka wróciła z budki a Ester, jak zwykle, przyszła pytać ojca o zdrowie rabina — ojciec przypomniał sobie nagle, że Gołde, żona długiego Lejzora Steifa, przyniosła z powrotem dane w zastaw za komorne kolczyki. Dzisiaj był u nich Scharie, który jest już gospodarzem kamienicy, i żądał albo pieniędzy za zaległy czynsz, albo... Ojciec nie skończył.

— Albo co? Wyrzuci z mieszkania? — krzyknęła matka. — Tak ci Gołde powiedziała? Co? A ty o tym mówisz, jakbyś mówił o zeszłorocznym śniegu! Wyrzuci? To wyrzuci. Moja głowa przecież ciebie nie boli. Do moich wszystkich nieszczęść jeszcze tylko tego brakowało. Elke głowa jest od tego, żeby się martwić. A to, że Elke z dziećmi będzie się wałęsać na ulicy? Niech o to Elke boli głowa. Prawda, Tojwieniu? Po coś wziął kolczyki? Kto cię o to prosił? Nie trzeba ich było brać!

Matka wyjęła klucze z fartucha.

— Daj kolczyki. Gdzie one? Niech je schowam, nieszczęście ty moje!

Kolczyki leżały w pokoju na ciemnej komodzie. Matka wzięła z kuchni lampkę i weszła do pokoju. W kuchni zrobiło się ciemno.

— Jak się widzi u innych nieszczęście, to się zapomina o własnym — powiedziała cicho Ester.

Ojciec nic nie odpowiedział.

Nagle w pokoju rozległ się krzyk matki. Matka wbiegła do kuchni z lampą w jednym ręku i z otwartym pudełkiem w drugim.

— Gwałtu, Żydzi. Grom we mnie uderzył — krzyczała matka, szukając na stole miejsca, gdzieby postawić lampę. — Grom we mnie uderzył, Żydzi! — to nie są moje kolczyki! To nie są te kolczyki!

Ojciec zbladł, a Ester klasnęła w dłonie.

Matka rzuciła pudełko na stół.

— Idź, leć na górę, oddaj te kolczyki. To nie są moje kolczyki. — Moje były z dużymi brylantami.

Matka padła na krzesło i wpiła w policzki palce.

Jeden kolczyk wypadł z pudełka na stół. Okrągły diament, otoczony rozetką małych kamieni, połyskiwał w świetle lampy.

— Boże, co ja widzę! — Ester załamała ręce i zbliżyła się do stołu. Schyliła się nad kolczykiem, ale nie śmiała go dotknąć. Oczy jej błyszczały, na okrągłych, rumianych policzkach pojawiły się czerwone plamy.

— To są przecież kolczyki mojej matki. Aronek, leć, wołaj Zełde. Niech tu zaraz przyjdzie.

— To cud! — wołała Zełde od drzwi ochrypłym głosem. — Nasza święta matka w niebie ujęła się za naszą krzywdą.

— Poczekaj, Scharie — Ester wymachiwała pięścią w kierunku domu Schariego. — Poczekaj! To najlepszy świadek! — Chwyciła kolczyk ze stołu.

Do kuchni weszła chuda Chaje.

— Co? Elke, nie daj Boże, zemdlała? — spytała. — Kto to powiedział, że zemdlała? Przybiega Bajłe, Zełdeniu, wasza Bajłe, i powiada, że Arałe was wołał, bo matka zemdlała. Ale widzę, że dzięki Bogu to nieprawda. A już posłałam swego Kiwe do blacharzowej Dwojry, żeby przyniosła krople. Ona ciągle zapada na serce i zawsze ma krople. Biedna, też ma szczęśliwe życie u swego śle-

pego Sanego. Ma kamienie żółciowe. Skąd, wy myślicie, ona to wzięła? To mąż ją tak kocha.

— Dobrze, żeście przyszli — zawołała Ester, wyciągając rękę z kolczykiem. — Już mam świadka! Już mam świadka! Znacie te kolczyki? Widzieliście je już kiedyś?

Chuda Chaje wydęła bezkrwiste wargi.

— Przyjrzyjcie się. Przecież to mojej matki.

Chuda Chaje odwróciła głowę i powiedziała:

— Nie, nie pamiętam. Nigdy nie widziałam u waszej matki takich kolczyków. Skąd mam pamiętać.

— Skąd? Dziesięć razy na dzień przychodziliście do nas i nie wiecie skąd?

W tej chwili weszła Giteł.

— Co wam jest? Co wam się stało, Elkeniu? — pytała wdowa Giteł.

Matka siedziała blada i milcząca.

— Nic mi nie jest. Kto wam mówił, że mi słabo? Jestem mocniejsza niż żelazo, że mogę to wszystko wytrzymać. Jego spytajcie, co się stało — matka pokazała na ojca. — Inna Żydówka już dawno by leżała na podłodze „nogami do drzwi". O mnie widocznie Bóg zapomniał. Po co dał mi takie długie życie? Po co mi potrzebne takie życie?

Matka wybuchła płaczem.

— Sza, Elkeniu, sza. — Giteł głaskała ją po ramieniu. — Nie grzeszcie. Zobaczycie, mamy dobrego Boga. Będzie wam jeszcze dobrze. Zobaczycie!

— Tak. Na drugim świecie. — Matka machnęła ręką. — Tam też nie!

Znów otworzyły się drzwi i weszła Pejrł z blacharzową Dwojrą.

— Pejrł-serce, spójrzcie na ten kolczyk — czy pamiętacie go? — spytała gruba Ester.

— Tak, gdzie ja go widziałam? — Pejrł podniosła palec do skroni.

— I ja go skądś pamiętam — powiedziała Dwojra.

— To są kolczyki mojej matki, dusza jej w raju — Zełde uderzyła Pejrł po ramieniu.

— Rozumiecie, reb Tojwie — Ester zwróciła się do ojca — jak to się poplątało. Scharie dał te kolczyki i nie tylko te, a Lejzor pomieszał je z waszymi i oddał nie wasze, ale moje.

— Tak, tak — kiwała Zełde głową.

— A to ci ładny interes. — Dwojra wreszcie też zrozumiała, co się stało. — A to Scharie — nie daj Boże mieć z nim jakiś interes!

— Dajcie mi już spokój ze Schariem. — Matka zerwała się z krzesła. — Mam go już potąd. On mi stoi w poprzek gardła. Tojwie, weź kolczyki i leć na górę do Lejzora. Niech mi odda moje własne. Słyszysz?! Czego stoisz jak słup soli? Nieszczęście ty moje, kto cię prosił, żebyś odbierał je, jak mnie nie było? Jak mnie nie ma, to ty o niczym nie wiesz i koniec.

— Jak to oddać? — zdziwiła się Ester. — Nie. Te kolczyki trzeba zachować na sąd. Pokażę je rabinowi. Teraz mam złodzieja w ręku!

— Co mnie obchodzą wasze interesy ze Schariem. Ja mam dosyć własnych. Tojwie, czego milczysz? Czego stoisz jak słup? — krzyczała matka.

— Sza, sza, ja wam poradzę — odezwała się Pejrł. — Dajcie kolczyki mnie. Jeden ja zaniosę pokazać Lejzorowi, a jeden niech Ester zatrzyma na sąd. A po sądzie Lejzor wam odda wasze kolczyki, prawda, reb Tojwie?

— A Lejzor nie jest taki głupi, żeby odbierać tylko jeden kolczyk — odezwała się chuda Chaje.

— I ja też nie jestem taka głupia — zawołała matka. — Ja nie chcę się mieszać do cudzych spraw i proszę was, Ester, i wszystkich, dajcie mi spokój. Tojwie, słyszysz? Słyszysz?

Ojciec milczał.

Matka uderzyła pięścią w stół. Twarz jej nabiegła krwią. Oczy miała czerwone jak ogień. Krzyczała coraz głośniej, uderzała pięścią w stół.

— Słyszysz? Dość mam takiego życia! Dość, dość, dość!

Nagle otworzyły się drzwi. Wszyscy odwrócili się. Zapanowała cisza. Z piersi ojca wyrwał się okrzyk:

— Chamariem!

W drzwiach stała siostra.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Julian Stryjkowski

Maksym Tank

„JANKO – I – MARIA“
(BIAŁORUSKA LEGENDA LUDOWA)

Dawno to było... Wiosna szła w gości,
gdzie pluskał Niemen —
pewien krzyżacki wódz do swych włości
gnał całe plemię.

Wśród jeńców junak był wraz z dziewczyną
(w pętach ich gnali),
Janko i Maria wszyscy w rodzinie
ich nazywali.

Kiedy pod wieczór przeszli granicę
i poszli dalej,
tracąc sprzed oczu las i krynicę,
gdzie się chowali,

tak rzekła Maria do swego Janki:
„Brak sił mi, drogi,
porzucać niwy, gaje, polanki
i ojców progi“.

I Janko odrzekł: „Tak, lepiej polec
na ziemi wolnej,
niż marne życie wlec i niedolę
w niewoli znojnej“.

I nocną porą junak odważny,
tęsknotą gnany,
zdobył gdzieś oręż i umknął straży
razem z kochaną.

Gdy wódz krzyżacki zwiedział się o tem,
zionąc klątwami,
z oddziałem konnym pomknął z powrotem
w ślad za zbiegami.

Trzy dni za nimi ta pogoń trwała
na koniach bystrych,
nim ich dosięgła mordercza strzała
wśród pól ojczystych.

I tak się stało, że ominęła
ich śmierć — niewola,
i kwiat w tym miejscu, gdzie krew spłynęła,
zakwitł wśród pola.

I dzisiaj wszędzie, gdy maj nas wita
wiosennym słońcem,
kwiatek-legenda „Janko-i-Maria"
jest jego gońcem.

Przełożył z białoruskiego
Remigiusz Kwiatkowski

Arkady Kuleszow

SZTANDAR BRYGADY

(FRAGMENT)

I

Jak listek dębowy z rodzimej gałązki wichurą zerwany
Rodzinny Mińsk opuszczałem, przez bomby niemieckie ścigany.
Całą noc, całą noc
Szedłem szosą. Rodzinne miasto
Za plecami płonęło jak stos —
I niepokój w sercu wciąż wzrastał.
Zmęczony usiadłem w lesie
Na odpoczynek krótki;
Zaczynam prowadzić w notesie
Pamiętnik wędrówki.
Zapisuję na kartkach małych,
O szarej godzinie świtania,
Wszystko, co wczoraj się działo,
spotkania i pożegnania...

. . . . . .

CO RZECZY MI POWIEDZIAŁY JAK WYCHODZIŁEM Z MIESZKANIA?

Rzeczy domowe patrzyły
Na mnie z nadzieją i trwogą
I po kolei prosiły,
Żebym je zabrał ze sobą.
Nie chce pozostać w domu
Żaden talerz, widelec, miska,
Nie zgadzają się książek tomy,
By je palił na placu faszysta.
Koń znakomitej roboty
Z tektury, na kołach drewnianych:
— Gospodarzu — powiedział — co ty
Z nami robisz, zostawiasz nas samych?
Zabieraj czym prędzej mnie stąd,
Bo marnie zginę...
Czyż nie woziłem ci z kąta w kąt,
Z kąta w kąt twego syna?
Kiedy się wojna zaczęła, nie było cię tutaj w mieście.
Do domu i do rodziny dziś przyjechałeś nareszcie.
A gospodyni już wczoraj
Poszła z dziećmi na dworzec.
Nie mogła się z synem uporać,
Wytłumaczyć, że wziąć mnie nie może.
Syn nie chciał bez konia za nic
Jechać na dworzec daleki,
Nie zgadzał się, by mnie zostawić
Bez doglądu, bez żadnej opieki.
„Jedziemy do ojca. Innego konika
Ojciec ci kupi. Śpiesz się!"
Tak gospodyni chłopczyka
Namawiała —
Ustąpił wreszcie.
Gospodarzu, nie kupuj mu konia innego, my razem
Szukać pójdziemy chłopczyka, a jeśli się czasem
Zmęczysz, to choć brak mi siły,
Chętnie podwiozę cię w drodze.
Wiernie synowi służyłem
I tobie wygodzę...
Lalka tak powiedziała:
— Gospodyni mnie też nie zabrała...
A sam powiedz, czy w nocy,
Choć kleiły się oczy,
Twej córeczki nie pilnowałam?
Może się nie starałam?
Gospodarzu, nie stój na progu,
Podaj mi rękę

I prowadź w daleką drogę
Jak rodzoną córeczkę.
Dzieci męczą się, mało ich drogę tak ciężką wytrzyma,
A ja pójdę posłusznie za tobą, bo jestem nieżywa.
To jeść dzieci zechcą, to pić,
Kurz usta spieczone im zatka
— Ja nie zechcę od ciebie nic,
Bo nie żyję, bo jestem lalka.
Samoloty śmierć sieją i ból,
Dzieci trzeba ukrywać
— Ja nie boję się kul,
Nie boję,
Bo jestem nieżywa...
A jeśli zapragniesz odpocząć,
Zmęczony podróżą,
Będę snu twego strzegła ochoczo,
Oka nie zmrużę.

W milczeniu postałem trochę
I w drogę
Tylko łyżkę zabieram z drzewa,
Za cholewę zatknąwszy, jak trzeba.
Uwiera mnie, ale w wędrówce
Bardzo się przyda...

ZAPISUJĘ POKRÓTCE COM NA ULICY WIDZIAŁ

Jak przyjaciele szczerzy żyliśmy z nią zawsze w zgodzie.
Jej szerokość i długość nogami mierzyłem co dzień.
Słysząc kroki, z daleka witała mnie echem znajomym,
Odprowadzała do bramy naszego nowego domu.
Patrzeć lubiłem, jak w mroku
Okno przyjaźnie świeci,
Przez firankę widziałem pokój,
Gdzie kładły się spać moje dzieci.

A teraz ulica się stała
Węższa, dłuższa — zupełnie inna,
Jak górska droga w skałach,
Kiedy stacza się na nią lawina.
Któż teraz poznać by mógł
Domy, chodniki i klony?
Echo tysiąca nóg
Ogłuszyło mnie hukiem szalonym.
Porwało mnie moje nieszczęście,
Odrętwiałego z trwogi,

I w szkła stłuczonego chrzęście
Skierowało za miasto me nogi.
Jak liść nawałnicą
Z gałązki rodzimej zerwany,
Opuszczałem stolicę
Przez pożar okrutny ścigany.
Do marszów przywykać zaczynam —
Będzie ich pewnie niemało.
Długo ulica rodzinna
Drogę mi oświetlała.
I przy tym świetle ponurym
Zapisuję z rozpaczą w sercu
Godzinę dokładną, o której
Zabili ją podli mordercy.
Mińszczanom poświęcam te kartki,
Nazwiskom, imionom nieznanym,
Tym, co bez rąk leżą martwi,
Bez nóg — pod zielonym kasztanem.

A tobie — czy słyszysz mnie stąd? —
Moja ulico spalona,
Powiadam, że idę na front,
Gdzie bije się Armia Czerwona.
Chociaż starli wrogowie cię do cna,
Nic nie zatrze o tobie pamięci,
Bo twoje popioły za mocno
Łomocą do naszych piersi.
Przysięgam na zgliszcza dymiące,
Że bolesną rozłąkę skrócę!
Z drogi nie zboczę, nie zbłądzę,
Powrócę do ciebie,
Powrócę!...

1942

Przełożył z białoruskiego
Ziemowit Fedecki

Rasuł Gamzatow

PAMIĘCI GAMZATA CADASA*

*

Nadeszła wiosna — lecz ciebie, ojcze, nie ma.
Minęła wiosna — lecz ciebie, ojcze, nie ma.

Odchodzi dzień za morza i za skalne granie,
Lecz wystygłe i puste jest twoje posłanie
W tej izbie, gdzieśmy wszystkie zachowali sprzęty
Zbożnie — jak były wtedy, przy twoim odejściu.
Oto twa biblioteczka i stolik — nietknięty,
A na nim tomik wierszy, otwarty w tym miejscu,
Gdzie już nie doczytałeś stronicy zaczętej.
Do połowy twym pismem pokryty arkusik
Leży obok; z daleka niesposób rozpoznać
Ani słów, ni linijek... Ta kartka mnie kusi
Już od trzech lat... Lecz nie śmiem podejść. Wiem, nie można:
Wszakżeś mi tak surowo zapowiadał nieraz,
Abym się nic nie ważył ruszać w twych papierach.

Ja jeszcze dziś — jak niegdyś, jak zawsze — się trwożę,
Zda mi się, że opodal słyszę szmer znajomy
I że oto za chwilę wejdziesz tutaj może
I siądziesz, by zakończyć wiersz niedokończony.

*

Widzę cię, ojcze, z oddali, skroś cienie:
Rąk gest łagodny, poczciwe spojrzenie.
Oto nasz domek. Rankiem na przedprożu
Przysiadłeś, garnąc mnie ku sobie blisko,
A ja, wtulony w twój barani kożuch,
Wnet się rozgrzałem niczym przy ognisku.
Widzę cię, ojcze: smagłolicy, siwy,
Lekko zgarbiony, lecz krzepki i świeży,
Zatknąwszy dłonie za pas, w żartobliwy
Wdałeś się dyskurs z gromadką młodzieży.
Widzę cię, ojcze, przed żywota końcem,
Widzę twarz twoją wciąż młodą i jasną,
Widzę, jak wzrokiem odprowadzasz słońce,

---

* Gamzat Cadasa — ojciec autora, narodowy poeta Dagestanu

Co za skalistych gór zapada pasmo.
Widzę cię, ojcze, w smutku, w trosce szarej,
Widzę cię w blasku radości i wiary,
Widzę cię, ojcze, nad Kaspijskim Morzem
I w gór rodzinnych kręgu w mgieł ozdobie,
Widzę cię wszędzie i o każdej porze...
Tylko śpiącego bezszelestnie w grobie
Nie mogę wyobrazić cię sobie!

*

Cokolwiek mnie zatroska czy spotka mnie w drodze —
Ja do ciebie w godzinę głuchą i samotną
Tak jak dawniej, jak zawsze, po radę przychodzę
I pozostaję z tobą — aż świt zajrzy w okno.

Minęła wiosna — jedna i druga. I moje
Oto dziś już siwizna przyprószyła skronie.
Nad mnóstwem spraw doniosłych dumam z niepokojem —
Jak ty, znużone czoło oparłszy na dłoni.

W krąg — kwiatów woń, śpiew ptaków... Życia nic nie wstrzyma...
Rzęsiste deszcze zroszą twój kamień mogilny.
Ja jestem tutaj, ojcze! Jam — twój uczeń pilny,
Chcę świat oglądać twymi jasnymi oczyma.

Przysięgam: będę zawsze, aż zawrę powieki,
Żył uczciwy i prosty — myślą, mową, czynem.
Przysięgam, drogi ojcze: będę twoim synem —
A być twym synem znaczy: być dobrym człowiekiem.

Przysięgam losy ludu dzielić: żaden zamęt
Nigdy nas nie rozłączy ani żadna siła...
I niechaj nie wysycha, ojcze, ten atrament,
Którym kałamarz ręka twoja napełniła.

Przełożył
Gabriel Karski

Wojciech Górny

STONKA *

Ściemniało się właśnie, kiedy przybiegł sąsiad i przyniósł kartkę od sołtysa. Na zmiętym papierku w kratkę, przybitym zabawną trójkątną pieczątką, ogłaszał na jutro zbieranie stonki. „Kto się uchyli...“ Zbieranie. Szumna nazwa — to brzmi tak, że tylko nachyl się i podnoś te stonki jak jabłka opadłe w sadzie. Dziadek zaklął, czy nie mogli przynieść później, po fakcie, jak zwykle przynoszą zawiadomienia o zebraniach gromadzkich. Tym razem było jeszcze dość wcześnie, o noc przed czasem. Słońce zachodziło dopiero. Przez otwarte wrota stodoły widać cień snopków zwisających nad przygotowaną do młocki maszyną. Nad jej wierzchem wystaje odległy spłacheć pola — stoją dziesiątki. — Kto im tam pójdzie szukać — krzyknął dziadek. — A zboże kto za mnie odstawi?

Nalewałem wodę do koryta, krowy opróżniały je prędzej, niż ja je napełniałem. Wiązano w oborze już po ciemku. Wieczorem zasiedliśmy przy stole. Naftowa lampa pośrodku, zanurzona między siedzącymi. Cienie dokoła. Pamiętam okres przechodzenia frontu. Było nas wtedy dużo, cała okoliczna rodzina, tłok w tym małym domku. Nie tylko stali lokatorzy wojenni jak my, ale i uciekinierzy z miasteczka. Leżałem na sienniku w dole, głowa poniżej drzwiczek od pieca. Łóżko w sąsiedniej izbie zajęła któraś z przyjezdnych babć. Wtedy stół skrzypiał pod opartymi na nim ludźmi, wyolbrzymiałe cienie latały po ścianach. Babka tutejsza siedziała na łóżku z boku, czekała. Kiedy zadecydowali: wyjeżdżamy na Rybie, w lasy, babka podniosła się: — Ja zostaję pilnować gospodarstwa. — Dziadek zmrużył oko, poruszył lewym wąsem. — Nie bój się, stara, ja też nie wyjadę.

Kiedy wróciliśmy z powrotem — po szosach pędziły już zielone auta, mundury były szare a okrzyki z platform słowiańskie — dziadkowie opowiadali, jak w sadku stanęło działo, jak potem, szukając go, rwały się pociski. Wtedy spłonęła obora. Jedną krowę dziadek zdążył wyprowadzić. Jedna była z nami. Opowiadali zwyczajnie, przywykli do kataklizmów. Wspominali tylko wysiłki przy budowie.

— Opowiedz, co tam słychać — zwrócił się do mnie dziadek.

Nie bardzo jeszcze umiałem wchodzić w rolę dorosłego gościa; zbyt dobrze pamiętałem poprzednie, smarkate przyjazdy. Zresztą chwilowa niemożność

* Opowiadanie nagrodzone na konkursie „Twórczości“

dopasowania się była obustronna. Tak, zbyt dobrze pamiętałem. A teraz to ja siedziałem duży, a jeszcze większy — ciemny, na ścianie. Mały Franek patrzył na mnie z dołu jak na olbrzyma, z ciekawością, jakbym był Chińczykiem. Wziąłem go do siebie na kolana — niech ma dostęp do światła lampy. Pamiętałem, jaki to awans w tym wieku. I kiedy mały na kolanach przestał zajmować się mną, a całą przedsiębiorczość zwrócił w kierunku szkiełka, uświadomiłem sobie nagle, że z tą wizytą na wsi wtapiam się tylko we wspomnienia. A przecież nie wszystko musiało być tak samo jak kiedyś, tyle że się coś spaliło, więc wuj odbudował, a ja myślę: oby na tym samym miejscu, jako pamiątkę moich przyjazdów z rodzicami. Chyba nie tylko ja urosłem, Franek przybył. Świat zmienia się, choć najtrudniej to przypuścić co do rzeczy dawniej znanych. A pomyślmy, czy nie mogłoby się pojawić na przykład światło elektryczne?

Wuj zaczął mi rzecz objaśniać. Trzeba, żeby cała wieś, wszyscy razem. Przeprowadzić linię, zakupić transformator, trzeba się złożyć i popracować, dopiero rząd pewnie i pomoże. A nie wszyscy chcą — i tak dobrze, po co wydawać, co innego, gdyby kto założył darmo. Oczywiście, inna sprawa, gdyby spółdzielnia, wtedy łatwiej, ale znowu z drugiej strony... Mieli nawet zakładać, źle mówię, zakładali. Na tę wiadomość podskoczyłem — tutaj? Tak, jeździli wójt i aktywista z milicjantem. Przy nich sołtys. Aha, jeszcze Szymczyk, ten zawsze przy ołtarzu. Na zebraniu kłócili się, który typ spółdzielni. Wójt powiedział, że trzeci — a nie tak łatwo od razu wszystko zmienić. Ale w końcu, jak na ostateczne zebranie przyjechali z województwa, wystąpiła babka. Wuj zatrząsł głową. To było denerwujące. Kiedy już wszystko niby ustalone, głosuje się tylko jak, ta starucha wyłazi ze swojego miejsca, pcha się do prezydium i zaczyna wszystko od nowa. Struchleli, wszyscy patrzyli na delegata. Cisza, od momentu jak babka zaczęła się przepychać, trwała. A ta mówiła, że jest stara, pracowała na swoje, a tu chcą jej zabrać dorobek nawet nie pytając. Nie chce mieć spółki z nierobami, co idą bez chęci. Delegat też był zadziwiony, odczekał chwilę. — Przymuszali was? — Ktoś z tyłu powiedział: — Straszyli. — Głosujcie jeszcze raz — powiedział delegat. Długo objaśniał, na czym polega spółdzielczość. Większość słuchała nie słysząc, przycupnięta. A gdy zakończył: „sami decydujecie, głosujcie" — uparcie przegłosowali nie zakładać. Ale już jakoś niepewnie, bez przekonania. — Kto wie — zauważył wuj — później chyba i tak to będzie w każdej wiosce. Więc może lepiej od razu. Ale tak — zobaczymy. W Ludwinie, o miedzę, założyli. Posmakujemy, co to warte. Jak się spodoba, to lepiej wtedy, nie jak teraz, że nikt by nie chciał robić. Chociaż babka nie zechce pewnie nigdy.

Spojrzałem na nią. Siedziała znów na łóżku, zapadłe policzki podkreślone cieniem, odmawiała różaniec.

— Ona musi na swoim — zauważył wuj.

— Cudzego nie chcę — przerwała pacierz.

— Ale pazerna to jesteś. Aha — ucieszył się dziadek. — Nie dopchasz się jutro do maszyny. Mamy gościa, będzie odbierał. Robotnik darmo, nie masz co mówić. A ty pójdziesz tę stonkę zbierać. Posterczysz z nimi na polu. I tak przecież nic nowego u nas nie wynajdą. A zawsze nikt się już nie będzie czepiał.

Potem rozmawialiśmy o innych sprawach. Wuj miał zamiar kupić radio,

przy pełnym poparciu dziadka. Gazeta nie dochodzi regularnie. A przez radio posłyszy i dziennik, i śpiew, i pogadanki. — Nie chcę być głupszy od dzieci więcej niż dwa razy — mówił wuj. Tymczasem zbierali pieniądze i kontentowali się dorywczo zdobytymi pismami. Wybuchła radość, że przywiozłem świeże ze sobą. Czytali — dziadek w skomplikowany sposób. Trzymał gazetę z drugiej strony lampy, przetykając rękę tak, że tekst był w górze pionowo, a był oświetlony. Patrzyłem na babkę. Uśmiechnąłem się. Oto osoba, która zawróciła bieg historii. O ile, oczywiście, historia — to są wójtowe rekordy.

— No, a co babcia na radio? — zapytałem.

— Będzie słuchała mszy co niedzielę — wskoczył skwapliwie wuj. Kiwała głową potakująco.

Za chwilę wstała, powiedziała, że przyniesie miodu. Poszedłem za nią pomóc. Wyciągnęliśmy garnek. Babka szukała łyżki, potem nabrała pół talerza. Miód wydobyty z czeluści rozjaśnił się na białej polewie.

Spojrzała na drzwi, podeszła do mnie jakby z wielką tajemnicą.

— A co ty myślisz — powiedziała szeptem. — Dla kogo ja oszczędzam, dla kogo się nosem podpieram? Nie do trumny. I dzieci posłuchają, będą mądrzejsze, dojdą do czegoś, nie zrobią wstydu. I stary — zatrzymała się — niech też coś użyje, nie jak wół roboczy. Tylko pieniędzy trzeba. Ze słuchawek — to nie dla starego. A takie — to kosztuje.

Poszliśmy z talerzem do izby.

Nazajutrz rano babka wybrała się na stonkę. Przygotowała śniadanie dla wszystkich. Dzień był pochmurny, nałożyła długą kapotę i poszła. — Młócić czy wozić — medytował dziadek. — Niech to licho weźmie z terminami. — Ale od zachodu wyjrzało pogodne niebo, przeprzęgliśmy więc konie do kieratu. Ciekawe, jak będzie sypać. Dziad z trudnością wylazł na stół, zaczął nadawać, niezastąpiony, oczywiście, w tej funkcji. — Umrzesz kiedy przy tej maszynie — krzyczała czasem babka. Tymczasem on przepędzał ją, gdy chciała jeszcze odbierać. Nie staremu tyle kurzu łykać.

Dziadek znad stołu zerkał często na zgraby, jak idzie. Zagapiałem się na niego. — Równo układaj — krzyczał wiążący. Kurz bił w nos, choć zboże prawie prosto z pola. Układałem właśnie garść na powróśle, kiedy maszyna podniosła hurkot. Czym prędzej wstrzymywać konie, wał. — No, dziś z młócenia guzik. Może na jutro naładuję. Cóż, weźcie się do zwózki. A ty czekaj, gościu — zwrócił się do mnie — co masz do roboty? Pójdź do babki, jeszcze tam uświerknie na tej stonce, że nie widzi gospodarstwa. — Dziadek przymrużył oko, niby że żartuje z połowicy, ale wyszło jakoś wstydliwie. Potem ruszył głową poważnie.

— Jest zimno.

Z początku długo nie mogłem ich odnaleźć. Poszedłem w kierunku sołtysa, stamtąd mieli się rozchodzić. Na polach z obu stron nie widać nikogo. Naraz — hop, hop! Krzyk z tyłu, minąłem najwyraźniej. Obejrzałem się — na miedzy stoi kobieta i krzyczy. Aha, tam zza krzaka widać także staruszkę. Podszedłem.

Siedzieli rzędem na miedzy i rozmawiali. Stara Kowalska opowiadała właśnie o synowej. Koperska słuchała jej kręcąc kulki z gliny. W podołku miała

ich całą garść — niektóre były już suche. Wziąłem jedną w rękę, twarda jak głaz. Na mój ruch kobieta zerwała się, strąciła urobek z fartucha.

— Polecę do domu, wydoję i wrócę.

Pobiegła.

Nie bardzo mogłem zorientować się w sytuacji. Zaproponowałem babce, żeby poszła do domu. Szymczyk — tak, to był Szymczyk, poznałem go, podsołtys — powiedział, że zaraz pójdą wszyscy. Babka nie zbierała się jakoś. Podeszła do mnie, po kilku szarpnięciach wydobyła z kieszeni papier, podała go w ugiętej ręce.

— Dał sołtys rano, pewnie jakiś nakaz.

Przeczytałem. Odstawić drzewo z lasu do tartaku. Zmartwiła się, kiedy to zrobią. Nie szła do domu. Weszła w kartofle, wyrywała chwast. Szymczyk zauważył na siedząco:

— Babcia nie chce zostawić pana z kobitami. — Mrugnął zalotnie ku Teresce.

— A cóż tak pielecie Koperskiej kartofle? — krzyknęła Kowalska.

— Kołchoz zakłada — zażartował Szymczyk — nawróciła się.

— No to wy dalej do pomocy.

— I w spółdzielni też można się urządzić — odpowiedział zadowolony, bez zmieszania.

Przez ściernie ruszyliśmy w kierunku pola dziadków. Zawsze to lepiej, zauważono, jeśli sołtys nie zobaczy ludzi na tym samym miejscu. Jest gorliwy. Na miedzy stała czereśnia, zatrzymali się, aby spróbować. Babka zaczęła pleć kartofle, tym razem własne. Pytałem o stonkę ziemniaczaną, czy nie ma tu nigdzie w okolicy. Odpowiadała mi Szafranka. Przyjrzałem się jej. Była sucha, o zdecydowanych, pewnych ruchach, obyta ze światem.

— Na zachodzie to jest — mówiła. — Jak byłam u córki, zaraz przy stacji pole gołe, na tabliczce pisze, że to ognisko. Straszny szkodnik, trzeba to wytępić. Tylko że wtedy niszczy się i pole.

Nowakowski ściągał na dół gałąź.

— Może byście tak poczęstowali pannę — zagadnął Szymczyk.

Tereska zaśmiała się, że poradzi urwać sama.

— Musiałbym wiedzieć, że panna — mruknął tamten. Podskoczył w górę, by chwycić wyższą gałąź, nie dostał, z rozpędu pobiegł w przód i mało nie rozdeptał babki, która właśnie wychodziła z kartofli. Prawą rękę z zaciśniętą dłonią trzymała przed sobą. W oczach miała jakiś dziwny wyraz. Popatrzyła na mnie, a potem znów na kobiety. Lewą ręką opierała się o pień.

Szafranka opowiadała o córce.

— Dobrze się jej żyje, gospodarstwo ładne.

— Jeszcze kiedy i robotna, nie tak jak moja synowa...

— A jak stonkę gubią? — zapytała nagle babka.

Zdziwiliśmy się tym zainteresowaniem.

— Stonkę wygubić nie tak łatwo — zaczęła Szafranka.

— I złych ludzi też — dorzuciła Kowalska. Myślała, oczywiście, o synowej. — Ona go rzuci, zobaczycie, nie inaczej. Przecież jej babska robota śmierdzi, urzędniczką jaką by została, w czystej sukni albo chociaż w fartuchu przy mleczarni.

— A taka to potrzebuje — dołączyła się Szafranka. — Jak ta u nas przy

skupie. Przyjmowała mleko, oszukiwała na tłuszczu. Siedzi teraz. Całe szczęście, że ten nowy lepszy. Ale tej stonki tak prędko nie wytępi.

— Jak gubią stonkę? — babka koniecznie chciała się dowiedzieć.

Szafranka pomyślała, żeby wyjaśnić porządnie.

— Bo ja wiem, teraz chyba nie przekopują całego pola, tylko kwasy leją. Ale to i tak trucizna. Na pewno kartofle na nic — i nie będzie jadł, i nie sprzeda.

— E, co wy tam wiecie — powiedział Szymczyk.

— A wy to co? Powiedzcie co lepszego.

Zmilczał.

— Zdaje się jednak, że nie niszczą zbioru — nie byłem bardzo pewny.

W tej chwili przybiegła zasapana Koperska. — No, jak, zaglądał kto? Obrządziłam się. Ale, ktoś tu jedzie.

Na szosie widać było rowerzystę — może jakaś kontrola. Szliśmy między rządkami pochyleni, tylko babka ledwie że odstąpiła od drzewa.

Rowerzysta to był tylko sołtys. Przystanął nad rowem, usiadł na ramie i rozmyślał.

Szafranka przypomniała sobie, że ma wykład. Ciągnęła mowę do skupionych przy sołtysie.

— I to świństwo co roku dalej lata. Gdzie nie było, to za rok przybywa.

Zastanawiali się, że to mimo zwalczania, jednak. Ot, nie zawsze wszystko wygubi, choćby przepalić całe pole.

— A ile to ludzie skryją, że jest, żeby zbioru nie marnować — zauważył ktoś. — I tak to się mnoży, na biedę ludzką.

Babka poruszyła się niespokojnie. Tymczasem sołtys odwrócił się przy rowerze, rozpatrywał po okolicy. Było pusto i cicho. Nie słychać żadnego samochodu. Tylko z daleka dolatywał wysoki pogłos młockarni.

Sołtys przemówił.

— Nic nie znaleźliście, to pewnie i nie ma, jak zawsze. Już późno — spojrzał na słońce. — Jak nikt nie przyjechał na kontrol, to pewno już nie będzie. Idźcie sobie do domu.

W tej chwili babka postąpiła krok naprzód, wysunęła rękę. Zawahała się. Bliżej stojący patrzyli na nią ze zdziwieniem. Po chwili patrzyli wszyscy.

Powiedziała szybko wysokim, napiętym głosem:

— Znalazłam w naszych kartoflach...

W ręce trzymała małego żuczka.

Ktoś z tyłu krzyknął, że to pewnie biedronka.

Wojciech Górny

Ryszard Wasita

MILCZENIE KSIĄŻEK

Aż dziw bierze, że poniższe słowa wypowiedział ongiś ów niecierpiący łaciny, jako też wszelakiej scjencji, Mikołaj Rej. (Z Rejowym „nieuctwem" rozprawił się dawno Jerzy Borejsza w *„Odrodzeniu"*). Bo też i słowa, które tu przytoczymy, stawiają autora *Figlików* w zgoła odmiennym świetle. A oto, co mówi on o czytaniu: „O tak, jeśli umiesz czytać, azaż to nie rozkosz też sobie czas upatrzywszy, nad książkami posiedzieć, prawa i powinności swej dowiedzieć, więc się namówić z onymi filozofy, z onymi mądrymi a rycerskimi ludźmi. Nie trzeba będzie wielkiego nakładu, zbiegasz wszytek świat lekkim kosztem, tuż na miejscu siedząc, tak jakobyś tam wszędzie oczywiście był, a jakobyś wszytko widział, acz nie tak wżdy dobrze, ale wżdy lepiej, niźli nic", a wtedy „między ludzi przyszedłszy, nie siedzieć jak darmobyt, gdzie się będzie umiał wżdy ku temu i ku owemu przymówić".

Czytać umiem nieźle i między ludźmi nie chcę siedzieć jak darmobyt, przeto zdecydowałem się odwiedzić Bibliotekę Narodową. Mieści się przy ulicy Rakowieckiej. Gdy jednak zupełnie pobieżnie nawet rozejrzeć się po wnętrzu, gwoli reporterskiej ścisłości zmienić trzeba słowo „mieści się" albo dać partykułę przeczącą „nie". Dlaczego? — Bo po prostu Biblioteka Narodowa — instytucja jak najbardziej realna, zatrudniająca sporą grupę naukowców, wykonująca niezwykle ważne dla rozwoju polskiej kultury i nauki prace badawcze, dysponująca dwoma milionami książek — nie ma w Warszawie ani w ogóle nigdzie w Polsce własnej siedziby. Więc gdzie się w końcu mieści, bo przecież nie w sferach niebieskich? Literalnie — nigdzie! Wszędzie się gnieździ. I chociaż mówi się o szczęśliwych parach małżeńskich, że uwiły sobie gniazdo — co ma oznaczać nie tylko cztery ściany, ale i ową nieuchwytną acz odczuwalną atmosferę przytulności i ciepła, to w wypadku pomieszczeń Biblioteki Narodowej wszystko trzeba rozumieć całkiem na odwrót. Jako brak czterech ścian, jako brak ciepła, jako brak przytulności, jako brak w ogóle elementarnych warunków do pracy naukowej i administracyjnej. Instytut Książki i Czytelnictwa ma pomieszczenia wykonane według metod budownictwa japońskiego z wykorzystaniem warunków miejscowych: ściany są z grubej tektury i półek bibliotecznych. No, ale przynajmniej pracownicy z ul. Rakowieckiej nie mogą uskarżać się na brak ciepła. Zima daje się we znaki tym z dawnej Biblioteki Krasińskich, odbudowanej częściowo w tzw. stanie surowym. Tu nawet w marcu panuje nieprzyjemny chłód, a w okresie silniej-

szych mrozów sprowadza się chyba z Północy Eskimosów w futrach. Mieliby oni tu nawet w pewnym stopniu podobieństwo naturalnych warunków życiowych. Olbrzymie stosy książek spłowiałych od leżenia można by przy dobrych chęciach ułożyć na kształt lodowych jaskiń.

Myślałem o tym wszystkim wracając zupełnie niesyty wiedzy. Nie mogłem się „namówić z onymi filozofy", których Rej tak bardzo polecał, bo „Z powodu zajęcia sali przez Szkołę Główną Planowania i Statystyki czytelnia Biblioteki Narodowej nieczynna aż do odwołania". Zdziwić może fakt tej dziwnej współzależności. Czyżby dwie równie potrzebne instytucje wzajemnie sobie przeszkadzały w pracy? Aby wyjaśnić stan dzisiejszy, trzeba cofnąć się w przeszłość, sięgnąć trochę nawet do tradycji.

Rytownik Milius, rodem z Gdańska, potem osiadły w Warszawie, dokładnie w 1796 roku wykonał miedzioryt przedstawiający podobiznę Józefa Andrzeja Załuskiego. W owalnej, jak sama twarz biskupa, ramce spogląda na nas dostojnik kościelny z epoki saskiej, w peruce, w rabatach, w krótkiej pelerynce, z krzyżem na piersiach. — Jedna wielka pasja tego człowieka jest nam dobrze znana: książki. Zgromadził on w wieku XVIII jedną z największych wówczas w Europie bibliotek i ułożył do niej wierszowany (sic!) katalog; a trzeba wiedzieć, że obejmował ten księgozbiór 300 tysięcy druków, 10 tysięcy rękopisów, 24 tysiące rycin. Po śmierci Załuskiego wspaniałe te zbiory przejęła w roku 1774 Komisja Edukacji Narodowej, ale korzystała z nich tylko dwadzieścia lat. W 1794 rząd carski wywiózł je do Petersburga, skąd dopiero po Rewolucji Październikowej wróciły do Polski. Wiek dziewiętnasty nie mógł kontynuować prac nad rozbudową ogólnokrajowej placówki bibliotecznej. Rolę narodowych księgozbiorów spełniały właściwie i Biblioteka Jagiellońska w Krakowie, i Ossolińskich we Lwowie, Działyńskich w Kórniku i Raczyńskich w Poznaniu, wreszcie Uniwersytecka w Warszawie. Duże i cenne zbiory powstały na emigracji: w szwajcarskim Rappersville'u i w Paryżu przy ulicy Batignolles.

Dokładnie — 24 lutego 1928 roku powołano do życia Bibliotekę Narodową. Była to próba zrealizowania w praktyce myśli światłego biskupa o objęciu całego polskiego dorobku umysłowego: rękopisów i druków. W chwili założenia Biblioteka objęła ponad 300 tysięcy druków nowszych, 85 tysięcy druków starych, 23 tysiące rękopisów, 100 tysięcy map. Tyle o genezie i zbiorach. Teraz o tym, co trwa do dnia dzisiejszego. Wyższa Szkoła Handlowa (prywatna) budowała właśnie gmach dla swej biblioteki. Ponieważ uczelnia nie była zbyt wielka i nie miała w perspektywach szybkiego rozwoju, przeto nowopowstała Biblioteka Narodowa wniosła swój wkład i na prawach sublokatora zajęła część budynku przy ulicy Rakowieckiej. Zbiory rozrastały się szybko i już wtedy pomieszczenia stawały się za ciasne.

We wrześniu 1939 zniszczone zostały zbiory rappersvilskie; w okresie okupacji hitlerowcy z kilku księgozbiorów stołecznych stworzyli tzw. Staatsbibliothek Warschau. Największe jednak straty przyniósł rok 1944, kiedy spłonęły bezcenne dla kultury polskiej zbiory w gmachu Biblioteki Krasińskich przy ulicy Okólnik. Zubożona o to, co zniszczyła wojna i co do dziś bezprawnie pozostaje w Kanadzie (wywiezione w 1939 roku Kazania Świętokrzyskie, Psałterz Floriański, autografy Chopina), Biblioteka Narodowa rozpoczęła w marcu 1945 roku swój powojenny żywot. Dysponowała wówczas dwustoma

tysiącami tomów. O tym, jak szybko rozrosła się sama tylko książnica (tzn. biblioteka *sensu stricto,* bez zakładów naukowo-badawczych), niech świadczą dane statystyczne z 31 grudnia 1951 roku. Biblioteka miała: czasopism 192.592, druków zwartych nowych 847.265, starodruków 102.542, rękopisów 6.575, innych zbiorów specjalnych 55.792 — co razem daje jeden milion i dwieście cztery tysiące siedemset sześćdziesiąt sześć pozycji!

Czy o jakiejkolwiek bibliotece na świecie można powiedzieć, że ma za duże zbiory? Oczywiście — nie! Można się tylko z tego cieszyć. Ale w sytuacji, w jakiej znajduje się Biblioteka Narodowa w Warszawie, wniosek brzmi paradoksalnie: za dużo zbiorów, za dużo pracowni naukowych. Biblioteka jest nadal — bardzo już uciążliwym wobec ciągłej rozbudowy SGPiS — sublokatorem przy ulicy Rakowieckiej, zajmuje z grubsza odremontowaną część byłej Biblioteki Krasińskich przy ulicy Okólnik (a więc inna dzielnica miasta) a ponadto część zbiorów przechowuje w magazynie Biblioteki Publicznej przy ulicy Koszykowej. Liczbowo przedstawia się to tak: na półkach magazynu przy Rakowieckiej mieści się trzysta tysięcy tomów, na schodach, w piwnicy i w różnych zakamarkach nie wiadomo w ogóle, ile się mieści, a właściwie to wiadomo, że mieści się tam tyle, ile się tylko zmieści; na Koszykowej w magazynie jest miejsca na trzysta tysięcy tomów. To znaczy w sumie, w ludzkich (albo lepiej w „książkowych") warunkach nie znajduje się nawet połowa zbiorów Biblioteki Narodowej, która w obecnej chwili ma około dwóch milionów pozycji. Mówię „około", bo nikt nie jest w stanie podać liczby dokładnej. Zbiory biblioteczne wtedy mają pełną wartość użytkową, gdy są opracowane, skatalogowane, udostępnione czytelnikom. Tymczasem mimo dobrej woli i wielu wysiłków pracowników Biblioteki setki tysięcy tomów są dotąd nie opracowane. To znaczy, że nawet dyrektor nie wie dokładnie, co posiada w instytucji, której pracą kieruje. A trzeba przy tym wiedzieć, że Biblioteka Narodowa jest *sui generis* ogólnopolską skarbnicą wydawniczą, czyli miejscem, gdzie się gromadzi „egzemplarz obowiązkowy" wszystkich wydawnictw bieżących. Miesięcznie przybywa około trzech tysięcy pozycji. To bardzo dobrze, że aż tyle i bardzo źle, że wkrótce zabraknie dla nich miejsca nawet na schodach i w piwnicach.

W sześciolatce był projekt budowy specjalnie przeznaczonego dla Biblioteki Narodowej gmachu. Wynikły wszakże trudności w zakresie: lokalizacji, dokumentacji, kredytów. Czy w ciągu tego okresu społeczeństwo, prasa nie interesowały się losami centralnej bądź co bądź biblioteki w kraju? Owszem — i to bardzo. Zgromadziłem sporo materiału.

„Życie Warszawy" z 20 października 1946:
„Biblioteka Narodowa nie ma odpowiednich pomieszczeń."

„Stolica" nr 16 z roku 1947:
„Książki zapakowane w setki skrzyń nie powinny zbyt długo czekać na miejsce do rozpakowania."

„Słowo Powszechne" z 7 marca 1951:
„Lokal zajmowany przez Bibliotekę przy ulicy Rakowieckiej stał się za ciasny."

„Życie Warszawy" z 13 grudnia 1953 — tytuł:
O miejsce dla 1.240 tysięcy książek. Biblioteka Narodowa czeka na nowe pomieszczenia.

„Przegląd Kulturalny“ nr 35, artykuł Henryka Bardijewskiego: *Sprawa naprawdę paląca.*

„Trybuna Wolności“ nr 44 rok 1954 — wniosek końcowy artykułu: konieczne nowe pomieszczenia.

Tych głosów było jeszcze więcej, przytoczyłem dla ilustracji niektóre. A jaki skutek? Niestety, trzeba dojść do gorzkiego wniosku — krytyka i postulaty prasy jak ta modlitwa dziecka u Słowackiego w *Hymnie* — nic nie mogą. Zbyt pochopne jest takie uogólnienie, w innych dziedzinach życia pewno „mają coś do powiedzenia“, ale Bibliotece Narodowej nie pomogły.

Projekt budowy gmachu w planie sześcioletnim przeszedł w krainę cieni w stadium embrionalnym, trzeba było siłą rzeczy myśleć o jakimś działaniu zastępczym. Dawna Biblioteka Krasińskich po wojnie wyglądała tak: ocalałe boczne skrzydła zamieszkała osiemdziesiątka przygodnych lokatorów, sala muzealna i magazyn wypalone były doszczętnie. W latach 1947—48 odbudowano tylko prowizorycznie (budynek przeznaczono do rozbiórki) część muzealną pałacu, gdzie w warunkach może i dobrych dla przechowywania cementu złożono stosy książek. Dotarcie do jakiegoś przywalonego egzemplarza wymaga od personelu — bez żadnej przesady — odbycia kursu ekwilibrystyki w szkole cyrkowej.

Skoro „skończyły się“ (to znaczy przestano w ogóle o tym myśleć) kłopoty z lokalizacją przyszłego gmachu, to bynajmniej nie od razu zaczęto myśleć o choćby tymczasowym „rozwiązaniu“ problemu pomieszczeń już nie dla przyszłych, ale dla aktualnych zbiorów i zakładów naukowych. Znowu w ruchliwości i inwencji komisje planowania wyprzedziła prasa. Na łamach *„Stolicy“* (nr 29 z roku 1953) wysunięto projekt odbudowy byłego Pałacu Kronenbergów oraz odebrania i całkowitej renowacji użytkowanego obecnie przez „Motozbyt“ gmachu byłego Twarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Projekt upadł. Nawet ówczesne zbiory nie znalazłyby w obu budynkach pomieszczenia. Ostatecznie przeznaczona pierwotnie do rozbiórki Biblioteka Krasińskich miała być poddana gruntownej odbudowie i rozbudowie. Dawny magazyn i obecnie wykorzystaną salę pomuzealną planowano połączyć ze zwolnionymi skrzydłami bocznymi, a wzdłuż ulicy Kopernika na miejscu wyburzonych kamienic wznieść główne, dłuższe od obecnego gmachu skrzydło. Tak zaprojektowana budowla pomieściłaby około trzech milionów tomów. Byłoby to więc rozwiązanie tymczasowe, najwyżej na kilka lat. Zdziwić może kogoś, dlaczego używam tu ciągle trybu warunkowego, ktoś może nawet domagać się relacji z postępu prac. Toteż odpowiadam: dokumentacja rozbudowanego gmachu przy ulicy Okólnik ostatnio została przerwana, nie otwarto bowiem na ten cel kredytów. Opracowanie projektu nowoczesnego gmachu dla Biblioteki Narodowej — według rzeczoznawców — potrwałoby około trzech, sama realizacja zaś około dziesięciu lat. O wielkim tym zamierzeniu wiemy na razie tyle, że Rada Kultury i Sztuki na posiedzeniu w dniu 30 i 31 stycznia 1953 roku przyjęła rezolucję stwierdzającą między innymi: „wezwać Resort (Kultury i Sztuki — r. w.) do: przeprowadzenia w planie odbudowy Warszawy lokalizacji budowy reprezentacyjnego gmachu Biblioteki Narodowej“. Widzimy teraz, ile to czasu wymaga ustalenie miejsca pod przyszły gmach — bo Resort Kultury i Sztuki myśli nad tym do dziś od stycznia roku 1953! Toteż sam gmach trudno nawet sobie wyobrazić. W tej sytuacji dalsza działalność Biblioteki Narodowej stoi pod wiel-

kim znakiem zapytania. A nowy Statut („*Monitor Polski*" nr 87 z dnia 22 września 1954, poz. 980) tak określa zadania placówki: „Do zadań Biblioteki należy gromadzenie, opracowywanie i udostępnianie zbiorów bibliotecznych, wykonywanie określonych centralnych prac bibliotekoznawczych i bibliograficznych, prowadzenie fachowego poradnictwa w zakresie organizacji pracy bibliotek, metodyki czytelnictwa i upowszechniania przodujących doświadczeń w tej dziedzinie, prowadzenie badań naukowych dotyczących książki i bibliotek, kształcenie kadr naukowych bibliotekarzy i bibliografów."

Skoro biblioteka ma „gromadzić, opracowywać i udostępniać", to nie ma rady, musi mieć na to wszystko miejsce. Tylko wielkiemu przywiązaniu do książek i ofiarności pracowników — używam tych określeń nie jako zwrotów retorycznych — zawdzięczać należy p r a w i e normalne funkcjonowanie rozbudowanego organizmu Biblioteki Narodowej. Dlatego wszystkie określane przez Statut zadania są w niezwykle trudnych warunkach realizowane. Trudno nawet objąć reporterskim okiem wszystkie dziedziny bardzo różnej pracy. Biblioteka składa się z pięciu działów. Są to: Książnica (z piętnastoma zakładami), Instytut Bibliograficzny (z pięcioma zakładami), Instytut Książki i Czytelnictwa (z czterema zakładami), Biuro Międzynarodowej Wymiany Wydawnictw oraz Stacja Mikrofilmowa. Zwróćmy teraz szczególniejszą uwagę na niektóre dziedziny pracy. Zgodnie z chronologią wypada zacząć od Zakładu Starych Druków. Mieści się w jedynej, naprawdę pięknej sali bibliotecznej, zwanej Wilanowską (od miejsca, skąd większość zbiorów pochodzi). Obejrzałem sporo dokumentów kultury polskiej, walk społecznych i niepodległościowych. Drobniutką szwabachą tłoczony pierwodruk (jedyny, jaki się zachował) *Krótkiej rozprawy* Reja z roku 1543, cztery księgi Frycza a przekładania Cypriana Bazylika: *Pierwsze o obyczajoch, wtore o Statucie, trzecie o wojnie, czwarte o szkole;* anonimową ulotkę z 1793 Do *Exulantów Polskich o stałości* (autor Jakub Jasiński), pierwsze wydania poetów stanisławowskich i prawdziwą osobliwość — wydaną w Paryżu w 1802 roku Bibliothéque Portative du Voyageur; w drewnianej skrzyneczce imitującej doskonale gruby foliał, poukładane w kilka rzędów miniaturowe, oprawne w skórę tomiki Le Sage'a, Rousseau, Woltera.

Tu właśnie, w pięknej sali Wilanowskiej prowadzone są prace nad Centralnym Katalogiem Starych Druków. W jego obrębie opracowany już został Katalog Inkunabułów (tj. wydawnictw od wynalezienia druku do roku 1500). Katalog Druków Polskich XVI wieku (na jego podstawie uzupełni się i skoryguje wiek XVI w *Bibliografii Polskiej* Estreichera), Katalog Druków Polskich XVII i XVIII wieku oraz Katalog Druków Obcych od XVI do XVIII w. Prace nad katalogami to nie wszystko. Gromadzi się tu także materiały do indeksu drukarzy polskich XV — XVIII wieku, indeksu ilustracji, proweniencji, bibliografię kancjonałów, kalendarzy, powieści staropolskiej, dawnych konstytucji, historię produkcji wydawniczo-drukarskiej, historię bibliotek i czytelnictwa.

Podobnie rozległą i trudną pracę wykonuje Zakład Rękopisów. Przygodny szperacz zwróci tu przede wszystkim uwagę na takie rzeczy, jak wyrysowany egzotycznym pismem katechizm na liściach palmowych (pochodzi z Cejlonu z w. XVII), jak najstarszy znany odpis *Kroniki Galla* (kodeks ten był własnością Długosza i zawiera jego dopiski), wreszcie olbrzymi (aby mogli zeń śpiewać wszyscy mnisi) Graduał augustianów krakowskich, czy Długoszowe

Żywoty Arcybiskupów Gnieźnieńskich (z 1535) pięknie ozdobione portretami przez znanego z nazwiska malarza — Stanisława Samostrzelnika, cystersa z Mogiły.

Oglądając rękopisy Prusa i Sienkiewicza, stajemy przed zagadką psychologiczną. Zarówno autograf *Krzyżaków* jak i *Quo vadis* mają nieliczne tylko poprawki w tekście, czego nie można powiedzieć o *Faraonie* pokreślonym na wszystkie możliwe strony. Z siedmiu tysięcy rękopisów dokładnie, z indeksem osób i miejscowości, opracowano dwa tysiące.

Instytut Bibliograficzny nie ma dla zwiedzającego takich atrakcji, jak Zakład Starych Druków czy Zakład Rękopisów. Po kronikarsku zanotujmy: prowadzi się tu rejestrację całokształtu bieżącej produkcji wydawniczej w Polsce (wydawane jest w tym celu specjalne pismo tygodniowe, grupujące dane bibliograficzne w układzie działowym), wydaje się periodyk naukowy *„Bibliografia zawartości czasopism"*. W Instytucie opracowywana jest również bibliografia retrospektywna książek polskich za okres 1901 — 1950; będzie to więc „przedłużony Estreicher". Dokumentację w zakresie nauki o książce prowadzi czasopismo *„Bibliografia Bibliografii i Nauki o Książce"*. Wreszcie fachowe prace teoretyczne i stosowane publikuje się w *„Biuletynie Instytutu Bibliograficznego"*. Jeśli dodamy do tych rozległych prac sporządzanie bibliografii „wycinkowych" oraz prowadzenie centralnego druku kart katalogowych (mają one dostarczyć bibliotekom jednolitych pod względem opisu i formatu kart do katalogów), to w dużym przybliżeniu będziemy mieli ogrom prac, jakie Instytut wykonuje.

Jesteśmy przy katalogach i bibliografii, odsłońmy więc sprawę, która nie tylko oburza, ale też domaga się ścisłych wyjaśnień, kto jest za nią odpowiedzialny. W roku 1952 Biblioteka Narodowa podjęła prace nad Centralnym Katalogiem Czasopism. Wobec stanu, w jakim znajdują się w naszych bibliotekach czasopisma polskie i obce, przedsięwzięcie to powinno spotkać się z poparciem wszystkich instytucji, którym bliski jest rozwój nauki i kultury polskiej. Mam kilka — w skromnym wprawdzie zakresie — doświadczeń własnych. Po wydaniu przez PIW *Kronik* Jana Lama postanowiłem dotrzeć do dawnych pism lwowskich i zobaczyć, jak też te dowcipne zapiski wyglądały na szpaltach, w jakim się pojawiały sąsiedztwie. Niestety, pisma te są prawie nieosiągalne w Warszawie, zdekompletowane, rozproszone. Nie wiadomo nawet, gdzie ich szukać, bo brak w tej dziedzinie jakichkolwiek informacji. Jeśli napotkałem takie przeszkody chcąc dotrzeć do pism w celach — powiedzmy — rozrywkowych, to cóż dopiero mówić o pracy naukowca? Projekt opracowania Centralnego Katalogu Czasopism miał położyć wreszcie kres naszej niewiedzy o stanie czasopism znajdujących się w bibliotekach polskich. Biblioteka Narodowa rozpoczynając pracę oparła się na obietnicy doraźnej dotacji w 1952 i wstawienia do budżetu na rok następny trzystu tysięcy złotych. Żadne jednak obietnice nie zostały spełnione. Po przeszło półrocznym borykaniu się z trudnościami prace zostały przerwane. Nie pomogły wyjaśnienia, że jest to naprawdę wielka inwestycja naukowa, że bez jej szybkiego wykonania niemożliwa jest normalna praca badawcza. Przedsięwzięcie Biblioteki Narodowej poparła Polska Akademia Nauk (moralnie!) i wszystkie czynniki naukowe. Nadaremnie. Również i w roku 1954 brakło trzystu tysięcy złotych na Centralny Katalog Czasopism. Dopiero w drugiej połowie roku (1954) Minister-

stwo Kultury i Sztuki przyznało sto pięćdziesiąt tysięcy złotych i autorytatywnie zapewniło, że do budżetu na rok 1955 wstawiona zostanie suma trzystu tysięcy złotych. W marcu br. Katalog liczył już około 60.000 opisów, ale w tym samym właśnie miesiącu przysłano zawiadomienie, iż fundusze na Centralny Katalog Czasopism zostały z budżetu Biblioteki Narodowej skreślone. Przytaczamy tu suche fakty, bo one same dopisują komentarz. Na skutek takiego planowania po raz drugi przerwana została praca nad katalogiem, który kosztem trzystu tysięcy złotych rocznie miał objąć około 300.000 opisów i w ciągu pięciu lat być gotowym do druku. Uchwytne są dla nas szkody materialne wynikające z nieprzemyślanych posunięć budżetowych, ale w grę wchodzą tu również szkody moralne wyrządzone ludziom, którzy — wierzcie mi — za bardzo skromne wynagrodzenie — podjęli się ogromnej pracy.

Różnorodność prac Biblioteki Narodowej nie byłaby w pełni ukazana, gdyby pominąć Stację Mikrofilmową. Ta nowoczesna „drukarnia" wydająca książki na taśmie filmowej powstała w 1949 roku. Jej głównym zadaniem jest utrwalenie najcenniejszych rękopisów i druków, a także rzadkich czasopism, a przez to samo udostępnienie ich zainteresowanym badaczom. Bardzo prosto wygląda taka symbioza przeszłości ze współczesnością: nowoczesna kopia starej księgi to mała szpulka z nawiniętą taśmą filmową (do 30 metrów). Każde osobne „okienko" (jedno zdjęcie) w zależności od formatu książki odpowiada jednej lub dwu stronom druku czy manuskryptu. Do odczytywania służy prosty w obsłudze, niewielki aparat powiększający. Papier — jak wiadomo — nie jest materiałem trwałym, toteż cenne unikaty, rękopisy i druki trudno są dostępne. Jakież to więc wspaniałe ułatwienie dla naukowca, który w swej pracy posługiwać się może filmoteką cennych dzieł. Już w chwili obecnej w jej szafach przechowuje się przeszło dziesięć tysięcy czterysta zmikrofilmowanych dzieł.

Z tych uwag i rozważań o Bibliotece Narodowej dadzą się wysnuć dwa podstawowe momenty: pamflet na biurokrację, na krótkowzroczność i karygodne zaniedbanie, które spowodowało, że prowizorium centralnej biblioteki polskiej, rozpoczęte w chwili jej założenia, trwa po dzień dzisiejszy, trwa przez dziesięć lat istnienia Polski Ludowej; moment drugi, to szczere uznanie dla ludzi, którzy w warunkach bardziej niż trudnych pracują sumiennie, bez wielkiego rozgłosu, dla dobra nauki i kultury polskiej.

Jeszcze raz na koniec przestudiowałem nowy Statut Biblioteki Narodowej i jeden szczególnie paragraf ukłuł mnie przykrą ironią: „Siedzibą Biblioteki jest m. st. Warszawa". Przypomniał mi się oglądany w Zakładzie Starych Druków traktat teologiczny, gdzie równie dokładnie określano miejsce, które zajmuje w obłokach niebieskich chór serafinów.

Ryszard Wasita

Guillaume Apollinaire

MOST MIRABEAU

Pod mostem Mirabeau Sekwana wolno płynie
I miłość nasza
Pomnę nim wątek wspomnień się rozwinie
Radość zawsze świtała po męki godzinie

Niech przyjdzie noc czas znak jej daje
Dni w dal odchodzą ja zostaję

Trwajmy tak twarzą w twarz gdy z dłonią dłoń złączona
I niech przepływa
Pod mostem którym są nasze ramiona
Wiecznym w nią zapatrzeniem fala tak znużona

Niech przyjdzie noc czas znak jej daje
Dni w dal odchodzą ja zostaję

Miłość na kształt tej wody bieżącej upływa
Z serc nam uchodzi
Och rzeka życia jakaż jest leniwa
Nadzieja w zamian za to jakaż zapalczywa

Niech przyjdzie noc czas znak jej daje
Dni w dal odchodzą ja zostaję

Niechaj mijają dni godzina po godzinie
Miną nie wrócą
I łódź miłości już tu nie zawinie
Pod mostem Mirabeau Sekwana wolno płynie

Niech przyjdzie noc czas znak jej daje
Dni w dal odchodzą ja zostaję

POŻEGNANIE

Przyjm w darze tę gałązkę wrzosu
Pamiątkę po jesieni po mnie
Czas nam się rozstać z woli losu
Przeszłości woń gałązka wrzosu
Ja będę czekał nie zapomnij

SALOME

By uśmiech wskrzesł na Jana Chrzciciela obliczu
Panie ja bym tańczyła niczym serafowie
Matko moja dlaczego siedzisz smutna powiedz
W tych sukniach kasztelanki przy swym królewiczu

Serce me gdy on mówił biło na kształt młota
Słuchając go tańczyłam skryta wśród wikliny
I lilie haftowałam na błamie tkaniny
Co miał u jego laski wysokiej łopotać

Dziś już nie mam dla kogo kończyć swojej pracy
Jego laska znów kwitnie o królu Herodzie
Nad Jordanem a lilie gdy twoi żołdacy
Porwali go wnet wszystkie zwiędły mi w ogrodzie

W cień drzew wszyscy wraz ze mną zejdźcie korowodem
  Nie płacz paradny królu-pomyleńcze
Lecz tańcz wziąwszy tę głowę zamiast berła w ręce
Nie tykaj czoła jego matko zionie chłodem

Naprzód władco trabanci stawać z tyłu w szereg
Wykopiemy dół w ziemi na grób dla tej głowy
Zasadzimy w krąg kwiaty i będziemy tańczyć
Aż ja zgubię podwiązkę w tym wirze balowym
    Król swoją tabakierę
    Królewna swój różańczyk
    A proboszcz brewiarz nowy

CYRKOWCY

Trupa cyrkowców
Starzy i młodzi
Płaską równiną
W dal gdzieś odchodzi
Mijają w drodze
Wielkie ogrody
Wsie bez kościołów
Szare gospody

Dzieci rwą naprzód
Gdzie niosą oczy
Reszta za nimi
W zadumie kroczy
Śliwa jabłonka
Z poddaniem czeka
Gdy jej tak dają
Znak już z daleka

Niosą bębenki
Koła złociste
Ciążki graniste
Albo kuliste
Niedźwiedź i małpa
Mądre zwierzaki
Wszędzie po drodze
Łowią miedziaki

CYGANKA

Już u Cyganki w kartach stało
Żywioły nocy nas osaczą
Pożegnaliśmy się z rozpaczą
Nadzieja z matni wyszła cało

Miłość nam z powolnością misia
Tańczyła długo prosząc łaski
W końcu błękitny ptak wyłysiał
Żebrak zapomniał swe zdrowaśki

Wiemy żałować przyjdzie srodze
Lecz miłość spotkać można w drodze
Trwamy w uścisku klnąc bezwiednie
Starej Cyganki przepowiednię

ROZAMUNDA

Długo tam tkwiłem przy tej bramie
Gdzie właśnie znikła i z zachwytem
Całusy ręką słałem damie
Za którą dwie godziny bite
Włóczyłem się po Amsterdamie

Ulica była wtedy pusta
Nikt nie mógł stwierdzić należycie
Czy który całus znalazł usta
Tej co rządziła moim życiem
W myśl ważnych dwie godziny ustaw

W sercu imieniem Rozamundy
Chrzczę ją do dziś mi spać nie daje
Liczko jej kwiat Holandii cudny
Przyszło więc jechać w inne kraje
Po kwiat co zwie się Rosa Mundi

CHORA JESIEŃ

Jesieni chora a tak uwielbiana
Umrzesz gdy tylko wicher dmuchnie w pergole różane
Gdy już śniegu napada
Wszędzie po sadach

Biedna jesieni
Umieraj w bieli i w bogactwie
Śniegu i dojrzałych owoców
Wysoko w górze
Wysoko nad gniazdami i tokowiskami
Kołują jastrzębie
Tropiąc samiczki co nigdy samca nie zaznały

Gdzieś na dalekiej porębie
Jelenie tęsknie zaryczały

Kocham o jakże kocham pogłosy twej pory
Owoce nie zrywane a tłukące o grunt kamieniście
Ten wiatr jesienny te bory
Wypłakujące wszystkie swe łzy liść za liściem
Te liście
Co do nóg padają
Pociągi
Co na szynach grają
Dni życia
Zwolna upływają

HOTELE

Pokoje-wdowy
Żal pustką stać
Przybyszu nowy
Pierwszego płać

Gospodarz w trwodze
Nuż zarwie znów
A ja już w drodze
Bywaj pan zdrów

Pędzą dorożki
Potwór nie gość
Wciąż tytoń gorzki
Ćmi jak na złość

Chwiejny stoliku
O La Vallière
Z zaklęć bez liku
Kpin czynisz żer

Hotel gdzie liczny
Ludek ma schron
Jednojęzyczny
Babelu pion

Fora do gości
I drzwi na klucz
Sam w samotności
Kochać się ucz

JEST SOBIE

Jest sobie okręt który porwał moją miłą
Jest sześć parówek na niebie i gdy noc zapadała można by rzec że z pądrów rodziły się gwiazdy
Jest podwodna łódź nieprzyjacielska co miała chrapkę na moją dziewczynę
Jest tysiąc świerczków zmiażdżonych przez pękające wkoło mnie pociski
Jest piechur co przechodzi obok oślepiony przez gazy duszące
Bywało żeśmy w okopach szwargotali bez końca o Nietzschem Goethem Kolonii
Bywało żem tęsknił za listem co nie przychodził zbyt długo
Jest u mnie w portfelu parę zdjęć mojej dziewczyny
Są jeńcy co przechodzą z trwogą w oczach
Jest działon którego obsługa krząta się przy armatach
Jest pocztowy nadjeżdżający kłusem ścieżką obok samotnego drzewa
Jest sobie podobno szpieg wałęsający się tędy niewidzialny niby powietrze którym się niecnie przyodział i z którym zlewa się w jedno
Jest napięty jak łodyga lilii tors mojej miłej
Jest kapitan co z niepokojem czeka na Atlantyku na komunikaty iskrowe
Są żołnierze co rzną o północy deski na trumny
Są kobiety co z wybuchami szlochu modlą się o kukurydzę do broczącego krwią Chrystusa w Meksyku
Jest Golfström taki tkliwy i taki dobroczynny
Jest pełen krzyżów cmentarz na 5 kilometrów
Są krzyże wszędzie wzdłuż wszerz
Są sobie algierskie kaktusy rodzące figi dzikie
Są długie wysmukłe ręce mej dziewczyny
Jest kałamarz zrobiony przeze mnie z 15-centymetrowej łuski którego nie dano wysłać
Jest siodło moje wystawione na pluchę
Są rzeki co w swoim biegu nie wracają do źródeł
Jest miłość co mnie wypełnia słodyczą
Był jeniec szwabski dźwigający na własnych plecach karabin maszynowy
Są na świecie ludzie którzy nigdy nie zaznali wojny
Są Hindusi patrzący ze zdumieniem na wsie Zachodu
I myślący ze smutkiem o tych których może już nigdy nie ujrzą
Gdyż w czasie trwania tej wojny posunęła się bardzo daleko sztuka niewidzialności

Przełożył
Roman Kołoniecki

Wacław Sadkowski

PRÓBA EPIKI

(O „JAWOROWYM DOMU" WILHELMA MACHA)

1

„U Jaworów mierzyło się czas podług słońca. Gdy cień strzechy dotykał drugiej deski przedproża, było południe. Zegar w tym domu wysłużył swoje, przyniósł go Rapacz jeszcze z wielkiej wojny."

Już pierwsze zdania powieści Macha budzą w czytelniku zaufanie, sprawiają, że godzimy się na to, aby wprowadził nas pisarz w świat, w którym żyją postaci i dzieją się sprawy powieściowe. Już wiemy, że konkretny, dotykalny kształt ludzkiego świata został przez pisarza dostrzeżony i złożony u podstaw twórczej wyobraźni. Umówiliśmy się w krytyce nazywać te ukazane przez pisarza materialne obiekty życia realiami — beznamiętny, acz słowotwórczo poprawny termin zbyt często jednak przesłania nam to, że przecież bez tych realiów — poza wypadkami szczególnymi — najostrzejsze nawet literackie dramaty rozstrzygają się właściwie w próżni.

Zbyt rzadko służy naszej krytyce za kryterium prawdziwości i wartości książki — dojrzałość, „prawdziwość" stworzonego w niej obrazu świata, wyrazistość i konsekwencja artystyczna warstwy owych realiów. Przecież po niej najłatwiej poznać, w jakim stopniu wgłębił się pisarz w zagadnienie, czy zna życie, o którym pisze, czy też powieść po prostu wykoncypował. Wzięte pod ten skalpel oceny, nie oparłyby się liczne nasze książki, często nawet najwybitniejsze, i odsłoniłyby swoje różnorodne słabości. Nie wiem na przykład, czy nie ten skalpel odsłoniłby najwyraźniej słabość murarskiego wątku *Obywateli.*

Zbyt łatwo pomijamy tu doświadczenie szkoły klasyków — szkoły rzetelności i precyzji realiów, faktów, obserwacji. Prosper Mérimée wielokrotnie częstuje swoich bohaterów filiżanką czekolady i za każdym razem podkreśla, że jest to czekolada z hiszpańskiej kontrabandy — najlepsza, jaką w ówczesnej Francji można było wypić.

Wilhelm Mach był tym krytykiem, który w swoich szkicach i ocenach literackich szczególnie życzliwie witał owo uwrażliwienie na różnorodność zewnętrznych kształtów świata, ową — niejako żywiołowo realistyczną — chłonność pisarza na wszelkie przejawy i formy życia. Debiutował przecież essejem o ówczesnym pisarstwie Żukrowskiego — pisarstwie barwnym, wonnym i so-

czystym! Dziś Mach swą własną praktyką potwierdza słuszność ówczesnych krytycznych diagnoz.

Ten jędrny opis realiów *Jaworowego domu* nie wynika bezpośrednio z pisarskiego temperamentu — wcześniejsza powieść *Rdza,* którą Mach przed pięcioma laty zadebiutował, ma ów zespół realiów rozcieńczony, przesłonięty welonem analizy psychologicznej. Tam rzeczywistość faktów i zdarzeń jest jakby czymś wtórnym wobec wewnętrznych doznań Andrzeja, które decydują nie tylko o ich kolorycie i cieniowaniu, ale także o układzie, o ich logicznym i kompozycyjnym następstwie.

W *Jaworowym domu* „jędrność", „pierwotność" realiów wynika już ze świadomego wyboru nowej pisarskiej metody.

Istniał kiedyś pewien typ książek, które zaliczano do „małego realizmu". Klasyfikacja ta była niejednokrotnie w dużym stopniu zasłużona — niezliczone ilości drobnych podpatrzeń i „podglądnięć", zawarte w niektórych książkach, nie służyły ich autorom do żadnego sensownego wniosku czy uogólnienia, okazywały się intelektualnie i artystycznie bezpłodne, jałowe dla poznawczej treści tej prozy. Drobiazgowość tych książek była po prostu małostkowością. Korzeniami sięgała ona naturalistycznego, niedialektycznego widzenia świata. Słusznie przestrzegano przed manowcami tak pojętej twórczości.

Czy jednak wśród wielu niemowląt wylanych wraz z kąpielą nasze dyskusje i postulaty nie zagubiły jednocześnie (wyraźnie widać to w takich np. *Mądrych ziołach* kłopotliwego dla ówczesnej krytyki Żukrowskiego!) najzdrowszej w świecie wrażliwości wielu pisarzy na cały, tak bogaty i barwny, świat zewnętrzny? Ileż to razy w dziejach literatury ta wrażliwość i chłonność, ta wierność i rzetelność wobec rzeczywistości była błogosławieństwem całych epok i źródłem prawdy całych nurtów literatury. Czyż mało przemawia za tym dowodów nawet w zupełnie bezpośrednim doświadczeniu naszego piśmiennictwa? Czyż owa wierność i rzetelność wobec dotykalnej rzeczywistości nie jest jednym z najistotniejszych czynników wielkości i prawdy pisarstwa Marii Dąbrowskiej, czyż nie współdecyduje o sile i ostrości ludzkiego dramatu w *Młynie nad Utratą* czy w *Pannach z Wilka* Jarosława Iwaszkiewicza?

Przyszło nam później zapłacić za zlekceważenie tej elementarnej zasady serią czczych, wodnistych książeczek, pisanych przez absolutnych jaroszów.

Jaworowy dom jest pierwszą chyba po paroletniej przerwie powieścią o tak dojrzałej wyrazistości i konsekwencji artystycznej konkretnych spostrzeżeń o świecie. I stąd, z umiejętności wtopienia realiów w artystyczną konstrukcję, z umiejętności uargumentowania nimi prawdy zdarzeń, konfliktów i postaci — rodzi się w tej powieści wielka mądrość małych faktów. Bo bogactwo realiów w *Jaworowym domu* nie ma nic wspólnego z drobiazgowością. Bo każde z przytoczonych spostrzeżeń pełni swoją funkcję w rysunku sytuacji i scen, w charakterze postaci, bo każde jest organiczną częścią obrazu artystycznego. Druga deska przedproża jako wskaźnik godziny południowej — to nie tylko bystra obserwacja, ale także i lapidarna charakterystyka klimatu życia ludzi, którym ta deska południe wskazuje. Zanim jeszcze doszedł Mach do określenia „historycznej" sytuacji Bielawy, wsi podrzeszowskiej z dziesięciolecia 1942 — 1952, ukazał podstawowe warunki życia swoich bohaterów, ich sposób czerpa-

nia wody i mierzenia czasu — to wszystko, co w owej ogólnej sytuacji współuczestniczy i co się na nią składa, a co w powieści zebrał w ów ogólny obraz. W każdym takim chwytającym konkretną, prawdziwą sprawę zdaniu zawarł pisarz to, co nazywano kiedyś kolorytem lokalnym, a co jest po prostu sprawdzalną, potwierdzoną doświadczeniem wiedzą o rzeczywistych życiowych sprawach ludzkich przeżyć i dramatów.

2

To, co się narzuca w sylwetkach ludzkich z *Jaworowego domu,* to ich dynamika, dynamika niewątpliwie nawiązująca do tradycji prozy Nałkowskiej i Boguszewskiej, dynamika, od której odwykliśmy w naszych ostatnich powieściach, zrodzonych w atmosferze burzliwych dyskusji nad tym, czy wprowadzając do powieści tzw. „pozytywnego bohatera" wypada zaznaczyć, że miał on u nosa ową przysłowiową kapkę. Bohaterami *Jaworowego domu* od samego początku włada prawo ruchu i wzajemnie powiązanego rozwoju, prawo akcji, dialektyki powieściowych przemian. Zasadę tę utrzymuje Mach z dużą konsekwencją w całej powieści, ukazuje swoich bohaterów niemal wyłącznie „od zewnątrz", poprzez życiowe sytuacje i zdarzenia. Autor nie zwalnia ani nie zatrzymuje czasu dla dokonania jakiejś statycznej analizy psychologicznej, wyrzeka się introspekcji. O przeżyciach bohaterów mówią tylko fakty, uzupełniane z lekka dialogiem i dyskretnym komentarzem autora. Splot życiowych warunków i okoliczności, zdarzeń i faktów określa miejsce bohaterów w świecie. Powieść rozwija się poprzez narastanie wydarzeń, poprzez koleje losów ludzkich, powiązanych nawzajem ze sobą i z warunkującymi je okolicznościami materialnej i społecznej rzeczywistości.

3

Jakże odmienny jest i pod tym względem *Jaworowy dom* od swej poprzedniczki *Rdzy.* Różnice polegają na zastosowaniu dwu różnych metod opisu.

Bohatera *Rdzy,* Andrzeja, przedwojennego podchorążego, poznajemy w pierwszych miesiącach okupacji w rodzinnej aureoli bohatera narodowego. Postać Andrzeja miała w wyraźnie wyczuwalnym zamierzeniu autora zilustrować typowe przejawy moralnego rozkładu mieszczaństwa. Dlatego poddana została wnikliwej, drobiazgowej wprost psychologicznej analizie, skopiowanej *con amore* ze słynnych wzorów Proustowskich. To zamierzenie realizuje pisarz poprzez „historię wewnętrzną" Andrzeja, która jest rozwojem czegoś, co można by nazwać świadomością moralną tej postaci, jej samooceną moralną.

Ta ewolucja „samoświadomości" jest właściwie jedynym rozwojem, jakiemu Andrzej podlega. Poprzez kolejne stadia tchórzostwa, dochodzącego aż do symulowania choroby. O istotnych, decydujących o jego losie faktach dowiadujemy się niemal wyłącznie z jego własnych reminiscencji, wyznań i wspomnień, a także ze stanów psychopatologicznych. I zanim przekonamy się o biernej, głęboko niemoralnej postawie Andrzeja, zanim dowiemy się o jego zdra-

dzie wobec powierzonego mu oddziału w kampanii wrześniowej, co go do reszty moralnie zdyskwalifikuje, na kalendarzu babki Rotterowej ukaże się czerwona, niedzielna data 22 czerwca 1941 roku, zanotowana zresztą w historii jako dzień najazdu hitlerowskich Niemiec na ZSRR.

Jak jednak owa rozrastająca się w bohaterze powieści świadomość moralna rozwija jego „wewnętrzną historię"? Oto w dzienniczku Andrzeja pod jedną z jesiennych dat 1939 roku widnieje tekst: „Morze bez brzegów. Widnokręgi uciekły. Tylko fale i wiatr. W środku morza zrąb skalny — miejsce na dwie stopy człowieka, nie więcej — stój spokojnie albo drepcz w miejscu, ale nie stąpnij ani kroku naprzód, bo spadniesz. Jesteś sam." Tak ocenił Andrzej swą sytuację początkową. 22 czerwca 1941 roku napisze w swoim dzienniczku: „Nie ma miejsca na dwie stopy, bo nie ma komu stać. Dnem samotności jest niewiedza." Komentuje to jednak, natychmiast zresztą komentarz skreśla i zamazuje: „Stary wykręt w nowej formie. Niewiedza jest filozofią tchórzów." Tak odbywał się ów osobliwy, laicki rachunek sumienia.

To nagromadzenie wiedzy o Andrzeju (czy też może — samowiedzy) ciążyło ku jakiemuś rozwiązaniu jego problemu. Ale z dialektyki rozwojowej tego całkowicie zamkniętego układu wewnętrznych napięć i kompleksów nie mogło wyniknąć nic, co by pchnęło Andrzeja w jakąś stronę, i jego moralny upadek był przecież wprost proporcjonalny do rozwoju świadomości i biernego samokrytycyzmu. Stała się więc sprawa Andrzeja węzłem gordyjskim, nie dającym się rozwikłać, dającym się tylko przeciąć. Mach miał jedno tylko wyjście z sytuacji — przerwanie wątku starym sposobem *deus ex machina.*

Tak się też stało: wieczorem tej samej historycznej czerwcowej niedzieli, po ataku partyzantów na niemiecki pociąg, patrol wojskowy zabija Andrzeja nie biorącego przecież udziału w akcji i znajdującego się przypadkowo u babki, w pobliżu wypadku. Jego przypadkowa śmierć nie jest w najmniejszym stopniu rozwiązaniem „problemu Andrzeja", tkwiącego immanentnie w powieści. Wszystkie późniejsze wydarzenia nie mają nic wspólnego ze sprawą Andrzeja, są doczepione i nie posuwają ani o krok akcji.

4

Porównanie metod kreślenia sylwetek ludzkich w obu powieściach pozwala nie tylko dostrzec ich różnice, ale dostarcza także przekonywających dowodów na wyższość drugiej powieści Macha. Trzeba się tu jednak ustrzec sugestii, która zdaje się z tego porównania wynikać — sugestii, że ta wyższość *Jaworowego domu* nad *Rdzą* dokonała się za sprawą samego tylko zastosowania innej metody twórczej. Oczywiście, nie żadna metoda zadecydowała o bogactwie treści poznawczych *Jaworowego domu,* ale dojrzałość twórcza pisarza, jego pogłębiająca się wiedza i doświadczenie pisarskie.

O ileż silniejsza i klarowniejsza od wewnętrznych monologów Andrzeja i niedyskretnych zwierzeń jest wymowa konkretnych zdarzeń i faktów z życia bohaterów *Jaworowego domu.* Ileż tu wyrazistych portrecików, jak choćby ów odbijający się w pretensjonalnych meblach profil wujny Tekli, która pogoń za lepszym życiem pojęła dosłownie po drobnomieszczańsku: wyszła za

mąż do miasteczka. „Za gotówkę ze spłaty sprawiła sobie posag dostatni, z miejskim zacięciem; wśród mebli nie brakło trójdzielnego lustra, które zostało przedstawione ciekawym sąsiadom jako konsola, czyli psycha, a wśród odzieży — nocnych koszul i szlafroka."

Im więcej takich spotkań z bohaterami *Jaworowego domu,* tym wyraźniej prawdę każdej z nich popiera owa prawda faktów i realiów. Z wnikliwą uwagą śledzi pisarz zachowanie się swoich bohaterów w różnorakich sytuacjach życiowych. Te znów sytuacje wiąże w układy obyczajowe i społeczne, w losy jednostek, rodzin i klas. I tak stopniowo w miarę narastania powieściowej akcji każdy z ludzi w *Jaworowym domu* wyraża swoim rozwojem tok ogólnych społecznych procesów.

Cały ten wywód nie ma sugerować, że metoda kreślenia sylwetek ludzkich, z takim powodzeniem zastosowana w *Jaworowym domu,* jest najlepsza. Podobnie jak cały entuzjazm dla bogactwa realiów w powieści Macha nie dyskwalifikuje realistycznych walorów prozy mniej chłonnej na różnorodność realiów życia.

Również niesłuszne byłoby absolutyzowanie drugiej właściwości *Jaworowego domu* — ukazania człowieka „od zewnątrz", poprzez jego czyny i zdarzenia jego życia, z unikaniem introspekcji. Byłoby to zlekceważeniem Mannowskiego Hansa Castorpa z *Czarodziejskiej góry* czy też Flaubertowskiego Fryderyka Moreau. Czyż zresztą Marcel Proust nie ukazał w nowy sposób trudnej prawdy ludzkiego serca?

Nie można więc chyba postępować tak, jak postąpił Jan Błoński, który pisząc w *„Nowej Kulturze"* (nr 1 z br.) o *Jaworowym domu* tę właśnie słusznie dostrzeżoną metodę ukazywania ludzi „od zewnątrz" uznał za słabość powieści, co jego zdaniem uniemożliwiło wniknięcie w głębokie pokłady psychologicznych treści życia bohaterów. Związał on to z domniemaną chęcią wyeliminowania liryzmu, jaka miałaby przyświecać Machowi w powieści.

Wiąże się ta sprawa z pewnym częściej występującym poglądem w literackich dyskusjach. Pogląd ten za jedną z głównych słabości naszej współczesnej literatury uważa to, że ukazuje ona ludzi od strony działania, a nie od strony myśli, nie poprzez ukazanie zachodzących w nich procesów wewnętrznych. Pozornie trudno odmówić słuszności temu zarzutowi. Ale jednak na tej pretensji zaciążyło znów niedobre doświadczenie naszych paru ostatnich literackich lat. Wadą wielu naszych książek było przecież to, że nie potrafiły one tych wewnętrznych konfliktów, zmagań i dramatów ludzi naszego czasu objąć w pełnej życiowej prawdzie i przekonywająco ukazać. Jest w *Cichym Donie* taka wstrząsająca scena, kiedy Grisza Melechow widzi, jak szwadron Kozaków gwałci dworską pokojówkę Frankę. Potworny wstrząs, jakim jest dla Grigorija to zdarzenie, ukazuje Szołochow całkowicie „od zewnątrz", nie wnikając zupełnie w mechanizm psychicznej reakcji swego bohatera i nigdy później gwałcona Franka nie przypomina się Melechowowi — a jednak potrafił nas autor przekonać, że moment ten był dla Griszy jednym z najbardziej dramatycznych i najgłębiej jego duszę drążących wstrząsów w całym tym, wypełnionym cierpieniem i tragizmem, życiu.

Ale — wracając do *Jaworowego domu* — struktura świata bohaterów tej powieści nakłania do innych jeszcze krytycznych wniosków. Głębokie osadzenie powieści w życiu pozwoliło pisarzowi odnieść jedno jeszcze zwycięstwo: rzeczywiście najsilniej wciągają i interesują czytelnika *Jaworowego domu* sprawy i przeżycia jego „pozytywnych bohaterów", sprawy ludzi, z których kierunkiem działalności wiąże autor perspektywy rozwikłania powieściowych dramatów, z których działalnością solidaryzuje się w lirycznej apostrofie zamykającej powieść.

Jest to naprawdę poważna zdobycz tej powieści. Ileż to książek przed nią pakowało całą pasję w „zdemaskowanie" postaci odrażająco negatywnych, w ukazanie konfliktów ludzi błądzących i wrogich — a świat „bohaterów pozytywnych" pozostawiało na łasce papierowych szelestów, skazywało na ubogie, wykoszlawiające prawdę życia schematy! Jakiż zresztą jest udział w tych błędach postulatów i dyskusji, na dnie których wciąż czaiło się mniemanie, że ten nowy, stworzony przez naszą literaturę „bahater pozytywny" to powinien być idealny człowiek nowego typu — i w których zastanawiano się głównie, jakimi zaciemnieniami w rysunku takiej sztucznej lalki osiągnąć to, żeby czytelnik uwierzył, że nie jest on już tak zupełnie nieskazitelny jak Skrzetuski. Tylko że powieściom o naszych Skrzetuskich zabrakło siły i prawdy Bohunów, Zagłobów i Kmiciców, za to nad wyraz żywa okazała się tradycja intelektualna Rocha Kowalskiego (nawet pod względem eufoniki nazwiska!). Zapomniano o tym, że „pozytywności" postaci nie można osiągnąć bez estetycznego do niej stosunku, bez takiej jej konstrukcji, która wzbudzi sympatyczny, przyjazny odzew u czytelnika — i że pod tym warunkiem dopiero kształtować wolno losy bohatera, z którym związane są perspektywy rozwoju w powieści; a znów co do idyllicznych losów i co do idealności, to nie zdarzyło się jeszcze w literaturze, aby mogły kogoś pasjonować losy powieściowego bohatera bez dramatów, przełomów i burzliwych zmagań wewnętrznych, bez dążenia w męce do prawdy życia.

Piękno postaci „pozytywnych" w *Jaworowym domu* nie jest jeszcze, niestety, pięknem dojrzałych dokonań artystycznych. Nawet przeciwnie — tu właśnie wydają się tkwić najpoważniejsze braki tej powieści. Nieprzekonująca, nieprawdziwa jest przecież miłość Anny Gorzkówny i Tadeusza Mroza. Jej słabość polega na zbyt dosłownym skopiowaniu starego modelu judymowskiego bez intelektualnych i artystycznych racji, uzasadniających potrzebę wskrzeszania starego konfliktu. Zbyt „zewnętrznie" może (w tym wypadku zgadzam się z Błońskim!) czy ściślej mówiąc: zbyt aluzyjnie jest nam ta miłość ukazana, aby przekonać nas o swej humanistycznej treści. Ponieważ nie widać jej powodów i racji artystycznych, pozostają czytelnikowi same tylko zewnętrzne komplikacje w porządku i kulturze uczuć tych dwojga ludzi, co ciąży ujemnie także na konflikcie zastoju i odrodzenia Tadeusza. Również nie przekonuje czytelnika postać Szczepanka, zbyt dosłownie ucieleśniającego tezy o społecznym awansie.

Ale atmosfera wokół tych postaci i spraw jest w powieści Macha tak czysta, ich sprawy tak zrozumiałe i bliskie, że przecież do nich przede wszystkim ciąg-

nie czytelnika serce. I świadczy to o zwycięstwie pisarza w estetycznej konstrukcji powieściowych postaci.

Powieść Macha jest na pewno jedną z najgłębiej przepojonych szlachetną miłością do nowego człowieka książek w naszej literaturze. I nie jest to tylko zasługą piękna szlachetnych intencji — głęboka mądrość Solarzowej, sceny rodzinnne Solarzów pełne są dojrzałej, rewolucyjnej — chciałoby się rzec — poezji.

Pora znów na garść wniosków.

Czy znalazłby pisarz klucz do duszy współczesnego człowieka, gdyby nie posiadał w stopniu tak pełnym wiedzy o skomplikowanym, dialektycznym zespole warunków życiowych, uzależniających każdą zmianę w życiu ludzkim, każde ludzkie działanie? Czy umiałby bez niej ukazać, jak reagują ludzie na różne fakty i zdarzenia, jak zachowują się w różnorakich sytuacjach i jaki daje to wyraz i świadectwo ich wewnętrznej prawdzie?

I na odwrót: czy bez znajomości wzajemnego związku i rozwoju różnorodnych czynników życia byłoby możliwe rozszyfrowanie ich humanistycznej funkcji dla człowieka, byłaby możliwa tak precyzyjna selekcja materiału faktów, obserwacji i spostrzeżeń?

Odpowiedzi na te pytania ukazują, jak wielką szansę pisarską, szansę realistycznej epiki wygrał Mach w *Jaworowym domu.*

6

Bo to wszystko zmierza przecież do epiki.

Są już dwa istotne elementy: miąższ życia i historyczna prawda postaci. A czy doprowadzi nas pisarz do rozleglejszych horyzontów, czy ukaże społeczne i polityczne perspektywy wydarzeń?

Że — tak, przekonuje czytelnika sprawa Leona Takno, który z dworskiego oficjalisty przeobraził się w kapitalistycznego przedsiębiorcę na typową dla przedwojennej „inicjatywy“ skalę. Na parceli, którą nabył na licytacji swego zbankrutowanego chlebodawcy, miał Takno „cuchnące, jaskrawą rdzą powleczone bajorko, z którego wysączał się równie cuchnący i rudy potoczek. W jakiś czas potem, w wyniku pomyślnych zabiegów „cichej spółki“ z pewnym lekarzem, stanął nad bajorkiem pawilon a nieopodal willa Takny. Woda miała właściwości „lecznicze“. Pisze Mach: „Wojewódzka izba lekarska zarobiła na tym swoje, doktorzy reklamowali siarkę i żelazo w nieborzyńskiej łaźni, podagrycy zaczęli potwierdzać gorliwie skuteczność wyrzucanych na kurację pieniędzy. Lekarz-wspólnik, pielęgniarka i łaziebny zamieszkali na stałe w pensjonacie.“

Takich skrótowo ukazanych karier i awansów społecznych jest w książce więcej. Przypomina nam autor również „program“ uprzemysłowienia Rzeszowszczyzny, jaki pojawił się pod koniec międzywojennego dwudziestolecia. Program, „natchniony“ zainteresowaniem zagranicznych eksploatatorów, których nęciła zarówno kolonialna taniość siły roboczej, jak i obfitość surowców. Ten właśnie proces zniszczył „konkurencyjną“ fabryczkę Solarza, ratując jego... proletariacką duszę.

Wplótł Mach losy swoich bohaterów w ogólny proces historycznych przemian — zaangażował weń czynnie także ich świadomość. Dyskusja polityczna, jaka rozgorzała w chałupie Sikory nazajutrz po stalingradzkim zwycięstwie, zawarła najostrzejsze światopoglądowe i polityczne konflikty ludzi z Bielawy — ludzi stojących wobec historycznego przełomu.

Ale nie w dyskursywnych wywodach zarysuje się w powieści Macha zasadniczy, historyczny konflikt, antagonizm klas. Chwilą, w której widzimy go nagle w całej ostrości, chwilą, która potem przetnie splątany gąszcz stanowisk i losów na dwie połowy, jest scena między starą chłopką, Grzęską, a Konstantym Jaworem w gorące chwile przewalania się hitlerowskiego frontu przez wieś, w panicznej ucieczce przed następującą Armią Czerwoną.

„— To już tak, jakby koniec — westchnęła Grzęska wróciwszy do izby. Siadła, opuściła ręce na podołek. Przez okno zawiewało kwaśnym gorącem spalonej słomy. Spostrzegła, że nie ma w izbie chłopa, który przyszedł z bydlęciem. Wyszła go poszukać, dziwnie się naraz poczuła sama. Siedział okrakiem na padłej krowie, łupiąc skórę nożem sporządzonym z odłamka kosy.

— Pomóżcie — zawołał na nią. — Tyle mięsa....

— Aleście wy!... — zadziwiła się kobieta. — Świat się przewraca, a wy — mięso!

— Co ma gnić?

— Zostawcie, przyjdą, wezmą, może im się zda.

— Nie wolicie sami?

Rozgniewał ją:

— A dajcie mi spokój! Sił nie mam, ducha nie czuję. I soli nie mam, żeby zasolić...

Gdy odchodził, krzyknęła jeszcze za nim:

— Już wyście nie są dobry człowiek — taki chciwy!!!“

Ta jedna scena ostrzej i wyraźniej stawia naprzeciw twarzą w twarz dwie postawy życiowe, dwie klasy społeczne, niż socjologiczne wywody Jasia Adamca o „rdzy“, co obsiadła naród z wierzchu. Ten ostry konflikt klasowy jest źródłem walki ukazanej w *Jaworowym domu.*

To najistotniejsze, epickie uogólnienie ma dla powieści Macha zasadnicze znaczenie. To ono kwalifikuje jej konflikty jako konflikty socjalistycznego przełomu, to ono wieńczy żmudny, od najprostszych faktów wychodzący, „indukcyjny“ proces uogólnienia artystycznego.

I dopiero realizacja tej „indukcyjnej“, a raczej dialektycznej zasady zapewniła pisarzowi pełną i prawdziwą swobodę kształtowania ludzkich losów i prawo kojarzenia swoich bohaterów w rodziny, przyjaźnie i partie. Dopiero na tym stopniu uogólnienia artystycznego zarysował się ostatecznie klasowy podział wśród bohaterów powieściowych, których postawy zostały usankcjonowane przez najwyższe racje historii. Dopiero tu tkwią przekonywające zasady pozornie przypadkowych związków, aliansów i antagonizmów panujących w świecie powieściowych postaci.

Dopiero teraz uzyskał pisarz prawo ukształtowania powieści na miarę epiki.

Nie ma epiki bez porwania Heleny i wierności Penelopy, bez osierocenia Jarosławny i bez zbrodni Jacka Soplicy, bez małżeństwa Duniaszki, siostry Grigorija Melechowa, z Koszewojem, do którego pop w czasie ślubu wygłosił mowę, zaczynającą się od niezapomnianych słów: „Widzicie, młody radziecki towarzyszu...“ Nie ma epiki bez epickiego węzła.

Nie byłoby epiki *Jaworowego domu* bez Bolka Jawora. Jego dziesięcioletnie losy są kanwą kompozycyjną powieści, której akcja zaczyna się z momentem narodzin syna Konstantego i Aldony, kończy — jego wyrwaniem się z jaworowego piekła.

Zaczęło się ono dla Bolka od pierwszych dni budzenia się w dziecku świadomości. Kiedy Bolek był mały, jak wiele dzieci uczących się dopiero mówić, wymawiał „l“ — Jawol — zamiast „r“, „...lecz Konstanty nie miał cierpliwości. — Jawor! Rrr! Rrr! Słyszysz? — warczał synowi wprost w ucho, odsłaniając zdrowe, białe kły. — Co za chłop z ciebie? Jak ty zaklniesz bez er? Przekleństwo bez er, to tak, jak wesele bez wódki. Wiesz?“

Lecz nie tylko ojcowskiej cierpliwości brakło Konstantemu. W postaci starego Jawora zebrał pisarz to wszystko najgorsze, co mieści się w politycznym pojęciu — kułactwo. Ukazał pisarz to zjawisko społeczne na przykładzie Konstantego w „czystej“ — jeśli wolno tak powiedzieć — postaci. Innych — Mysonia, Sikorę, Niechockiego — obdarzył autor zasobnymi gospodarstwami i przyczajonym wpływem na wieś. Zbrodniczość tamtych hamowana jest obłudą, względem na opinię ludzką i zależne od niej interesy, względem na powodzenie tajemnych rachub. Konstantego obdarł autor z wszelkich pozorów życiowego powodzenia, skazał na bankructwo i ruinę cały „Jaworowy dom“. Doprowadzili Jawora do tego tamci — zasobni, stateczni — skazali go na klęskę, którą poniósł w walce o ich interesy, z ich poduszczenia.

Pisarz uczynił Konstantego postacią patologiczną — i początkowo to przeczernienie może wydawać się odstępstwem od prawdziwości obrazu świata w powieści. Ale takie są przecież prawa uogólnienia artystycznego — prawa do wyjaskrawień, do syntezy zjawisk — takie są prawa epiki!

Bolek Jawor długo zmagał się z literą r. Następnym stadium tej walki była taka oto wymowa:

Kolega koledze
zastąpił na drlodze,
wyciągnął lewolwel:
„Daj, brlacie, piniondze!“

Prędzej niż prawidłowej wymowy nauczył się Bolek od ojca łotrowskiej, bandyckiej polki. Ale edukacja nie była zamierzona — od pierwszych dni życia Bolka został bowiem ojciec jego wrogiem. To, do czego Bolek instynktownie dążył — życie, szczęście, muzyka — było wrogie staremu Jaworowi. Stanęła między nimi walka na śmierć i życie — taka, jaką toczą nowe ze starym.

Konflikt pomiędzy Bolkiem a Konstantym reprezentuje więc sobą — za-

sadniczy konflikt epoki. I dlatego przekonywająca, realistyczna jest typizacja w postaci Jawora treści pojęcia, które w języku politycznym określamy jako kułactwo, typizacja tak jaskrawo odbiegająca od dosłownej prawdy życia, bo cały realistyczny plan powieściowy przeniknięty jest tym konfliktem, bo rozległość tego antagonizmu klas w tym konflikcie jednostek jest najostrzej i do ostatecznych granic napięta. Tak więc skonkretyzowała się w ich losach wielka, historyczna, rozstrzygająca walka o przyszłość świata.

Jest taka wstrząsająca scena pod koniec powieści, kiedy mały Jawor musi wrócić do Bielawy po nieudanej ucieczce do szkoły muzycznej w Nieborzynie. Jego rówieśnik, Robert, proponuje Bolkowi, że odwiezie go kawałek na rowerze.

„I już z nogą na pedale przypomniał:

— Nie miałeś ty ze sobą nic? Niczegoś u Takny nie zostawił?

Spojrzał Bolek we wnętrze czapki, nim ją włożył na głowę.

— Miałem taką jedną rzecz... Dałbym ci ją, ale co...

Westchnął, potem rzekł na pociechę:

— Nie ma czego żałować. Nam już, Robert, zabawek nie trzeba. Nie?

I ledwie wspiął się na ramę roweru, taki był mały."

Nie ma chyba sceny w powieści, która by mocniej potwierdziła siłę epickiego, „zewnętrznego" stosunku do bohaterów, siłę dojrzałej epickim spokojem frazy. Niełatwo też byłoby znaleźć w naszej współczesnej literaturze bardziej wstrząsający obraz dziecięcej krzywdy, przedwcześnie i tragicznie „dorosłego" stosunku do życia, obraz, który byłby bliższy utrwalonej w narodowej tradycji treści tragicznego symbolu Janka Muzykanta. Ale mało też znalazłoby się w naszej literaturze zdań równie silnie wyrażających dramat największych wyrzeczeń w obliczu spraw najważniejszych.

Nie byłby *Jaworowy dom* Wilhelma Macha jedną z najambitniejszych prób epiki w naszej literaturze ostatnich lat bez przezwyciężonego tragizmu losów Bolka Jawora, chłopaka, który przez osiem lat życia w Ludowej Polsce zmagał się śmiertelnie z pętami starego życia. Na nim ukazał pisarz najostrzej i najbardziej wstrząsająco dramatyzm życia i walki, którą wygrywa się za najwyższą cenę poświęcenia i męstwa.

Ostatecznie o ambicjach i zwycięstwach walki o epikę w *Jaworowym domu* rozstrzyga przezwyciężenie tragedii Bolka. Dokonywa się ono w chwili, gdy bratobójczy zamach Konstantego porywa przeciw niemu całą wieś. Konstanty zepchnięty zostaje poza gromadę, poza gromadzkie prawa.

Ale to dopiero pierwszy krok. Nadal najokazalszym i jedynym w Bielawie domem, w którym pali się pod kuchnią na obiad, jest dom Mysonia. A ciągle jeszcze ci, którzy powodowali Jaworem, których dusze on ucieleśnił, tkwią przyczajeni we wsi. I tu przełamany tragizm losu Bolkowego wskazuje drogę przełamania starych losów wsi. Perspektywy epiki otwierają przed Bolkiem drogę ku lepszemu życiu, bo:

„...wstali dziś o samym świcie najlepsi z twoich ludzi, Bielawo, aby napiętnować zbrodniarzy, wesprzeć nędzarkę, ocalić dziecko."

Wacław Sadkowski

Jan Śpiewak

ROZPOCZYNAM DYSKUSJĘ O POEZJI JÓZEFA CZECHOWICZA

Poznałem Józefa Czechowicza w 1934 albo w 1935 roku. W tych latach byłem w Warszawie nowicjuszem. Interesowało mnie to wszystko, co wiązało się z literaturą w ogóle a w szczególności z poezją. Przyjaźniłem się z wieloma ludźmi, bywałem w różnych środowiskach literackich. Poznałem „wspólny pokój", z dużym talentem, ale złośliwie opisany przez Tadeusza Uniłowskiego. Byłem tam zaledwie parę razy. Wiele razy przychodziłem do innego „wspólnego pokoju", nie mniej barwnego i zajmującego. W dwu ciasnych i stęchłych pokoiczkach na ulicy Dobrej mieszkała pokaźna grupka poetów: Bronisław Michalski, Henryk Domiński, Władysław Podstawka, a za przepierzeniem czyściutki zawsze Stanisław Piętak. Iluż to ludzi przewinęło się przez ten „wspólny pokój". Filigranowy Artur Rzeczyca był chyba najsmutniejszym poetą z tej ostatniej — już chyba — „cyganerii warszawskiej".

Niewesołe było życie tej młodzieży literackiej. Zaplątani w sobie, szukający na oślep jakichś dróg wyjścia, niemalże wszyscy oni zginęli tragicznie. Bronisław Michalski zginął w nurtach Wisły, najprawdopodobniej śmiercią samobójczą, o czym świadczy piękny i wzruszający jego wiersz, znaleziony w ubraniu; Henryk Domiński został parę lat później rozstrzelany przez hitlerowców; Podstawka zginął w kazamatach Oświęcimia, biedny Rzeczyca zamęczony został przez hitlerowców, a Czechowicz, który im patronował, zginął od pierwszego bodajże nalotu hitlerowskich samolotów na Lublin.

W tych latach, o których mowa, Józef Czechowicz mieszkał tuż obok Dobrej, na sąsiedniej ulicy. Do „wspólnego pokoju" nigdy prawie nie zaglądał, ale nieraz dzielił się z jego mieszkańcami swoimi skromnymi zarobkami. Ze strony tej młodzieży była to przyjaźń całkowicie bezinteresowna, doprawdy podobała im się poezja Czechowicza. Poza tym większość z nich pochodziła z Lubelszczyzny i to właściwie ich wszystkich łączyło. Niejeden z nich próbował naśladować Czechowicza, ale nic z tego nie wychodziło. Dopiero gdy przełamywali się w sobie, udawało się niektórym z nich napisać wartościowy utwór. Twórczość tych poetów, rozsypana po różnych czasopismach, czeka dotychczas cierpliwie na wydanie książkowe.

Po pewnym czasie Czechowicz przeniósł się do półsutereny na Narbutta. Raz na tydzień albo raz na dwa tygodnie urządzał swoje czwartki literackie. Przychodzili i przyjeżdżali z różnych stron poeci, aby porozmawiać, podzielić się myślami, pomarzyć o pięknej i nowej, jak to mawiano, poezji. Mieszkanko

Czechowicza było bardzo skromniutkie, ale schludne. Gospodarz częstował herbatą i smakołykami, za którymi przepadał. Mało kto wie o tym, że Czechowicz przez pewień czas pisał, bardzo zresztą ładne, reklamowe wiersze dla różnych fabryk czekolady. Nie za pieniądze, za czekoladę. O tych czekoladowych apetytach Czechowicza krążyły legendy.

Nigdy nie prowadziłem pamiętnika, nie miałem ani jednej zanotowanej rozmowy. Gdybym zresztą prowadził pamiętnik, spaliłby się on razem z moim domem. Może ktoś inny lepiej ode mnie potrafi w swoich wspomnieniach zrekonstruować te dyskusje, szczerze i wnikliwie odzwierciedlające i to środowisko literackie. Może wówczas nie będą już powstawać wyssane z palca artykuły o tym okresie literackim ani oceny nie przystające do nikogo. Myślę, że wspomnienia takie mogliby napisać: Stanisław Piętak, Jerzy Putrament, Zbigniew Bieńkowski, Jerzy Zagórski, Józef Maśliński, Czesław Janczarski i wielu innych. Świetny poeta, Józef Czechowicz, nie bawił się nigdy w myśliciela. Artykułów krytycznych w zasadzie nie pisał. Rozbiór *Lilii,* wydany w odbitce, ma charakter pracy seminaryjnej. Jego teoretycznych wypowiedzi zostało bardzo mało. A i te wcale nie mają ambicji teoretycznych. Są one ułamkowym wyrazem jego doświadczeń w pewnych okresach. Skromne w swoich zamierzeniach, nie mają charakteru uogólniającego ani postulującego. Trzeba pamiętać, że Czechowicz nie należał nigdy do monolitów światopoglądowych, ani też nie miał nigdy jasno skrystalizowanych poglądów na cele i drogi rozwojowe poezji. We wstępie do *Wyboru* jego wierszy, który pisaliśmy razem z Sewerynem Pollakiem, staraliśmy się to ukazać. Zwracaliśmy również uwagę na sprzeczności w jego poglądach i na zmiany ideowo-artystyczne, zachodzące w jego twórczości. To przypomnienie jest ważne, ponieważ ustalił się dotychczas i utrzymuje się fałszywy obraz Czechowicza.

Już po wydrukowaniu przez nas *Wstępu* spotkałem się ze strony niektórych poetów i krytyków z zarzutami. Zdziwiło mnie to, że nawet poeci, którzy, zdawałoby się, powinni byli wnikliwiej przyjmować twórczość Józefa Czechowicza, przyjmowali ją w sposób powierzchowny.

Na czym polegały zarzuty? Z jednej strony ci, którzy dotychczas uparcie nie uznawali poezji Czechowicza i całkowicie ją ignorowali, kwitując ją nic nie znaczącą etykietką, uważali, że za mało jeszcze została podkreślona strona formalna jego poetyki, inni zaś, nie wiadomo dlaczego idąc śladami mglistych koncepcji, starali się ograniczyć twórczość Czechowicza niemalże wyłącznie do elementu muzycznego, twierdząc, że Czechowicz pisał na fali muzycznej i muzyce podporządkowywał myślową treść swoich utworów. Powoływali się przy tym na nie znane mi bliżej wypowiedzi Czechowicza, zawarte w jakimś jego prywatnym liście. Nic bardziej fałszywego nie można sobie wyobrazić.

Ustalmy kilka sformułowań, aby ewentualna dyskusja na ten temat mogła się na czymś oprzeć. W jaki sposób możemy poznawać twórczość poety, aby ją możliwie precyzyjnie, w miarę swoich umiejętności krytycznych zdefiniować i opisać? Po pierwsze analizując jego utwory. One są najbardziej miarodajne. Po drugie pomocą służyć mogą wypowiedzi teoretyczne oraz listy prywatne, w których pisarz wypowiada się na temat sztuki w ogóle a swojej własnej w szczególności. Przy czym, jak sądzę, żadne wypowiedzi teoretyczne pisarza nie mogą być decydujące w stosunku do jego twórczości. Często zachodzi dysproporcja pomiędzy teoretyzowaniem pisarza a jego praktyką twórczą.

Rzeczą więc sumiennego krytyka będzie wykrywać te dysproporcje, jeśli zachodzą, i ściśle je interpretować. Nie lekceważmy wypowiedzi pisarzy, są one często bardzo ważne, ale nie lekceważmy przede wszystkim twórczości. Jeśli idzie o poezję, to musimy wreszcie nauczyć się umiejętności analizowania wiersza. Myślę, że aby nauczyć się tej umiejętności, trzeba badać konkretnie. Widzieć konkretny wiersz, konkretny okres w twórczości poety, konkretny okres w rozwoju poezji w danym kraju. To, co piszę, jest banałem, ale bywają okresy w „dziejach krytyki", kiedy przypomnienie banału staje się odkryciem. Poezja — jak każda sztuka — jest wynikiem procesu myślenia. Przeto analiza krytyczna powinna wszechstronnie badać ten proces myślenia.

Spuścizna Czechowicza ogranicza się do 7 wydanych tomików oraz tych nielicznych utworów, któreśmy dotychczas zebrali z czasopism oraz od jego przyjaciół: Wacława Gralewskiego, Konrada Bielskiego, Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, adwokata Miernowskiego i ob. Śliwińskiej. O ile mi wiadomo, w rękach prywatnych istnieją jeszcze nie ujawnione dotychczas materiały Czechowiczowskie, dobrze by było, gdyby posiadacze ich zechcieli je udostępnić. Pozostało dość dużo prywatnych listów Czechowicza, które skrzętnie zbieram. Po należytym uporządkowaniu ich przybędzie sporo materiału. Z ułamków korespondencji, pisanych w różnych latach, trudno na razie wysnuć uogólniające wnioski. Warto jednakże w skrócie przytoczyć dwie wypowiedzi Czechowicza, drukowane przed wojną. Jedna pochodzi z r. 1936, a więc z roku, w którym ukazał się tom *nic więcej,* druga jest rozmowa, jaką prowadziłem z Czechowiczem w r. 1939, bezpośrednio przed wydaniem jego ostatniej książki *nuta człowiecza.*

W tym czasie, zbierając materiał do książki krytycznej o tzw. nowatorskich kierunkach w poezji, prowadziłem rozmowy z wybitnymi przedstawicielami owych kierunków. Z braku teoretycznych prac te autoryzowane wypowiedzi miały posłużyć jako materiał faktyczny. Rozmawiałem wtedy z Julianem Przybosiem, Lechem Piwowarem, Tytusem Czyżewskim, Adamem Ważykiem i z Józefem Czechowiczem.

Krótki felieton Czechowicza *Mój wiersz* jest odpowiedzią na ankietę *„Okolicy Poetów"*. Felieton napisany jest w nieco manierycznym stylu, odbiegającym daleko od lapidarności wiersza Czechowicza. Oto jest skrót wypowiedzi Czechowicza, w którym starałem się nic nie uronić z jego rozumowania:

„Proces powstawania wiersza ma swoje ustalone etapy, choć w rzeczywistości nie przebiegają one schematycznie i zawsze mają tendencje do odchyleń. Odchylenia owe zależne są od warunków towarzyszących procesowi, warunków otoczenia, środowiska oraz osobistych, psychofizycznych.

Pierwsze źródło pierwszego drgnienia, z którego w przyszłości rozwinie się wiersz, kryje się w myśli. Leżąca na sercu sprawa, albo też i obojętna lecz piękna, zaczyna formować się w kształcie myślowym najpierw jako drobinka krystaliczna gwieździe śniegowej podobna.

Potem przez czas jakiś wędruję po świecie wśród spraw powszednich z ową gwiazdeczką w zanadrzu, obracam nią w prawo i lewo, usiłuję ją sformułować bardziej ściśle, trochę przeobrazić, trochę dodać barw, trochę cieni odjąć, aby mogła być zaczątkiem tego, co jest czyste w intencjach, bezinteresowne i niepotrzebne — zaczątkiem sztuki.

Kiedy świadoma myśl jest gotowa w ostatecznym swym kształcie, zaczyna się drugi etap twórczy: obmyślanie, jak nadać cechy artystowskie temu, co się uświadomiło, co żąda ujawnienia się w ciele wiersza.

Ten etap w doświadczeniu moim najdłuższy. Bowiem sprawa koncepcji poetyckiej jest czymś pozbawionym (przynajmniej dla mnie) kanonu. I dlatego zdarza mi się w pogoni za wyczuciem ostatecznie dającym radość dobrego dokonania poprawiać wiersze nawet już drukowane, już ogłoszone i to niekiedy poprawiać nie w drobiazgach, ale w rzeczach istotnych...

...Czasem już w tym stanie rzeczy zaczynam pisać. Nie dla przyśpieszenia narodzin wiersza — dla jaśniejszego uchwycenia możliwości koncepcji. Te próby sformułowań przeważnie wyniku nie dają.

W okresie, o którym mowa, znaczenie wyzwalające miewają czasem wydarzenia z zewnątrz: rozmowa z kimś, nagłe, uderzające piękno pejzażu na przechadzce, książka, a najczęściej muzyka. I to nie specjalnie dobra muzyka koncertowa. Nie. Po prostu głos fortepianu nocą pogodną w cichej uliczce starego miasta albo pod ostrym słońcem orkiestra wojskowa, albo muzyka zza ośnieżonego okna knajpy «Ojca Grudnia»...

Bo ten trzeci etap różni się od drugiego większą intensywnością emocjonalną i jakimś muzycznym przymgleniem świadomości. Jasne stany intelektualne, potrzebne przy zamyśle i kształtowaniu, ustępują miejsca magmie lirycznej, z której drogą nieokreślonych eliminacji wypływa już sam wiersz w rytmach i metrach takich a nie innych. Czując owo muzyczne «rozbujanie się» własnego wnętrza — piszę. Zrąb wiersza, w szczególności wiersza dobrego, może powstać tylko w takim momencie. Tu mała dygresja. Piszę sporo, drukuję mniej więcej połowę tego, co piszę. A w tym, co drukowałem dotąd, nie ma ani jednego wiersza napisanego w swym ogólnym kształcie poza stanem owego muzycznego falowania. Natomiast sporo wierszy, które zniszczyłem i które nigdy światła dziennego nie ujrzą, było ich sporo. Kiedy przełamany jest największy opór i słowa oblokły myśl, następuje najspokojniejsza część pracy. Zimne, rozważne poprawianie tekstu, skracanie go, szlifowanie metafor i innych tropów stylistycznych. Jest to robota zazwyczaj oddzielona od momentu napisania wiersza przynajmniej dwoma tygodniami czasu. Wcześniej nie jestem pewny obiektywnego, chłodnego spojrzenia na to, co już napisałem, i nie czuję, co należy oszlifować, a co skreślić. Skracanie w procesie tworzenia wiersza gra ogromną rolę. W chwili wybuchu lirycznego człowiek nie ma kontroli intelektu nad sobą w tym stopniu, żeby mógł powstrzymać się od wielosłowia. A przecież sztuka pisarska za punkt honoru winna mieć nie ilość pięknych wyrażeń, ale ich celność i rozmieszczenie. *The right, beautiful word on the right, only one place...*

Poprawki mają charakter różnolity. Na ogół jednak nie naruszają całości utworu, ograniczają się do zmiany słów, przestawienia (niekiedy) kolejności wizji oraz, najczęściej, do omówionych już skreśleń. Poprawek tych nie można dokonać za jednym zamachem. Przeważnie są to trzy lub cztery powroty do pracy nad danym wierszem.

Rzecz interesująca, jeśli między etapem koncepcyjnym a etapem falowania muzycznego była zbyt długa przerwa (np. kilka miesięcy), wiersz powstawał słaby, nie wychodził.

Podobnie działo się, gdy w momencie «falowania» nie mogłem napisać wier-

sza z przyczyn czysto technicznych i usiłowałem pisać później, odtwarzając w sobie ów stan.

Przeczytawszy tę swoją wypowiedź spostrzegłem, że daje ona nieco fałszywy aspekt rzeczy. Po pierwsze: narzuca przekonanie, jakoby muzyka była tworzywem moich wierszy, ich żywiołem, podczas gdy w rzeczywistości jest tylko akompaniamentem. Wizja i to, co muzyczne, stanowią zrąb mojej poezji, wsparty zresztą na tym, co jest niemuzyczne i niewidzialne. Po drugie: każdy ma prawo zapytać, skąd się bierze owa pierwsza «myślowa gwiazdeczka», urastająca do rozmiarów dzieła sztuki. Otóż ta «gwiazdeczka» bierze się z tego, czym żyję i jak żyję. Z mego człowieczeństwa, niezależnego od spraw wierszy. I kropka. Czym żyję i jak żyję. To już nie obchodzi chyba czytelnika-konsumenta. Byle dostał piękny wiersz, byle z nim przeżył chwile niezwykłe."

Próbując psychologizować, bo takie w gruncie rzeczy było pytanie, Czechowicz wyraźnie podkreśla myślowe pobudki procesu twórczego oraz kontrolę umysłu w czasie późniejszej korekty autorskiej. Czechowicz zdecydowanie stwierdza, że muzyka dla niego jest tylko elementem towarzyszącym, nigdy zaś celem w sobie.

Warto w tym miejscu przypomnieć wypowiedź Majakowskiego z jego artykułu *Jak robić wiersze* na temat dotyczący tego, co Czechowicz nazywa „falowaniem muzycznym", a co Majakowski nazywał „szumem" *(gul):* „Skąd się bierze ten podstawowy szum-rytm, nie wiadomo — pisze Majakowski. — Dla mnie jest to odbicie wszelkich dźwięków, jakie mam w sobie, hałasu, kołysania lub nawet po prostu odbicie każdego zjawiska, które odróżniam dźwiękowo..." „Rytm — to podstawowa siła, podstawowa energia wiersza. Trudno go wyjaśnić, można o nim mówić tylko w ten sposób, jak mówi się o magnetyzmie i elektryczności..."

W wypadku Czechowicza nie wiadomo dlaczego muzykalność poety potraktowana została przez niektórych krytyków jako cecha jeśli nie całkowicie ujemna, to w każdym razie jako owo „coś", co zaciemnia myślowy element wiersza. W tym wypadku również rozstrzygają jego rękopisy, jego bruliony.

Czechowicz z wielkim uporem dopracowywał się kształtu swego wiersza. Do wiersza wielokrotnie wracał, przerabiał. Zastanawiał się nad każdym obrazem, nad zwrotką, nad ogólną konstrukcją utworu. O tym zapominać nie wolno. A tym bardziej negowanie tego byłoby całkowicie bezpodstawne.

Do umiejętności krytyka należy wykazanie, do czego dążył poeta, jakie treści chciał wyrazić, jakiej formy się dopracowywał, jak sobie radził. Na czym polegały jego wewnętrzne, pisarskie konflikty. Tak, o tym rzeczywiście warto podyskutować. I pod tym względem wydaje mi się, że *Wstęp* uprościł szereg spraw tak światopoglądowych, jak i spraw dotyczących nowatorstwa w poezji Czechowicza. W słusznej intencji ukazania, jak Czechowicz sięgał do tradycji rodzimej i obcej literatury oraz do źródeł ludowych, został zamazany poeta-nowator. A przecież trzeba było jeszcze wyraźniej podkreślić, na czym polega oryginalność stylu Czechowicza, co odcina go od innych poetów dwudziestolecia. Wiersze Czechowicza, jak każdego twórczego poety, są tak bardzo indywidualne, że nawet nie podpisane dają się łatwo rozpoznać. Przeglądając ostatnio przedwojenną prasę literacką natknąłem się na wiersze jego epigonów. Te dobrze zrobione utwory sprawiają wrażenie grymasów. Zresztą mał-

powanie cudzej wyobraźni należy chyba do najbardziej upokarzających czynności i nikomu tego nie radzę czynić.

Czytając te wiersze wydane w całości widzę sylwetkę Czechowicza o wiele bogatszą, o wiele bardziej różnorodną, o wiele bardziej zaostrzoną. A we wstępie naszym, niestety, Czechowicz sprawia wrażenie poety trochę, żeby się tak wyrazić, tradycjonalistycznie ogłaskanego. Jest takim, jak gdyby się naczytał artykułów o roli i znaczeniu tradycji literackiej w poezji.

Czechowicz był poetą niepokoju i lęku wobec śmierci. Te motywy powtarzają się uparcie w jego twórczości od samego zarania aż do końca, dochodząc w wierszu *Żal* do kulminacyjnego punktu przeczucia własnej śmierci. To też zostało zbyt mało wydobyte we wstępie. Za mało również i zbyt wąsko ukazaliśmy jego perypetie światopoglądowe.

Z wypowiedzi Czechowicza widać wyraźnie, że pisał on bardzo dużo a drukował bardzo mało. Był bardzo wymagający w stosunku do siebie. Notatek poetyckich i zapisów brulionowych nigdy nie podawał za gotowe wiersze. A, niestety, niektórzy współcześni poeci tak robią. I to między innymi czyni go poetą bardzo sumiennym i rzetelnym. Tych zaś, którzy widzą w Czechowiczu wyłącznie muzyka lub malarza (i tacy są także), odsyłam do zakończenia jego wypowiedzi, kiedy mówi o człowieczeństwie swoich wierszy. A o tym autor *nuty człowieczej* ma całkowite prawo pisać.

We wspomnianej rozmowie mojej z Czechowiczem zadałem mu między innymi takie pytanie: „Zastanawiając się nad tzw. awangardą, natknąłem się na zagadnienie, zdawałoby się, drugorzędne, które jednakże w rozmowach z różnymi przedstawicielami tego kierunku okazało się bardzo istotnym — to śpiewność współczesnej poezji. Może mi pan to wyjaśni. — Przecież nawet ci, którzy ową śpiewność atakowali, wskazywali zawsze, że pan jest jedynym poetą, który mógłby jej bronić. — Śpiewność, jak sądzę, jest bardzo ważną cechą poezji naszej. Zbliża ona współczesne wiersze do tradycji ludowej, a przecież i pieśń ludowa z kolei wiąże się z dawnym wiekiem naszej literatury, tworzy to w sumie zamknięte koło, układ doskonały w sposób właściwy, nie mechaniczny. Muzyka współczesna słusznie opiera się na wiecznie żywej muzyce ludu. Czemuż poezja pod presją «inteligenckich» doktryn ma się od podobnego źródła odsuwać? Sztuka ludu to ta ziemia, z której Anteusz czerpie moc: ilekroć jej dotknie. Śpiewność wzbogaca poezję lub ją uboży (jeśli wziąć się do rzeczy „głuchymi" rękoma). Może będzie zdradą artysty lub szczęściem jego. Ta prawda da się zastosować i w innych wypadkach. Ale tak już jest w sprawach sztuki, że instrument bywa mniej ważnym elementem niż grajek. Mimo to można oddawać pierwszeństwo skrzypcom wobec bębna. Nieprawdaż? Cenię śpiewność i muzyczność wiersza.

— Naturalnie nie każdy wiersz jest obowiązany do posiadania tej cechy.

— Istotnie, każdy wiersz wymaga odrębnego zestroju środków ekspresji oraz wszystkich elementów dzieła literackiego, każdy powinien być jedyny i niepowtarzalny. A jeśli się powtarza, to świadczy to o jego człowieczeństwie i upadkach."

Inne fragmenty tego autoryzowanego wywiadu, których nie przytaczam, gdyż nie dotyczą bezpośrednio poruszanego tematu, zdradzają tendencje światopoglądowe, które mogły go cofnąć do młodopolszczyźnianej, pseudosymbolicznej koncepcji poezji. Równocześnie jednak wyczuwa się w nich wyraźną

chęć przełamania tego kręgu myślenia. Był to widocznie moment zwrotny w jego świadomości, dlatego tak sprzeczne były niektóre jego wypowiedzi, a tak klarowne, piękne i coraz piękniejsze stawały się wiersze zawarte w jego ostatniej książce.

Czechowicz doskonale pojmował, że tzw. awangarda rozsypała się, nie on jeden mówił mi o tym, to samo mówili i Ważyk, i Przyboś, i inni. Poeci dojrzewali gwałtownie i szukali dróg wyjścia. Każdy szedł swoją drogą. Jaką drogę wybrałby później Czechowicz? Nie bawmy się w abstrakcjonistów. Wielu z tych, z którymi wtedy rozmawiałem, zginęło. W czasie okupacji Przyboś i Ważyk napisali najpiękniejsze swoje wiersze.

Do twórczości Czechowicza powrócę jeszcze nieraz. Jeszcze mało o nim wiem, a chciałbym poznać znacznie lepiej jego wiersze, choć większość umiem na pamięć. Może dopiero wtedy będę mógł pisać bardziej precyzyjnie o tej uroczej poezji.

Jan Śpiewak

Juliusz W. Gomulicki

LENARTOWICZ NA NOWO ODCZYTANY

Pożyczam tytułu od Zawodzińskiego, ale jakże go nie pożyczyć, skoro tak doskonale przystaje do omawianego zagadnienia, które jest zresztą tylko skromnym wycinkiem stokroć obszerniejszego i ważniejszego tematu historyczno-literackiego, a mianowicie konieczności ponownego, głębszego i dokładniejszego odczytania całej naszej poezji romantycznej.

Na takie właśnie nowe odczytanie długo czekała, a nawet — jak wkrótce przekonamy się — jeszcze właściwie czeka poezja Teofila Lenartowicza (1822—1893), owego serdecznego „lirnika mazowieckiego", którego wielostrunną, oryginalną twórczość ujmowano przez długi czas w sposób wyjątkowo wąski i ograniczony, przykrawając ją i przystrzygając do konwencjonalnych kształtów modelu literackiego.

Ostatecznie więc poznawaliśmy ją albo poprzez sfałszowane ideowo i artystycznie wybory jego najpopularniejszych wierszy (przeważnie „sielskich" i religijnych [1]), albo też poprzez mętne charakterystyki podręcznikowe, w których stale podkreślano trochę malowankową ludowość poezji Lenartowicza, a równocześnie krytykowano pokazywany przez poetę świat — „śpiewający, podskakujący, zamknięty w sobie, nie otwierający żadnych perspektyw".[2] Tego rodzaju prezentacja owej interesującej poezji zniechęciła do niej bardziej wymagających czytelników i w dużej mierze wpłynęła na zlekceważenie Lenartowicza przez najnowszą krytykę literacką, która zaczęła traktować poetę nieco protekcjonalnie, niby jakiegoś wiejskiego artystę-samouka, umiejącego wygrać na swojej „fujarce" tylko kilka wdzięcznych i rodzimych, ale ciągle powtarzających się tonów.

Dzisiaj już chyba czas, aby tę krzywdę Lenartowicza (bo poecie ciągle jeszcze dzieje się krzywda) dostrzec nareszcie i naprawić, a jego poezji zapewnić zaszczytne miejsce w dziejach naszej literatury narodowej. Czas również, aby skontrolować na koniec i uzgodnić te liczne a rozbieżne sądy o poecie i o jego twórczości, jakie pojawiły się ostatnio na łamach naszej prasy literackiej, jeszcze bardziej przyczyniając się do zaciemnienia całego problemu i do zdezoriento-

---

[1] W dwudziestoleciu prezentował ją taki właśnie wybór, opracowany przez Michała Janika i trzykrotnie wydany w ramach „Biblioteki Narodowej" (wyd. 3 — 1937).

[2] Słowa M. Kridla. Zob. jego artykuł: *Poezja w latach 1795—1863*, w pracy zbiorowej: *Dzieje literatury pięknej w Polsce*, cz. II, Kraków 1936, s. 130.

wania czytelników Lenartowicza. Wyjaśnijmy od razu, że owa rozbieżność sądów krytyki została spowodowana co najmniej trzema ważnymi przyczynami:

1 niedostateczną znajomością spuścizny poetyckiej Lenartowicza, która jest rozproszona nie tylko po wydawnictwach książkowych, ale również po czasopismach i rękopisach;

2 położeniem o wiele mocniejszego akcentu na brakach i ograniczeniach jego poezji aniżeli na jej wartościach pozytywnych;

3 mało precyzyjną, a czasem nawet mętną, charakterystyką jej najważniejszych zalet.

1

Ten najnowszy spór o Lenartowicza rozpoczął się w r. 1953 i został wywołany ogłoszonym w *„Twórczości"* szkicem literackim o tym poecie [3], napisanym przez Pawła Hertza jako wstęp do przygotowywanego przezeń wyboru poezyj Lenartowicza [4]. Szkic Hertza, napisany przez poetę i miłośnika poezji, a nie przez zawodowego badacza literatury — co określiło z kolei jego mało precyzyjną terminologię i spowodowało, niestety, sporo dokuczliwych błędów rzeczowych — sprowokował wkrótce do wystąpienia Zofię Stefanowską [5]. W kwietniu 1954 r. odezwał się w tych samych sprawach Jan Nowakowski [6], a w listopadzie tegoż roku — już po ogłoszeniu drukiem wspomnianego wyboru — wmieszała się do dyskusji Alina Witkowska [7], atakując Nowakowskiego i kwestionując pewne wypowiedzi Hertza. Głos piszącego te słowa będzie więc już z kolei głosem piątym, ale chyba na pewno nie ostatnim, tyle tu się bowiem nazbierało różnych ubocznych problemów i wątpliwości, że niesposób ustosunkować się do nich w jednym tylko, chociażby nawet obszernym, artykule poświęconym tym sprawom.

Głównym przedmiotem sporu były cztery podstawowe zagadnienia związane, zdaniem dyskutantów, z poezją Lenartowicza, a mianowicie zagadnienie rewolucyjności i ludowości owej poezji oraz zagadnienie jej religijności i realizmu.

Sprawę rewolucyjności Lenartowicza wysunęła w polemice z Hertzem Zofia Stefanowska, twierdząc, iż czytelnik „jest zaskoczony stanowczym twierdzeniem autora, że Lenartowicz nie był poetą rewolucyjnym. Czytelnik taki wie bowiem, że polski ruch narodowo-wyzwoleńczy w w. XIX był ruchem rewolucyjnym (...) Autor jakby zapomniał, że odmawiając Lenartowiczowi miana rewolucjonisty, stwierdził zarazem: obiektywnie to ugodowiec. A przecież Lenartowicz, mimo niekonsekwencji i ograniczeń epigońskich w twórczości lat czterdziestych, dojrzewa do pozycji burżuazyjno-demokratycznych, a więc rewolucyjnych w okresie Wiosny Ludów". Pomijając już ową zadziwiającą i oczywiście fałszywą alternatywę: rewolucjonista — ugodowiec, wydaje mi się, że ów spór o rewolucyjność Lenartowicza to spór wyłącznie terminologiczny. Co do mnie, przyłączam się bezwzględnie do zdania Hertza,

[3] *Teofil Lenartowicz, „Twórczość"* 1953, nr 5.

[4] Teofil Lenartowicz, *Poezje wybrane.* Wybrał, wstępem i przypisami opatrzył Paweł Hertz, Warszawa 1954, „Czytelnik", str. 486.

[5] *W obronie Lenartowicza, „Nowa Kultura"* 1953, nr 33.

[6] *O poezji Lenartowicza, „Życie Literackie"* 1954, nr 15.

[7] *Spór o Lenartowicza, „Życie Literackie"* 1954, nr 47.

że Lenartowicza nie można nazywać poetą rewolucyjnym (bez podpórki: „w tych a tych wierszach", „w tych a tych hasłach" itp.), ponieważ poeta „rewolucyjny" to znacznie więcej — moim zdaniem — niż poeta po prostu sprzyjający jakiejś rewolucji (nb. narodowo-wyzwoleńczej, nie społecznej), głoszący pewne tylko hasła rewolucyjne czy też piszący m. i. wiersze o wymowie rewolucyjnej. „Poeta rewolucyjny" *tout court* to poeta, w którego ideologii i twórczości problem rewolucji zajmuje miejsce naczelne; to poeta walczący o rewolucję! Otóż Lenartowicz nigdy nie był takim właśnie poetą, chociaż sympatyzował z samym ruchem Wiosny Ludów, działał na jego peryferiach i nawet zagrzewał w niektórych swoich wierszach do akcji rewolucyjnej, a lepiej mówiąc: powstańczej. Ot, chociażby w takiej kryptorewolucyjnej piosence, jak *Przepiórka:*

Przepióreczka woła: „Pójdźcie żąć,
Bieda wybujała — trza ją ciąć!"

Zgodnie z powyższym wywodem podpiszę się oczywiście, nawet obiema rękami, pod tezą Stefanowskiej, głoszącej, iż „główna siła rewolucyjna jego [Lenartowicza] poezji leży w żarliwym przekonaniu, że patriotyzm mas ludowych jest podstawą walki o wolność", ale podpiszę jedynie pod tym warunkiem, jeżeli słowo „poezji" zostanie w jakiś sposób uściślone (np. „poezji w dobie Wiosny Ludów") albo też zastąpione jakimś innym, odpowiedniejszym (np. „wiersza x", „poematu y", „utworów z" itp.).

Stokroć więcej kłopotów przysparza problem ludowości poezji Lenartowicza, która nie może być sztucznie zacieśniona ani do „sielskiej" tematyki, jakby to można było wywnioskować z niektórych rozważań Hertza, ani też do pewnej swoistej jakości tworzenia poetyckiego noszącego cechy autentycznej twórczości chłopskiej, jakby to można było odczytać z artykułu Nowakowskiego. „Poezja Lenartowicza jest narodowa, a nie tylko chłopska — słusznie pisze o tych sprawach Witkowska — i nie ma co stosować do niej kryteriów oceny wedle piosenek spod Tyńca czy Krakowa". Istotna ludowość poezji Lenartowicza — dodam ponadto — polega oczywiście nie na takim czy innym stosunku tej poezji do folkloru, ale, po pierwsze, na ważnej i wyeksponowanej roli, jaką poeta przyznał w niej całemu ludowi polskiemu (a to zarówno chłopstwu, jak i proletariatowi miejskiemu), co określiło z kolei jej zasadniczą problematykę, po wtóre zaś — na jej zdecydowanym w ogromnej większości wypadków adresie plebejskim, co w dużej mierze wpłynęło na jej formę językową i artystyczną. Ludowość określona kategoriami myślenia społecznego, klasowego, zostaje w ten sposób wysunięta przed ludowość określoną kategoriami myślenia literackiego, artystycznego, co wcale zresztą nie umniejsza znaczenia tej drugiej, stanowiącej do ostatnich czasów prawie wyłączny przedmiot zainteresowania dla badaczy poezji Lenartowicza.

Jeśli chodzi z kolei o problem religijności Lenartowicza oraz o rolę, jaką odgrywa ona w jego utworach poetyckich, to trudno zgodzić się tutaj z tezą Hertza, jakoby nasycenie poezji Lenartowicza motywami religijnymi było spowodowane przede wszystkim jego pragnieniem łatwiejszego dotarcia do czytelników ludowych. Powiem jeszcze więcej: gdyby nawet sam Lenartowicz w ten właśnie sposób tłumaczył ów religijny sztafaż swoich utworów, to i tak

głównym motorem tego rodzaju postępowania byłaby w istocie jego własna głęboka religijność, a owa późniejsza „teoria“ tylko zwykłym złudzeniem poety. Słusznie też pisze w tej sprawie Stefanowska, że „o wyborze tematyki religijnej decydowały przede wszystkim założenia światopoglądowe autora“.

Na marginesie tej sprawy chciałbym zanotować jeszcze jedną, ważną chyba, uwagę: wczesne utwory Lenartowicza, pisane jeszcze w kraju (1840—1851), są na ogół wolne od owego, typowego później, przeładowania motywami religijnymi, które zaczynają częściej pojawiać się dopiero od chwili zamieszkania Lenartowicza w Paryżu a później w Rzymie, a więc od chwili jego zbliżenia się do księdza Hipolita Terleckiego, początkowo członka zgromadzenia Zmartwychwstańców, a później założyciela i przełożonego zgromadzenia paryskich Woskreseńców. On to stale namawiał Lenartowicza do złożenia ślubów zakonnych, on zabrał go z sobą do Rzymu, na audiencję u papieża, i on wreszcie musiał się głównie przyczynić do rozbudzenia w „biednym Mazurzynie“ uśpionego przedtem uczucia religijnego, które zaczęło odbijać się teraz stale w jego twórczości, a nawet przybierać od czasu do czasu wyraźne znamiona religianctwa. „Widzę — pisał poeta w r. 1854 do Ewarysta Estkowskiego — że dla mnie jedynym wynagrodzeniem może być miłość prawdy wiekuistej i w niej się zatapiam, a kiedy ku temu znalazłem przewodnika w Ojcu Hipolicie Terleckim (...) zdecydowałem się, obejrzawszy się po pustym świecie, zacząć kurs teologii i zaczynam go od dnia jutrzejszego“. Najlepszym chyba zamknięciem tego marginesu będą słowa samego Lenartowicza, wypowiedziane przez niego po dwudziestu latach o tym samym Ojcu Terleckim: „czerniec moskiewski, odstępca od wiary i nieprzyjaciel Polaków“.

Najmniej stosunkowo spierano się o r e a l i z m Lenartowicza, co było wyraźnym brakiem omawianej dyskusji, boć to przecież kapitalny problem ideowo-artystyczny, który trzeba bezwarunkowo oświetlić. Nie można oczywiście przyjąć za kryterium owego realizmu „równoważności poezji Lenartowicza w stosunku do poezji chłopskiej“, jak zaproponował Nowakowski (sprzeciwiła się temu Witkowska), ale nie można również zgodzić się bez licznych zastrzeżeń z tezą Stefanowskiej, twierdzącej, że w poezji Lenartowicza „brak wszelkiej głębszej krytyki rzeczywistości“.

Taką krytykę możemy na pewno odnaleźć w licznych utworach poety — krytykę może zbyt mało rozwiniętą i niedostatecznie dojrzałą, tym niemniej jednak krytykę wymowną i namiętną, opartą bez wątpienia na wielu doświadczeniach i obserwacjach Lenartowicza, który podczas swojej tułaczki po świecie niejednokrotnie zetknął się z dobitnymi przykładami oburzającej niesprawiedliwości społecznej. Pomijając tu tymczasem przykłady odnoszące się do krytyki stosunków polskich, warto zwrócić uwagę na parę bardziej interesujących wypowiedzi poety, który scharakteryzował w nich stosunki zachodnioeuropejskie, konkretnie zaś francuskie. Ot, chociażby na taką realistyczną wizję poetycką przeżytą przez niego w r. 1855 w pięknym Ogrodzie Tuileryjskim w Paryżu, przed posągiem Spartaka:

Posąg ten, z wyniesioną ku pałacu dłonią,
Całą mi rozpacz ludu wskazał w strasznym geście:
Szczękają pyszne wozy i jak szczęki dzwonią

Głodu, co się rozciąga gdzieś w podziemnym mieście
I zapowiada burzę zepsutemu światu
W bezlitości bogaczów, w łzach proletariatu.
(Paryż 1855)

A oto lapidarna, pełna zgryźliwej ironii, charakterystyka krwawego zwycięstwa Wersalczyków nad niedobitkami Komuny Paryskiej:

Wenseńscy strzelcy sprawili się dzielnie,
Gdybyż do wrogów strzelali tak celnie!
Pieniądze mają, Prusom się opłacą,
I mają wolność, lecz wolność ladaco.
(Dwaj Towiańszczycy)

Dopełnieniem tej ostrej charakterystyki będą z kolei następujące słowa nakreślone w r. 1890 i odnoszące się do zadowolonej z siebie burżuazji francuskiej, owej pogardzanej przez poetę „płochej hurmy",

(...) co gwarna i skrzętna,
Słodząc gorycze niezaszczytnej walki,
Wystawia wieże i wystraja lalki,
Okrutnej klęski i krwi niepamiętna;
A gdy w powietrzu jęczy głos: Niestety!
W wielkiej kostnicy tańczy menuety.
(Wieża Eiffla)

O czym świadczą te wszystkie przykłady? Świadczą z całą pewnością o istnieniu w dorobku Lenartowicza wielu utworów odznaczających się swego rodzaju realizmem krytycznym, co oczywiście musi wpłynąć w jakiś szczególny sposób na ogólną ocenę jego twórczości, traktowanej dotychczas jakby to była jedynie długa seria bajecznie kolorowych, naiwnie wystylizowanych malowanek.

A ileż takich realistycznych wierszy tuła się jeszcze po szpaltach dawnych czasopism? Ileż ich mieści się jeszcze w starych, zapomnianych rękopisach? Żeby nie być gołosłownym, przytoczę tutaj chociaż jeden tylko przykład tego rodzaju nieznanego czytelnikom utworu, a mianowicie fragment wierszowanej komedii satyrycznej z r. 1859 pt. *Wyżej i niżej* (biorę ten fragment z autografu poety, ponieważ nie wiem, czy był on kiedykolwiek publikowany).

Mówi diabeł:

Prosto z Londynu
Ja jestem diabeł nielada,
Nie z waszego diabłów gminu,
Co na ludu głupstwa spada,
Jak na ścierw muchy w gorąco;
Jam jest figurą znaczącą.
Całemu światu my znani,
Dobrze akredytowani:

Asmodeusz et Compagnie.
Lecą dusze na nasz kwit,
Słodkie grosiwa ofiary,
Na znak *Place de la Bourse, Paris,*
Albo krótko: *London-Street.*

Piórem europejskiej prasy,
Opłacanej z naszej kasy
Bóstwo Bursy — *Mylord Bies,*
Monsieur, Herr czy *Eccelenza,*
Serca pali, łby nakręca
Dwoma słowy: *hausse* i *baisse!*
Cały dawny świat herojów,
Hrabiów, baronów i duków,
Prepotentów i nieuków,
Ściągnąłem z kościołów, z bojów,
I wprowadziłem w świat gnojów.

Jako tłum jesiennych liści,
Wszystkie hery, bohatery,
Akcjoniści,
Czyli gracze na papiery,
Wedle wyższej woli mojej
Już nie patrzą, jak na świecie
Ludy, prawa diabeł gniecie,
Lecz patrzą, jak Bursa stoi.

Upadł krzyż — heroizm, prawo,
Bogu jam położył kres...
I piekło okryłem sławą
Dwoma słowy: *hausse* i *baisse!*

Któż, nie uprzedzony o autorstwie, mógłby dopatrzyć się w tej drapieżnej, realistycznej, piosenkowej satyrze społecznej pióra cichego i łagodnego „Mazurzyny"? Któż odważyłby się zaliczyć ją do poezji „lirnika mazowieckiego", owej poezji — jak się wyraził Żeromski — „cichej, najrdzenniej polskiej, można by powiedzieć: «wiślańskiej», tutejszej, rodzimej"?

A przecież to tylko skromna próbka tych wszystkich najrozmaitszego rodzaju niespodzianek, jakie cierpliwy poszukiwacz może jeszcze odnaleźć w obfitym dorobku poetyckim „Autora Lirenki".

2

Nieporozumienia tworzące się wokół twórczości Lenartowicza sprawiły, żem z dużą obawą otworzył gruby tom *Poezyj wybranych* tego poety opracowany przez Pawła Hertza. Bałem się po prostu, że natknę się na jego kartach z jakimś nowym wcieleniem Janika, ale Janika *à rebours*, bez kadzidła i kropielnicy, ale za to z szewckim szydłem i nożem rzeźnickim, które posłużą wydawcy

do uwydatnienia plebejskiego „nurtu“ poezji Lenartowicza, prezentowanej nowemu czytelnikowi za pośrednictwem takich np. utworów, jak ów mało znany *Rzeźnik*, wiersz poczciwy skądinąd i na pewno przydatny do celów agitacyjnych anno 1848, ale doszczętnie wyprany z wszelkich walorów poetyckich:

I na wagi — Rzeźnik z Pragi
Dorzucił mięsiwa.
„Przyjdźcie, rzecze — Do mnie, człecze,
To się rozmówiwa.
Będzie stolarz, — Będzie wolarz
I szewc z Pelcowizny,
Będziem radzić, — Jak prowadzić
Interes ojczyzny!“

Byłem przekonany, że i taki wiersz zresztą znajdzie swoich entuzjastycznych wielbicieli, ale sam — znając trochę poezję Lenartowicza — tęskniłem do zupełnie innych utworów tego znakomitego majstra poetyckiego, do takich przede wszystkim, których nie miałem we własnym księgozbiorze, a do których już wielokrotnie w ostatnich latach pragnąłem powrócić.

Już pobieżny rzut oka na spis treści spowodował jednak, że początkowa obawa bezpowrotnie ustąpiła. Hertz nie sfałszował twórczości Lenartowicza, nie „przystrzygł poety do potrzeb konwencjonalnych“ (7) i nie ograniczył się w swoim wyborze do pokazania tylko tego z jego poezji, co „zgodne jest z potrzebami dnia“ (8). Sam poeta i miłośnik poezji, potrafił odczytać starego poetę w sposób oryginalny i trafny, przynoszący zaszczyt jego smakowi artystycznemu. Równocześnie jednak nie zatracił niczego z dorobku Lenartowicza, co tylko mogło w jakiś poważniejszy sposób ukazać swoistą postępowość tego poety i zadokumentować jego głęboko ludzki, humanistyczny stosunek do prostego ludu polskiego, pośród którego się wychował i któremu pragnął złagodzić trochę swoimi prostymi piosenkami ciężką dolę życiową.

Usiłując „zetrzeć kurz i brud, które przez lata okryły złotą skorupę“ poezji Lenartowicza (48), Hertz był od samego początku przekonany zresztą, że ta „skorupa“ musi być ze szczerego złota. Przekonanie to — które dzielili z Hertzem wszyscy prawdziwi miłośnicy i znawcy poezji narodowej — nie było bynajmniej rozpowszechnione. Ba! nie było nawet tak bardzo zrozumiałe dla większości czytelników Lenartowicza. Nie było nawet zrozumiałe dla wielu badaczy Lenartowicza, którzy potrafili analizować jego poglądy społeczne i polityczne dużo lepiej i uczeniej od Hertza, ale którzy przystępowali do jego poezji jak do suchego artykułu publicystycznego albo jak do inwentarza starego antykwariatu.

Niechaj jeden przykład zastąpi tutaj wszelkie inne. Zofia Stefanowska, która z dużą precyzją sprostowała wiele dość dwuznacznych, a nawet niejednokrotnie mętnych, sformułowań Hertza znajdujących się w pierwszym rzucie jego szkicu o Lenartowiczu, zakończyła swój interesujący artykuł zdaniem najzupełniej horrendalnym. Przytoczę je tutaj *in extenso:* „Jasne zdanie sobie sprawy — pisze Stefanowska — ze słabości Lenartowicza jako poety (podkreślenie moje — J. W. G.) uchroniłoby Hertza przed dopatrywaniem się w «Lirenkach» realizacji głębokiego programu literackiego Mickie-

wicza". Nie chodzi mi tu oczywiście o program Mickiewicza, ale o tę „słabośc Lenartowicza jako poety". O słabość autora *Kaliny, Ducha sieroty, Złotego Kubka, Nad Wisłą, Coś tam o Kurpiach...* O słabość autora *Pielgrzyma ze ziemi ucisku, Paryża 1855, Łuku Tytusa, Odstawnego...* o słabość autora... Ale po co więcej przykładów? O, bodajby taką „słabością" mogło wykazać się trochę więcej poetów polskich.

Artykuł Stefanowskiej nosi zadziwiający tytuł: *W obronie Lenartowicza.* Tytuł to oczywiście najzupełniej fałszywy i postawiony tu tylko przez jakąś złośliwą omyłkę. Ale ja znam książkę, która mogłaby ten tytuł nosić z całkowitą powagą. Książkę Hertza!

Przejdźmy jednakże do samego wyboru. Wydawca zgromadził w nim cztery poematy Lenartowicza *in extenso (Bitwa racławicka, Marcin Borelowski Lelewel, Cienie syberyjskie, Dwaj Towiańszczycy),* dwa większe fragmenty nie ukończonych poematów *(Wyjątek poematu o Kościuszce, Mefisto),* znaczną część dużego cyklu *Piosnek wiejskich* (konkretnie 25 utworów) oraz 118 wierszy różnych, przeważnie lirycznych.

Zasadą wydawcy było przedrukowywanie jedynie utworów oryginalnych, z pominięciem tłumaczeń, których było zresztą niewiele i które nie odgrywają prawie żadnej roli w rozwoju poetyckim Lenartowicza. Jedynym wyjątkiem od tej reguły, spowodowanym bodaj nierozpoznaniem w omawianych utworach przekładów, są *Trzy piosnki Padury* (382), będące wiernym, chociaż słabym, tłumaczeniem z języka ukraińskiego [8].

Pod względem ram chronologicznych wybór objął w zasadzie cały obszar twórczości Lenartowicza; objął jednakże bardzo nierównomiernie, co szczególnie odbiło się na dziale *juveniliów,* reprezentowanych zaledwie paroma utworami, chociaż na uwzględnienie zasługiwało ich oczywiście znacznie więcej. Wystarczy zresztą powiedzieć, że w wyborze nie ma a n i j e d n e g o wiersza z lat 1840—44, a więc ani jednego utworu, który mógłby nam w jakiś sposób zaprezentować najwcześniejszą twórczość poety i uwidocznić od samego początku jej kierunki i fazy rozwojowe. Tłumaczenie się Hertza, że nie mógł „natrafić" m. i. na *„Przegląd Warszawski"* (455), nie wytrzymuje oczywiście krytyki, bowiem pismo to znajduje się we wszystkich większych bibliotekach stołecznych.

Nie ma również w wyborze ani jednego wiersza patriotycznego z lat 1846—47, a nawet nie ma wzmianki (we wstępie), że Lenartowicz pisywał wówczas takie wiersze, dobitnie przecież świadczące o jego stosunku do sprawy narodowej (zaznaczmy na marginesie, że był on przyjacielem Pantaleona Potockiego, spiskowca słynnego z ataku na Siedlce, który został schwytany i powieszony w marcu 1846 r.).

Innym poważniejszym zarzutem, jaki można postawić Hertzowi, to jego ograniczenie się wyłącznie do materiału poetyckiego znajdującego się w wydawnictwach książkowych, a więc, innymi słowy, całkowite zrezygnowanie z obfitego materiału znajdującego się w c z a s o p i s m a c h i w r ę k o p i s a c h. A przecież w tym właśnie materiale najłatwiej chyba można trafić na

[8] Na marginesie tej uwagi warto sprostować grube błędy, które wkradły się do przypisu odnoszącego się do Padurry, który nigdy nie nosił rzekomego nazwiska „Jerczak", nie był poetą „ludowym", nie był poetą „ukraińskim" (tylko polsko-ukraińskim) i nie „przebywał" w Warszawie.

jakieś piękne i oryginalne wiersze Lenartowicza, przeoczone przez jego wcześniejszych antologistów, a zasługujące na publikację. Wszak i sam Hertz z czasopisma właśnie wydobył piękny a zupełnie zapomniany obrazek z czasów Komuny — *Dwóch Towiańszczyków*. Musimy tu wziąć pod uwagę co najmniej cztery powody, dla których jakiś dobry wiersz tego poety nie trafił za jego życia pod okładkę książkową: 1. zagubienie go lub przeoczenie przez autora; 2. zlekceważenie przez autora, który przecież nie zawsze jest najlepszym sędzią własnej poezji; 3. względy cenzuralne; 4. inne względy okolicznościowe, dzisiaj już nieaktualne.

A przecież tylko w ten sposób, szperając po czasopismach i rękopisach, możemy np. natrafić na ów słynny zagubiony poemat Lenartowicza o Spartakusie, tłumaczony częściowo przez Włocha Marcucciego, ale skądinąd najzupełniej dzisiaj nieznany. A jakim ważnym osiągnięciem byłoby odnalezienie dzisiaj tego poematu!

Rzecz prosta jednak, że pominięcie przez Hertza czasopism i rękopisów nie pozbawiło jego wyboru najpiękniejszych klejnotów muzy Lenartowicza, które potrafił ocenić i na nowo przypomnieć czytelnikom.

Ileż-bo pięknych a całkowicie zapomnianych i nie znanych nawet miłośnikom i badaczom poety wierszy Lenartowicza zdołał Hertz odszukać i wskrzesić dla współczesności! Przypomnę tu chociażby ów piękny i zastanawiająco dojrzały, jak na ówczesne poglądy poety, postępowy wiersz o Paryżu oglądanym spod posągu Spartaka w Ogrodzie Tuileryjskim *(Paryż 1855)*. Tuwim nie znał tego utworu i nie włączył go z tego powodu do swojej *Księgi wierszy polskich XIX w.*, w której Lenartowicz zajmuje przecież jedno z miejsc honorowych. Jakby żałował tego dzisiaj, przeczytawszy ten wiersz w wyborze Hertza! A takich i podobnych wierszy jest oczywiście w tej książce o wiele więcej.

Lenartowicz był dotychczas prezentowany przez swoich antologistów tylko od trzech właściwie stron swojej wielostronnej twórczości: poprzez wiersze patriotyczne (w rodzaju *Bitwy racławickiej)*, poprzez religijne (w rodzaju *Zachwycenia* czy *Błogosławionej)* oraz poprzez ludowe, sielskie (w rodzaju nieśmiertelnej *Wiochny)*. Hertz umyślnie zrezygnował z przedruku wielu wyjątkowo popularnych wierszy poety (chociażby np. ze wspomnianej przed chwilą *Wiochny)*, a uwzględniając wszystkie wymienione już strony jego twórczości pokazał jeszcze Lenartowicza jako poetę wrażliwego na niesprawiedliwość ustroju burżuazyjnego *(Paryż 1855)*, poetę umiejącego odczuć i scharakteryzować wielką poezję i wielką muzykę *(Niemcewicz, Słowacki, Szopen)*, poetę żywo i głęboko reagującego na współczesne wypadki polityczne *(Dwaj Towiańszczycy)*, poetę umiejącego odróżnić naród rosyjski od znienawidzonego przez siebie i potępianego caratu *(Pogrzeb Moskala)*, poetę przemawiającego swoimi wierszami zarówno do ubogich rzesz rybaków, orylów i chłopów mazowieckich, jak i do ludzi o subtelnym i wyszkolonym smaku poetyckim, wyczulonych na piękno delikatne i ciche, ukryte nieraz pod niepozorną szatą zewnętrzną *(Pielgrzym ze ziemi ucisku, Do***, Łuk Tytusa, Tasso)*.

Czy to ma znaczyć jednak, że w wyborze Hertza zostało już przedrukowane wszystko, co z poezji Lenartowicza było godne ocalenia i przekazania potomności? Czy rzeczywiście — jak pisała Alina Witkowska — „nie znajdzie się bodaj ani jeden wartościowy wiersz, który by nie trafił do nowej edycji"?

Oczywiście, że tak nie jest — przecież Hertz również, jak i inni antologiści, powodował się w wielu wypadkach tylko własnym, nie zawsze doskonałym, gustem, który może nie pokrywać się z gustem innych dobrych znawców poezji, a zresztą — jak o tym już wspominałem — Hertz sam jeszcze nie dotarł do wszystkich rozproszonych wierszy Lenartowicza. I dobrze, że tak nie jest — wszak to nam jeszcze zapowiada niejeden piękny utwór naszego poety, niejeden dobry wiersz, z którego nie mamy najmniejszej ochoty rezygnować, chociaż obecna antologia tyle już takich dobrych wierszy przypomniała.

Warto sobie również uświadomić, że jednym z kryteriów wyłączania przez Hertza pewnych utworów Lenartowicza z antologii była często ich zbytnia, żenująca popularność, która skłaniała wydawcę — chociażby przez swego rodzaju opozycję w stosunku do tego ogólnego konsensu — do lekceważenia niektórych wierszy, przede wszystkim zaś takich, które mógł zastąpić podobnymi, ale jeszcze nie tak „osłuchanymi". Myślę, że ta właśnie przyczyna była powodem niewłączenia do wyboru takiej np. doskonale wszystkim znanej *Wiochny*. I tu jednak mógł się antologista niejednokrotnie pomylić, a najlepszym bodaj przykładem tego rodzaju pomyłki jest opuszczenie przez niego takiego klejnociku Lenartowiczowej poezji, jak powszechnie „ulubiony" wiersz *Duch sieroty* („Idzie sobie pacholę — Przez zagony przez pole"), nazwany przez Żeromskiego „uriańską perłą poezji polskiej, wyrwaną z surowizny, podjętą z piachu dróg międzyleśnych, wydobytą z samej istoty bytu, z mowy tutejszego ludu". Przyznam się szczerze, że wielokrotnie przeglądałem spis treści w poszukiwaniu tego wierszyka, nie mogąc sobie wyobrazić, że Hertz go najprościej w świecie... zignorował.

A tego rodzaju i innych opuszczeń jest oczywiście daleko więcej. Pomijając już *juvenilia*, o których trzeba by dać specjalny ekskurs krytyczny, nie znajdziemy w wyborze Hertza wielu pięknych, oryginalnych, interesujących wierszy Lenartowicza, które koniecznie powinny tam się znaleźć.

Nie ma w nim np. paru dobrych wierszy osobistych, związanych z drogimi poecie ludźmi i przepojonych głębokim uczuciem, że wymienię chociażby ważny z rozmaitych względów wiersz *Pamięci Ignacego Komorowskiego* albo urocze, ciche, subtelne wspomnienie młodych lat i dawnych przyjaciół w wierszu *Zwiędła róża* (poświęconym przyjaciółce młodości Lenartowicza i Norwida, pannie Krystynie Dybowskiej); nie ma pięknej ludowej *Przygrywki*, zawierającej m. i. ciekawą autocharakterystykę poety jako lirnika wioskowego; nie ma wielu utworów wyrażających gorącą miłość Lenartowicza dla ojczyzny — *O kraju, O powrocie do kraju, Na wschód patrząc mym zwyczajem* itd.; nie ma wyśpiewanego na ludową nutę wiersza *Potok i serce* (z pochwałą wolności); nie ma wzruszającej apostrofy do wierzby ojczystej — *Na wierzbę;* nie ma gwałtownej diatryby przeciw caratowi — *Petersburg w ogniu;* nie ma ani jednej próbki epickiej poezji historycznej z wczesnych dziejów Polski itd. itd.

Toteż dziękując wydawcy za wybór obecny pragnęlibyśmy go równocześnie zobligować do opracowania nowego wydania — wydania obszerniejszego, bodaj dwutomowego (Lenartowicz na pewno na nie zasługuje), uzupełnionego nie tylko nowymi znaleziskami samego wydawcy, ale również większością wymienionych tutaj utworów, które powinny zostać przedrukowane i przypomniane miłośnikom poezji polskiej.

W tym następnym wydaniu pragnęlibyśmy również przeczytać nowy essej Hertza o jego (i naszym) ulubionym poecie: jednakże nie tę rozprawkę literacką, którą poczęstował nas w obecnym wyborze, ale właśnie typowy essej, zbliżający nam Lenartowicza poprzez analizę jego wybranych utworów, poprzez oryginalne ujęcie jego osobowości twórczej, poprzez anegdotę biograficzną, poprzez paralelę literacką, poprzez zgrabnie dobraną cytatę.

Nie zwolni to go zresztą, niestety, od niewdzięcznych robót filologicznych, związanych z ustalaniem tekstu czy też opracowywaniem przypisów. O tym jednak trzeba pomówić dużo dokładniej.

3

Tekst poszczególnych utworów obecnego wyboru został oparty przez Hertza prawie wyłącznie na ich przedrukach książkowych i to zasadniczo w ostatniej redakcji ogłoszonej, względnie przygotowanej do ogłoszenia, za życia autora (jedynym bodaj wyjątkiem jest poemat *Dwaj Towiańszczycy,* wydrukowany z rękopisu już po zgonie Lenartowicza). Wydawca wymienił co prawda w przypisach liczne pierwodruki poszczególnych wierszy znajdujące się w czasopismach, ale do nich bynajmniej nie zaglądał, a wszystkie odpowiednie informacje zaczerpnął z popularnego kompendium Biegeleisena. Stąd też, gdy Biegeleisen nie znał jakiegoś pierwodruku, to konsekwentnie nie znał go i obecny wydawca (np. pierwodruku wiersza *Moja nuta* w *„Szkółce dla Dzieci“* 1851, s. 315; wiersza *Za aniołem* — tamże, 1852, s. 167; wierszy: *Wiecznie to samo* i *Nad Wisłą* — w *„Szkółce dla Młodzieży“* 1854, s. 1 nn., itd.). Jeśli chodzi o podstawę samego tekstu, to wydawcy wolno było oczywiście wydrukować dany wiersz w redakcji wcześniejszej, o ile ostatnia znana redakcja była zniekształcona przez cenzurę albo też została przykrojona przez autora — ze szkodą dla wymowy społecznej utworu — do jego późniejszych, uwstecznionych przekonań. Hertz jak najsłuszniej skorzystał z tego uprawnienia przy *Bitwie racławickiej* oraz przy wierszu *Czego nam potrzeba,* niepotrzebnie zrzekając się go przy *Marcinie Borelowskim* (przepadła w ten sposób interesująca przedmowa do tego poematu), a niepotrzebnie stosując przy *Cieniach syberyjskich,* które wydrukował z błędami, poprawionymi później przez Lenartowicza (zamiana Ściegiennego na Sierocińskiego), a teraz odnotowanymi dopiero w przypisach (gdzie zresztą mylnie podano jako podstawę tekstową wydanie z 1895 r.).

Największą pomyłką Hertza było jednakże wydrukowanie pięknej *Przygrywki* do *Piosnek wiejskich* w tekście opartym na wydaniu książkowym z r. 1862, podczas gdy należało ją wydać w obszerniejszej i całkowicie przerobionej redakcji — umieszczonej, pt. *O pieśniach gminnych,* w poznańskim wydaniu *Poezyj* z r. 1863 (t. II, s. 55—65). Hertz wyraził się o tej redakcji, że została wydrukowana „z nieznacznymi odmianami tekstu“ (461). Te „nieznaczne“ odmiany polegają m. i. na poszerzeniu tekstu wiersza o nowe 64 linijki, na usunięciu z niego czterech linijek niepotrzebnych oraz na przestawieniu kilku ustępów wiersza na inne miejsce! O charakterze partii dodanych przez poetę może dać dobre pojęcie chociażby taki sześciowierszowy urywek, zawierający realistyczny obraz ziemi polskiej w 60-tych latach XIX w.:

Patrząc na jej koła, zwroty,
Na jej śmiechy i zaloty,
Rzekłbyś: w onej tam krainie
Mlekiem, miodem ziemia płynie.
A to ziemia obiecana,
Gdzie w krwi broczą po kolana.

Poza tymi kilkoma zastrzeżeniami teksty wydają się dobrze wybrane i na ogół poprawne, a w każdym razie nie widać w nich rażących błędów edytorskich, wyjąwszy może dwa miejsca książki: jedno na s. 223, gdzie opuszczono całą linijkę po w. 11 („Aleć pieśń się trzyma słońca"), drugie zaś na s. 215, gdzie w w. 4 od dołu powinno być „przejrzał" zamiast mylącego „przyjrzał". Co innego, że nie zawsze są pełne, bo przecież pełny tekst wiersza to nie tylko jego tekst zasadniczy i tytuł, ale również takie elementy, ogromnie ważne dla interpretacji utworu, jak: podtytuł, dedykacja, motto, sygnatura podtekstowa (data, miejsce napisania) oraz objaśnienie autorskie. Jeżeli takie dodatkowe elementy mieściły się w publikowanej redakcji wiersza — należało je podać przy głównym tekście (jedyne ustępstwo to przeniesienie na koniec książki objaśnień autorskich); jeżeli w którejś z innych redakcji — należało je umieścić wśród przypisów wydawcy. Otóż praktyka Hertza jest pod tym względem wyjątkowo niekonsekwentna, zwłaszcza zaś w stosunku do objaśnień autorskich, które zostały w wielu wypadkach niesłusznie przez niego zlekceważone. Jedne z nich mianowicie powtórzył *in extenso* (np. przy wierszu *Łuk Tytusa),* inne sparafrazował (np. przy poemacie o Borelowskim), o niektórych zaś wspomniał jedynie w przypisach (np. przy wierszu *Torkwatowi Tasso:* „tekst wg *Albumu włoskiego,* tam również obszerny przypis poety"!). Najgorzej było oczywiście wtedy, kiedy w ogóle opuścił jakieś objaśnienie Lenartowicza, nie wspominając ani słowem, że takie istnieje. Tak było np. przy wierszu *Rawenna,* gdzie spośród trzech ważnych objaśnień poety Hertz przedrukował tylko jedno, najmniej ważne; drugie zastąpił nie wystarczającym dla czytelnika objaśnieniem wydawcy, a trzecie, najważniejsze, milcząco opuścił, niczym w ogóle nie zastępując. A oto, co było w oryginale:

Tekst: „Toż napis grobu gorzki, żalem tchnący, — Pokrył obfity laur niewiędnący"; opuszczone objaśnienie: „«Fiorenza gloriosa hebbi per madre, anzi matrigna a me, pietoso filio» — słowa wrzekomo Danta, powtórzone przez Boccaccia; nie chce mi się wierzyć, ażeby wyrażały duszę poety; on, żegnając ojczyznę, nie mógł wyrazić się tak gorzko"; przypisu wydawcy w ogóle nie ma.

Tekst: „I cień mi Danta w zapadłym kapturze, — A Boëcjusza z potrzaskanym czołem — Zdało się widzieć w rozmowach na chórze, — Z błogosławiącym cierpiących aniołem"; opuszczone objaśnienie poety: „Seweryn Boëtius, najcnotliwszy człowiek i jeden z najgłębszych filozofów, któremu za panowania Teodoryka w Rawennie, na fałszywe oskarżenie, w Pawii publicznie głowę żelaznymi kleszczami zgnieciono. Tego Boecjusza myśli, pt. *Pociecha filozofii,* w więzieniu pisane, quasi poemat, kto wie, czy nie posłużyły do utworzenia postaci Beatrice vulgo Teologii w poemacie Danta *Boskiej Komedii,* ile że filozofia ta rymuje bardzo ze słowami bohaterki dantejskiej pieśni. Dante w Rawennie to jakby uczeń zawędrował do mistrza uspokoić się snem wiecz-

nym; wielki katolik, wielki gibelin, do miasta Arianów i Gotów"; przypis wydawcy: „Boecjusz (480—524), filozof i poeta, minister króla Gotów, Teodoryka, stracony wskutek podejrzenia o zdradę".

Czy po takiej operacji przeciętny czytelnik zrozumie, o co chodziło poecie, gdy o grobowym napisie Dantego mówił: „gorzki, żalem tchnący"? gdy łączył postać Dantego z postacią Boecjusza? gdy tego ostatniego odmalował „z potrzaskanym czołem"?

To samo, chociaż w mniejszym stopniu, zdarza się w stosunku do podtytułów i sygnatur podtekstowych. Jeden przykład tutaj wystarczy: w pierwodruku wiersza *Śpiew na cześć 25 lutego* znajduje się podtytuł: *Improwizacja* oraz sygnatura: „Florencja, 5 marca 1861 r." Hertz ani jednym słówkiem nie wspomniał o tym w objaśnieniach, a przecież jakie to wymowne, że ów mistyczno-patriotyczny utwór, atakowany dzisiaj przez niektórych krytyków, został przez poetę zaimprowizowany prawie natychmiast po przeczytaniu relacji prasowej o warszawskiej manifestacji!

Utwory przedrukowane w wyborze starał się Hertz ułożyć w kolejności chronologicznej — jedynej kolejności, która może ukazać czytelnikowi prawdziwy obraz rozwoju ideologicznego i artystycznego jakiegoś poety. Decyzja taka była całkowicie słuszna, chociaż nie zawsze udało mu się ją przeprowadzić. Wskażę tu przykładowo, że wiersze *Wygnańcy do narodu* (1850), *Moja nuta* (1851) oraz *Za aniołem* (1852) powinny być cofnięte do tyłu i umieszczone między wierszem *Przywitanie* (1850) a *Dumką wygnańca* (1853); wiersz *Do**** (koniec 1858) należy umieścić pomiędzy wierszem *Komu wianeczek* (najpóźniej 1858) a poematem *Bitwa racławicka* (ok. 1858); wreszcie *Wstęp do „Starych zbroic"* oraz wszystkie utwory z *Album włoskiego* trzeba cofnąć przed wiersze z cyklu *Różności (Sen i drzemka* itd.).

Każdy wiersz wyboru wydawca podparł na końcu książki krótkim objaśnieniem, w którym podał odpowiednią informację bibliograficzną oraz wyjaśnił, jeśli to było potrzebne, najważniejsze jego realia i personalia. Objaśnienia to na ogół bardzo zwięzłe, ale prawie zawsze wystarczające i czytelne. Cała bieda z tym, że jest ich trochę za mało. Któż na przykład, kto nie zna Paryża, zrozumie taki ustęp pięknego wiersza *Paryż 1855:*

> Spojrzałem i przeszedłem ogród śpiesznym krokiem
> W stronę Sekwany, kędy lew przytłoczył węża,
> Co pod pazury z brązu w kłębach się wypręża (...)

— a to przecież po prostu przypomnienie znanej rzeźby wielkiego rzeźbiarza Barye (1795—1875), znajdującej się w Ogrodzie Tuileryjskim.

Niektóre przypisy znowu są zbyt ogólnikowe i — pomimo swojej poprawności formalnej — nie wyjaśniają właściwie najistotniejszych problemów danego ustępu. Weźmy na przykład wiersz *Torkwatowi Tasso na San Onofrio,* a w nim taki urywek (s. 313):

> (...) pomiędzy jego [Tassa] siadał gośćmi
> Polak i brat nasz, pan Stanisław Reszka,
> Któremu złożył italskie kameny,
> Króciuchnej treści, ale wielkiej ceny.

Zobaczmy teraz objaśnienie wydawcy: „mowa o profesorze Akademii Krakowskiej z XVI w., dyplomacie, wielokrotnie w różnych misjach wysyłanym do Włoch". I kropka. A gdzie owe „kameny (...) wielkiej ceny", które Tasso ofiarował naszemu rodakowi? Rzecz zaś naprawdę interesująca, bo tu chodzi ni mniej, ni więcej, tylko o słynną wierszowaną dedykację włoską *Al Signor Stanislao Rescio, nunzio illustrissimo,* wypisaną własnoręcznie przez Tassa na ofiarowanym Polakowi egzemplarzu *Jerozolimy* (dedykację tę przetłumaczyli m. i. na język polski Ludwik Kamiński i Cyprian Norwid).

Od tych erudycyjnych szczegółów, które zatruwają życie każdemu komentatorowi (czyż jeden człowiek potrafi zresztą wszystko wytłumaczyć?) przejdźmy teraz do problemów interpretacyjnych, które nasuwają się w związku z dwoma przynajmniej wierszami Lenartowicza, a których rozwiązanie przez wydawcę, na ogół ostrożnego i sumiennego interpretatora, wydaje się jednak nietrafne.

Pierwsza taka omyłka dotyczy interpretacji ostatniej zwrotki ważnego wiersza politycznego *Rzym — Italia.* Brzmi ona jak następuje:

Italskich krzyżów lot
Nie orłów wartkim piórem;
Jowiszów włoskich grzmot
Nie straszny nad augurem...

„Italskich krzyżów lot — tłumaczy Hertz (470) — czyli akcja wojskowa Cavoura (w herbie Królestwa Włoskiego jest krzyż) w niczym nie jest podobna do zwycięskich pochodów dawnych Rzymian i nikt dziś nie wierzy gromkim przepowiedniom współczesnych augurów. Może to być aluzja do niechęci, jawnie okazywanej przez papieża Piusa IX narodowej polityce Włoch w związku z włączeniem Państwa Kościelnego do Królestwa Italii (...)" Ile wierszy, tyle błędów! „Italskich krzyżów lot" to oczywiście nie akcja wojskowa Cavoura, który zmarł w r. 1861, ale akcja wojskowa Garibaldiego, dwukrotnie usiłującego zdobyć Rzym (1862, 1867) w interesie monarchii sardyńskiej i dwukrotnie odepchniętego przez wojska papieskie wspomagane przez francuskich sojuszników. Słowa „Nie orłów wartkim piórem" nie odnoszą się z kolei do zwycięskich pochodów Rzymian (którzy przecież nie zdobywali własnej stolicy!), ale do „orłów" napoleońskich, okupujących Rzym w latach 1809—11, a także do broniącej papieskiego Rzymu załogi francuskiej (1849—66). Być może, iż Lenartowicz myślał tu również o udziale wojsk francuskich w bitwie pod Mentaną (listopad 1867), w której wojska papieskie pokonały Garibaldiego. Nareszcie słowa „Nie straszny nad augurem" dotyczą już zupełnie wyraźnie porażki Garibaldiego, którego ponawiane ataki na Rzym spełzły na niczym, a więc nie były straszne dla papieża („augura"). Jeżeli dodamy jeszcze, że papież Pius IX nie mógł okazywać niechęci „polityce Włoch w związku z włączeniem Państwa Kościelnego do Królestwa Italii", ponieważ to włączenie nastąpiło dopiero w r. 1870, czyli w rok po opublikowaniu omawianego wiersza w *Album włoskim,* a w blisko trzy lata po jego napisaniu, to zrozumiemy dopiero, jaki tu powstał bigos interpretacyjny, całkowicie fałszujący właściwą wymowę polityczną tego, reakcyjnego niestety, utworu Lenartowicza.

Podobną omyłkę, chociaż trochę innego rodzaju, widzę również w interpretacji pewnego ustępu w poemaciku *Dwaj Towiańszczycy*. Oto mianowicie słowa włożone przez Lenartowicza w usta jednego z bohaterów, obserwującego działalność podpalaczów podczas Komuny Paryskiej:

„Widzisz tę babę, tę furię czerwoną
Z oleju garnkiem; za nią z żagwią gamen:
Podpala — słyszysz? — Amen, krzyczy, amen!
Nie robotnicy, nie niebieskie bluzy —
To są galery, bracie, i zamtuzy!"

„Pod koniec oblężenia — pisze Hertz (477) — dywersanci ze strony Wersalczyków dokonywali podpaleń w różnych punktach miasta celem zdemoralizowania oblężonych i wywoływali paniki. Podpalania przypisywano komunardom. Lenartowicz bardzo wyraźnie określa stosunek obu emigrantów do tych podejrzeń, a zarazem i swój własny". Tak sformułowane objaśnienie wyraźnie przecież nasuwa myśl, że i Lenartowicz widział owych podpalaczy nie w komunardach, ale w dywersantach wersalskich. Czy jednakże sam tekst tego ustępu pozwala na taką interpretację, korzystną oczywiście dla Lenartowicza, ale sprzeciwiającą się wszystkiemu, co wiemy o jego stosunku do Komuny Paryskiej? Chyba każdy przyzna, że n i e pozwala. Świadczy on tylko o wielkim uszanowaniu poety dla robotników paryskich (por. także w tej sprawie wiersz *Paryż 1855)*, których pewnie w ogóle nie podejrzewał o czynny udział w Komunie, ale wcale nie świadczy o jego przekonaniu, że podpalacze (scharakteryzowani przez niego niby jakiś „lumpenproletariat") rekrutowali się wówczas z partii Wersalczyków. Naciągana interpretacja Hertza nie wymaże zresztą tych zupełnie jednoznacznych słów Lenartowicza, które wysłał do swego szwagra Leszczyńskiego, dowiedziawszy się o zawiązaniu się Komuny Paryskiej: „Jestem najprzeciwniejszy komunizmowi i Boże zachowaj mnie, żebym miał patrzeć na barbarzyństwo tych rozbójników, a czuję, że ten ogień przejść musi całą Europę". Niedojrzałość ideologiczna starego poety idzie tu w parze z realistycznym spojrzeniem na przyszłe dzieje społeczeństwa!

Zatrzymałem się trochę dłużej przy analizie tych omyłek interpretacyjnych, ponieważ z takich właśnie drobnych na pozór omyłek wyrastają z czasem poważne błędy natury ogólniejszej, które mogą się później odbić na oficjalnej, podręcznikowej charakterystyce całej ideologii i twórczości Lenartowicza.

A myślę, że temu znakomitemu poecie, który był bez wątpienia szczerym miłośnikiem ludu i rzecznikiem sprawy ludowej, ale który nigdy nie osiągnął dojrzałej świadomości klasowej i politycznej, nie będziemy teraz — drogą naciągniętej interpretacji — dorabiać myśli i przekonań, jakich w istocie sam nigdy nie posiadał.

•

Postulując w poprzednim rozdziale ponowne wydanie wyboru poezyj „lirnika mazowieckiego", pragnę teraz dorzucić — *ad usum* edytora — garść drobnych poprawek i sprostowań, które przydadzą się równocześnie czytelnikom obecnego wydania i uchronią ich od ewentualnego rozpowszechniania wytkniętych tutaj omyłek. Uwzględniam oczywiście tylko bardziej jaskrawe wypadki.

W s t ę p. Lenartowicz nigdy nie tłumaczył Petčfiego (9); dzieciństwo spędził nie w okolicach

Pułtuska (10), ale w okolicach Rawy Mazowieckiej; Norwidowie nie należeli do Cyganerii Warszawskiej (12); ucieczka Lenartowicza w towarzystwie Zmorskiego i Brzozowskiego nie odbyła się w sierpniu 1848 r. (17—18), ale w sierpniu 1843 r.; Zmorski nie był związany z ruchem węglarskim (18), który w owym czasie już wygasł w polskiej konspiracji politycznej; w r. 1848 poeta nie odbył podróży z Poznania do Krakowa (18), ale prosto z Warszawy do Krakowa; wierszyk w albumie Wilkońskiej nie powstał w r. 1848 (19), ale najpóźniej w 1847; poeta opuścił Polskę nie pod koniec 1850 r. (26), a pod koniec 1851; korespondencja Lenartowicza, o której pisze Biegeleisen, nie ma nic wspólnego z korespondencją wspomnianą przez Mikulskiego (26), bo pierwsza to listy samego poety, a druga — listy pisane do niego; ślub Lenartowicza nie odbył się przed jego wyjazdem z Rzymu (38), ale właśnie po wyjeździe stamtąd, we Florencji; poeta usunął dwa epigrafy z *Bitwy racławickiej* nie dopiero po r. 1864 (45), ale już w r. 1862, a więc jeszcze przed wybuchem powstania; *List z Paryża* był co prawda opublikowany w r. 1872, ale napisany już w 1857, nie można więc traktować go jako świadectwa radykalizmu poety odzywającego się po r. 1864 (45—46); domysł, że „czerwona" figura Spartaka powstająca niby widziadło „na rynkach miast Europy" jest reminiscencją z *Manifestu komunistycznego* wydaje mi się oczywistą pomyłką (46).

Przypisy wydawcy. Pokłosie to nie „zbieranina" (455), ale „zbieranka" na korzyść sierot; poeta przybył do Paryża nie w r. 1851 (457), ale w 1852; słowa o Republice Francuskiej w wierszu *Paryż 1855* nie odnoszą się do republiki z r. 1792 (457), a do republiki z 1848 r.; Kościuszko wrócił do Polski nie w r. 1783 (459), a w r. 1786; pierwodruk *Śpiewu na cześć 25 lutego 1861 r.* ukazał się w „Dzienniku Literackim" nie 22 kwietnia (460), a 22 marca 1861 r.; Michalina Zaleska nie była żoną Józefa (461), ale Bronisława Zaleskiego; autograf wiersza Do*** z archiwum Zaleskiej pochodzi z r. 1858/59, a więc jest na pewno wcześniejszy od tekstu z r. 1863 (461); Odyseusz nie spotyka Tejrezjasza w Hadesie (466), ale go wywołuje; pierwodruk *Wieży Eiffla* ukazał się nie w „Bibliotece Polskiej" (473), a w „Bibliotece Warszawskiej", „nowy Karloman" nie oznacza we fragm. *Wieża Eiffla* Bismarcka (474), ale Wilhelma I, króla pruskiego, który koronował się w pałacu wersalskim na cesarza Niemiec; Szwejcer miał na imię nie Ludwik (475), jak Hertz powtarza za Lenartowiczem, ale Michał; Maria Bolewska nie umarła na emigracji (475), ale w Wielkopolsce, w Kościanie; Franciszek Grzymała urodził się nie w r. 1831 (477), ale w 1790.

Przy sposobności poprawię własny błąd popełniony w *Księdze wierszy polskich XIX w.*, gdy pisałem o Szwejcerze: otóż Szwejcer nie był uczestnikiem napadu na Belweder (t. I, s. 541), ponieważ znajdował się wówczas w więzieniu „u Karmelitów". W tejże *Księdze* mylnie wydrukowano wiersz *Podróż po Adriatyku* jako utwór Ludwika Norwida (t. I, s. 73—76), ponieważ jego autorem jest w istocie Lenartowicz, który napisał go jeszcze w kraju, pod wrażeniem pobytu nad Morzem Bałtyckim.

Juliusz W. Gomulicki

ZE SPUŚCIZNY POETYCKIEJ
PO JULIANIE KORSAKU

Wśród cudownie ocalałych fragmentów różnych zespołów rękopiśmiennych zakupionych przez Bibliotekę Narodową w latach 1941—1944, a w ogromnej większości spalonych w listopadzie 1944 r., dochowało się również kilkadziesiąt drobnych utworów różnych autorów polskich XIX w., m. i. Karola Balińskiego, Józefa Blizińskiego, Gustawa Ehrenberga, Antoniego Goreckiego, Szymona Konopackiego, Józefa Korzeniowskiego oraz wielu poetów i prozaików z początku XX w. [1] Są to przeważnie wiersze drobne, ale również i poematy, opowiadania, utwory pamiętnikarskie oraz artykuły publicystyczne, przy czym wiele spośród nich ukazało się już zapewne w druku, chociaż z całą pewnością można to było ustalić tylko przy niektórych pozycjach.

Jednym z bardziej interesujących wierszy znajdujących się w tym zbiorze (sygn. 2676) jest na pewno sztambuchowy, beztytułowy wiersz Juliana Korsaka (1807—1855), znanego poety romantycznego, który przyjaźnił się w Wilnie (a potem w Petersburgu) z Adamem Mickiewiczem, Aleksandrem Chodźką oraz Antonim Odyńcem. On to właśnie jest jednym z adresatów słynnych *Listów z podróży* Odyńca.

Wiersz Korsaka dochował się w autografie, opatrzonym podpisem Julian Korsak oraz dokładną datą (prawdopodobnie starego stylu): „1828 Stycznia 20 dnia /Mirowszczyzna". Charakter wiersza oraz fakt, że został on wypisany na pojedynczej karcie dobrego, grubego papieru, ze złoconymi brzegami, w formie tzw. „albumowym", wskazują wyraźnie, że mamy tu do czynienia z typowym wierszem „do sztambucha", wysłanym zapewne do oddalonego adresata, podobnie jak to Korsak uczynił ze swoimi listami poetyckimi do Mickiewicza (1825), Odyńca (1825), Chodźki (1826) czy Ignacego Domejki (1829). W tym ostatnim liście warto zwrócić uwagę na prawie identyczny początek:

Długo razem, Ignacy, dzisiaj tak daleko!
Miejscem ciebie daleki, ale sercem bliski (...)

Tego rodzaju westchnień i zapewnień przyjaźni, przemieszanych z rozmaitymi moralizacjami, mamy bardzo dużo w znanych dotychczas wierszach Korsaka, który mocno — jak widać — przywiązywał się do swoich przyja-

[1] *Biblioteka Narodowa. Katalog rękopisów*, t. IV, Wrocław 1955, s. 10—14.

ciół i nie zapominał o nich w oddaleniu, przesyłając im swoje utwory poetyckie. Sam pisał o tym zresztą we wspomnianym liście do Domejki:

(...) nieraz w oddaleniu
Listy są talizmanem przeciw zapomnieniu;
Nieraz tych, co w dalekie gdzieś ubiegli światy,
Których smutek pokrewny już opłakał straty,
O których sama pamięć z czasem była starta,
Zapomnianych — wędrowna przypomniała karta.

Przedrukowany tu wiersz jest również taką missywą poetycką, doganiającą gdzieś w dalekim świecie przyjaciela-podróżnika, z którym autor rzadko był tylko razem — „dziś tu, jutro dalej!"

Któż jednak był tym przyjacielem?

Wiersz przynosi jedynie jego imię: A d a m, imię jednak tak charakterystyczne i wymowne, jeśli przypomnimy sobie krąg przyjaciół Korsaka, że chciałoby się dopowiedzieć natychmiast — M i c k i e w i c z!

Przypuszczenia tego nie podobna oczywiście udowodnić ze stuprocentową pewnością, można jedynie zgromadzić sporo argumentów przemawiających za jego dużym prawdopodobieństwem:

a) W grudniu 1825 r., gdy Mickiewicz przyjechał z Odessy do Moskwy, Korsak wysłał mu na urodziny obszerny list poetycki, w którym znajdziemy następujący, znajomy już nam po trosze, ustęp:

Adamie! jeśli święcim uroczyste świątki,
Ten stokroć uroczystszy z twej dla nas pamiątki:
Bo choć wielkim gościńcem los nam ciebie dzieli,
Tyś zawsze bliski serca twoich przyjacieli.

b) Zastosowana w wierszu popularna alegoria żeglarska, podana tutaj w swoim wariancie moralnym, była szczególnie aktualna w wierszu skierowanym do Mickiewicza, jako autora wielu utworów zawierających ten sam motyw poetycki [2], w szczególności zaś autora dwóch znanych wierszy pod identycznym tytułem *Żeglarz* (1821, 1825).

c) W styczniu 1828 r. Mickiewicz bawił w Petersburgu, „gryząc korekty Wallenroda" i spędzając czas w towarzystwie Aleksandra Chodźki i Franciszka Malewskiego. Korsak, który mógł dowiedzieć się o tej okoliczności z listu Chodźki albo Odyńca (któremu jeszcze w grudniu doniesiono o tym do Warszawy), mógł zapragnąć dołączyć swój głos do tych petersburskich pogawędek i przypomnieć się przy sposobności Mickiewiczowi, nie widzianemu bodaj od czasów wileńskich (zobaczył go ponownie dopiero w r. 1829, przed wyjazdem poety za granicę).

Końcowe zagadkowe aluzje wiersza można w rozmaity sposób tłumaczyć. Nie wykluczone, że mogą one zawierać zaszyfrowaną treść polityczno-patriotyczną, co jest tym prawdopodobniejsze, że taką właśnie, wyraźnie już polityczną, aluzję znajdujemy w niewiele późniejszym (Kazań, 25 maja 1828 r.)

[2] Dzieje tego motywu u Mickiewicza opracował Wacław Kubacki w pracy *Żeglarz i Pielgrzym*, Warszawa 1954.

wierszu alegoryczno-żeglarskim Feliksa Kółakowskiego — jednego z trzech słynnych „spółuczniów, spółwięźniów, spółwygnańców“, którym Mickiewicz dedykował trzecią część *Dziadów* — wystosowanym do Józefa Kowalewskiego:

Józefie! w nowej łodzi puszczasz się na flagi —
Niejeden olbrzym wodny łeb najeża nagi,
Lecz chciało przyrodzenie tak rozmierzyć pory, —
Po nocy dzień pięknymi by jaśniał kolory.
Przebyłeś wespół ze mną groźnej porę burzy —
Mniej się teraz niż dawniej niebo dla nas chmurzy.
Swej, ogniem nie zepsutej, trzymając się cnoty,
Ostatnią przebądź próbę, aż wróci... wiek złoty.

Obydwaj poeci myśleli tu oczywiście o lepszych czasach dla ich nieszczęśliwej ojczyzny.

Julian Korsak

RZADKO RAZEM, ADAMIE!...

Rzadko razem, Adamie, dziś tu, jutro dalej!
Patrzaj, jaki tam okręt tarza się po fali!
Fala go pochłonęła, znów na wierzch wyniosła,
A on z rozdartym żaglem, bez steru, bez wiosła,
A wiatr go coraz dalej pędzi na głębinie;
I jakichże on portów, jakich ziem dopłynie?
To jest korab' żywota — a w nim my, roźbity!
Lecz patrz, już niebo jasne rozchmurza błękity,
I słońce z chmur na wody złoty promień ciska!
Ach! tak promień nadziei przez mgłę smutku błyska!
Może blask jej i dla nas martwy świat ożywi?
Może kiedyś... dziś... jutro będziemy szczęśliwi!...

1828 Stycznia 20 dnia
Mirowszczyzna

NOTA WYDAWCY

Wiersz Korsaka, znajdujący się w dziale rękopisów Biblioteki Narodowej, sygn. 2676, k. 103, został przedrukowany tutaj wiernie wg tekstu autografu, w którym zmieniono jedynie interpunkcję, pozostawiając jednak bez zmiany takie osobliwości pisowni, jak: „korab'" czy „roźbity".

Czy był on kiedykolwiek drukowany? Na to pytanie nie podobna z całą pewnością odpowiedzieć. Nie ma go w każdym razie w żadnym z trzech zbiorków poetyckich Korsaka (*Poezje* 1830 i 1836, *Nowe poezje*, 1843), nie wymienia go w swoim wielkim kompendium Gabriel Korbut, nie wspomina o nim Odyniec, nie zna również najwidoczniej Wacław Kubacki, który omawiając motyw żeglarski u Mickiewicza zgromadził w celach porównawczych olbrzymi materiał poetycki i wiersza Korsaka w żadnym wypadku nie pominąłby milczeniem. Obecna publikacja byłaby w takim razie jego pierwodrukiem, dokonanym — o potęgo przypadku! — w setną rocznicę zgonu jego autora (a może i adresata!).

Podał do druku i opracował
Juliusz W. Gomulicki

„CYWILNY KANONIK" JÓZEFA KAZIMIERZA KOWALSKIEGO

Józef Kazimierz Kowalski: *Cywilny kanonik*, Kraków 1954. Wydawnictwo Literackie; str. 320

— I ja też widziałem Słonia — rzekł Prosiaczek — tylko nie wiem, czy to był Słoń.

To zdanie z klasycznego *Kubusia Puchatka* przypomniałem sobie po ostatniej lekturze. Oto przeczytałem książkę poświęconą Kołłątajowi, a przecież nie wiem, czy to o Kołłątaju czytałem.

Cywilny Kanonik zaczyna się od rozmowy dwóch dostojników krakowskiej kurii, z której dowiadujemy się, że Kołłątaj — mianowany właśnie wizytatorem Akademii — jest człowiekiem wszechstronnie wykształconym, zdolnym, dowcipnym, a przy tym wolterianinem. Dowiadujemy się również, że obaj rozmówcy są skończonymi łotrami, przy czym jeden z nich jest inteligentny, a drugi nie. Nagle zjawia się Kołłątaj, z pasją — jak to się mawia — piętnuje postępowanie duchowieństwa, wygłasza swój najkrótszy program pozytywny * i wychodzi na spacer. Autor — informując, że „wyobraźnię miał bogatą, artystyczną" — wprowadza go do „zygmuntowskiej kaplicy, by (mógł) dotknąć wzrokiem piękna włoskiego renesansu, tak kunsztownie dłutem artysty uwiecznionego w marmurze. Patrząc na sarkofagi, znowu na krótko powrócił do historii, do tej błyskotliwej, rozrzutnością i lekkomyślnością panujących znamiennej, epoki jagiellońskiej, w której możnowładztwo rozrosło się do niebywałej potęgi, a szlachta zdusiła stan chłopski i obcięła mieszczaństwu przywileje. Do epoki klasycznego rozkwitu i klasowego rozbicia społeczeństwa, szerokiego władania i wąskiej myśli politycznej, kiedy to szlachta, tworząc swoją rzeczpospolitą, nie przeszkadzała w tworzeniu się obok niej rzeczypospolitej duchownej, pozostawiwszy w jej rękach edukacją narodową". Na tym bohater kończy rozmyślania, autor rozdział, a ja — wprowadzenie czytelnika w klimat tego, z siedemnastu rozdziałów złożonego, dziełka o wczesnym krakowskim okresie działalności wielkiego ideologa Oświecenia, o przeprowadzonej przez niego reformie Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Książkę Kowalskiego nazwałbym najchętniej referatem. Zasadniczą jego zaletą jest absolutnie doskonała znajomość praw historycznych tamtego okresu. Autor w takim stopniu nic od siebie nie ma do powiedzenia, że nawet błędu najmniejszego nie popełnia. Przeplata się nawzajem w tym referacie pięć zróżnicowanych wyraźnie stylów narracji: 1. Rozmowy osób trzecich o bohaterze — lekko stylizowane na język epoki; jedyne właściwie źródło naszych wiadomości o nim: 2. Dysputy bohatera z przyjaciółmi — wyłożenie tez publicystycznych dojrzewającego obozu reformy; 3. Rozważania bohatera — pisane językiem dwudziestowiecznego dziennikarza; 4. Rodzajowe obrazki z epoki; jakaś bardzo drobna, rozwlekła, banalna rodzajowość, pozbawiona zupełnie wpływu na przebieg akcji

* Słowo „pozytywny" ma tu znaczenie dwojakie — raz w sensie postulowania i drugi — w związku z przymiotnikiem najkrótszy. Kołłątaj nieraz jeszcze na tych kartach wygłosi program pozytywny, ale już tylko w sensie pierwszym.

i poglądy bohatera, klasyczna „wata"; 5. Relacja narratora o przebiegu działalności bohatera. Cechuje ją zadziwiająca umiejętność oddramatyzowywania historii. Gdy tylko zaczynają się jakieś kłopoty, gdy tylko nieznacznie narasta napięcie, zaraz czyjś przyjazd, jakaś wieść ze stolicy je niweczą. Bohater jest niby chorągiewka na dachu; zwraca się w należytym kierunku (ideowym) i o obrotach decydują jedynie wiatry. O ileż bardziej pasjonująca jest pozbawiona beletrystycznych ambicji, sucha na pozór i dokumentarna monografia Michała Janika.

Oto książka — szepce mi jakiś chochlik — którą by można czytać w dowolny sposób. Można by poprzestawiać rozdziały, sceny powycinać, podopisywać nowe — nic by się chyba nie zmieniło.

Konwencjonalna literatura jest tu potrzebna jedynie jako tło, płyn niezbędny dla rozcieńczenia esencji doświadczeń historyków. Z sylwetki człowieka pozostały tylko szare pończochy — jedyny życiowy szczegół, jedyny grający rekwizyt.

Marcel Proust powiedział kiedyś, że muza historii — Klio, jest najnudniejszą z muz. Do niedawna byłem przekonany, że jest to sąd niesłuszny.

Andrzej Dobosz

DWA DEBIUTY

Ukazujące się w prasie literackiej opowiadania Jadwigi Żylińskiej zostawiły mi we wspomnieniu wrażenie dużej kultury literackiej autorki, inteligencji i dobrego smaku. Zebrane w tomik, pomnożone o dwa nie drukowane dotychczas, nie zawodzą tych ogólnych oczekiwań, choć, oczywiście, pozwalają wyraźniej uchwycić główne cechy pisarstwa autorki. Ma ten tomik własną atmosferę, którą określiłabym jako współczesną *préciosité*. Aż do najgłębszych tkanek twórczość Żylińskiej przeniknięta jest aluzjami do szerokiego kręgu dzieł literackich, komponowana i motywowana w oparciu o nie. Czasem na motywie literackim oparta jest cała konstrukcja, jak pomysł i pointa *Muzykantów z Bremy* — na bajce Grimma — czy *Ludwisi-gęsiarki* — na motywie z Dostojewskiego; w innych opowiadaniach skojarzenia literackie stają się motorem działania bohaterów lub odkrywają przed nami istotę ich przeżyć (*Meteor* Karola Čapka w *Równaniu z paru niewiadomymi*, tamże *Sowizdrzał*, *Madame Butterfly*, *Halka* w *Ludwisi* i in.). Wszędzie zaś cecha ta występuje w narracji, w porównaniach i metaforach. „To była urocza osoba. Taka trochę z powieści Karin Michaelis." „Ale najbardziej niesamowite ze wszystkiego były same dzieci. Przypominały krucjatę dziecięcą z wiersza Bertolta Brechta." „Zbyszek miał siostrę Danusię. Takie właśnie mieli imiona z *Krzyżaków*." „Hyacinth von Krachten był z nią prawie szczęśliwy, w granicach szczęścia, którego zasady określił George Meredith" (tu cytat z Mereditha), poza tym cytaty z Hemingwaya, z Biblii. Tym głównym tworzywem operuje autorka najswobodniej, z dużą samowiedzą i w wielu wypadkach ten klimat nadaje swoisty wdzięk książce. Ma to jednak ujemne strony. Nie wszystkie ludzkie sprawy da się przedstawić przez paralelę czy skojarzenie literackie. Autorka stawia sobie ambitne problemy psychologiczno-obyczajowe, jak sprawa „odzyskiwania dzieciństwa" przez bezdomne dzieci po wojnie, sprawa dzieci nieślubnych, droga do nauki i wykształcenia dziewczyny wiejskiej itp. Nie dochodzi jednak zwykle do ich sedna, zostają one zamarkowane bądź właśnie przez aluzję literacką, bądź przez odwołanie się do wspomnień bohatera czy faktów ogólnie znanych czytelnikom. Wszystkie więc prawie sprawy pozostają w szkicowej formie, a żeby znów wzmocnić wymowę tych szkiców, autorka ucieka się do specjalnego typu kompozycji opowiadań, kompozycji kontrastującej, którą w większych rozmiarach zastosował Putrament w *Rozstajach*. Z wyjątkiem jednego, opowiadania Żylińskiej zbudowane są na tej właśnie zasadzie. Jedna część — negatyw (np. dzieje służącej z nieślubnym dzieckiem przed wojną, powojenne machinacje byłych hitlerow-

ców) i druga część — pozytyw (robotnica z nieślubnym dzieckiem po wojnie, Dom Dziecka w pałacu byłego feudała i hitlerowca). Opowiadanie tytułowe nie jest wprawdzie zbudowane na przeciwstawieniu, ale na poglądowym zestawieniu czterech ludzkich postaw w sztucznie stworzonej scenerii, by zestawienie takie umożliwić. Tak więc różnymi sposobami, trzeba powiedzieć, że inteligentnie i kulturalnie, tworzy autorka różne rusztowania, które mają podtrzymywać nie dość samodzielnie przemyślaną problematykę. Owa sztuczność, gołym okiem widoczna autorska „robota", budzi niedosyt, a często i sprzeciw. Nie pomoże przemyślna kompozycja, jeśli np. jedynym problemem, który nam ukazuje autorka z życia robotnicy z nieślubnym dzieckiem, jest sprawa otwierania żłobka o pół godziny wcześniej. Całe otocze ostrej, pełnej konfliktów problematyki moralno-obyczajowej, psychologicznej i społecznej wysunęło się zupełnie spod pióra autorki. Uzyskaliśmy jedynie stwierdzenie praw konstytucyjnych w Polsce Ludowej. A przecie w tym samym opowiadaniu jak dobrze jest podpatrzone groteskowe zebranie Ligi Kobiet czy nieszczęśliwie zakochana personalna. Apeluję bardzo do ambicji autorki, by nie patrzyła na życie przez pryzmat literatury, nie przykrawała go wedle pasujących wzorów. Ma przecie dużą swobodę w tym, co nazywamy rzemiosłem, w umiejętności stosowania pewnych chwytów literackich, tworzenia sytuacji, point. Więcej bezpośredniości i nasycenia własną obserwacją i myślą. Tymczasem to, co jest żywe i własne, co zostaje z tych opowiadań, to raczej tło niż rzeczy pierwszoplanowe. Pamiętamy scenerię sytuacji, „uplasowanie" postaci, gest, czasem dialog. Stosunkowo najgłębiej dotkniętymi problemami w książce są sprawy psychologii miłości, miłości kobiecych, przefiltrowanych poprzez różne środowiska obyczajowe. Ale i tu autorka cofa się najczęściej przed pełniejszym wypowiedzeniem, może zresztą przypominając sobie, że temat taki był jeszcze kilka lat temu „źle widziany". W każdym razie porównując w książce postaci kobiece z dwoma zdeklasowanymi i otoczonymi pozorną tajemniczością osobnikami męskimi (nie liczę tych, którzy występują tylko jako wykładniki pewnych postaw) — można zrozumieć i niechęć wielu mężczyzn do tej książki, i stwierdzić, że największe możliwości autorki przejawiają się w tej odwiecznej tematyce, i że „rozpracowane" role przypadną niewątpliwie kobietom.

Wracam do punktu wyjścia. Lubię książki o określonym klimacie, o własnej atmosferze. Nie chcę bynajmniej sugerować Żylińskiej, by przekreśliła swój kameralny ton, styl *„femme savante"*, swoje literackie miłości. Chcę tylko apelować o poszerzenie widnokręgu własnego, pozaliterackiego, by w dalszej twórczości proporcje nie były zachwiane, ów „życiowy miąższ" i własne propozycje autorki — wyraźniejsze.

Niech owo misterne dzierganie nie przysłania nam samej materii. Prosimy i czekamy, bo ponoć w Wydawnictwie Literackim przygotowuje się już następny tomik.

*

Debiut książkowy Ludwiki Woźnickiej skupiony jest wokół ważnej a zaniedbanej dotychczas w literaturze problematyki społecznej. Obchodzą autorkę przede wszystkim sprawy wychowania młodzieży nie w najszerszym, ogólnym zakresie, ale w wypadkach trudnych, indywidualnie skomplikowanych czy to przez spustoszenie wojną, czy poprzez takie zjawiska, jak alkoholizm w rodzinie lub tępota i zacofanie rodziców. Bohaterami jej opowiadań są więc przeważnie dzieci z różnych przyczyn i w różnych sytuacjach okaleczone psychicznie, dzieci, w których subtelnie i troskliwie odbudowywać trzeba pełny ludzki kształt. Są i kobiety — żony i matki, którym przedwojenne życie i okupacja zostawiły ciężary i problemy nie na ich siły. Znajdziemy wreszcie (i wreszcie w naszej literaturze współczesnej!) dwa portrety wychowawców: starej nauczycielki wiejskiej i kierowniczki Domu Dziecka.

Nie ma w ujęciu tych zagadnień przez Woźnicką nic z łatwizny i dziennikarskiego sloganu. Weźmy choćby sprawę alkoholizmu, na której temat tylokrotnie rozpisywano konkursy literackie — bez powodzenia. Woźnicka pokazuje, jak żona alkoholika, którego nałóg doprowadził do zniszczenia rodziny i zdeprawowania dzieci, po długich wahaniach decyduje się iść do poradni przeciwalkoholicznej. Ciężkie to dla niej przeżycie, gdyż musi oskarżyć męża

przed obcymi ludźmi a jednocześnie w poradni widzi ostatnią szansę ratunku. W poradni widzi ludzi leczących się i uzdrowionych, nadzieja rośnie. Ale gdy opowiedziała wszystko lekarzowi i wyznała, że nie może namówić męża na leczenie, usłyszała odpowiedź: „Cóż my możemy poradzić, jeśli pacjent nie zgłasza się do nas? Leczenie jest dobrowolne". „Świat zakołysał się i stanął przed osłupiałymi oczami kobiety — pisze dalej autorka. Powtarzała zbielałymi, rozstrzęsionymi wargami:

— Ja... ja myślałam, że jest takie prawo... na pijaków... na dręczycieli, że jest takie prawo... żeby dzieci nie dać na zmarnienie..." Jest to chyba najsłuszniejsze ujęcie sprawy — wysunięcie oskarżenia pod adresem całego społeczeństwa, bez współudziału którego nie zawsze pomoże sieć poradni i zakładów. A przykład, który pokazała Woźnicka, jest dostatecznie dramatyczny.

Autorka zna sprawy, o których pisze, i może dlatego nie upraszcza zjawisk. Dom Dziecka, Poradnia psychotechniczna, szkoła w Smolnej mają wszelkie cechy autentyzmu, a co ważniejsza, przekonujące są postacie dzieci, rodziców i pedagogów. Z wyjątkiem milicjanta, awansującego na anioła stróża, i przemiany baby Koźlarki, nic nie brzmi tu fałszywie, nie jest dorobione pod z góry założoną tezę. Doskonale chwyta autorka język dzieci i język poszczególnych środowisk społecznych, w dialogach i monologach wypowiada główne treści, unikając jak najbardziej autorskiego komentarza. Potrafi jednak w ten sposób prześledzić trafnie cały proces psychologiczny, by przypomnieć choćby opowiadanie pt. *Goście*, oparte na motywie odwiedzin krewnych i znajomych w Domu Dziecka, reakcji dzieci — tych oczekujących odwiedzin z różnymi uczuciami i tych, do których nikt nie przyjedzie.

Proza Woźnickiej tkwi mocno w dobrych tradycjach naszej literatury pozytywistycznej. Owo zainteresowanie i troska o najbardziej upośledzonych i o „cichych bojowników postępu", jeżeli nie wywodzi się stamtąd, to w każdym razie stanowi zbieżną cechę. Tak jest i z formą najczęściej przez autorkę stosowaną. Formą tą są „obrazki z życia", krótkie, eksponujące jedną sytuację czy postać. Czasem mają one wymowę oskarżenia, jak przytoczone *Prawo*, czasem nawet historycznego symbolu (*Jeden krótki błysk*), zawsze pozostają literackim dokumentem społecznym, plastycznym zapisem faktu, który zafrapował autorkę. Atmosfera stworzona jest przez wydobycie charakterystycznych szczegółów zewnętrznych, mieszkania, ubrania, otoczenia a przede wszystkim, jak już mówiłam, przez daleko idące zindywidualizowanie języka postaci, języka dialogu, za którym stoją przecież nie tylko relacjonowane fakty, ale i cały złożony system myślenia tych ludzi. Bardzo to przypomina w sumie typ wielu nowel Konopnickiej, Prusa czy Orzeszkowej, w przedłużeniu tej linii natrafimy na pewne cechy prozy Dąbrowskiej i ta, chlubna przecie, genealogia przy debiucie Woźnickiej się narzuca. Łączy ją też postawa sumiennego obserwatora życia, wrażliwego raczej na jego złożoność i rozmaitość niż nastawionego na doszukiwanie się ogólnych prawidłowości czy, gorzej, tworzenie według apriorycznych tez. Gdy raz jeden się to w książce zdarza, nie jest niespodzianką artystyczne fiasko.

Słabiej w tym zbiorku wypadły zamierzenia o szerszym, epickim charakterze. Z opowiadania *Baba Koźlarka*, życiorysu wiejskiej zielarki i zamawiaczki, życiorysu niemal „od kolebki do grobu", zostają nam w pamięci właściwie dwa „obrazki": zetknięcie się przyszłej adeptki z tą „medycyną" i „leczenie" letniczki we dworze. Szczególnie w końcowej części autorka, jakby już wypisawszy to, co ją naprawdę w temacie interesowało, beztrosko i pośpiesznie dopowiada optymistyczne zakończenie. W opowiadaniu *Szkoła w Smolnej* skrzyżowała się jakby koncepcja obrazka z drugim wątkiem, bardziej epickim, dając w rezultacie zakończenie nieco mechaniczne, przecinające zbyt wcześnie wątek młodego nauczyciela, który zdawał się stanowić przez cały czas opowiadania sprawę równorzędną z portretem starej nauczycielki. Nie chcę przez to powiedzieć, że autorka „nie dorosła" do większych form epickich, opowieści czy powieści. Spór o wyższość gatunków jest w ogóle sporem raczej scholastycznym. Ale właśnie dlatego, że książka Woźnickiej posiada wyjątkowo jak na debiut sprecyzowany, indywidualny charakter i świadczy o bardziej odrębnej, niż to w większości debiutów obserwujemy, drodze dochodzenia do literatury — interesujące jest, w jakim kierunku będą

szły dalsze tematyczne i formalne poszukiwania autorki. Nie wydaje się bowiem prawdopodobne ani słuszne, by autorka, tak bystro widząca złożoność spraw ludzkich i uczulona na wszelką krzywdę, nie chciała sięgnąć do problemów jeszcze trudniejszych i szerzej ogarniających zagadnienia moralne naszej współczesności.

Wanda Leopold

ZADATKI NA POWIEŚĆ SATYRYCZNĄ

Józef Hen. *W dziwnym mieście*, „Czytelnik"; str. 380.

Autor *Drugiej linii* rozstał się z tematyką wojskową, zdemobilizował swoich bohaterów. Pozwala im z różnych stron Europy wrócić do Warszawy; rozmundurowani — mają wieść życie „w dziwnym mieście".

Różnymi epitetami bywał opatrywany klimat stolicy tuż po wojnie. Pobrzmiewały wprawdzie tony rozpaczy i zwątpienia, lecz akcentowało się zapał i entuzjazm — często pozornie bezpodstawny. Dla dodania otuchy sobie i drugim — z lekka zamazywano kłopoty (najskuteczniejszym środkiem ich bagatelizowania okazywał się humor), a uwydatniano elementy takie, jak silna wiara w możliwość rzeczy nieprawdopodobnych, jak poczucie słuszności sprawy. Ideologia służyła niewyczerpaną pomocą. Język teorii jest wystarczająco elastyczny, aby dowieść (i to bez uchybienia wymogom rozsądku) założeń nie wolnych od pewnego ryzyka. Fakty — odbudowa kraju, dzisiejszy wygląd Warszawy — przytwierdziły temu, co niektórzy chętnie nazywali utopią. Toteż pisząc *ex post* o zdarzeniach sprzed lat — można już nie przemilczać wysiłku, który im towarzyszył, można nie lekceważyć ówczesnych trudności. Ba! nic zdumiewającego w tym, że sytuacje dawniej niepokojące — obecnie wydają się po prostu d z i w n e.

Dzielni oficerowie kierowani są na odpowiedzialne stanowiska państwowe. Na czele placówek przemysłowych stają robotnicy; tytuł dyrektorski bardzo szybko niektórym przewróci w głowie. Starzy inteligenci-fachowcy są zabawnie zdezorientowani sytuacją, trochę nie wiedzą, co począć i jak się przystosować do nowych okoliczności. Drobni przedsiębiorcy wolą stać się właścicielami knajp niż wracać do rzemiosła. Nęci „szaber" na Ziemiach Odzyskanych. Wystarczy jednak dobra wola — bezrobotni otrzymują pracę i zdobywają kwalifikacje. Ale warunki nie są łatwe. Krótkowzroczna chęć zysku materialnego pcha część ludności do „robienia interesów". Handel, handel! Czym kto potrafi. Odradza się krewnym powrót z Zachodu. Kursują i znajdują posłuch najfantastyczniejsze plotki o komunizmie w kraju. Ci, którym się marzą „dobre czasy", mogą jeszcze stawiać na PSL. Jak dotychczas — na reformie rolnej zyskali przede wszystkim kułacy. Młodzież z trudem wyłamuje się spod zatęchłych wskazówek rodziców i wpływów większości nauczycielstwa, niedwuznacznie wrogiej „nowemu". Chłopcy ciągle miewają partyzanckie mrzonki. Pokutują przesądy rasistowskie — nawet tego nie zdołały bez reszty wytrzebić doświadczenia okupacyjne!

Wszystko to przeciera się i zmierza ku lepszemu nader powoli. Zanim pojawią się osiągnięcia gospodarcze, zanim nastąpi kres działalności band NSZ-etu, zanim „trzeźwo patrzący" zaczną poważnie brać w rachubę realnie istniejące stosunki i będą udawać, że się z nimi pogodzili, zanim ich dzieci znajdą się w ZWM-ie i przekonają się, iż nadszedł czas konstruktywnej pracy — upłynie sporo czasu historycznego oraz powieściowego.

Hen napisał panoramę okolic roku 1945. Chciał uchwycić możliwie najwięcej szczegółów symptomatycznych dla wybranego okresu; starał się zobrazować je dużą ilością wypadków konkretnych; nawet role statystów wyposażone są przynajmniej w ankietę personalną, postaci zaś pierwszoplanowe są ruchliwe, a osobiste ich życie nie jest pozbawione komplikacji. Mnogość jednak zagadnień sprawia, że

każde z nich jest powieściowo zaledwie zamarkowane. Najpełniej ukazany problemat Mizerskiego jest z punktu widzenia całości utworu epizodem sztucznie wmontowanym.

W powodzi drobnych realiów autor stroni od gruntowniejszej analizy psychologicznej. Jak gdyby solidaryzuje się ze stanowiskiem Karola, o którym pisze: „...wzbierała w nim piekąca złość, ta złość zatykała go i odbierała mu argumenty. Że też ludzie nie rozumieją elementarnych prawd! Że też nie widzą najoczywistszych rzeczy!" Więc też nadrabia swadą, zagalopowuje się często (karykaturalnie wypadają zwłaszcza sylwetki nielicznych w tej książce ludzi, którzy zastanawiają się nad sprawami nie tylko ściśle bytowymi), ugłupia przeciwników. Tak tedy — z praw, które daje wspominane pisanie *ex post*, Hen wykorzystał (dodać trzeba: wcale nieźle) przywilej niezacierania trosk. Wycofał się natomiast przed uczciwą intelektualną rozgrywką z ludźmi pokroju poety Cieniewicza (ta warstwa książki dawała interesujące pole działania).

Że jednak w najsłabszych punktach powieści *W dziwnym mieście* autor ujawnia swoiste zdolności — od nich właśnie biorę tytuł do recenzji.

Andrzej Biernacki

DWIE KSIĄŻKI O WIETNAMIE

W o j c i e c h Ż u k r o w s k i: *Dom bez ścian.* Rysunki Aleksandra Kobzdeja. Warszawa 1954. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej; str. 402.

M a d e l e i n e R i f f a u d: *Pałeczki z nefrytu.* Tłumaczył Zbigniew Bieńkowski. Ilustrował Aleksander Kobzdej. Warszawa 1954. „Czytelnik", str. 159.

„Cztery pale z bambusa, nad nimi ganeczek pod daszkiem z gontów" — tak wygląda „pałac prezydencki" Ho Szi Mina; w dżungli, w „domach bez ścian" mieszka cały bez mała wojujący Wietnam.

W starej piosence tego narodu — nieszczęśliwi, przez złych ludzi rozdzieleni kochankowie porównani są do „dwóch pałeczek z nefrytu na złotym talerzu". Z czasem piosenka nabrała nowych treści: zwrot poetycki awansował do rangi symbolu. „Jak dwie cenne pałeczki, leżące jedna obok drugiej — tłumaczą Wietnamczycy Francuzom — byłyby nasze dwa kraje, gdyby ludzie wojny nie wtargnęli swymi kłamstwami pomiędzy przyjaźń ludów."

Oto klucz do metaforyki tytułów książek Wojciecha Żukrowskiego i Madeleine Riffaud, a zarazem do jedynego większego ozdobnika, na który sobie autorzy pozwolili; przekazywane bowiem przez nich prawdy nie są bynajmniej zawoalowane.

*

Żukrowski wybrał formę dziennika podróży. Czy mógł posłużyć się inną (np. cykl zbeletryzowanych reportaży z wyodrębnionymi „podtematami" albo szereg nowel czy opowiadań), może jeszcze efektowniejszą? Z pewnością — tak, nie brakuje mu ani materiału, ani umiejętności kształtowania fikcji literackiej. Postąpił jednak słusznie. Obierając najpojemniejszy gatunek publicystyki, nie skrępowany rygorami kompozycyjnymi — wiernie pokazał rzeczy dostrzeżone, zaznane i usłyszane.

A eskapada Żukrowskiego i Kobzdeja obfitowała w nie byle przygody i wrażenia. Wypadło im przecież — nie przywykłym do warunków tropikalnych — ryzykować zdrowiem, decydować się na potworne zmęczenie, uczestniczyć w relacjach straszliwych nieludzko. Jakby i tego było mało — odważna ekipa korespondentów wyprosiła sobie pozwolenie dotarcia aż na front.

O wszystkim mówi się w tej książce prosto i bezpretensjonalnie. Gdzie się da — z dobrym poczuciem humoru; gdzie inaczej reagować niesposób — jest przyznanie się do wzruszenia, uczucia zgrozy, nienawiści... Autor staje się niemal jednym z nich — z ludzi Wietna-

mu walczących o polityczną niezawisłość kraju i nowy ustrój; przygnębiają go dziejące się krzywdy i niesprawiedliwość, podziela wiarę w lepszą przyszość, sławi bohaterstwo narodu, którego był gościem, entuzjazmuje się każdą wieścią o zwycięstwach i osiągnięciach.

Itinerarium rozrosło się bardzo i zyskało na autentyzmie dzięki temu, że Żukrowski stenografował prowadzone przez siebie rozmowy, a nawet wypowiedzi uczestników zebrań, których był obserwatorem. Gawędził z członkami kierownictwa partii i z nosicielami ryżu, z przedstawicielami władz cywilnych czy dowództwa armii i z chłopami lub żołnierzami, z inteligentami starszej generacji, którzy zajmują się nie tylko pracą zawodową, lecz także społeczną, z naukowcami, artystami, którzy przeobrażają warsztat dostosowując swą twórczość do potrzeb ogółu — i z prostymi ludźmi, którzy układają agitacyjne piosenki. Zwiedzał szpital, obóz jeńców z Legii, szkołę w lesie, gdzie młodzież uczy się nocami... Ogromnie dużo czasu wydzielił sobie, by poznać zagadnienie reformy rolnej w Wietnamie; uczęszczał na posiedzenia wioskowe. Notaty spraw tych dotyczące są niezmiernie ciekawe.

Sztuka pisarska Żukrowskiego przypomina poliglotów biegle oddających sens słów wypowiedzianych obojętne w jakim języku. Świat kształtów, barw, dźwięków i woni nie ma przed Żukrowskim sekretów — natychmiast potrafi go zużytkować literacko. „Przekład“ ten jest bogaty a naturalny, wierny a swobodny. Obrazy są od razu plastyczne, sytuacje żywe, dialogi naturalne. Nie znam brulionu *Domu bez ścian,* sądzę jednak na podstawie — rzadkich zresztą i drobnych — niedopatrzeń stylowych książki, iż czytelnik otrzymał tekst maksymalnie zbliżony do pierwopisu.

Wiedziony serdeczną ciekawością — spenetrował Żukrowski Wietnam, ile tylko zdołał. Zwierzano mu się chętnie. Narosło moc opowieści kolorowych niebywale, lecz przede wszystkim — wstrząsających. Największą zaletą *Domu bez ścian* jest umiar autora: napisał, jak chciał, książkę dokumentarną, nie dał się zwieść pokusie egzotyzmu — ale i nie zagubił siebie, swojego sposobu patrzenia, odczuwania. Co więcej — dał wyraz własnym zamiłowaniom pisarskim. Prozie polskiej przybyło tu kilkanaście doskonałych stronic opisów batalistycznych — świetnych raportów o fortelach wojennych stosowanych w walce z Francuzami.

Książka Madeleine Riffaud, młodej komunistki francuskiej, zasłużonej w Ruchu Oporu, niezłej podobno poetki, napisana została po berlińskim festiwalu Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej. Spotkała tam autorka delegata Wietnamu, poetę-żołnierza, Nguyen Dinh Thi; jego to opowiadania i wspólnie z nim dokonywane tłumaczenia wierszy wietnamskich stały się zaczątkiem dużego reportażu, który uzupełniają dane zaczerpnięte z publikacji francuskich, gazet, propagandowych ulotek, listów wreszcie nadsyłanych z Wietnamu do narodu francuskiego.

Pałeczki z nefrytu są udaną kombinacją uzdolnień dziennikarskich i poetyckich. Książka nie wypiera się swego charakteru agitacji przeciw „brudnej wojnie“ i posługuje się w tym celu wszystkimi dozwolonymi środkami. Umiejętny montaż cytatów, odwoływanie się do przeżyć z czasów hitlerowskiej okupacji, wykorzystywanie uczuć wspólnych uczciwym ludziom grają tu rolę niemałą. Styl — na przemian — to aż bombastycznego patosu, to znów tkliwej liryki. Wielka przenośnia obok drobiazgów konkretnych, szczegół obok zamierzonego rozumowania skrótem.

Naturalny chyba odruch myślowy skłania, aby „przymierzyć“ książkę Riffaud do tego, co pisze Żukrowski, który był po tamtej stronie. Trudno w tym wypadku o większy dla autorki komplement niż stwierdzenie, że wszystko się „zgadza“. Nie ma przesady i nie ma fałszu. Jest za to dobre przybliżenie Francuzom człowieka, przeciwko któremu walczono, jest sugestywna demaskacja oficjalnych na ten temat opinii francuskich. Propaganda Riffaud jest propagandą nie tylko słuszną w założeniach, ale i uczciwą w metodach.

Istnieje przyczyna sprawiająca, że polski czytelnik — choćby (co oczywiste) bliższy, aktualniejszy był dlań *Dom bez ścian* — może bez straty czasu zajrzeć do książki francuskiej pisarki. Myślę o licznych wierszach wietnamskich wplecionych w tok narracji. Trzeba się wprawdzie przyzwyczaić, że mowę wiązaną uprawiają w Wietnamie wszyscy, nawet niepiśmienni, że jest

to poezja spontaniczna, rodząca się wprost ze zdarzeń bezpośredniej rzeczywistości, opiewanej wersetami zrytmizowanej prozy. Mimo wszystkich niedoskonałości — folklorystyczna owa twórczość posiada jakiś niekłamany urok.

Książka Madeleine Riffaud dostała się w ręce wypróbowanego tłumacza i poety. Porównując przekład z oryginałem * wypadło mi się przekonać, że polska edycja *Pałeczek z nefrytu* zawsze dorównuje, a czasami — taktem pisarskim — przewyższa francuską.

Andrzej Biernacki

* *Les Baguetes de jade*, „Les Editeurs Français Réunis". Paris, 1953.

NOWY SŁOWNIK OBCYCH WYRAZÓW

Słownik wyrazów obcych. 15000 wyrazów. Warszawa 1954, Państwowy Instytut Wydawniczy; str. XVIII, 783.

Nie pomylimy się może zbytnio, gdy powiemy, że przyszły historyk kultury, pisząc o naszych czasach wielkich przemian, doda gdzieś w rozdziale o rozwoju polskiej nauki takie zdanie: „była to również epoka słowników"... Istotnie, trudno o przykład większego w dziejach naszych „nasilenia słownikowego", a z drugiej strony większego głodu słowników wypływającego, oczywiście, z głodu wiedzy wciąż nowych zastępów wchodzących w krąg uprawy kulturalnej.

Przypomnijmy więc tylko w paru słowach, że w ostatnich latach wznowiono techniką fototypiczną dwa największe polskie słowniki: Lindego i *Słownik Warszawski* (tą samą techniką udostępniono *Słownik poprawnej polszczyzny* Szobera), że wychodzą równocześnie dwa fundamentalne dzieła: *Słownik staropolski* (do 1500) oraz *Słownik łaciny średniowiecznej w Polsce*, pojawia się, niestety zbyt rzadko, *Słownik etymologiczny języka polskiego* Sławskiego (dotąd 3 zeszyty), a oczekujemy ukazania się, w opracowaniu Konrada Górskiego i Stefana Hrabca, pierwszego zeszytu bardzo obszernego *Słownika języka Mickiewicza*, jakiego dotąd nie miał żaden autor polski, a niewielu posiada równe w świecie. Z niecierpliwością czekamy również na czterotomowy *Słownik historyczny sztuk plastycznych*, na który zrobił nam niemały apetyt Państwowy Instytut Sztuki próbnym zeszytem dyskusyjnym. Ostatnio ukazał się pożyteczny *Słownik bibliotekarski* w opracowaniu H. Pliszczyńskiej i H. Więckowskiej, a przedtem wyszedł *Słownik archiwalny* oraz *Słownik techniki wydawniczej* i *Słownik polskich błędów językowych* Słońskiego (który sporządził też *Słownik Jana Kochanowskiego*, dotąd nie wydany). Czynnych jest kilka bardzo dobrych słownikarni (instytucji w takim zakresie właściwie u nas przed wojną nie znanych), które opracowują: 1. *Słownik współczesnego języka polskiego (1750—1950)*, pod red. Doroszewskiego, 2. *Słownik polszczyzny XVI i XVII w.* (Instytut Badań Literackich), 3. *Słownik staropolskich nazw osobowych* pod kierunkiem Taszyckiego. Dobiega końca w redakcji Stefanii Skwarczyńskiej duży *Słownik rodzajów literackich*, nie mający w tych rozmiarach w Europie precedensu. W Poznaniu przygotowuje się *Słownik starożytności słowiańskich*, do którego ogłoszono już spis haseł. Chybiński ogłosił *Słownik muzyków dawnej Polski*, a Zdzisław Szulc *Słownik lutników polskich*.

Nie wymieniamy znanych nowych słowników dwujęzycznych, jak: angielski, francuski, niemiecki, nowogrecki, rosyjski. Czekamy na opracowane lub przygotowywane: bułgarski, czeski, słowacki, serbski, łużycki, starogrecki, łaciński, włoski, hiszpański i rumuński, większy i lepszy: angielski, francuski, niemiecki i rosyjski. Nie możemy się też rozwodzić nad dużą dziedziną słowników technicznych: dość rzec, że istniejący od szeregu lat Zakład Słownictwa Technicznego (w Polskim Komitecie Normalizacyjnym), który ma na celu stworzenie poprawnego, jednolitego, jednoznacznego i powszechnie obowiązującego słownictwa technicznego, wydał już i przygotowuje dziesiątki specjalnych słow-

ników z różnych gałęzi techniki i przemysłu. Niezależnie od niego wydano już sporo słowników specjalnych, np.: Skibickiego: techniczny angielsko-polski, angielsko-polski terminologii handlu morskiego oraz techniczny rosyjsko-polski. Poza tym: wojskowy rosyjsko-polski, górniczy rosyjsko-polski, chemiczno-farmaceutyczny rosyjsko-polski, geologiczny, górniczy, włókienniczy, towaroznawczy, telekomunikacyjny, zoologiczny i in. Zapowiedziano też wiele innych słowników, np. *Słownik muzyczny* w opracowaniu Jerzego Habeli, *Słownik prawniczo-handlowy angielsko-polski* w opracowaniu E. Muszalskiego i in. Pomijamy całkowicie słowniki miejscowości, których też ukazało się kilka.

Ten pobieżny obraz byłby jednak bardzo niepełny, gdybyśmy bodaj najkrócej nie wspomnieli o słownikach nie dokończonych, przerwanych lub opracowanych, a nie wydanych. Wszyscy dobrze wiemy, jaką krzywdą kulturalną było i jest wstrzymanie *Polskiego słownika biograficznego* doprowadzonego zaledwie do litery G. Słownik ten miał braki i zapewne błędy, ale idealnych słowników nie ma, a braki uzupełnia się anneksami. Istnieje wprawdzie w PAN malutka pracownia zbierająca materiały do dalszego ciągu tego słownika, ale nie daje to wielkiej nadziei na wznowienie i kontynuowanie tego niezbędnego dzieła. Nie dokończono również rozpoczętego przed wojną *Nowego słownika języka polskiego* (do litery L), opracowanego przez T. Lehra-Spławińskiego w całości. Przerwano w 1950 druk Józefa Reissa *Podręcznej encyklopedii muzyki,* całkowicie przygotowanej do edycji (ukazały się tylko 2 zeszyty). Nie wyszedł z druku *Słownik literacki* opracowany przez Juliana Krzyżanowskiego (któremu też zawdzięczamy pierwszy u nas słownik bajki polskiej: *Polska bajka ludowa w układzie systematycznym,* 1947), a słownik ten oraz wymieniona *Encyklopedia muzyki* mogły spełnić swe podstawowe informacyjne zadania. Ten sam los podzielają: duży *Słownik gwary huculskiej* opracowany przez niedawno zmarłego slawistę, Jana Janowa, oraz *Słownik teatralny* Ludwika Simona. Po powstaniu warszawskim zaginęły obfite materiały Stefana Dembego do *Słownika współczesnych pisarzy polskich. Słownik współczesnych literatów polskich* opracował po wojnie Stanisław Czernik, nie znalazł jednak dotąd na tak potrzebną książkę wydawcy. Z inicjatywy Mieczysława Choynowskiego, wówczas redaktora *„Życia Nauki“*, zebrano przed paru laty bardzo duży materiał do *Słownika współczesnych uczonych polskich,* który miał się ukazywać jako rocznik (*„Minerwa Polska“*), pod red. Bolesława Olszewicza. Niestety, los tego ważnego i z wielkim trudem zebranego materiału jest niewiadomy. Na wydawcę oczekuje *Słownik ludzi teatru* zebrany przez Stanisława Dąbrowskiego.

Ukazanie się na tym tle ruchu słownikarskiego nowego *Słownika wyrazów obcych* nie jest wydarzeniem zbyt doniosłym. A jednak rozchwytanie w ciągu kilku dni całego 20-tysięcznego nakładu świadczy wymownie o potrzebie takiego dzieła i każe przyjrzeć się mu nieco dokładniej. Potrzebę tę zwiększa brak na rynku księgarskim jakiejkolwiek polskiej encyklopedii, na co jeszcześmy się, niestety, nie zdobyli w minionym 10-leciu niepodległości. Nowy *Słownik wyrazów obcych* w pewnym zakresie brak ten zastępuje, daje bowiem przeważnie encyklopedyczne objaśnienia haseł z różnych dziedzin życia i wiedzy. Te objaśnienia przynoszą przede wszystkim znakomicie opracowane e t y m o l o g i e wyrazów. Nie darmo wzięli za nie odpowiedzialność trzej wybitni językoznawcy: Rysiewicz, Safarewicz, Słuszkiewicz. Już ta jedna cecha korzystnie odróżnia słownik obecny od naszych dawniejszych. Drugą dodatnią stronę stanowi znaczne u n o w o c z e ś n i e n i e słownika: 15 minionych lat od wydania ostatniego dużego polskiego słownika wyrazów obcych, pod red. Stanisława Lama, przyniosło tak wiele nowych odkryć i wynalazków, a wraz z nimi nowych terminów i pojęć, że najlepszy słownik przedwojenny staje się niewystarczający. W opracowaniu poszczególnych działów nowego słownika wzięło udział 36 wymienionych specjalistów, co również daje gwarancję dokładności opisu znaczeń, a zarazem pozwala skierować ewentualne pretensje pod wiadomym adresem. Na tym zaproszeniu do współpracy różnych specjalistów słownik

bardzo dobrze wyszedł. Zwłaszcza pewne działy, jak np. medycyna, chemia, technika, psychologia, sport, opracowane zostały prawie wyczerpująco. Niektóre inne mniej zadowalają.

Zasadniczym jednak nieporozumieniem w nowym *Słowniku wyrazów obcych* wydaje się pomieszanie i nieodróżnianie w praktyce dwu różnych pojęć: wyrazu obcego od wyrazu pochodzenia obcego. Wyraz obcy, zbyteczne tłumaczyć, nie posiada jeszcze w języku pełnego „obywatelstwa", obcość tę zazwyczaj odczuwa się w językowym poczuciu mówiącego, nie wciela się go w zasoby ojczystego słownictwa aż do czasu zupełnej, a przynajmniej częściowej asymilacji czy naturalizacji. *Kolega, mierzeja, poczta* to wyrazy niewątpliwie obcego pochodzenia, ale już bez reszty wchłonięte i przyswojone, zgoła w takim słowniku niepotrzebne.

Wciągnięcie przeto do omawianego słownika w dużej ilości tego właśnie typu wyrazów obciążyło go niespodziewanym i bezużytecznym balastem. Żaden czytelnik umiejący się posługiwać słownikiem nie będzie szukał znaczenia takich wyrazów „obcych", jak np.: *druk, farba, farbować, fryzjer, fryzura, fryzować, fura, kawa, ładunek, łazanki, magazyn, magazynier, magazynować, makaron, mebel, mięta, migdał, migdałek, ryż, smalec, śledź itd.* Miejsce ich w słowniku ogólnopolskim lub etymologicznym.

Natomiast czytelnika, który kupi sobie np. Sienkiewicza *Quo vadis* (niedawno właśnie wydane w dużym nakładzie bez żadnych objaśnień) i zechce się posłużyć tym *Słownikiem wyrazów obcych*, spotka nowe niemałe rozczarowanie. Oto bowiem w dwu niedużych pierwszych rozdziałach powieści nie zrozumie, a w *Słowniku* nie znajdzie objaśnień takich np. wyrazów: *tepidarium, triclinium, nomenclator, alumna, patres, univira, balneator, unctuarium, frigidarium, pedisequi, epilichnia, maniple, lampryska, cubiculum, velarium, arbiter elegantiarum, sistra, domina, lararium, carissime, insula...* i d z i e s i ę ć innych, których już brak cierpliwości wyliczyć. A przecież to jedna z najbardziej znanych i najwięcej tłumaczonych powieści świata!

Weźmy jednak coś zupełnie współczesnego, np. uroczy mały zbiorek: *Zaczarowaną dorożkę* Gałczyńskiego. I w niej nie zrozumiemy, a *Słownik* nam nie wytłumaczy wyrazów np. takich: *hymn akatystyczny, sozjusz* (?), *kompaturki* (Staff używa też: *kompatury), fistaszki, knefliczki, angelologia, vanitas vanitatum...*

A cóż dopiero, gdy się wgłębimy w świeżo wydany *Wstęp do nauki o literaturze* Stefanii Skwarczyńskiej (na razie dwa tomy) i zetkniemy się tam np. z *imażinizmem, gestyką, paraformą, antykadencją, izosylabizmem, blank versem, fonemicznością* itp., których w nowym *Słowniku* również daremnie byśmy poszukiwali, a których wyjaśnienia właśnie od *Słownika obcych wyrazów* mamy prawo wymagać. Tak jak mamy prawo żądać objaśnień takich np. wyrazów, jak: *comics, katastrofizm, konwertyta, eklezjasta, dysautomatyzacja, konkordancja, koprolalia, walentny, poliwalentny (ambiwalentny* jest!), *respective, silva rerum, fajwoklok, commonsense* etc., które przykładowo wyliczamy, a z którymi przecież znów nie tak rzadko można się spotkać w gazecie czy książce.

Wniosek z tych pobieżnych dotychczasowych uwag oczywisty: wadą główną nowego Słownika jest u b ó s t w o wyrazów. Dowodnie się okazuje, że nie można w dzisiejszych czasach wydawać przydatnego słownika o 15000 wyrazów obcych, lecz ilość tę trzeba co najmniej podwoić. Zmieściłaby się ona nawet w tej samej objętości tomu o 800 stronicach przy użyciu mniejszej czcionki, po usunięciu ogólnie znanych, a niepotrzebnie objaśnionych słów oraz po dokonaniu skrótów niektórych zbyt może obszernie omówionych terminów.

W drugim, rozszerzonym wydaniu naszego słownika powinny ulec rewizji również definicje niektórych pojęć, czasem niezbyt precyzyjne lub błędne. Np. semantyka logiczna, to według *Słownika* (s. 652): „dociekanie z pogranicza logiki i językoznawstwa, dotyczące znaczeniowej strony wyrażeń językowych, zmierzające do dokładnego ustalenia sensu słów"... Określenie takie może mylić, gdyż semantyka logiczna ustala sensy ogólnych pojęć semantycznych, jak: znaczenie, oznaczanie, nazwa, desygnat itp., ale nie bada

konkretnych znaczeń poszczególnych słów, czym się zajmuje językoznawstwo. W definicji np. dysjunkcji (s. 162) mieści się sprzeczność wewnętrzna, bowiem w prawdziwym zdaniu typu: A albo B, nie mogą być równocześnie oba człony fałszywe. Brak jednak znacznie ważniejszego od dysjunkcji terminu logicznego: kwantyfikator. Poprawy i precyzji wymaga też np. określenie alteracji (s. 26): „podwyższenie lub obniżenie tonu o o pół tonu. Podobnie np. definicja egzystencjalizmu (s. 169) jest zbyt jednostronna i banalna.

Najlepszy jednak słownik obcych wyrazów nie zastąpi nigdy ogólnej encyklopedii powszechnej, na którą wszyscy czekamy równie niecierpliwie, jak na najpilniejszy: *Polski słownik biograficzny.*

Piotr Grzegorczyk

V KONKURS im. FRYDERYKA CHOPINA
W WARSZAWIE

Piąty konkurs chopinowski w Warszawie nad spodziewanie nawet organizatorów stał się zdarzeniem wykraczającym poza ramy czysto muzyczne. Echo tego konkursu rozeszło się daleko po świecie, a już dla Polski całej, nie tylko dla samej stolicy, konkurs stał się szeroko omawianym w prasie i jeszcze szerzej, niestety, przy stolikach kawiarnianych — ewenementem.

Ma to swoje dobre i złe strony Na razie zatrzymajmy się na dobrych. Konkursy takie, jak wiadomo, organizowane są od szeregu lat. Pierwszy odbył się w roku 1927, to znaczy dwadzieścia osiem lat temu! Ale żaden z nich nie ogarnął swym zasięgiem tak wielkiej liczby narodów, tak wielkiej liczby, można nawet powiedzieć, kontynentów. Brali w nim udział i zaprezentowali się jako wybitni artyści mieszkańcy Chin i Cejlonu, Afryki Południowej i Ameryki Łacińskiej, Singapore i Santiago. Hołd złożony Chopinowi przez cały świat przekonał nas naocznie i dobitnie, jak wielka jest popularność jego muzyki na całym świecie, jak wielka jest miłość wszystkich narodów dla naszego kompozytora.

Popularność muzyki Chopina przekracza granice i kurtyny. Pozwoliło to konkursowi chopinowskiemu zamienić się w swoisty i niezmiernie cenny Kongres Pokoju. Przedstawiciele najrozmaitszych krain, najrozmaitszych ustrojów gromadzili się w nowym gmachu Filharmonii Narodowej, połączeni kultem wielkiej sztuki Chopina. Wystąpieniom kandydatów przysłuchiwał się minister spraw zagranicznych Niemieckiej Republiki Demokratycznej, przedstawiciele Rady Najwyższej Związku Radzieckiego, królowa Belgów, przedstawiciel UNESCO, dyrektor najwybitniejszego konkursu paryskiego...

A przy tej okazji wylał się na Warszawę i na Polskę całą prawdziwy deszcz dobrej, znakomitej czasami, muzyki. Stało się to po pierwsze dzięki bardzo wysokiemu poziomowi pianistyki kandydatów biorących udział w konkursie. Nawet ci kandydaci (w większości), którzy nie przeszli do drugiego etapu, mogli koncertować po całej Polsce z ogromnym powodzeniem. Ci zaś, którzy doszli do drugiego etapu, byli prawie wszyscy bardzo wybitnymi artystami. Byli przy tym dobrymi muzykami. Honnegger twierdzi, że z dwudziestu laureatów przeciętnego konkursu ani jeden nie potrafi odczytać poprawnie kompozycji współczesnej. To pesymistyczne twierdzenie na pewno nie dałoby się zastosować do naszego konkursu. Kto słyszał Sztarkmana wykonującego muzykę Prokofjewa, Czajkowskiego grającego Szymanowskiego lub Ringeissena grającego współczesną muzykę francuską, ma po temu zupełną pewność! Ale i ci, którzy z uwagą śledzili przebieg konkursu, nie mogą wątpić, że po większej części mieliśmy do czynienia nie tylko z pianistami, ale z doskonałymi, częstokroć zupełnie dojrzałymi muzykami.

Jeżeli chodzi o ekipę polską, to po raz pierwszy zaprezentowała się ona jako zwarta całość, jako blok dość jednolity i stojący na bardzo wysokim poziomie. Przy bardzo różnorodnym

składzie indywidualnym — ogólny ten poziom świadczył o doskonałym stanie dzisiejszej polskiej pedagogiki pianistycznej, co nie zawsze dawało się skonstatować na dawniejszych konkursach. Chopin naszej szkoły przy tym ma swój osobliwy, nowy, polski wyraz, mocny, zdrowy, jędrny. Daleko odbiegliśmy w swoim chopinizmie od dawnych wzorów, od Śliwińskiego czy Michałowskiego. Świeżość, muzykalność, prostota interpretacji niektórych polskich pianistów budziła szczery zachwyt. Niektóre z tych wykonań na zawsze zostaną w pamięci. Nie darmo też Polak zdobył pierwsze miejsce w konkursie — należała mu się ta nagroda ze wszelkich względów.

Jak to nam odkryła opublikowana po raz pierwszy w dziejach konkursu punktacja, oceny pierwszych nagrodzonych różniły się pomiędzy sobą niewielką ilością punktów. Oznacza to, że poziom na ogół był bardzo wyrównany i jury miało trudne zadanie oceniając kandydatów. Że publiczność miała przy tym czasami inne od jury zdanie — to nie pierwszyzna. Pamiętam, jakie boje staczała ona podczas drugiego konkursu o pierwszą nagrodę dla radzieckiego pianisty, Sagałowa — i to do trzeciej godziny nad ranem! W tym roku ekipa radziecka wystąpiła w nieco słabszym niż zazwyczaj składzie — dając nam jednak znakomitą interpretację muzyki Chopina, opartą na najlepszych wzorach i na wspaniałej radzieckiej pedagogice Igumnowa, Goldenweisera i Neuhausa. Chopin pianistów radzieckich jest miększy, bardziej liryczny niż ten, którego nam dają Polacy. Charakterystyczne jest, że wszyscy Rosjanie grali koncert f-moll, o tyle bardziej romantyczny od koncertu e-moll.

Zupełnie osobną kartę w konkursie ma chiński pianista, Fu Tsung, któremu jednogłośnie przyznano także specjalną nagrodę za mazurki. Cała subtelność starej kultury, cała gama odczuć i przeczuć odbiła się na tej nieco może nawet zbyt skomplikowanej grze. Ktoś powiedział żartami, że u Fu Tsunga każda szesnastka zagrana jest inną barwą. Coś w tym jest z prawdy i jeżeli piszącemu te słowa wolno popełnić herezję, to zdobędę się na określenie, że dla mnie mazurkom w wykonaniu Fu Tsunga brakowało prostoty.

Obfitość muzyki, jakiej zaznaliśmy w tych zadziwiających tygodniach, zawdzięczamy również członkom jury, wśród których znalazło się mnóstwo najpierwszorzędniejszych artystów. Koncerty Oborina, Zaka (programy!), Magdy Tagliaferro, Flory Guerra, Artura Michelangeli Benedetti, Stefana Askenaze przejdą do historii koncertów warszawskich. A odbywały się one prawie dzień po dniu. Cóż to było za osobliwe zjawisko ów konkurs i owe koncerty na szarym niebie naszego zwyczajnego i raczej ubogiego życia muzycznego Warszawy!

Wiech nazwał konkurs chopinowski „wyścigiem na fortepianie". Jeden z rozentuzjazmowanych recenzentów paryskich napisał o uczestniku innego wprawdzie konkursu: „Jest to prawdziwy Zatopek fortepianu." W sportowym aspekcie tej imprezy czai się duże niebezpieczeństwo: czasami Filharmonia przypominała Halę Mirowską w czasie zawodów bokserskich o mistrzostwo Europy. Niewiele brakowało, aby pod adresem jury padły klasyczne słowa: „Sędzia kalosz!" Ten sportowy aspekt odbił się również na wykonawcach. Czasami słuchając etiudy F-dur zdawało się, że rzeczywiście chodzi tu o wyścig, kto prędzej. Polonezy były w s z y s t k i e przegonione i pianista włoski otrzymał odznaczenie za wykonanie Poloneza As-dur dlatego jedynie, że zagrał go w należytym tempie, po prostu jak poloneza. Inni wykonawcy aż nazbyt dosadnie przypominali nam, że żyjemy w epoce kawalerii zmotoryzowanej. Nerwy niektórych kandydatów nie wytrzymywały tego sportowego dopingu — i kto wie, czy nie będziemy musieli gorzko żałować pewnych nierozważnych kroków, uczynionych pod wpływem sportowego traktowania nagród i „zawodników".

Na szczęście konkursy chopinowskie odbywają się co pięć lat, nawet co sześć, skoro poprzedni przypadał na rok 1949. Zmniejsza to inne ich niebezpieczeństwo, wcale poważne: ograniczenia całego wykształcenia naszej młodocianej pianistyki do wykonywania muzyki Chopina. Wielkie to niebezpieczeństwo. I chociaż wiadomo, że bez uprzedniego studiowania Bacha nie wykona się dobrze Chopina, a bez Chopina nie zagra się dobrze Debussy'ego — to jednak istnieje obawa o to, że nasi najmłodsi pianiści, nastawieni od razu na konkurs, zapominają, że Cho-

pin wprawdzie jest genialnym kompozytorem, encyklopedią fortepianu — ale obok niego istnieje Bach, Mozart, Beethoven, Brahms, Reger i Szymanowski... Członkowie jury programami swoich koncertów starali się to nieustannie przypominać. Czy ich nauka została zrozumiana?

Czy nie dałoby się to skorygować w samym programie konkursu? Czy nie celowe byłoby rozszerzenie ram repertuaru na całą muzykę romantyczną, współczesną chopinowskiej? Czy przynajmniej wśród koncertów wykonywanych na trzecim etapie nie mogłyby znaleźć się: koncert Schumanna, dwa koncerty Liszta, dwa koncerty Mendelssohna?

Takie to wątpliwości — i wiele jeszcze innych — nasuwają rozmyślania pokonkursowe. Wrażenia pozytywne przeważają. Mimo wszystko konkurs swym frenetycznym nastrojem wydobywa czasami z artystów nagły skok, nagłe „objawienie" — że użyję tu wyrażenia z *Elektry* Giraudoux — indywidualności odtwórczej, momentalne zsumowanie możliwości i uchwycenie maksimum swoich możliwości. Tak „objawiła się" na poprzednim konkursie Czerny-Stefańska, na tym niewątpliwie „objawił się" Ringeissen, ku swemu własnemu podziwowi i zniecierpliwionemu zdumieniu jego profesorki, pani Marguerite Long. Od tych „objawień" może lepsza jest solidna, męska, obmyślana gra takiego Sztarkmana — pełna zresztą młodości i porywu — lub zachwycająca muzykalność Harasiewicza.

Najdziwniejszą cechą tego konkursu była obfitość różnorodnych indywidualności, barwność możliwości interpretacyjnych, bogactwo charakterów i temperamentów. Tak, to było wielkie zdarzenie, ten konkurs, potwierdzenie olbrzymich zasobów, jakie drzemią w człowieku, potwierdzenie głębokich radości, jakie przynosi doskonałość sztuki. I potwierdzenie przy tym zespalającego, scalającego jej działania.

ji

AKTUALNE ZAGADNIENIA PROZY RADZIECKIEJ

Ożywiona dyskusja nad problemami prozy, która toczyła się przed grudniowym zjazdem i na samym zjeździe — trwa nadal.

W *Uwagach o prozie 1954 roku* (tytuł artykułu — *Literatura wkracza w życie; „Litieraturnaja Gazieta"* z 22 i 24/III) Z. Kiedrina podkreśla polemiczny charakter prozy ostatniego roku, nazywając ją pewnego rodzaju trybuną przedzjazdową.

„Atmosfera burzliwego wzrostu aktywności społecznej — pisze Kiedrina — szeroko pojęte rozwijanie krytyki i samokrytyki, zwróconej swym ostrzem przeciwko wszelkiemu lakiernictwu — wszystko to znalazło odbicie w postaci uporczywych poszukiwań i prób pogłębienia realizmu..."

Na przykładzie kilku większych utworów prozatorskich z ubiegłego roku (*Odwilży* Erenburga, *Poszukiwaczy* Granina, *W rodzinnym mieście* Niekrasowa i in.) Kiedrina ilustruje twierdzenie o polemicznym charakterze prozy ostatnich czasów. Erenburg polemizuje m. in. z tradycyjnym w literaturze przedstawianiem postaci pozytywnego bohatera — dyrektora zakładów przemysłowych.

W rodzinnym mieście Niekrasow polemizuje z tradycyjnym ujmowaniem w prozie motywu powrotu żołnierza z frontu do normalnego życia i pracy w społeczeństwie. Utwory Owieczkina, Tendriakowa, a zwłaszcza Nikołajewej wniosły do prozy radzieckiej gorący oddech polemiki w sprawach wsi i rolnictwa. W utworach tych, zwłaszcza w *Opowieści o dyrektorze MTS i o naczelnym agronomie* Nikołajewej — nad tendencją demaskatorską góruje afirmacja pierwiastka pozytywnego (np. postać cichej, skromnej, ale nieustępliwej, nieprzejednanie walczącej dziewczyny, Nasti Kowszowej, naczelnego agronoma). We wszystkich utworach o tematyce wiejskiej wzrasta ciężar gatunkowy pierwiastka pozytywnego, bohaterskiego.

Omawiając sprawy ukazania w prozie indywidualności ludzkich Kiedrina

porusza budzący spory problem tzw. „linii osobistej“ w powieści. Był czas, kiedy redaktorzy wydawnictw redukowali do minimum „linię osobistą“ — rzekomo dla dobra motywów zaczerpniętych z zawodowej działalności bohatera. Potem przyszło nie mniej nieuzasadnione i nierozsądne dążenie do unikania zagadnień „produkcyjnych“ w powieści.

„Nie zdążywszy jeszcze stworzyć powieści o twórczej pracy klasy robotniczej — pisze Kiedrina — pośpieszyliśmy się, by unicestwić nieliczne osiągnięcia na tym polu. Krytycy z pasją pisali o zubożaniu indywidualności człowieka radzieckiego, gdy się go ukazywało w pracy.“

Zdaniem Kiedrinej — skutki takiego krańcowego przedstawienia się prozaików okazały się niefortunne. Powstało wiele utworów obyczajowych, pisanych ręką autorów mających zupełnie odmienne upodobania i uzdolnienia.

Kiedrina zalicza do takich utworów powieść A. Beka *Młodzi,* a zwłaszcza nową powieść W. Koczetowa *Młodość z nami.* „Koczetow — pisze Kiedrina — wpadł w polemiczną krańcowość, biegunowo przeciwstawną powieści «produkcyjnej». Napisał również powieść na tematy moralne, które traktuje w oderwaniu od konkretnej działalności zawodowej bohaterów. Koczetow zajmuje się człowiekiem jako takim, poza sferą zawodowo-produkcyjną.“ Podobnie przedstawia się ta sprawa w innych utworach: postać bohatera traci rumieńce życia, blednie — gdy się ją całkowicie odrywa od działalności zawodowej i społecznej. Dla ilustracji tej tezy Kiedrina przytacza analizę postaci Iwana Arżanowa z *Przyjaźni* A. Koptiajewej, ostatniej powieści ze znanego cyklu *Iwan Iwanowicz.*

„W ten sposób — konkluduje Kiedrina — hałas, wszczęty rzekomo w obronie człowieka (przed jego zawodem, jego sprawą!), przyniósł szkodę właśnie temu, co ludzkie w postaci literackiej...“

Za znaczny brak w polemice przedzjazdowej Kiedrina uważa niedocenianie tradycji i doświadczeń klasycznej literatury rosyjskiej i radzieckiej, które prozaicy powinni twórczo kontynuować. Wiele uwagi poświęciła Kiedrina zagadnieniom kunsztu pisarskiego, sprawom kompozycji powieściowej itd.

Charakter przeglądu rocznego posiadają również inne artykuły krytyczne.

Problemami prozy narodów ZSRR ostatniego okresu zajął się J. Karasjew w artykule *Naczelne zadania* (*„Nowyj Mir“* Nr 3/55). Podkreśliwszy jej wielkie osiągnięcia Karasjew na przykładzie kilku opowieści (pisarza łotewskiego, A. Grigulisa — *Na ulicy Lenina płonie światło,* prozaika turkmeńskiego, B. Sejtakowa — *Światło Moskwy* i N. Iliakowa — Maryjska Autonomiczna SRR — *W maryjskim lesie)* stara się udowodnić, że ich autorzy uprościli sobie zadania twórcze: pokazali tylko sukcesy swoich bohaterów, natomiast nie odsłonili, w jaki sposób, dzięki jakim cechom charakteru ich bohaterowie do tych sukcesów doszli. Na przykładzie powieści azerbejdżańskiego prozaika, M. Sulejmanoka — *Tajemnica wnętrza ziemi* — Karasjew ilustruje twierdzenie, że niektórzy pisarze, jeśli nawet nie unikają odtwarzania konfliktów i piętrzących się przed bohaterami trudności, to jednak na tym tylko właściwie poprzestają, nie wnikając, w jaki sposób bohater przeszkody te przezwycięża i jakie procesy rozwojowe przy tym przechodzi.

Tak więc w twórczości literackiej narodów ZSRR jeszcze ciągle aktualny jest problem przezwyciężenia bezkonfliktowości. „Teoretyczny spór w sprawie bezkonfliktowości — zamyka tę myśl Karasjew — w sprawie lakiernictwa w literaturze, zdawałoby się już rozstrzygnięty — w praktyce twórczej jednak trwa nadal. Polemikę tę wiodą ze sobą dzieła wiernie i prawdziwie odtwarzające życie w całej jego pełni i złożoności — z takimi utworami, w których jeszcze daje się wyczuć uproszczone ujmowanie rzeczywistości.“

Artystyczne odkrycie świata — to tytuł syntetycznego artykułu W. Ozierowa (*„Litieraturnaja Gazieta“* z 17.III). Zdaniem autora artykułu — artystyczno-poznawcze znaczenie książki, decydujące o jej długowieczności, zależy od tego, czy przynosi ona czytelnikowi artystyczne odkrycie świata, rzeczywistości.

Czytelnika nie zadowala utwór, w którym nie znajduje ani ważkich zagadnień życiowych, ani nowego, tchną-

cego świeżością poglądu na znane mu sprawy, tym bardziej nie mogą dać mu zadowolenia książki z dawno przebrzmiałymi pseudoproblemami, z szablonowo ujętymi, drobnymi konfliktami. Nie jest to jednak tylko sprawa tematyki. „Odkrycie artystyczne — pisze Ozierow — to nie zwykłe sięgnięcie po świeży, dotychczas nie zbadany temat. Dokonując odkrycia nowej dziedziny życia pisarz odkrywa zarazem nowy kontynent poetycki. Odtwarzająca nową rzeczywistość literatura radziecka rozwija bogactwo nowatorstwa artystycznego." Sprawy te wiążą się ze sobą nierozerwalnie. I jeszcze jedno. Nowy temat rodzi nie tylko nowatorstwo artystyczne, ale i nową myśl badawczą w dziedzinie poznania człowieka. „Przecież — czytamy w artykule Ozierowa — naszemu sercu bliskie są nie tylko odkrycia nowych przejawów rzeczywistości, lecz także odkrycia psychologiczne."

Zagadnieniu konstrukcji postaci powieściowych, sprawie charakterystyki bohaterów — prasa literacka poświęca nadal wiele uwagi. W essayu *O analizie psychologicznej w prozie powojennej* („*Zwiezda*", Nr 2/55) A. Szyszkina podkreśla, że dla rozwoju psychologicznej analizy w prozie radzieckiej istotne znaczenie posiadają tradycje klasycznego wizerunku postaci w twórczości Lwa Tołstoja. Między metodą twórczą Tołstoja a twórczością prozaików radzieckich mamy jednak bardzo ważny etap rozwojowy w doskonaleniu psychologicznego obrazu postaci — twórczość i działalność krytyczno-literacką Gorkiego.

„Gorki — czytamy w artykule Szyszkinej — głęboko pojął, że duchowy rozwój bohaterów nie może być procesem (tołstojowskiego — J. S.) samodoskonalenia się, natomiast może odbywać się na gruncie realnej rzeczywistości, pod wpływem faktów i wydarzeń z życia społeczeństwa. Gorki wspaniale odsłonił te przodujące tendencje życia, które kształtują pozytywnego bohatera." Oczywiście, twórcze kontynuowanie tradycji tołstojowskiej analizy psychologicznej wymaga stosowania tych metod w zależności od rodzaju i charakteru talentu twórcy. Tak więc prawidłowy i uzasadniony jest rozwój wielokierunkowych dróg analizy psychologicznej — w zależności od indywidualności twórczej pisarza. Zjawisko to — różnorodność dróg analizy psychologicznej — stanowi o sile i bogactwie prozy radzieckiej.

Szyszkina ilustruje tę tezę przykładami sylwetek twórczych tak różnych indywidualności pisarskich, jakimi są — Polewoj i Panowa. Autora *Opowieści o prawdziwym człowieku* pobudza twórczo sprawa oddziaływania życia społecznego na kształtowanie charakteru postaci; pisarz ten po mistrzowsku, precyzyjnie maluje proces kształtowania bohaterów w społeczeństwie radzieckim. Autorkę *Jasnego brzegu* interesuje natomiast zagadnienie „sylwetki duszy" bohatera, „zarysów" jego charakteru. Byłoby ze strony krytyków — argumentuje Szyszkina — rzeczą niewłaściwą narzucać pisarzom inną, obcą, metodę analizy psychologicznej: Polewojowi proponować na przykład odsłanianie „dialektyki duszy", Panowej zaś radzić, by zrezygnowała z właściwej swojemu pióru subtelności rysunku psychologicznego.

Zdaniem Szyszkinej — najwybitniejsze utwory radzieckiej prozy powojennej, pióra pisarzy starszego pokolenia (K. Fiedina *Pierwsze porywy* i *Niezwykłe lato*, *Szczęście* P. Pawlenki, autobiograficzna tetralogia F. Gładkowa, *Rosyjski las* L. Leonowa, powieści W. Łacisa i in.) — prócz szerokiego ujęcia życia, ważkości postawionych zagadnień — cechuje wszechstronna znajomość losów i charakterów ludzkich, plastyczny i oryginalny artyzm w przedstawianiu postaci. Również i niektóre dzieła prozy młodych pisarzy świadczą o ich twórczych poszukiwaniach na polu odtwarzania wewnętrznego świata bohaterów.

Niemniej jednak — pisze Szyszkina — „dotychczas pozostało wiele niewyjaśnionych specyficznych właściwości analizy psychologicznej. Przede wszystkim zaś nie zbadano, w jaki sposób w określonej manierze analizy psychologicznej przejawiają się zasadnicze właściwości metody literatury radzieckiej, nie wyjaśniono, na czym polega nowatorska istota charakterystyki psychologicznej u pisarzy radzieckich."

Zdaniem Szyszkinej — pisarze radzieccy zawsze uwypuklali w pozytywnych bohaterach siłę myśli. „Gorki (cytuję Szyszkiną) scharakteryzował

bohatera literatury radzieckiej jako «człowieka świat pojmującego» i przeciwstawił go człowiekowi świat wyczuwającemu. W ten sposób zaakcentował decydujące znaczenie momentów intelektualnych w duchowym życiu bohatera, uwypuklił perspektywiczność, głębię i moc ludzkiego myślenia. Cały rozwój literatury radzieckiej dobitnie świadczy, że Gorki wysunął to, co istotnie dla wewnętrznego życia jest najbardziej zasadnicze".

Szyszkina wyraża pogląd, że błąd w pojmowaniu tej istotnej sprawy tkwi w tym, iż „wzniosłą ideowość, przodujący światopogląd bohatera najczęściej traktujemy w płaszczyźnie ideologicznej, ale bynajmniej nie zawsze pojmujemy je jako kategorię psychologiczną, jako cechę wytyczającą całą strukturę duchowego życia bohatera, określającą prawa rozwoju jego świata wewnętrznego i sam proces psychologiczny".

W istocie rzeczy — porywający rozmach działalności bohatera, wzniosłość i szlachetność jego uczuć — wszystko to wiąże się jak najściślej, stapia z perspektywicznością myśli, z szerokim ujmowaniem rzeczywistości, z ideologicznym uświadomieniem. Nie zawsze jednak pisarze potrafią ująć te cechy duchowego życia bohaterów w ścisłym powiązaniu z właściwościami ich umysłu. Zdaniem autorki artykułu — niektórzy prozaicy zapominają o tym, że aktywną naturę analizy psychologicznej w literaturze radzieckiej określają swoiste właściwości pozytywnego bohatera tej literatury, wytyczają jego stosunek do życia, jego aktywność w zmaganiach nowego ze starym, jego uporczywą walkę o doskonalenie własnego świata duchowego, o wzbogacenie własnych myśli i uczuć. „Jednakże — pisze Szyszkina — tę właściwość analizy niekiedy traktuje się w sposób uproszczony, siłę jej oddziaływania redukuje się tylko do bezpośrednich związków pomiędzy przejawami życia duchowego a czynami i działaniem ludzi; przecież więź ta znajduje również wyraz w sugestywnym i aktywnym ustosunkowaniu się bohatera do procesów zachodzących w jego własnym świecie duchowym." I nieco dalej: „Bohater myśli i czuje tak samo aktywnie, jak aktywnie wkracza we wszystkie wydarzenia otaczającego go życia. I ta właśnie aktywna pozycja nadaje obrazom jego wewnętrznego życia swoiste piętno i zabarwienie".

Analiza psychologiczna jest jednym z najtrudniejszych — wyłaniających się przed prozaikiem — zadań twórczych. By jaśniej i precyzyjniej przeanalizować błędy pisarzy w tej dziedzinie, Szyszkina poddaje rozbiorowi niektóre interesujące, napisane z talentem utwory prozatorskie (np. *Białą brzozę* Bubiennowa, *Kierowców* Rybakowa). W czym głównie upatruje Szyszkina błędy autorów wymienionych powieści, jeśli chodzi o obraz psychologiczny postaci powieściowych? „Gdy — pisze Szyszkina — porównamy szeroko rozwinięte monologi Wiertilina i Kanunnikowa z powieści Rybakowa i Jerofieja Kuźmicza z powieści Bubiennowa — z pobieżnymi i nie zawsze wyrazistymi dygresjami na temat świata wewnętrznego pozytywnych bohaterów, to jasne się stanie, iż pisarze po prostu nie mają nic do powiedzenia na temat uczuć swoich pozytywnych bohaterów."

Aby zdemaskować utajone cechy typów ujemnych, Rybakow i Bubiennow stosują różnorodne i wielorakie subtelne chwyty i metody analizy psychologicznej (w szczególności Szyszkina omawia znaczenie monologów wewnętrznych dla zdemaskowania tych postaci). Natomiast przeżycia bohaterów (Polakowa z *Kierowców*, Łopuchowa z *Białej brzozy*) ich autorzy podają skąpo i lakonicznie, mniej wnikliwie i analitycznie, zaś monologi wewnętrzne bohaterów są przeważnie zbędnymi komentarzami najprostszych i skądinąd zrozumiałych przeżyć.

Inaczej postąpił Ażajew w powieści *Daleko od Moskwy*. Batmanowa — pod względem precyzji obrazu i trafności analizy psychologicznej — Szyszkina zalicza do najbardziej udanych postaci bohaterów stworzonych w powojennej prozie radzieckiej. Zdaniem Szyszkinej — Ażajew nie odsłonił jednak w całej pełni świata uczuć Batmanowa. Znakomite postacie — tak pozytywne jak i negatywne — stworzył Fiedin w swojej dilogii *Pierwsze porywy* i *Niezwykłe lato*.

Pod innym kątem widzenia potraktował sprawy wizerunku psychologicznego w prozie radzieckiej nowelista

E. Worobiew w artykule *Bohater i jego przeciwnik* („*Litieraturnaja Gazieta*" z 1.III.). Worobiew wychodzi z założenia, że bez głębokiego wniknięcia w psychikę zarówno pozytywnego bohatera, jak i jego przeciwnika — nie jest możliwe odtwarzanie ostrych konfliktów życiowych. Istota rzeczy tkwi w tym, iż im silniejszy i niebezpieczniejszy jest przeciwnik pozytywnego bohatera, tym większej wartości w oczach czytelników nabierają czyny bohatera, tym wierniej oddają istotę i atmosferę walki bohatera ze złem.

„Walka ta — pisze Worobiow — wymaga maksymalnego napięcia sił duchowych i fizycznych. Łatwo jest pokonać głupkowatego i rachitycznego przeciwnika. Trudniej jednak jest przechytrzyć chytrego, osłabić silnego, unieszkodliwić zaborczego, przegadać w dyskusji rozumnego, prześcignąć chyżego, przekonać uparciucha, rozszyfrować obłudnika, którego kajanie się jest pseudoskruchą, którego szczerość jest robiona, a delikatność — fałszowana. Zupełnie tak samo, jak niepotrzebny nam jest jakiś wyjałowiony „bohater idealny", nie potrzeba nam „idealnego nicponia".

Zdarzają się takie anemiczne postacie ujemne, które już zawczasu demonstrują własną nicość w porównaniu z bohaterem, a padają, zanim bohater zdąży takiego osobnika uderzyć na serio. Oczywiście — zdaniem Worobiowa — jest to niedopuszczalne. „Nasz bohater — cytuję Worobiowa — nie powinien łudzić się co do prawdziwej siły swoich wrogów. Możliwe, że będzie musiał z nimi... polemizować, sprzeczać się, będzie musiał ich nienawidzić, a może nawet staczać z nimi boje."

Najlepsze utwory literatury radzieckiej, a więc i ich autorzy — nie bagatelizują wroga, nie czynią go słabszym, głupszym, mniej niebezpiecznym, niż jest w istocie; nie ukrywają, jakich kolosalnych ofiar wymaga jego pokonanie. Wielcy prozaicy (np. Fadiejew w *Klęsce)* bynajmniej nie obawiają się, że ogrom ofiar może zmniejszyć ładunek optymizmu. „Probierzem bijącego z utworu optymizmu — czytamy w artykule Worobiowa — jest nie to, ile postaci przeżyło do końca, lecz ile zginęło. Optymizm utworu, nawet w tych wypadkach, kiedy bohaterów spotkał tragiczny los, mierzy się tym, wśród ilu czytelników utwór wzbudzi żarliwe pragnienie naśladowania mężnych bohaterów powieści, bez względu na to, czy zginęli, czy ocaleli — mierzy się ilością czytelników, którzy poczują się spadkobiercami ich chwały."

Chodzi o to, że pomniejszanie i ogłupianie wrogów (przez „zapobiegliwego" autora) nie przysparza sławy jego bohaterom, nie zachęca do ich naśladowania, a zatem unicestwia ideowo-wychowawczy wpływ książki.

Oczywiście, w książkach o tematyce antyimperialistycznej bohater radziecki ma do czynienia z wrogiem klasowym, z którym ściera się w konflikcie antagonistycznym. Przeważnie sferą działania współczesnego bohatera pozytywnego jest bezklasowe społeczeństwo radzieckie, w którym jednak rodzą się, istnieją i zamierają sprzeczności nieantagonistyczne, wynikające z różnicy poziomów ideologicznych, etycznych itp. Przy konstruowaniu galerii postaci pisarz powinien pamiętać o tych prawdziwych sprzecznościach życiowych.

„Owa cudowna temperatura — rozwija tę myśl autor — w której hartują się charaktery, dojrzewają i rosną bohaterowie, może zrodzić się tylko w warunkach istnienia różnic w poziomie ideowym i rozwoju duchowym postaci książki lub sztuki, istnienia różnic w pojmowaniu i odczuwaniu przez nich świata. Wyłącznie w sytuacjach skomplikowanych, najeżonych trudnościami, a niekiedy nawet tragicznych, w życiu kipiącym dynamizmem — charakter bohatera może doznać potężnego impulsu do wzlotu, do bohaterskiego porywu."

Tezę tę Worobiow ilustruje przykładami. Twierdzi mianowicie, że bohater *Rosyjskiego lasu* Leonowa, Wichrow, wiele straciłby w oczach czytelników, gdyby autor nie wyposażył jego przeciwnika, Gracjańskiego, w silny intelekt, niebezpieczny charakter utalentowanego demagoga, zakamuflowanego spryciarza, maskującego się najbardziej wzniosłymi ideami moralnymi i pojęciami naukowymi. Postać Gracjańskiego stała się tak wyrazista i artystycznie przekonywająca dzięki temu, iż Leonow śmiało zapuścił sondę w zakamarki jego duszy. Nie ma to jednak nic wspólnego z naturalistycz-

nym badaniem duchowego wnętrza przeciwnika bohatera. Worobiow zastrzega się: „Nie pragniemy i nie bębędziemy nadużywać pseudopsychologizowania, grzebać się w nieczystościach czyjejś duszy. Ale ponieważ bogactwo duszy, szlachetność charakteru naszego bohatera przejawiają się w walce z przeciwnikiem ideowym — niechże więc czytelnik ma przed oczyma obraz jego przeżyciątek i namiętnostek, ohydy jego myślątek i bagna jego uczuć."

Czasami nawet nie szkodzi, gdy przeciwnik bohatera w pojedynku z nim odniesie chwilowy sukces, gdy bohater nie od razu pozna się na truciźnie wrogiej psychiki przeciwnika, nie od razu go przejrzy, lecz popełni jeden czy drugi błąd. Zdaniem Worobiowa — tym bardziej przekonywające będzie ostateczne zwycięstwo bohatera, triumf prawdy.

Autor ponosi całkowitą odpowiedzialność za tę walkę, za ideowy ładunek swojego dzieła, za to, czy bohaterowie porwą za sobą czytelników, czy książka wznieci nienawiść do wroga, pobudzi wolę walki ze złem.

Z tym wiąże się sprawa stosunku autora do jego postaci. „Autorzy pozbawiają wielu naszych bohaterów nieodzownej im wewnętrznej swobody. Są oni mocno skrępowani w swoich czynach. Czytelnicy takich książek przez cały czas odczuwają obecność autora, jego natrętne wtrącanie się, ciągle widzą białe nitki, którymi pisarz szyje swoich bohaterów." Jeszcze gorzej przedstawia się sprawa, gdy chodzi o postacie negatywne. Są one tylko ślepymi, schematycznymi wykonawcami poleceń autora, są u niego „na posługi", nie zawsze działają zgodnie z własnym charakterem. Nie przyczynia się to bynajmniej do zwiększenia siły ich artystycznego oddziaływania.

Worobiow cytuje pogląd na te sprawy takiego mistrza prozy, jakim był Aleksy Tołstoj: „Utwór artystyczny powinien wyrastać wraz z rozwojem jego twórcy. Co to znaczy? To znaczy, iż pisarz maluje jakieś postacie, wyposaża je w słowa, czyny, starcia. Postacie te zaczynają żyć. Rozpoczynają życie tak dalece samodzielne, iż często pociągają za sobą także nawet ich twórcę — pisarza. «Diabli nadali! Według zamierzonego planu przecież powinno było być tak, a tymczasem, proszę, co z tego wychodzi.» I to właśnie jest bardzo dobrze, oznacza bowiem, iż dzieło artystyczne stało się utworem prawdziwym, nabrzmiało sokiem, życiem, krwią. Od tego właśnie momentu zaczyna być naprawdę zajmującym utworem. Ja w transie pisania sam nawet nie wiem, co powie bohater w najbliższych pięciu minutach, sam przyglądam mu się zdziwiony."

Józef Spinc

JEAN FREVILLE O KLASYKACH MARKSIZMU

Nakładem „Editions Sociales" wyszedł w Paryżu wybór tekstów Marksa i Engelsa o literaturze i sztuce *, poprzedzony przedmową Maurice Thoreza i studium wstępnym autora wyboru, Jean Freville'a, pioniera krytyki marksistowskiej na gruncie francuskim. (W 1936 r. wydał pierwszy we Francji zbiór tekstów Marksa i Engelsa *O literaturze i sztuce*, a w rok potem analogiczny wybór pism Lenina i Stalina).

Układ tekstów w nowej antologii Freville'a, wzbogaconej osiągnięciami wydania niemieckiego z 1948 r., jest problemowy, przejrzysty i logiczny. Teksty ugrupowane są w ośmiu rozdziałach (1. *Materializm historyczny a ideologiczne nadbudowy*, 2. *Narodziny i rozwój sztuki*, 3. *Sytuacja pisarza*, 4. *Literatura i sztuka odzwierciedleniem warunków społecznych*, 5. *Przeciw drobnomieszczańskiemu idealizmowi*, 6. *Przeciw reakcyjnemu nurtowi w romantyzmie*, 7. *O realizm*, 8. *O literaturę rewolucyjną*) w sposób obrazujący bieg myśli

* Karl Marks, Friedrich Engels: *Sur la littérature et l'art*, „Editions Sociales". Paris 1954.

Marksa i Engelsa od naukowej koncepcji poznawalności świata do poznawczych właściwości literatury, od koncepcji ideologii, która staje się siłą materialną, z chwilą gdy ogarnia masy — do roli literatury i sztuki w kształtowaniu rzeczywistości. Obszerne, stustronicowe studium wstępne Freville'a jest „wzorem zwięzłości i jasności, można powiedzieć — pierwszym we Francji klasycznym wykładem zasadniczych problemów estetyki marksistowskiej."

Praca Jean Freville'a ma na celu przybliżenie czytelnikowi francuskiemu poglądów klasyków marksizmu na literaturę i sztukę, co w chwili, w której — jak pisze w przedmowie Maurice Thorez — „ciągle wzrasta liczba intelektualistów rwących się do służby sprawie proletariatu", jest niezmiernie istotne. Ale nie tylko o to chodzi Freville'owi. Tak studium wstępne, jak i sam wybór tekstów (z których wiele tłumaczonych jest po raz pierwszy na język francuski) są polemiczną wypowiedzią Freville'a, skierowane przeciw teoretykom literatury i sztuki, którzy twórczość arstystyczną usiłują oderwać od życia, i przede wszystkim przeciw wulgaryzatorom marksistowskich teorii artystycznych, którzy, choć w innej formie, czynią w istocie to samo. Pozwolę sobie zatrzymać się na trzech zagadnieniach wydobytych przez Freville'a, a mianowicie na kwestii tendencyjności i polityczności w utworach literackich, na znaczeniu ich formy artystycznej oraz na zagadnieniu wolności twórcy i dogmatyzmie.

„Według Engelsa — pisze Freville — wszystkie arcydzieła literackie dają wyraz pewnej koncepcji świata, wyrażają określoną postawę wobec ustroju społecznego, krytykę, pragnienie, tendencję." Ale tendencja ma wynikać z dzieła, które przemawia i przekonywuje siłą przedstawianego materiału. Źle się natomiast dzieje, gdy „tendencja miast wypływać z rzeczywistości pretenduje do posługiwania się rzeczywistością dla własnego użytku", gdy „miast ukazywać życie usiłuje wykazywać słuszność tez". Za taką właśnie tendencyjnością pisarz, któremu brak talentu, próbuje ukryć swą słabość i zdobyć czytelników dla swego miernego pisarstwa. Ani Marks, ani Engels nie uznawali pozbawionej wartości artystycznych literatury propagandowej — pisze Freville. Niektórzy „marksiści" usiłują wmówić, że wartość dzieła literackiego trzeba oceniać głównie z punktu widzenia ideologii, jaką wyraża. Że utwór literacki, jakkolwiek piękna byłaby jego forma artystyczna, niewiele znaczy, gdy fałszywa jest jego treść ideoloigczna. Dowodów na istnienie takich poglądów nie trzeba daleko szukać, wystarczy choćby przypomnieć, że w podręcznikach historii literatury w naszych szkołach więcej jest listów działaczy rewolucyjnych niż wierszy poetów i że uczniowie umieją, gorzej lub lepiej, ocenić ideologię pisarza, nie mają natomiast pojęcia o kryteriach artystycznych.

„Dzieło sztuki — mówi Freville — wzbudza podziw i żyje tylko dzięki swej wartości artystycznej... Zasady, jakie głosili Marks i Engels, dalekie od jej pomniejszania i spychania na dalszy plan, zmierzają do powiększania i wywyższania formy artystycznej". Oto co pisze na ten temat Marks:

„Praca Proudhona *Istota własności* jest pierwszym i niewątpliwie najlepszym jego dziełem. Jeżeli nie stanowi wydarzenia dzięki swej treści, jest nim dzięki nowemu i śmiałemu ujęciu starych prawd... Praca Proudona odznacza się nadto bardzo jędrnym stylem. Styl tej pracy uważam za główną jej wartość. W ściśle naukowej historii ekonomii praca jego mogłaby być całkiem pominięta. Ale sensacyjne książki, jak ta, odgrywają swoją rolę i w nauce, i w literaturze beletrystycznej. Przypomnijmy sobie choćby pracę Malthusa o «przeludnieniu». W pierwszym wydaniu jest to wyłącznie «sensacyjny pamflet» i na dodatek plagiat od początku do końca. A jednak ten paszkwil na rodzaj ludzki wywarł ogromne wrażenie."

Freville przestrzega przed traktowaniem tekstów Marksa i Engelsa jako recept i dogmatów. Byłoby to sprzeczne z istotą marksizmu, który wytycza linie przewodnie, lecz nie daje bynajmniej gotowych przepisów na rozstrzygnięcie poszczególnych problemów. Być marksistą „to znaczy walczyć przeciw ideologom, którzy usiłują oderwać sztukę od realnej rzeczywistości społecznej, żonglują koncepcjami, zamykają człowieka w abstrakcjach, fałszują i wymyślają fakty dla dowiedzenia własnych tez. Uproszczenie, dogmatyzm tak w krytyce literackiej, jak i w twórczości artystycznej, są świadectwem bezsilności krytyka i artysty przed złożonością realnych zjawisk, przed różnorodnością i bogactwem życia... Każde-

mu dziełu, którego forma i treść narzucone są z zewnątrz, grozi konwencjonalny schematyzm, objaw słabości ideowej i artystycznej. Dzieło sztuki rodzi się bowiem w umyśle pisarza, w sercu artysty. Podlega wewnętrznym odczuciom, a nie narzuconym wzorom. Sztuka rozkwita jedynie w cieple twórczej wolności.

Dlatego też Marks i Engels powstrzymywali się zawsze od narzucania zasad estetycznych i komenderowania artystami. Podtrzymywali na duchu i służyli radą rewolucyjnym poetom, ale nigdy nie gwałcili ich natchnienia i talentu."

A oto co pisze na ten temat w roku 1842 sam Marks, oburzony na nowe pruskie prawo cenzuralne:

„Zachwyca was różnorodność i niewyczerpane bogactwo natury. Nie chcielibyście, by róża miała zapach fiołka, ale żądacie, by myśl, najbogatszy wytwór natury, występowała pod jedną tylko postacią. Prawo nakazuje mi powściągliwość stylu, a ja piszę z rozmachem. Szare na szarym, oto jedynie istniejący kolor, kolor cieszący się wolnością. Najmniejsza kropelka rosy w zetknięciu ze słońcem skrzy się nieskończoną gamą barw. Ale słoneczne promienie umysłu bez względu na właściwości i liczbę przedmiotów, w których się załamują, mogą dać jeden jedyny kolor, kolor oficjalny!"

Wszystko to wydaje się tak oczywiste, że wygląda prawie na truizm. Prawda, gdy się ją odkryje, zawsze jest oczywista. Nie zawsze tylko umiemy ją dostrzec i nie zawsze o niej pamiętamy. I dlatego uważam, że podobna antologia bardzo by się i w Polsce przydała.

Jadwiga Kukułczanka

FANTASTYCZNE ŻYCIE JULIUSZA VERNE

W roku 1949, na zamówienie ówczesnego dyrektora Państwowego Instytutu Wydawniczego, Karola Kuryluka, zacząłem przekładać powieść Juliusza Verne'a *Łowcy meteorów*. Prawdę mówiąc, zabierałem się do tej pracy z pewną nieśmiałością i lękiem. Pamiętałem powieści Verne'a z dzieciństwa i wczesnej młodości; ojciec mój, fizyk i filozof, był wielbicielem Verneowskich powieści; na dnie pamięci, wśród niejasnych wspomnień, jakie mi Verne pozostawił, kryło się dużo respektu i coś w rodzaju niepokoju. Czy podołam tej pracy, która wymaga od tłumacza także pewnej znajomości faktów z dziedziny nauk ścisłych?

Ale Juliusz Verne jest pisarzem, który ma zdolność podbijania wyobraźni. Od pierwszych stron, w miarę jak się wgryzałem w tekst, opanowała mnie verneowska atmosfera, klimat, styl. Jest coś zarazem dickenowskiego i france'owskiego w samym wątku fabularnym, w samym jego zawiązaniu, w pomyśle. Dickens powiedział kiedyś, że przede wszystkim interesują go dziwacy. Dziwacy, a więc ludzie opanowani jakąś manią, jakimś gorącym umiłowaniem, pasją, która w oczach bliźnich otacza ich leciutką śmiesznością. Dwóch dziwaków wyobraził sobie Juliusz Verne i kazał im z fanatycznym uporem i miłością trudnić się astronomią. Panowie Forsyth i Hudelson nie mają w tej dziedzinie żadnych istotnych kompetencji. Są dyletantami. Ale ich ambicja i pragnienie sławy (sławy wyłącznie astronomicznej!) wskutek działania przypadku — wydają się w pewnej chwili bliskimi satysfakcji. Tylko że ten sam przypadek równocześnie płata im figla: dając im obu jednakowe szanse, przeciwstawia sobie tych dwóch przyjaciół, psuje ich stosunki, każe im się kłócić o pierwszeństwo dokonania odkrycia, upodabniając dwóch poważnych obywateli — nieomal do dzieciaków skłóconych o prawo do ulubionej zabawki.

Ironia, subtelna i mądra ironia wypełnia karty *Łowców meteorów*. Ironia Verne'a nie jest jednak złośliwością; przeciwnie, dno jej stanowi sympatia i zaciekawienie dla tego, co ludzkie. Gwałtowny i kłótliwy astronom panicznie boi się swej starej służącej; jego przeciwnik i konkurent znajduje się pod silnym wpływem swej 14-letniej córeczki. Genialny uczony, który swymi odkryciami wpływa na losy ludzkości, daje w życiu codziennym dowody najzupełniejszej bezradności.

Cały pomysł powieści jest żartobliwy. Verne daje wyraźnie do zrozumienia, że nie należy brać zbyt poważnie losów czysto złotego, olbrzymiego meteoru, sprowadzonego na powierzchnię naszego globu kapryśnym działaniem Zefiryna Xirdala. Wolno jednak zauważyć, że pisarz daje tu, jakby mimochodem, przenikliwą analizę pewnych zjawisk społecznych. Walka o złoto między dwoma dziwakami przeobraża się bardzo szybko — w zarzewie sporu międzynarodowego. Epizod, opisujący obrady Konferencji Międzynarodowej, specjalnie zwołanej dla sprawy meteoru — to świetna satyra na metody i środki działania dyplomacji w okresie przed pierwszą wojną światową. I jakże zręcznie, jak subtelnie i trafnie ukazuje Verne jedną jeszcze „podszewkę" owych zjawisk: akcję sprytnego bankiera, który i z odkryć wielkiego uczonego, i ze zjawisk astronomicznych, i z ludzkich namiętności, i nawet ze szlachetnego oburzenia naiwnego odkrywcy — potrafi wyciągnąć okazje do śmiałych spekulacji giełdowych oraz osiągania olbrzymich zysków...

Tak więc, w miarę przekładania tej książki, przeobrażałem się w coraz gorętszego entuzjastę Juliusza Verne'a; w skromnej tej na pozór powieści — odnajdowałem coraz to nowe uroki. I ze zdziwieniem przekonałem się, jak bardzo niedoceniany jest Verne przez historyków literatury! Zaglądałem do różnych podręczników francuskich, do opracowań i encyklopedii. Nic w nich nie można znaleźć o Juliuszu Verne, poza zdawkowymi i pustymi kilkuwierszowymi wzmiankami. Powszechnie we Francji ceniony Gustaw Lanson w 1100-stronicowej, gruntownej *Histoire de la littérature française* z r. 1898 poświęca Verne'owi jeden wiersz, a nawet, przepraszam, zaledwie jego połowę! Pisząc na stronie 1061 o Zoli i innych powieściopisarzach-naturalistach, wspomina profesor Lanson, że w dziedzinie popularyzowania eksperymentów naukowych i technicznych twórca *Rougon-Macquartów* „nie jest nawet wulgaryzatorem jak pan Juliusz Verne" *(il n'est même pas vulgarisateur comme M. Jules Verne")*. To wszystko. Lecz twórca podręcznika historii literatury, wydanego ćwierć wieku później, J. Calvet *(Manuel illustré d'histoire de la littérature française*. Paris 1924), pożałował biednemu Verne'owi na 748 stronach nawet i tak lakonicznej wzmianki!

Nieświadoma zmowa milczenia? A przecież Juliusz Verne jest twórcą 105 powieści, które wywarły ogromny wpływ na rozwój literatury, nie tylko młodzieżowej. Powieści przełożonych na niemal wszystkie języki świata, nie wyłączając perskiego i chińskiego. W samym Związku Radzieckim dzieła Verne'a ukazały się od wybuchu Wielkiej Rewolucji w 5.800.000 egzemplarzy, w 22 językach; obecnie, z okazji 50-lecia śmierci pisarza przygotowane zostało nowe, wielkie wydanie zbiorowe, ilustrowane, w 12 tomach — i w blisko 5.000.000 egzemplarzy; czyli że razem w okresie ostatnich lat 40 w rękach czytelników radzieckich znalazło się 10 milionów dzieł twórcy *Dzieci kapitana Granta i Łowców meteorów*. W chwili obecnej wytwórnie radzieckie przygotowują aż trzy filmy, osnute na tle powieści Verne'a; a wybitny pisarz Borysow oddał do druku *vie romancée* pisarza. Co do wpływu na rozwój literatury — oddziaływanie Verne'a było na pewno poważniejsze, niż się zazwyczaj przypuszcza. Wywarł on swymi „antycypacjami" i fantazjami silne wrażenie na Wellsie i Bernardzie Shaw oraz na futurystach. Pomysły takie, jak słynny „napad Marsjan" na ziemię (u Wellsa), czy „nasuwanie czapki lodowej" (w *Genewie* Shawa) — nie byłyby chyba możliwe, gdyby ich nie poprzedziły Verneowskie *Voyages extraordinaires*. W Niemczech rozwinął się pod wpływem Verne'a cały nowy gatunek powieści fantastycznej z Kellermannem na czele. Co do naszej literatury — gotówbym się założyć, że z Verneowskim entuzjazmem dla odkryć naukowych sympatyzował twórca *Emancypantek* i *Faraona*. Że w sposób mniej lub bardziej bezpośredni ulegał urokowi Verne'a — Bruno Winawer. Verne przyczynił się jeśli nie do stworzenia, to do spotęgowania zjawisk literackich związanych z powstaniem nowego typu pisarskiej wyobraźni. W roku 1939 Jean Cocteau odbył wędrówkę naokoło świata w 80 dni, wyraźnie nawiązując do powieści Verne'a.

Obecne uroczystości, związane z 50 rocznicą śmierci Juliusza Verne — są więc częściową naprawą krzywd, wyrządzonych nie tyle przez czytelników (którzy autorowi *Łowców meteorów* pozostają wierni), co przez krytykę. W maju bieżącego roku odbędą się w Paryżu wielkie międzynarodowe uroczy-

stości na cześć Verne'a. Na razie przypomniano jego biografię, która brzmi jak jedna z powieści fantastycznych samego Verne'a, pełna niespodzianek, nagłych zwrotów, nieoczekiwanych wydarzeń, radości i nieszczęść. Już same okoliczności, związane z narodzinami przyszłego pisarza, uderzają „malowniczością". We „Francji kontynentalnej" przyszedł on na świat 8 lutego 1828 roku — na wyspie: na maleńkiej wysepce Feydeau w mieście Nantes. I podobno jako dziecko snuł fantastyczne marzenia o jakimś niezwykłym przebiegu wydarzeń, na przykład o naporze lodowców czy kry, która by przeniosła wyspę Feydeau z biegiem Loary aż ku morzu, a Juliusza uczyniła absolutnym władcą tej wyspy...

Dzieciństwo Verne'a — to spokojny okres rządów „króla bankierów", Ludwika Filipa. Ojciec przyszłego pisarza, solidny adwokat prowincjonalny (jeden z tych prawników, których chętnie portretowałby Balzak) — marzy o sądowej karierze dla swego syna. Juliusz nie sprzeciwia się na razie tym planom; ale wyobraźnię jego już opanowuje namiętność niezwykłych przygód. Ma lat zaledwie 11 (w roku 1839), gdy wyrusza potajemnie na pokładzie trójmasztowca „Coralie" — do Indii. Może tu nie chodziło tylko o same wrażenia podróżnicze? Młodziutki śmiałek przywozi z tej wyprawy olśniewający naszyjnik korali swej ślicznej kuzynce, Karolinie Chateaubourg. Niestety, kuzynka przyjmuje ten dar bez entuzjazmu — a rodzina skazuje małoletniego żeglarza na kilkodniowy areszt o chlebie i wodzie, i zaciągnięcie zobowiązań, że będzie już odtąd podróżował „tylko w marzeniach"...

Istotnie, Juliusz w następnych latach jakby przycichł. W szkole niczym się nie wyróżnia, lekcje przyrodnicze nie przynoszą specjalnej chwały przyszłemu twórcy wielkich powieści popularyzatorskich. Temperament chłopca znajduje ujście tylko w przerwach nauki; nazywają go „królem rekreacji". Napisał wprawdzie tragedię wierszem — dla miejscowego teatru lalek. Ale dyrektor tego teatru przyjął próbę tak chłodno, że Verne nie zapamiętał nawet tytułu pierwszego swego dzieła. Barwniejsze przygody zaczynają się dopiero w okresie studiów uniwersyteckich w Paryżu.

Wspomnieliśmy, że w myśl życzeń rodziny przyszły twórca postaci sprawiedliwego i sceptycznego sędziego Protha z *Łowców meteorów* — miał zostać prawnikiem. Studiował na archaicznej, do dziś istniejącej „Ecole de droit", czyli wydziale prawnym Sorbony. Ale te jurydyczne studia były dla Verne'a, jak dla tylu innych przed nim i po nim, wstępem do kariery... literackiej i teatralnej. Zaczęło się od kontaktów towarzyskich. Verne nie odnosi tu zbyt wielkich sukcesów miłosnych. „Ile razy zakochałem się w jakiejś kobiecie...", wspominał potem, „zostawała ona w ciągu kilkunastu dni żoną któregoś z moich kolegów". Rozgoryczenie spowodowało, że Verne założył nawet „Klub jedenastu kawalerów" („Onze sans femme"). Natomiast życie towarzyskie zbliżyło Verne'a z Victorem Hugo i Aleksandrem Dumasem. Dumas wierzył w zdolności literackie 20-kilkuletniego studenta Wydziału Prawa. Miał duże wpływy w teatrach, poparł więc Verne'a w dyrekcji paryskiego Theâtre Historique. 12 czerwca 1850 roku odbyła się tutaj premiera „komedii wierszem w jednym akcie pana Juliusza Verne" *Les pailles rompues*. Przyszły powieściopisarz-popularyzator konkurował na razie z Mussetem.

Ale kariera autora dramatycznego nie jest, jak się okazuje, zbyt łatwa. Juliusz Verne wystawia wiele swych sztuk — i nie zarabia nawet tyle, by zdobyć środki utrzymania. Wiadomość o tym, że przerwał studia prawnicze — rozgniewała nie na żarty solidnego adwokata w Nantes, Piotra Verne. Wywiązuje się taki sam konflikt, jaki istniał kilkanaście lat przedtem między Balzakiem a jego ojcem. Pan Piotr wstrzymuje wysyłanie dla syna jakichkolwiek środków pieniężnych. Juliusz próbuje się ratować objęciem posady sekretarza teatru... muzycznego. Niewiele to pomaga, chłopiec chodzi głodny, niemal w łachmanach; matka posyła mu po kryjomu trochę pieniędzy i konfitur. Tę niewesołą sytuację przecina niespodziewane wydarzenie. Juliusz Verne jedzie w roku 1856 na ślub jednego z kolegów do Amiens; poznaje siostrę panny młodej, młodą wdowę, Honorynę de Viane. Kilka tygodni potem — żeni się z nią. Ostatni z klubu mizoginów stanął na ślubnym kobiercu.

Trzeba więc myśleć o jakimś poważniejszym zarobku. Teatr, widać to już jasno, nie będzie dla Verne'a złotą żyłą. Ale rozwijają się banki — Juliusz obejmuje posadę agenta giełdowego.

Wywołuje to nowy atak przygnębienia u wiecznego pesymisty, jakim był ojciec pisarza. Zdążył on się już oswoić z myślą, że Juliusz snuje się w środowisku aktorów i dramaturgów; teraz lęka się zmiany i drży na myśl, że jego syn „zatonie w finansach". Poważny mieszczański adwokat starej daty może i nie bez racji lęka się wirów bankowej spekulacji, takiego na przykład sprzedawania kopalń nie posiadanych, jakie ukazywał potem autor *La chasse aux meteores*. Na szczęście Juliusz nie za długo przebywał w świecie giełdziarskim. W tym właśnie czasie zbliżył się do sfer naukowych i zaczął wchłaniać książki przyrodniczo-techniczne. Odnalazł wreszcie prawdziwe swe powołanie.

Biografowie Verne'a opisują scenę, która rozegrała się jesienią 1862 roku u paryskiego wydawcy, Hetzla, przy rue Jacob, w Quartier Latin. Było późno wieczorem, lecz stary księgarz jeszcze pracował i przyjął 35-letniego powieściopisarza. Wziąwszy z jego rąk rękopis powieści *Pięć tygodni w balonie*, kazał mu się zgłosić za 2 tygodnie. W oznaczonym terminie z bijącym sercem przybywa Verne do starego znawcy (który nawiasem mówiąc był pewno kolegą i dobrym znajomym innego ówczesnego paryskiego księgarza, Franciszka Thiébault, ojca Anatola France). Rozmowa miała przebieg następujący:

Hetzel: Bardzo mi przykro...

Verne już sięgnął po rękopis, bo wiedział, że takim wstępem zaczynają swe przemówienia wydawcy, którzy odrzucają propozycje autorów. Jemu samemu, z tą samą książką, zdarzyło się to już, niestety, 15 razy. Ale Hetzel sprawił niespodziankę, mówiąc:

— Bardzo mi przykro, że nie mogę przyjąć Pańskiego rękopisu w stanie obecnym. Ale opublikuję go, jeśli się Pan zgodzi na proponowane przeze mnie poprawki. Widzę u Pana wszystkie charakterystyczne cechy wielkiego pisarza.

Verne dokonał poprawek i książka zdobyła ogromne powodzenie, zarówno we Francji, jak i za granicą. Jest to rok 1863, pełny tryumf pozytywizmu na Zachodzie; powieść była jak najbardziej aktualna! Niebawem zawiera Hetzel kontrakt wydawniczy z Vernem, w którym zobowiązuje się płacić 20.000 franków w złocie za 2 książki pisarza, dostarczane co roku. Była to na ówczesne czasy suma poważna — ale i wysiłek twórczy Verne'a nie był mały. Dostarczyć corocznie dwie dobrze napisane i rozpalające wyobraźnię powieści, osnute na tle nowych badań naukowo-przyrodniczych i technicznych czy nawet uprzedzających te badania — to był program, który mógł szczelnie wypełnić życie pisarza. Verne pozostał wierny tej umowie aż do śmierci swego wydawcy a Hetzel pięciokrotnie podwyższał Verne'owi honoraria i dobrowolnie na korzyść drugiej strony poprawiał warunki kontraktu.

Za uzyskane w ten sposób pieniądze zakupił sobie pisarz jacht, którym odbywał podróże: do Anglii, Szkocji, Skandynawii, Stanów Zjednoczonych (asystował w roku 1866 założeniu pierwszego kabla podmorskiego), Włoch, Niemiec, do krajów egzotycznych. W czasie wojny prusko-francuskiej 1870 roku Juliusz Verne, powołany do wojska, pełni służbę na swym statku jako dowódca straży nadbrzeżnej... Lecz w roku 1886 szczęśliwe na ogół życie Verne'a — posępnieje. Zaczyna się od głupiego przypadku. Pewnego marcowego wieczoru jakiś 26-letni szaleniec oddaje do Juliusza Verne'a kilka strzałów z rewolweru u wejścia do jego mieszkania. Pisarz, ciężko ranny, traci na całe życie władzę w jednej nodze. Schorowany i kulawy nie może już odbywać swych długich, ulubionych podróży, które stanowiły źródło największej jego radości, a zapewne — i twórczej inspiracji. W tym właśnie czasie umiera mu ukochana matka i bliski przyjaciel, wydawca Hetzel. Jak bardzo Verne przejmuje się tymi ciosami, świadczy jego wygląd. Dochodząc do sześćdziesiątki, nagle staje się zupełnie siwy. Zamyka się w sobie; on, który do niedawna lubił urządzać u siebie towarzyskie przyjęcia, staje się samotnikiem, „starym niedźwiedziem", jak mawiają mieszkańcy Amiens. Ale przy tym wszystkim nie przerywa Verne wytężonej pracy twórczej. Staje się nawet społecznikiem. Bierze udział w pracy Pikardzkiej Akademii Literackiej oraz Stowarzyszenia Przemysłowego. Zostaje też wybrany na członka Rady Miejskiej z ramienia „listy postępowej". Jako radny zajmuje się gorąco sprawą teatru, wracając zapewne myślą do swych trudnych i głodnych lat młodzieńczych. Na jego wniosek miasto Amiens postanawia także wznieść budynek na występy cyrkowców, których bardzo lubił i którym poświęcił powieść *Cezar Cascabel*.

Ale nie został jeszcze dla Verne'a zamknięty krąg nieszczęść i zmartwień. W roku 1897 umiera jego ukochany brat, Paweł. Był współpracownikiem Juliusza, który radził go się we wszystkich sprawach nawigacyjnych poruszanych w powieściach: Paweł był z zawodu żeglarzem i znakomitym znawcą tych spraw. Wtedy to porzucił Juliusz Verne swój dom i zamieszkał w zachowanym do dziś „gołębniku", rodzaju wieży, z której rozciągał się piękny widok na miasto Amiens. W tej samotni dotykają pisarza nowe ciosy: katarakta i częściowa utrata słuchu oraz pierwszy atak paraliżu. Praca pisarska jest, mimo wszystko, jego radością i pociechą. Gdy umiera, 24 marca 1905 roku, jedno z pism literackich zaczyna druk nowej powieści Verne'a: *Inwazja morza.*

Juliusz Verne pozostawił po sobie ogromną spuściznę literacką; pracowitością przewyższył go chyba tylko nasz Kraszewski! Liczbę występujących u niego postaci obliczają na kilka tysięcy. Krążyły nawet pogłoski, że twórca *Dzieci kapitana Granta* nie pisał niektórych swych utworów, że się posługiwał „murzynami", czyli młodymi pisarzami, którzy za niego wypełniali znaczną część roboty. Pogłoski takie były szczególnie rozpowszechnione we Włoszech. Do tego nawet stopnia, że autor *Serca,* d'Amicis, wybrał się do Amiens, aby sprawdzić, czy istotnie „funkcjonuje firma Giulio Verne i Spółka". Przekonał się, że całą instytucję tworzy jeden, nieustraszenie pracowity i twórczy, zadziwiający człowiek. „Nie ma Towarzystwa Giulio Verne" stwierdza Amicis po powrocie z Włoch — „jest tylko Giulio!"

Wiara w postęp nauk ścisłych, olśnienie śmiałością odkryć przyrodniczych, zaufanie do wynalazczej potęgi umysłu ludzkiego — łączyły niewątpliwie Juliusza Verne'a ze współczesną mu generacją naturalistów. (Lata pierwszych wielkich sukcesów naszego pisarza — to okres poprzedzający publikację *Rougon-Macquartów* Emila Zoli). Lecz ideały estetyczne Verne'a niezupełnie harmonizowały z tym, co głosili naturaliści. Drobiazgową analizę życia ludzkiego zastępuje twórca *Voyages extraordinaires* śmiałym lotem „antycypacji". Stan współczesnej wiedzy przyrodniczej nie dlatego go interesuje, by metody badawcze usiłował przenosić w dziedzinę warsztatu pisarskiego. Stosuje pewne wyniki badań, by na ich podstawie snuć wizję przyszłego losu ludzkości, przetworzonego przez naukę. Przeobrażenie świata, jego rozwój interesuje go najbardziej. To zbliża zarówno typ wyobraźni Verne'a, jak i jego światopogląd — do tego, co najlepsze i najśmielsze w romantyzmie francuskim, w takich na przykład jego nurtach, jakie odzwierciedla *Legenda wieków* Wiktora Hugo.

„Wszystko, co jeden człowiek może sobie wyobrazić — potrafią zrealizować inni ludzie" pisał Verne w liście do ojca, w młodości. A na starość dodawał: „Nadejdzie moment, w którym twórczość wiedzy ścisłej prześcignie lot naszej wyobraźni". Mieścił się w tym — optymistyczny pogląd na zadania i możliwości myśli ludzkiej, a więc i przekonanie o nieograniczonym postępie ludzkości. Lecz Juliusz Verne przewidywał już wielki problem, który stanie przed światem uczonych w wieku XX-ym. Jest to zagadnienie nazwane — niezbyt ściśle — sprawą „dehumanizacji wiedzy", to jest odwrócenia wyników nauki od ich społecznych zastosowań. W *Łowcach meteorów* genialny astronom i matematyk wpada w gniew, gdy dokonane przez niego odkrycie zostaje zastosowane w sposób siejący dookoła nienawiść i nieszczęście. Dlatego unicestwia olbrzymią masę złota, ściągniętą na ziemię siłami skonstruowanej przez niego machiny. W czasie jednej ze swych podróży morskich wzdłuż wybrzeża Morza Północnego i Bałtyku dostrzega Verne olbrzymie arsenały pruskie. Wstęp do nich był najsurowiej zabroniony, ale — jak pisze biograf Verne'a, Bernard Franck — „przenikliwa myśl pisarza dostrzegła wszystko i przewidziała przyszłe konsekwencje nagromadzenia tego olbrzymiego aparatu wojennego". Głosem ostrzegawczym była powieść *Pięćset milionów księżniczki Begum.* Olbrzymi spadek po tej indyjskiej bogaczce zostaje rozdzielony między dwóch uczonych. Jednym z nich jest pruski junkier i nacjonalista, który zużyje fortunę na zgromadzenie nowych środków wybuchowych, nowego materiału zniszczenia. Drugi — zbuduje za swoją część spadku wspaniałe miasto France-Ville, gdzie życie ludzkie będzie urządzone piękniej, szczęśliwiej i lepiej. Jeszcze wyraźniej uwydatnia się problem społecznego i międzynarodowego zużytkowania osiągnięć nowoczesnej nauki w powieści *Wobec sztandaru* (1896), gdzie

szef piratów chce wykorzystać odkrycie wielkiego uczonego dla celu — zniszczenia cywilizacji.

Juliusz Verne był niewątpliwie dzieckiem swej epoki, swego środowiska społecznego. W *Łowcach meteorów* obserwuje krytycznie bankiera-spekulanta umiejącego wykorzystać dla swoich celów — nawet najśmielsze odkrycia. Walczyć z tymi siłami ucisku i wyzysku świat Verne'a jeszcze nie umie, a nawet konieczności tej walki dokładnie nie pojmuje. Ale myśli reformatorskie nie są pisarzowi obce: „Wiem, że istnieją ludzie cierpiący, rasy uciskane na tej ziemi, nędzarze, którym trzeba pomóc, ofiary, które należy pomścić" — mówi bohater *20.000 mil podmorskiej żeglugi, 15-letni kapitan* piętnuje handel czarnym towarem. Mathias Sandorf z innej powieści Verne'a jest uczestnikiem walki o niepodległość Węgier. Dlatego też Maurice Thorez mógł napisać w *Fils du Peuple: „20.000 mil podmorskiej żeglugi* to książka, która rozpłomieniła moją wyobraźnię. Podziwiałem nie tyle przygody kapitana Nemo, co jego charakter. Reprezentował dla mnie olbrzymią siłę niedocenionej wiedzy ludzkiej, która tryumfuje nad wszystkim, wiedzy, która przeobrazi świat i ludzi, gdy się znajdzie naprawdę w służbie ludu."

Wojciech Natanson

ALCHEMIA MIŁOŚCI

Dwa lata temu ukazała się we Francji książka nader niezwykła. Napisana przed czterdziestu laty w okopach drugiej wojny światowej nie była przeznaczona do druku. Jest to zbiór blisko dwustu listów miłosnych. Tytuł *Tendre comme le souvenir*. Autor: Guillaume Apollinaire.

Adresatką tych listów jest Madeleine. Owa tajemnicza Madeleine, której imię przewija się jak refren przez wiersze *Calligrammes*. Dotychczas wiedziano o niej niewiele. Tyle że była. Tyle że kochał ją wielki poeta. To wystarczyło, aby weszła do historii literatury. Teraz, wraz z tomem listów Apollinaire'a, wkracza zwyczajnie do literatury jako bohaterka jednej z najpiękniejszych i najdziwniejszych opowieści miłosnych, jakie kiedykolwiek zapisano.

Niezwykła ta miłość trwała równo rok. Zaczęła się od spotkania w pociągu Nizza-Marsylia ogniomistrza Wilhelma Apolinarego Kostrowickiego powracającego z urlopu na front i młodziutkiej nauczycielki gimnazjum żeńskiego w Oranie (Alger). Działo się to 1 stycznia 1915 roku. Ona miała lat dwadzieścia dwa, on trzydzieści pięć. Najpierw wywiązała się zwyczajna, banalna rozmowa, jaką zwykło się prowadzić w przedziale kolejowym z przygodnymi towarzyszami podróży. Nie wiadomo jak (a właściwie wiadomo, skoro rozmówcą był Apollinaire) zeszła na poezję. Verlaine, Baudelaire, Villon. W pewnej chwili Apollinaire zdobywa się na odwagę: „Wie pani, ja też jestem poetą, piszę pod pseudonimem Guillaume Apollinaire. Czy słyszała pani o mnie?" Nie, nie słyszała. Więc obiecuje przysłać jej swój tomik *Alcools*, który wyszedł przed dwoma laty, i zapisuje adres. Pożegnali się na dworcu w Marsylii. Szesnastego kwietnia 1915 Apollinaire w krótkim liściku przeprasza, że nie mógł dotychczas przesłać książki. Wydawca w wojsku, wydawnictwo zamknięte. O dziwo, w odpowiedzi nadchodzi paczka. Tytoń, słodycze, to co się przysyła żołnierzom do okopów. Podziękował długim listem. Odpisała. I tak się zaczęła regularna korespondencja. Najpierw pisują do siebie co dziesięć dni, później co tydzień, dwa razy w tygodniu, wreszcie prawie codziennie. Piszą o sobie, o swoim życiu, dyskutują o literaturze, o sztuce, konfrontują sądy o różnych pisarzach. Sądy zresztą dość rozbieżne. Jej literatura, jej horyzonty to Bazin, Bordeaux, Bourget, Rostand. Ale nie bądźmy niesprawiedliwi. Także Romain Rolland. Także Claudel. Także Tołstoj. Tylko z hierarchizacją gorzej. Taktownie i subtelnie Apollinaire tłumaczy jej, na czym polega blichtr Rostanda, wielkość Tołstoja, geniusz Rimbauda, wstecznictwo mistycyzmu Claudela

(„Ten utalentowany pisarz jest epigonem symbolizmu. W sposób zagmatwany i reakcyjny jest z tego samego kruszca, co Ahthur Rimbaud. Ale tamten był złotym luidorem, a Claudel jest tylko jego bilonem"). Wiele tu podobnie ciekawych uwag, sformułowań i osądów, zanotowanych w pośpiechu, na kolanie, bez specjalnej dbałości o precyzję myśli, ale celnych, trafiających w sedno. Wiele też niesłusznych, jak ten wypad, nacechowany „patriotyczną" germanofobią, ale dla nas z innych względów ciekawy. Pisząc mianowicie o Niemcach: „W literaturze jeden Goethe jest u nich naprawdę wielki a i w nim genialne jedynie to, co zawdzięcza humanizmowi, reszta ciężkawa i chaotyczna. Heine był Żydem... Nietzsche Polakiem jak i ja. Dzisiaj wielkim pisarzem niemieckim jest znowu Polak, Pzybyzeswky (!). Nic jego nie czytałem. Jest trzech znanych Polaków w literaturze współczesnej i żaden z nich nie pisze po polsku. Conrad w Anglii (zdolny). Pzybyzeswky w Niemczech. I ja we Francji."

Powoli jednak temperatura korespondencji zaczyna się podnosić, czułość wzbiera coraz częstszymi przypływami, intymna poufałość wzrasta. Przedtem pisał do niej „Pani", później „Droga moja wróżko", teraz po prostu „Madeleine". Powoli dochodzi do głosu najwymyślniejsza erotyka. Wszelkie obawy, opory i wahania dziewczyny poeta „zamawia" magią miłosnych zaklęć, pokrywa frenetycznym potokiem namiętności, roztapia w lirycznym obłoku poezji. Z początku Apollinaire wydaje się traktować tę wypielęgnowaną, wymyśloną przez siebie miłość jako eksperyment trochę literacki, alchemik słowa, wierny rimbaudowskiej zasadzie wyrozumowanego szaleństwa zmysłów *(dérèglement de tous les sens)*, próbuje alchemii uczuć. Rychło powtarza się jednak przygoda ucznia czarnoksiężnika. Traci panowanie nad tworem własnej wyobraźni. Co najdziwniejsze — ona też. Warunki zewnętrzne, w jakich oboje żyją, wydatnie tej wzajemnej perwersji sprzyjają. Oboje są młodzi, pełni temperamentu. On tkwi w przymusowej abstynencji życia okopowego, ją solidne środowisko mieszczańskie i pozycja społeczna (nauczycielka) więzi w pętach surowej obyczajności. Pozostają listy. Inhibicja rodzi exhibicję. Madeleine czyni wprost zadziwiające postępy w tej swojej korespondencyjnej *„éducation sentimentale"*. Niewątpliwie działa na nią także cały romantyczny sztafaż tej przygody. To, że Guillaume jest poetą, że pokochali się „od pierwszego wejrzenia", że „przeznaczenie" ich rozdzieliło, że wojna, że front, że w każdej chwili umiłowanemu grozi śmierć. Wreszcie magia jego słów też operuje. Nie darmo jest takim poetą. To wystarcza, aby potrafiła się dostroić do wysokiego tonu tego najdziwniejszego dialogu kochanków, którzy nie są kochankami. Stany halucynacyjne, którym wzajem podlegają, sprawiają, że Apollinaire pisze: „jesteś teraz moją żoną", „nasze ciała nie mają dla siebie żadnych tajemnic", „ja, który cię posiadałem", „najbardziej lubię pieszczotę twojej ręki w moich włosach" etc. Ona zaś, na prośbę poety, komponuje całe hymny o swojej urodzie, w których opiewa swoje usta, czoło, nos, włosy, owal twarzy, stromość piersi, krągłość bioder, foremność ud, lekkość stopy. To śmieszne. Nie, wcale nie śmieszne. Jest coś głęboko przejmującego, coś rozpaczliwego w tym szukaniu się wzajemnym, ponad odległością, czasem i wojną, tych dwojga spragnionych siebie ludzi, jest w tym jakiś witalistyczny protest gwałconej natury ludzkiej. I nawet pamięć o nieuniknionej *„maman"*, którą Apollinaire prosi w oficjalnym bardzo piśmie o rękę córki, nie zdoła nas rozśmieszyć.

Do listów swoich poeta stale dołącza jakieś wiersze. Część z nich weszła później do *Calligrammes*, część doczekała się publikacji dopiero w tym tomie, część — oznaczona tylko kropkami — czekać jeszcze musi na ogłoszenie. Wśród innych nieogłoszonych dotychczas wierszy *Tendre comme le souvenir* zawiera zdumiewająco piękny cykl *„poèmes secrets"*, wierszy tajemnych, osobistych, wprost potępieńczo zmysłowych, ale jednocześnie pełnych dziwnej jakiejś hieratyczności, prześwietlonych blaskiem takiej poezji, że niesposób się w nich dopatrzeć śladu wyuzdania. Chyba tylko do Salomonowej *Pieśni nad Pieśniami* dałoby się je porównać w literaturze.

W grudniu 1915 roku od długich miesięcy trwające starania o przepustkę na tyły zostają uwieńczone sukcesem. Podporucznik Kostrowicki (awansował w międzyczasie) dostaje

dwa tygodnie urlopu i podąża do narzeczonej, do Oranu.

25 grudnia telegrafuje z Marsylii:

„Przyjeżdżam następnym statkiem. Gui.

10 stycznia 1916 w drodze powrotnej drugi telegram z Marsylii:

„Dojechałem szczęśliwie. Całuję. Gui"

Między jedną a drugą depeszą, zanim się jeszcze zrealizowała, skończyła się miłość.

Później jest jeszcze dwadzieścia kilka listów, owszem serdecznych, owszem gorących, ale na szczerości tonu czuć jakąś rysę, jakby pęknięcie. Z miłosnych zaklęć wyparowała magia, szeleszczą już tylko papierem. W dwa miesiące po powrocie z urlopu Apollinaire ranny jest w głowę. Ze szpitala wysyła jeszcze parę kartek, operowany w maju donosi o szczęśliwym przebiegu operacji i z góry usprawiedliwia swe prawdopodobne milczenie stanem zdrowia. Rzeczywiście milczy przez trzy miesiące, w sierpniu prosi („*Ma chère Madeleine*" — pisze) o odesłanie mu niektórych rękopisów i książek, które mu są niezbędnie potrzebne, we wrześniu upomina się o pozostałe jeszcze u niej rzeczy. „*Je t'embrasse*". Koniec.

Ale nie miejmy o to żalu do Madeleine. Nie jej to wina, że ta ich miłość nie wytrzymała próby zetknięcia z życiem. I nawet nie w tym rzecz, że „*maman*" okazała się pewno sroga, braciszkowie i siostry (rodzina była liczna) nieznośni, dom rodzinny nieco duszny, a sama Madeleine... Nie, Madeleine nie mogła być inna niż ją stworzył Apollinaire. Tak samo jak nieprawdą jest, że ma dzisiaj sześćdziesiąt dwa lata. Madeleine umarła czterdzieści lat temu, razem z miłością Apollinaire'a. Sztuczną miłością, która jak papierowy kwiat spopielała nagle w ręku. Alchemiczne złoto miłości osypało się w popiół. Bo alchemia uczuć też prowadzi do samounicestwienia.

Ale rzadko wyrzuca na brzeg tak piękne, tak szumiące morzem muszle, jak ten prawdziwy dokument nieprawdziwej miłości.

Jerzy Lisowski

SPROSTOWANIE

W pracy Seweryna Pollaka *Uwagi o poezji rosyjskiej* w Polsce, wydrukowanej w numerze 3 „*Twórczości*", zdanie trzecie od góry, szpalta druga, str. 117, powinno brzmieć:

„Nie będę tu wspominał o tłumaczach poezji Mickiewicza tej miary choćby, jak Kozłow, Küchelbecker i inni."

Na tej samej szpalcie, 12 wierszy poniżej, cytat powinien kończyć się zdaniem:

„ — u Lermontowa Diwy piętrzą zwały skał wyrocznym słowem".

Również zdanie na str. 120 — szósty wiersz od góry, szpalta pierwsza — powinno brzmieć:

„Zbyt duży był nacisk moralny zacofanego środowiska drobnoszlacheckiego, aby Syrokomla odważył się wypowiedzieć je głośno za życia."

LITERATURA PIĘKNA

Klasycy literatury polskiej

Berent Wacław — Fachowiec. Powieść spółczesna. Wstęp Janusza Wilhelmiego. Opracowanie graficzne: Andrzej Heidrich. „Czytelnik", Warszawa, 1954, wydanie drugie; str. 205, 1 nl.

Nałkowska Zofia — Romans Teresy Hennert. Okładkę i kartę tytułową projektował Marian Stachurski. „Czytelnik", Warszawa, 1954, wydanie piąte; str. 183, 1 nl.

Rogosz Józef — Dla idei. Powieść z niedalekiej przeszłości. Tom I i II. Okładkę projektował Kazimierz Wojtanowicz. Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1955, wydanie pierwsze; t. I, str. XXI, 1 nl, 212, 2 nl; t. II str. 263, 3 nl.

Żeromski Stefan — Wiatr od morza. Posłowie Janusza Wilhelmiego. Okładkę i kartę tytułową projektował Marian Stachurski. „Czytelnik", Warszawa, 1955, wydanie drugie; str. 272, 4 nl.

Klasycy literatury obcej

Czech Svatopluk — Jastrząb contra Gołąbek. Tłumaczył Andrzej Sieczkowski. Ilustrował Antoni Uniechowski. Wstęp napisał Andrzej Sieczkowski. Okładkę projektował Andrzej Heidrich. „Czytelnik", Warszawa, 1955, wydanie pierwsze; str. 127, 1 nl.

Antologie

Naborowska Aleksandra — Inscenizacje opowiadań i fragmentów powieści współczesnych pisarzy polskich. Dekoracje projektował Romuald Nowicki. „Czytelnik", Warszawa, 1955, wydanie pierwsze; str. 439, 1 nl.

Poezja Polski Ludowej. Opracowali: Ryszard Matuszewski i Seweryn Pollak. Opracowanie graficzne: Marian Stachurski. „Czytelnik", Warszawa, 1955, wydanie pierwsze; str. 648.

Rok 1905. Wiersze. Pieśni. Inscenizacje. Fragmenty prozy. Wybór i opracowanie Anny Milskiej. „Czytelnik", Warszawa, 1955, wydanie pierwsze; str. 318, 6 nl.

Starzy i młodzi. Wybór i wstęp: Anna Lanota. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1954, wydanie pierwsze; str. 277, 3 nl.

Poezja, dramat

Kipphardt Heinar — Szekspir pilnie poszukiwany. Komedia satyryczna w trzech aktach. Przełożyli Maria Wisłowska i Antoni Marianowicz. Okładkę projektował Jan Młodożeniec. „Czytelnik", Warszawa, 1955, wydanie pierwsze; str. 97, 3 nl.

Olszakowski Aleksander — Wyspa złudzeń. Komedia satyryczna w trzech aktach. Okładkę projektował Kazimierz Wojtanowicz. Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1955, wydanie pierwsze; str. 135, 1 nl.

Otwinowski Stefan — Gwiazdy i ziemia. Sztuka w czterech aktach. Okładkę projektował Kazimierz Wojtanowicz. Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1955, wydanie pierwsze; str. 135, 1 nl.

Proza

Bunsch Karol — Imiennik. Powieść z czasów Bolesława Śmiałego. Część I. Śladem pradziada. Okładkę projektował Kazimierz Wojtanowicz. Wyklejkę projektował Franciszek Bunsch. Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1955; str. 323, 1 nl.

Bunsch Karol — Imiennik. Powieść z czasów Bolesława Śmiałego. Część II. Miecz i pastorał. Okładkę projektował Kazimierz Wojtanowicz. Wyklejkę opracował Franciszek Bunsch. Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1955; str. 349, 1 nl.

Kowalewski Stanisław — Kiedy mija noc. Opowiadania. Okładkę projektowała Teresa Wyszkowska. „Czytelnik", Warszawa, 1955, wydanie pierwsze; str. 232, 4 nl.

Kuśmierek Józef — Uwaga! Człowiek. Okładkę projektował Czesław Borowczyk. „Czytelnik", Warszawa, 1955, wydanie drugie; str. 114, 2 nl.

Lisaszwili Jakinte — Ich młode lata. Tłumaczył Władysław Broniewski. Okładkę i kartę tytułową projektował Andrzej Radziejowski. „Czytelnik", Warszawa, 1955, wydanie pierwsze; str. 297, 3 nl.

Micheli Silvio — Cała prawda. Przełożyła Zofia Ernst. Okładkę i kartę tytułową projektował Jan Młodożeniec. „Czytelnik", Warszawa, 1955, wydanie pierwsze; str. 262, 2 nl.

Ziegler Gilette — Zbrodnia w Kangse. Tłumaczył Gabriel Karski. Okładkę i kartę tytułową projektował Andrzej Radziejowski. „Czytelnik". Warszawa, 1955, wydanie pierwsze; str. 196, 4 nl.

Żurkowski M. — Na Bałtyk. Ilustrował Witold Zacharewicz. Okładkę projektował Włodzimierz Lewiński. Mapki według projektu autora książki wykonali: K. Mastelerz, i W. Wyczółkowski. Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa, 1955, wydanie drugie; str. 188, 4 nl.

Essej i krytyka

Maciąg Włodzimierz — Sztuka pisarska Marii Dąbrowskiej. Okładkę projektował Kazimierz Wojtanowicz. Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1955; str. 206, 2 nl.

WYDAWNICTWA ROKU MICKIEWICZOWSKIEGO

Breyer Stefan — Spór Horeszków z Soplicami. Studium z dziedziny problematyki prawnej „Pana Tadeusza". Okładka, układ graficzny oraz drzeworyty Mariana Puchalskiego. Współpraca przy układzie graficznym Stefana Bąkały. Wydawnictwo Prawnicze, Warszawa, 1955; str. 151, 5 nl.

HISTORIA

Longo L. — Walka narodu włoskiego o wolność. Tłumaczył z włoskiego Jerzy Nowacki. Okładkę projektowała Jadwiga Okońska. Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa, 1955, wydanie pierwsze; str. 347, 5 nl, 2 knl (mapki).

Macek J. — Husyci na Pomorzu i w Wielkopolsce. Przetłumaczyła z czeskiego języka D. Reychman. Okładkę projektował Stefan Rzepecki. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1955, wydanie pierwsze; str. 189, 3 nl, 1 knl (mapa).

SZTUKA

Serafińska Stanisława — Jan Matejko. Wspomnienia rodzinne. Wstęp Haliny Nelken-Morawskiej. Przygotowanie do druku, dobór ilustracji, przypisy i uzupełnienia: Jan Gintel i Edward Łepkowski. Opracowanie graficzne; okładka i obwoluta: Adam Młodzianowski. Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1955; str. 680, 4 nl.

FILOZOFIA

św. Augustyn — Pisma filozoficzne. Tom IV. Dialogi i pisma filozoficzne. O muzyce. O wierze prawdziwej. O naturze dobra. Tłumaczyli: Danuta Turkowska, Jerzy Ptaszyński, Maria Maykowska. Wstępy i komentarze opracował ks. Wacław Eborowicz. „Pax", Warszawa, 1954, wydanie pierwsze; str. 213, 3 nl.

Bacon Franciszek — Nowa Atlantyda. Przełożył i opracował Wiktor Kornatowski. „Pax", Warszawa, 1954, wydanie pierwsze; str. 131, 1 nl.

Campanella Tomasz — Państwo Słońca. Przełożył i opracował Wiktor Kornatowski. „Pax". Warszawa, 1954, wydanie pierwsze; str. 129, 1 nl.

RÓŻNE

Spytek Adam — Sport w lotnictwie. Okładkę projektował Mieczysław Wiśniewski. Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa, 1955, wydanie pierwsze; str. 68, 4 nl.

LITERATURA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Bohuszewicz Z. — Rośliny jadalne dziko rosnące. Ilustrował Jerzy Wójcik. (Biblioteka Młodych Miczurinowców). „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1955, wydanie pierwsze; str. 63, 1 nl.

Brandys Marian — Dom odzyskanego dzieciństwa. Ilustrowała Helena Cygańska-Walicka. „Nasza Księgarnia". Warszawa, 1955, wydanie czwarte; str. 231, 3 nl.

Brandys Marian — Wyprawa do Arteku. Notatki z podróży do ZSRR. Ilustrował Zbigniew Rychlicki. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1955, wydanie trzecie; str. 122, 2 nl.

Brindarow A. — Myśliwy Charibu. Baśnie wschodnie. Zebrał i opracował... Tłumaczyła z języka rosyjskiego Halina Powiadowska-Kowalewska. Ilustrował J. Skarżyński. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1955, wydanie drugie; str. 124, 4 nl.

Czaruszyn Eugeniusz — Nikitka i jego przyjaciele. Przełożyła z języka rosyjskiego Maria Górska. Ilustrował Eugeniusz Czaruszyn. Okładkę projektował Jerzy Tchórzewski. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1955, wydanie trzecie; str. 54, 2 nl.

Czerny Karol — O jabłonce co złote jabłka rodziła. Ilustrował Zdzisław Witwicki. Tłumaczyła z języka czeskiego Jadwiga Bułakowska. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1955, wydanie pierwsze; str. 48, 4 nl.

Dąbrowska Teodora — Zagadki i gry literackie. Ilustrował Wiktor Stankiewicz. (Czarodziej w Świetlicy). „Nasza Księgarnia". Warszawa, 1955, wydanie drugie; str. 60, 4 nl.

Delarue Paul — Miłość trzech pomarańcz. Tłumaczył z języka francuskiego Stanisław Dygat. Ilustrował Adam Marczyński. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1955, wydanie drugie; str. 148, 4 nl.

Fuczik Juliusz — Opowiadania. Tłumaczyła z języka czeskiego H. Gruszczyń-

ska-Dubowa. Ilustrował Janusz Grabiański. „Nasza Księgarnia" Warszawa, 1955, wydanie trzecie; str. 33, 3 nl.

Gajdar Arkady — Błękitna filiżanka i inne opowiadania. Tłumaczył z języka rosyjskiego Aleksander Wat. Ilustrowała Leonia Janecka. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1955, wydanie drugie; str. 72, 4 nl.

Kierst Jerzy — Nad potoczkiem. Ilustrował Jerzy Karolak. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954, wydanie pierwsze; 23 knl.

Koszutska Halina — Psia służba. Ilustrował Roman Owidzki. „Czytelnik", Warszawa, 1955, wydanie drugie; str. 72, 4 nl.

Markowska W. i Milska A. — Baśnie narodów Związku Radzieckiego. Ilustrował Antoni Uniechowski. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1955, wydanie trzecie; str. 174, 2 nl.

Michałkow Sergiusz — Tak. Tłumaczył z języka rosyjskiego K. I. Gałczyński. Ilustrował Bohdan Bocianowski. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954, wydanie drugie; 12 knl.

Nałkowska Zofia — Mój ojciec. Ilustrował Marek Rudnicki. „Nasza Księgarnia". Warszawa, 1955, wydanie drugie; str. 55, 1 nl.

Newerly Igor — Archipelag ludzi odzyskanych. Ilustrował Stanisław Rozwadowski. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1955, wydanie ósme; str. 295, 1 nl.

Nosow N. — Żywy kapelusz. Tłumaczyła z jęzvka rosyjskiego Janina Lawandowska. Ilustrował Karol Ferster. Okładkę projektował Mateusz Gawryś. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954, wydanie pierwsze; str. 43, 1 nl.

Pokrowski S. W. — Na tropach mamutów. Tłumaczyła z języka rosyjskiego Ludmiła Dunikowska. Okładkę projektował Zdzisław Witwicki. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1955, wydanie pierwsze; str. 166, 2 nl.

Porazińska Janina — Agata nogą zamiata. Ilustrował Bogdan Zieleniec. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1955, wydanie drugie; 8 knl.

Przemski Leon — Gwardia Lelewela. Ilustrował Stanisław Rozwadowski. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954, wydanie pierwsze; str. 62, 2 nl.

Rybakow A. — Kordzik. Przełożyła z języka rosyjskiego Zofia Łapicka. Okładkę projektował Bronisław Kieszkowski. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1955, wydanie czwarte; str. 249, 3 nl.

Sosiński Rajmund — Energia elektryczna w służbie człowieka. Materiały do wieczoru ciekawej techniki. Okładkę projektował Mateusz Gawryś. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1955, wydanie pierwsze; str. 133, 3 nl.

Stobiński Jerzy — Chemia czarodziejka. (Czarodziej w świetlicy). „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1955, wydanie drugie; str. 88, 4 nl.

Tursun Parda — Nauczyciel. Tłumaczył z języka rosyjskiego Aleksander Wat. Ilustrowała Janina Wodzicka. „Nasza Księgarnia". Warszawa, 1955, wydanie pierwsze; str. 462, 2 nl.

Tuwim Julian — Lokomotywa i inne wesołe wierszyki dla dzieci. Ilustrował Jan Marcin Szancer. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1955, wydanie szóste; 24 knl.

Wilskie Zofia i Irena — Szkoła w kwiatach. Ilustrowała Maria Żywicka. (Biblioteka Młodych Miczurinowców). „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1955, wydanie pierwsze; str. 89, 3 nl, 4 knl (luźne).

Żdanow N. — Morska sól. Tłumaczyła z języka rosyjskiego Katarzyna Witwicka. Ilustrował Stefan Gierowski. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1955, wydanie pierwsze; str. 113, 3 nl.

0384003

W najbliższych numerach ukażą się:

Kazimierz Brandys

NIEDŹWIEDŹ

Georg Lukacs

O SZOŁOCHOWIE

Tomasz Mann

O CZECHOWIE

Artur Międzyrzecki

NOC I BRZASK

Jan Bolesław Ożóg

LIRYKI

Jan Parandowski

O ARYSTOFANESIE

Jerzy Putrament

ZAGADNIENIA WSPÓŁCZESNEJ LITERATURY

Kazimierz Wroczyński

MOJA ANKIETA PERSONALNA

Cena zł 7.–